

# Lilith. Wąż w trawie

Jack L.Chalker

Książka I z Świat Rombu



calibre 0.9.43

**Jack L. Chalker**

Lilith: Wąż w trawie

Cykl: Światy Rombu tom 1

Przekład: Konrad Majchrzak

**Wydanie polskie: 1994**

נחמתי

## Prolog

### TŁO KŁOPOTÓW

#### 1

Drobny mężczyzna w syntetycznej tweedowej marynarce nie przypominał bomby. Wyglądał raczej jak większość urzędników, operatorów komputerów i raczkujących polityków w Dowództwie Systemów Militarnych. Oczy, jak dwa bżowe paciorki, osadzone szeroko i przedzielone orlim nosem nad małymi ustami i potężnymi szczękami nadawały mu wygląd kogoś, na kogo nie warto powtórnie spojrzeć. Dlatego właśnie był tak niebezpieczny.

Posiadał wszystkie niezbędne przepustki, a kiedy pyzy wejściach zdolnych zatrzymać i zniszczyć każdego w przypadku najdrobniejszej nieścisłości sprawdzono jego odciski dłoni i wzór siatkówki oka, przepuszczono go bez najmniejszego wahania czy opóźnienia elektronicznego. Niósł małą walizeczkę, niezwykłą o tyle, że nie była do niego przykuta łańcuchem czy przymocowana do jego ciała w jakiś inny sposób, a jedyne przyciśnięta mocno ramieniem. Nie zwróciła niczyjej uwagi ani nie wywołała alarmu – prawdopodobnie była w jakiś sposób dostrojona do jego ciała.

Od czasu do czasu spotykał podobnych sobie na jasno oświetlonych korytarzach, mijał ich, wymieniając zdawkowe ukłony, częściej zaś ignorując zupełnie ich obecność, jakby to czynił w tłumie czy na rogu jakiejś ulicy. Nie było niczego, co by wyróżniało ich właśnie spośród zwykłych śmiertelników, jeśli nie liczyć ich pracy i miejsca zatrudnienia. Nie dotyczyło to jednak tego drobnego mężczyzny. Był on niewątpliwie postacią wyjątkową, skoro był bombą.

Dotarł w końcu do niewielkiego pokoiku, w którym znajdowała się końcówka komputera, a przed nią wygodny fotel. Nie było tam żadnych symboli ostrzegawczych, żadnych potężnie zbudowanych strażników czy robotów wartowniczych, mimo iż ten właśnie pokój stanowił przedsionek do największych tajemnic wojskowych kosmicznego imperium. Nie było takiej potrzeby. Pojedynczy człowiek nie był w stanie uruchomić urządzenia; włączenie go wymagało połączonej i jednoczesnej zgody dwojga ludzi i dwóch robotów, z których każdy otrzymywał zakodowany rozkaz z

różnego i niezależnego źródła. Jakikolwiek próby włączenia urządzenia bez równoczesnego działania pozostałych doprowadziłyby do zablokowania komputera i terminalu i do przesłania ostrzeżenia i zaalarmowania służb bezpieczeństwa.

Mężczyzna usiadł w fotelu, ustawił go we właściwej pozycji i otworzył walizeczkę. Wyjął jakieś niewielkie urządzenie krystaliczne, włączył je ruchem kciuka i przyłożył do płyty zasilania terminalu. Ekran monitora zamigotał i rozjaśnił się. Ukazały się na nim wszystkie kody dostępu, a także pytanie do użytkownika dotyczące jego preferencji w komunikacji z komputerem: głosowa czy na ekranie. Nie było zupełnie mowy o wydruku. Nie w przypadku tego komputera.

– Tylko na ekranie, proszę – powiedział obojętnie drobny mężczyzna, z wysokim, nosowym głosem, bez najmniejszego śladu akcentu. Maszyna czekała. – Materiały obronne C-476-2377AX i J-392-7533DC, szybkość maksymalna.

Wydawało się, że komputer aż zamrugał; szybkość maksymalna oznaczała bowiem czterysta wierszy na sekundę, co stanowiło zresztą górną granicę możliwości wyświetlania informacji na ekranie. Niemniej komputer zaczął pracować. Dostarczył obydwie plany i ukarał je na ekranie w czasie krótszym od jednej sekundy.

Drobny mężczyzna był wyraźnie zadowolony. Do tego stopnia, iż postanowił zaryzykować i poprosić o coś więcej.

– Główne plany obronne na wypadek stanu wyjątkowego, prędkość maksymalna, kolejność materiałów zachowana, proszę – polecił maszynie obojętnym tonem.

Komputer wykonał polecenie. Ze względu na ilość materiału zabrało to prawie cztery minuty.

Mężczyzna zerknął na zegarek. Miał ogromną ochotę kontynuować swe zadanie, lecz każda sekunda w tym pomieszczeniu zwiększała szansę przypadkowej kontroli. A to mu zupełnie nie odpowiadało.

Włożył swe niewielkie urządzenie do walizeczki, zamknął ją, wstał i wyszedł. W tym miejscu popełnił jeden drobny błąd – błąd, którego nie był zresztą w stanie przewidzieć. Należało bowiem kazać tej przeklętej maszynie wycofać i usunąć z pamięci wszystkie te kody. Jeśli się tego nie uczyniło, ten komputer nie zachowywał się tak jak inne i pozostawał Włączony z otwartym dostępem do wszelkich tajemnic. A kiedy „zobaczył”, że użytkownik opuścił pokój, nie skasowawszy pamięci, poinformował kontrolerów o tym fakcie i zablokował się w oczekiwaniu na skasowanie pamięci.

Kiedy mężczyzna dotarł do pierwszych drzwi będących zarazem punktem kontrolnym, wszystko wokół niego zaczęło się nagle walić.

Młoda kobieta przyglądała się przez chwilę czerwonemu światłu alarmowemu błyskającemu na jej konsoli. Sprawdziła szybko, czy nie chodzi o jakąś awarię wewnętrzną urządzenia i wystukała błyskawicznie na klawiaturze nazwę źródła kłopotów: Komputer Zawierający Bazę Danych Tylko do Wglądu na Miejscu.

Choć sama była jedną z tych osób, które posiadały poszczególne części kodu umożliwiającego włączenie komputera, nie mogła jednak zadawać mu żadnych pytań dotyczących zmagazynowanych w nim danych – mogła natomiast uzyskać informację dotyczącą spraw zabezpieczenia. Wiedziała także, iż nie brała udziału w umożliwieniu dostępu do komputera tego dnia i dlatego nacisnęła dwa klawisze, przekazując instrukcję: Taśma z ostatniej operacji.

Ujrzała twarz drobnego mężczyzny. Nie tylko twarz. Również wzór siatkówki, wzór rozkładu temperatury i wszelkie inne informacje, które mogły być odczytane przez zdalne czujniki i zapisane.

– Tożsamość! – rozkazała.

– Threht, Augur Pen – Gyl, OG – 6, Departament Logistyki – odpowiedział komputer.

Nim zdążyła nacisnąć przycisk alarmu, dwoje współpracowników uczyniło to tuż przed nią.

Nie rozległa się żadna syrena alarmowa, nie zabłyśły żadne światła i nie ozwały się dzwonki, bo wszystko to mogłoby jedynie ostrzec szpiega. Zamiast tego, kiedy Threht dotarł do trzecich i ostatnich już drzwi z urządzeniem zabezpieczającym, spojrzął przez wizjer i przyłożył dłoń do płyty identyfikacyjnej, drzwi pozostały zamknięte.

Zdał sobie natychmiast sprawę z tego, iż służba bezpieczeństwa złożona zarówno z ludzi, jak i z robotów zbliża się do niego ze wszystkich stron i doszedł do wniosku, że znacznie bezpieczniej będzie po drugiej stronie tych drzwi. Uniósł lewą dłoń, zastygł na moment, jak gdyby zbierał siły, po czym uderzył w pobliżu mechanizmu zamka. Drzwi się ugięły w tym miejscu, a on napał na nie, pozornie bez większego wysiłku, aż drzwi uchyliły się na tyle, by mógł się prześlizgnąć przez powstałą w ten sposób szparę.

Kiedy znalazł się wewnątrz, drzwi zatrzęsły się za nim i ciężkie zasuwki wślizgnęły się w swoje miejsca. Była to pewnego rodzaju pułapka, pomiędzy drzwiami zewnętrznymi i wewnętrznymi, a ponieważ była ona hermetyczna, można było usunąć z niej powietrze i pozbawić intruza przytomności. Jednak nie w tym przypadku; dla kogoś tak dobrego jak ten mężczyzna nie było tu żadnego ryzyka.

Próżnia nie sprawiła mu kłopotów. Kopnął zewnętrzne drzwi raz, potem drugi; przy trzeciej próbie ustąpiły. Napał na nie z całej siły, uchylił nieco i przytrzymał nieruchomo, przeczekując gwałtowne wtargnięcie powietrza i wyrównać te ciśnienia. Dopiero wtedy otworzył je szeroko i ruszył naprzód poprzez główny hol wejściowy.

Przewidział trafnie: siły bezpieczeństwa dopiero w tej chwili zbliżały się do holu głównego, a znajdujący się tutaj oszołomiony personel nie pozwalał im na szybki i bezpieczny strzał. Cztery lśniące, czarne roboty wartownicze pędziły wprost na niego. Pozwolił im się zbliżyć, nie ukazując przy tym żadnego lęku, czy nawet obawy. Kiedy były tuż – tuż, skoczył w kierunku tych dwóch, które znajdowały się w pierwszej linii pchając jednego na drugiego błyskawicznym ruchem, spowodował, iż obydwie padły na podłogę. Była to scena zupełnie niewiarygodna: drobny, zwyczajnie wyglądający mężczyzna, obalający na podłogę pozornie bez wysiłku, cztery tony ożywionego metalu.

Poruszał się teraz jeszcze szybciej i zmierzał w kierunku przezroczystych okien w zewnętrznej ścianie holu. Szybkość jego przekraczała znacznie szybkość człowieka, a nawet robota, i kiedy dotarł do okien, nie zatrzymał się i nie zwolnił, tylko w pełnym pędzie skoczył wprost w okno. Szyby były bardzo grube, zdolne wytrzymać wybuch konwencjonalnej bomby rzuconej w nie bezpośrednio, ale teraz pękły i rozsypały się jak zwyczajne szkło, kiedy przelatywał przez nie; wylądował dwanaście metrów poniżej okien, ani na moment nie tracąc równowagi, i pobiegł w poprzek szerokiego dziedzińca.

W tej chwili utracił już element zaskoczenia. Po sposobie, w jaki pokonał pierwsze dziwi, siły bezpieczeństwa zorientowały się, iż mają do czynienia z jakimś inteligentnym robotem i przygotowały się na najgorsze, wysyłając przeciw niemu oddziały uzbrojonych ludzi, robotów – zabójców, a nawet działko laserowe.

Zatrzymał się pośrodku porośniętego trawą pagórka, oceniając sytuację spokojnie i kompetentnie. Potem obrócił się nagle, by popatrzeć na tę olbrzymią siłę ognia wycelowaną w niego i uśmiechnął się; uśmiech zamienił się po chwili w śmiech, a miech zaczął narastać, aż stał się Czymś niesamowitym, nieludzkim, maniakałnym, odbijającym się echem od ścian pobliskich budynków.

Wydano rozkaz otwarcia ognia, ale kiedy promienie uderzyły w miejsce, w którym przed chwilą stał, jego już tam nie było. Wznosił się w powietrze bezgłośnie i bez najmniejszego wysiłku, a za to z olbrzymią szybkością.

Usiłowano strzelać do niego z bron automatycznej, ale jego prędkość wznoszenia była zbyt duża. Jeden z oficerów, trzymając laserowy pistolet w rękę, sfrustrowany wpatrywał się w puste niebo.

– Najbardziej mnie złości, że nawet nie podarł sobie spodni – powiedział.

Dowództwo Orbitalne przejęło natychmiast kontrolę nad akcją, ale pracujący tam ludzie nie byli przygotowani na szybkość, jaką zademonstrował mały mężczyzna, nie mogli też wiedzieć, jak wysoko się wzniesie i dokąd się uda. Na orbicie znajdowało się trzydzieści siedem statków handlowych i sześćdziesiąt cztery statki wojskowe, plus przeszło osiem tysięcy różnego rodzaju satelitów – nie wspominając pięciu stacji kosmicznych. Doskonałe urządzenia radarowe mogłyby go wykryć, gdyby zmienił kurs lub pozycję i zdecydował się wylądować gdzieś na planecie, ale tak długo, jak pozostawał w przestrzeni, musieli czekać, aż uczyni coś, co przyciągnie ich uwagę. Po prostu zbyt wiele przedmiotów znajdowało się na orbicie, a on był obiektem za małym, by dało się go śledzić, chyba że dostrzegło się go wpierw, nacelowało i zablokowało na nim urządzenie namiarowe.

Czekali tedy cierpliwie, gotowi rozwalić każdy statek, który nagle przyspieszył, czy chociażby zechciał zmienić pozycję. Obserwowali też bacznie każdy z puch; gdyby ktoś próbował wejść na pokład bezpośrednio z przestrzeni, natychmiast by o tym wiedzieli.

Robot prowadził tę grę na przetrzymane przez prawie trzy pełne dni. W tym czasie jego pierwotna misja zakończyła się całkowitym niepowodzeniem – wiedziano już, jakie plany zdobył, i tym samym stały się one nieaktualne – ale to, co ukradł, posiadało jednak pewną wartość, ukazywało bowiem siłę militarną i jej rozmieszczenie, a kompetentna analiza dokonana przez specjalistów

wojskowych ewentualnego przeciwnika byłaby w stanie ujawnić sposób myślenia dominujący wśród wyższych kadr Dowództwa Wojskowego. Nie można było jednak czekać w nieskończoność – zapasowe plany dotyczące przemieszczenia sił i środków, choć niewątpliwie były jedyne jakąś wariacją planów oryginalnych, na pewno zostały natychmiast wprowadzone w życie. W obecnej chwili opcje były ograniczone, ale ich liczba wzrastała w postępie geometrycznym z każdą mijającą godziną. Robot musiał wykonać jakiś ruch, i wykonał.

Niewielki satelita, zapisany w rejestrach jako przestarzała stacja monitorująca pogodę, znalazł się w odległości trzech tysięcy metrów od małej korwety. Korweta, będąca rządowym statkiem kurierskim, była normalnie pojazdem bezzałogowym, ale w obecnej sytuacji kierujący akcją nie pozostawili żadnego statku bez opieki.

Robot, ciągle przypominający wyglądem doskonałego urzędnika, wynurzył się z włazu satelity, z włazu, którego tam, w ogóle nie powinno być. Satelita ten nie był jednak tylko tym, co jedynie powierzchownie przypominał. O wiele wcześniej został skopiowany i zastąpiony czymś nieskończenie bardziej użytecznym.

Pozornie bez najmniejszego wysiłku robot popędził na spotkanie korwety i przylgął do jej burty. Sięgnął do pasa i wyciągnął stamtąd małą broń, a zwisający z niej przewód przymocował do niewielkiej końcówki ukrytej pod lewym ramieniem. Ostatnie trzy dni spędził na pobieraniu energii za pomocą urządzeń znajdujących się na satelicie i teraz maksymalnie naładowany wyładował część tej energii poprzez trzymaną w dłoni broń. Silny promień wyciął w hurcie korwety otwór wielkości pomarańczy. Miejsce było świetnie wybrane: na statku znajdowało się tylko dwóch strażników, jeden człowiek i jeden robot, i obaj przebywali w pomieszczeniu bezpośrednio sąsiadującym z punktem, w którym promień przebił potrójną, skomplikowaną ściankę statku. Nie wiadomo, czy to dekompresja czy uderzenie promienia zabiło nieszczęsnego strażnika; wiadomo zaś, iż robot unieruchomiony został krótkim spięciem spowodowanym nagłą dyspersją energii wewnątrz pomieszczenia.

Robot nieprzyjacielski wszedł do wnętrza statku poprzez służbę powietrzną, nie napotykając żadnych przeciwników i nie wywołując żadnego dodatkowego alarmu. Olbrzymie przyspieszenie pojazdu od punktu zerowego zabiłoby każdą żyjącą istotę, gdyby taka jeszcze znajdowali się na pokładzie.

## 2

Młody mężczyzna siedział w skupieniu i przesłuchiwał taśmę z nagrany tekst. Był typowym przedstawicielem rodzaju ludzkiego na obecnym etapie rozwoju tego gatunku – etapie doskonałości fizycznej ludzkiego ciała. Z punktu widzenia czasów wcześniejszych mógł być omal supermanem; umożliwiła to inżynieria genetyczna. Ponieważ jednak każdy mężczyzna i każda kobieta stanowili obecnie szczyt perfekcji, pośród ludzkich współtowarzyszy uchodził za człowieka o przeciętnym wyglądzie. Miał około trzydziestu lat, kruczoczarne włosy, brązowe oczy o czerwonawym odcieniu,



zgodny z prawem wzrost 180 centymetrów i równie zgodną z obowiązującą normą wagę 82 kilogramów. W kilku jednak dziedzinach nie był ani przeciętny, ani zwyczajny i dlatego właśnie tu się znalazł.

Przesłuchawszy taśmę, popatrzył ponad ramieniem komandora Kregi na oddalający się statek.

– Naturalnie, mieliście wszystkie statki pod całkowitą kontrolą? – Nie było to jednak pytanie, a jedynie stwierdzenie faktu.

Krega, starsza wersja obowiązującej normy fizycznej, na którego twarzy, a szczególnie w oczach, widoczne było doświadczenie czterdziestu dodatkowych lat służby, skinął głową.

– Oczywiście. Jednak zniszczenie tego czegoś, w takim momencie, kiedy dotarło to już daleko i poczyniło tyle szkód, byłoby czystym marnotrawstwem. Zamiast tego, umieściliśmy całą serię czujników i wykrywaczy na wszystkim, co się poruszało na orbicie i czekaliśmy na niego... na to... jakby tego nie nazwać. Był to w końcu jedynie robot, chociaż zupełnie niezwykły. Musieliśmy się dowiedzieć czyj. A przynajmniej dla kogo pracował. Orientujesz się trochę w balistyce podprzestrzennej?

– Nie najgorzej – przyznał młody mężczyzna.

– Cóż, skoro już mieliśmy ką i prędkość, a cóż to było za przyspieszenie!, wiedzieliśmy, gdzie się musi pojawić. Na szczęście skupione wiązki promieni są szybsze od obiektu materialnego, wobec tego mieliśmy już kogoś na miejscu, kiedy się tam zjawił po kilku minutach czasu subiektywnego. Był na tyle blisko tego miejsca, by zyskać aktualne dane. Nie było to zbyt trudne. Wykonał, co prawda, kilka uników, usiłując nas zgubić, ale bez rezultatu. Dotarliśmy do niego dosłownie kilka chwil po tym, jak rozpoczął przesyłanie informacji, i rozłożyliśmy go na atomy razem ze statkiem, na którym się znajdował. Nie było innego sposobu. Widzieliśmy przecież osobiście, co ten przyjemniaczek był w stanie zrobić.

Młody mężczyzna pokręcił głową.

– A jednak szkoda. Byłoby rzeczą wielce interesującą rozebrać go na czynniki pierwsze. Na pewno była to konstrukcja, o której nic nie wiem.

Komandor przytaknął.

– Nikt z nas jej nie zna. Trzeba przyznać, że to urządzenie byłoby szczytowym osiągnięciem naszej własnej technologii, jeśli nie czymś znacznie więcej. Zmyliło skanery rentgenowskie, skanery siatkówki, czujniki reagujące na ciepło i ruch, i parę innych. Oszukało nawet najbliższych znajomych urzędnika, którego udawało, co już sugerowałyby transfer pamięci i osobowości. Chociaż jego mała baza orbitalna rozleciała się na kawałki po jego odlocie, zostało dość odłamków, by dało się co nieco z tego złożyć. I powiadam ci, to nie jest nasz produkt. Nawet w przybliżeniu. Naturalnie, można wydedukować niektóre funkcje i tym podobne sprawy, ale nawet tam, gdzie sama funkcja jest oczywista, zasada działania jest zupełnie różna od tych, które my stosujemy, jak i różne są użyte materiały. Musimy się pogodzić z nieprzyjemnym niewątpliwie faktem, iż sam robot, a także jego

baza, zostały zbudowane, zaprojektowane i kierowane przez jakieś obce mocarstwo kosmiczne, o którym nie mamy najmniejszego pojęcia.

Młody człowiek wyraził nieznaczne zainteresowanie.

– Jednak teraz już pewnie coś wiecie?

Komandor pokręcił ze smutkiem głową.

– Niestety, nie. Wiemy troszkę więcej niż przedtem, ale jeszcze za mało. Te łotry są niesamowicie inteligentne. O tym jednak za chwilę. Najpierw przyjrzyjmy się temu, co wiemy, lub co możemy wydedukować na temat naszego przeciwnika. – Obrócił fotel i wcisnął klawisz. Ściana zamrugła i zamieniła się w ekran ukazujący olbrzymi zbiór gwiazd, z których tysiące jarzyły się czerwonym blaskiem. – Konfederacja – stwierdził komandor bez oczywistej potrzeby. – Siedem tysięcy sześćset czterdzieści sześć światów, zgodnie z najnowszymi danymi, przeszło jedna trzecia galaktyki. Zupełnie niezłe osiągnięcie jak na rasę pochodzącą z jednej niewielkiej planety, tam na tym ramieniu. Planety ukształtowane na podobieństwo naszej Ziemi, planety, na których ludzie przystosowali się do warunków miejscowych, a nawet planety, na których istnieje sześćdziesiąt różnych inteligentnych form tubylczego życia, wszystko to w jakiś sposób zaadaptowane do naszej kultury i naszego sposobu życia. Żadna z ras tam mieszkających nie była nigdy w stanie rzucić nam wyzwania. Musieli zaakceptować nas i nasz sposób życia albo ginęli, spacyfikowani podobnie jak mieszkańcy naszej własnej planety, kiedyś w przeszłości. My tu przewodzimy.

Młody mężczyzna nie odezwał się. Nie odczuwał takiej potrzeby. Urodzony i wychowany w tej kulturze, przyjmował wszystko, co mówił Krega, jako rzeczy oczywiste, tak jak by przyjął to każdy inny na jego miejscu.

– Cóż, spotkaliśmy wreszcie kogoś na takim samym poziomie technologicznym, a możliwe, że nawet nas przewyższających – ciągnął komandor. – Analiza pozwala wyciągnąć oczywiste wnioski. Po pierwsze, jesteśmy w stanie permanentnej ekspansji. Najwyraźniej istnieje jakaś druga dominująca rasa, która czyni to samo, tyle że rozpoczęła swą ekspansję w innym punkcie galaktyki. Odkryli nas, nim my zdołaliśmy odkryć ich – pech. Po drugie, ostateczne starcie jest nieuniknione. Zaczynamy bowiem rywalizować o tę samą przestrzeń. Po trzecie, są prawdopodobnie mniejsi od nas, jest ich mniej liczbowo, by tak rzec, ale posiadają nad nami niewielką przewagę technologiczną. Zakładają możliwość wojny, lecz nie mają pewności zwycięstwa. Gdyby ją, posiadali, już by nas zaatakowali. Oznacza to, iż potrzebna jest im informacja, jak wygląda nasza organizacja militarna, jak mamy zorganizowaną obronę i jak może ona być użyta, a przede wszystkim jak myślimy. Całkowite zrozumienie nas i naszego sposobu myślenia, w sytuacji kiedy my nic o nich nie wiemy, dałoby ich machinie Wojennej olbrzymią przewagę, nawet przy założeniu równości sił. Po czwarte, interesują się nami już od jakiegoś czasu, co oznacza, iż uderzenie nie nastąpi zbyt szybko, być może dopiero za kilka lat. Znaleźliśmy nas prawdopodobnie zupełnie przypadkowo, jakiś zwiadowca poleciał za daleko, zgubił się, lub po prostu był zbyt ambitny. Są jednak tutaj wystarczająco długo, skoro nauczyli się konstruować roboty przypominające wyglądem i zachowaniem człowieka, skoro umieścili na orbicie stacje szpiegowskie wokół Dowództwa Systemów Militarnych i skoro udało im się znaleźć wśród nas zdrajców.

Tym razem młody mężczyzna okazał większe zainteresowanie.

– Aha – wyszeptał.

– No właśnie – mruknął komandor. – Ostatni wniosek mówi, iż są oni na tyle obcy fizycznie i tak od nas się różnią, że nie mogliby przebywać wśród nas nie zauważeni, nawet w przebraniu. Stąd to roboty udające ludzi – a kto wie ile ich jest? Zaczynam już nawet podejrzewać własnych współpracowników. I oczywiście zdrajcy. Ci ostatni, naturalnie, wchodzą w zakres działania tego biura.

W minionych czasach nazywano by zapewne Biuro Bezpieczeństwa tajną policją, którą zresztą bez wątplenia było. W przeciwieństwie jednak do wcześniejszych modeli, nie zajmowało się ono sprawami obywateli w tym oczywistym, specyficznym sensie. Jego mandat był o wiele szerszy, mniej jednoznaczny.

Ludzkość doprowadziła do perfekcji formułę postępowania już dawno temu. Nie była ona wolna ani w sensie libertariańskim, ani w sensie osobistym, ale była skuteczna i sprawdziła się, i to nie dla jednego świata, ale dla każdego ze światów rozrzuconych W tym gwiazdnym Imperium, tak wielkim, iż jedynie totalna kontrola kulturowa była w stanie utrzymać je w całości – wszędzie taki sam system, te same idee i ideały, te same wartości, ten sam sposób myślenia. System elastyczny, dający się adaptować do różnych warunków, a przy zastosowaniu pewnych brutalnych poprawek, dający się bezlitośnie zastosować wobec innych kultur i fonu życia. Formuła postępowania była wszechogarniająca, była siłą niwelującą wszelkie różnice, a zarazem zostawiającą pewną swobodę związaną z konkretnymi warunkami i zezwalającą na pewien ruch między warstwami i grupami społecznymi, przy wykorzystaniu talentu i zdolności jednostek.

Zdawały się naturalnie społeczności, które nie mogły lub nie chciały się dostosować. W niektórych przypadkach mogły one być „redukowane” za pomocą szczególnie wyrafinowanej techniki, ale zdarzały się też przypadki, kiedy było to zupełnie niemożliwe. Te społeczności, wobec których nie można było zastosować obowiązującej formuły z powodu ich inności i obcości, były bezlitośnie i brutalnie eksterminowane. Produktem każdego systemu są także jednostki, które podważają obowiązujące w nim zasady, a robią to chętnie i umiejętnie. Ludzie tacy są wielce niebezpieczni i muszą być ujęci i poddani reedukacji lub zlikwidowani na miejscu.

– Kiedyś władze były jednak bardziej pobłażliwe w stosunku do nie przystosowanych – powiedział komandor Krega. – Daleko im bowiem było do osiągnięcia tej absolutnej doskonałości systemu, jaką mamy dzisiaj. Dlatego też stosowaną karą, jak wiesz, była dożywotnia zsyłka na Romb Wardena. Ciągłe zresztą zdarza nam się zsyłać tam pojedyncze osoby – głównie te, których szczególne talenty lub umiejętności mogą nam być przydatne lub te, które wydają się potencjalnymi geniuszami nauki. Polityka taka niewątpliwie nam się opłacała, choć obecnie wysyłamy tam jedynie około stu osób rocznie.

Młody mężczyzna poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. – A więc to tam ta twoja obca rasa znalazła pomocników. To tam uciekał przed nami ten robot – na Romb Wardena.

– Trafieś w sedno – przyznał Krega.

W galaktyce, której system opierał się na doskonałym porządku, jednorodności poglądów, harmonii i mocnej wierze w prawa naturalne, Romb Warden stanowił coś na podobieństwo domu wariatów. Wydawał się on istnieć na zasadzie naturalnego kontrpunktu w stosunku do wszystkiego wokół, był przeciwieństwem tego wszystkiego, czym była Konfederacja, a nawet przeciwieństwem tego, w co wierzyła.

Halden Warden, zwiadowca Konfederacji, odkrył ten system planetarny przed blisko dwustu laty, kiedy jeszcze znajdował się on daleko poza granicami administracyjnymi Konfederacji. Warden był chodzącą legendą wśród zwiadowców, człowiekiem, dla którego w cywilizowanym świecie nie istniało nic pociągającego, włączając w to innych ludzi. W normalnej sytuacji taka antyspołeczna postawa spotkałaby się z natychmiastową i ostrą reakcją władz, ale w owym czasie panowała moda na psychologię poświęconą odkrywaniu i rozwijaniu tych cech antyspołecznych, które mogą przynieść jakieś korzyści całemu społeczeństwu. Było bowiem faktem, iż jedynie ludzie pokroju Wardena byli w stanie znieść samotność, lata bez towarzystwa drugiej osoby, fizyczne i psychiczne trudy dalekiego zwiadu. Nikt o zdrowych zmysłach, mierząc je standardami Konfederacji, nie podjąłby się podobnego zadania.

Warden był gorszy niż większość. Spędzał tak mało czasu, jak to tylko było możliwe „na łonie cywilizacji”, często tylko tyle, ile zajmowało tankowanie paliwa i ładowanie świeżej żywności. Latał dalej, dłużej i częściej od jakiegokolwiek innego zwiadowcy, a jego odkrycia zdumiewały samą ich liczbą.

Na nieszczęście dla jego szefów z Konfederacji, Warden uważał, iż jego jedynym zadaniem jest odkrywanie nowych światów i nic poza tym. Resztę, włącznie z badaniami wstępnymi i sprawozdaniami, pozostawiał tym, którzy lecieli za nim po otrzymaniu współrzędnych drogą radiową. Zdarzało mu się przeprowadzać jakieś wstępne rozpoznania, ale utrzymywał jedynie sporadyczną łączność z Konfederacją i doprowadzał do szału przełożonych swoim sposobem przesyłania informacji.

Dlatego też, kiedy nadszedł sygnał „4AP” nastąpiło wielkie poruszenie i wszystkich ogarnęło podniecenie – cztery planety klasy A, nadające się do natychmiastowej kolonizacji, w jednym systemie! Było to wręcz niesłychane, nie mieszczące się w żadnej skali prawdopodobieństwa statystycznego, szczególnie jeśli się weźmie pod uwagę fakt, iż tylko jeden na cztery tysiące układów słonecznych zawierał coś, co w ogóle mogło nadawać się do jakiegokolwiek użytku. Czekano więc z niecierpliwością na imiona nadane nowo odkrytym planetom przez znanego z lakoniczności zwiadowcę i na ich wstępny opis, czekano niecierpliwie nie tylko z powodu wagi samego odkrycia, ale również z powodu niepewności co do ilości informacji, jaką Szalony Warden zechce przekazać i możliwości jej odcyfrowania.

A potem nadeszły szczegóły potwierdzające ich najgorsze obawy. Przyznać jednak trzeba, że podał kolejność planet zgodnie z obowiązującą formułą, od najbliższej ich słońcu do tej najbardziej od niego oddalonej.

– Charon – przekazywał w swoim pierwszym raporcie. – Ma wygląd piekła.

– Lilith – kontynuował. – Wszystko, co piękne, musi mieć gdzieś ukrytego węża.

– Cerber – tak nazwał trzecią planetę. – Wygląda jak prawdziwy pies.

I na koniec – Meduza: Ten, kto tu mieszka, musi mieć chyba kiełbie we łbie.

Po czym podał współrzędne i kod świadczący o tym, iż dokonał pewnych badań, tyle że pośrednio – to znaczy, nie wylądował na powierzchni, do czego nie był zresztą zobowiązany – i wreszcie kod „ZZ”, kod, który poważnie zaniepokoił Konfederację. Oznaczał on bowiem, iż jest coś wielce dziwnego w tym miejscu i należy je traktować z maksymalną ostrożnością.

Przeklinając Szalonego Wardena za brak bardziej szczegółowych informacji, wysłali standardową ekspedycję o maksymalnym stopniu zabezpieczenia – ekspedycję złożoną z dwustu najlepszych, najbardziej doświadczonych członków Grup Eksploracyjnych, wspomaganą przez cztery ciężkie krążowniki uzbrojone po zęby.

Problem z raportami Wardena polegał na tym, iż prawie zawsze opisywały sytuację poprawnie, tyle że nie wiadomo było, o co w nich chodzi, dopóki nie dotarło się na miejsce. Wynurzając się z hiperprzestrzeni, członkowie ekspedycji ujrzeli dziwny widok – gorącą gwiazdę typu F z olbrzymim systemem planetarnym, zawierającym otoczone pierścieniami gazowe olbrzymy, wielkie asteroidy i liczne planety zbudowane z materiałów stałych. W samym środku, blisko słońca, znajdowały się cztery światy, bogate w tlen, azot i wodę, cztery klejnoty, które aż krzyczały: „życie”. I chociaż planety te krążyły na różnych orbitach – najbliższa w odległości 158 milionów kilometrów od ich słońca, a najdalsza 308 milionów kilometrów – to w momencie, kiedy członkowie ekspedycji ujrzeli je po raz pierwszy, tworzyły rzadko spotykaną konfigurację. Przez krótki okres cała czwórka znajdowała się pod kątem prostym jedna względem drugiej. Chociaż, był to jedynie szczęśliwy zbieg okoliczności, nigdy już później nie obserwowany, owe cztery planety nazwano Rombem Wardena. Zyskały one także potoczną nazwę: Diamenty Wardena. Bo były to rzeczywiście diamenty, niezależnie od ich przypadkowego układu w momencie odkrycia – iskrzące klejnoty, pełne potencjalnych skarbów.

A przecież, nawet ci z najbardziej materialistycznym poglądem na świat, uznali taką konfigurację za jakiś omen, w czym nie różnili się zapewne od samego Wardena. Podobnie jak Warden, nie wylądowali bezpośrednio po przylocie. Węszyli, sondowali i analizowali, lecz nie znaleźli niczego podejrzanego. Nie było tam żadnych dowodów działalności jakichś sił nadprzyrodzonych, mimo statystycznego nieprawdopodobieństwa istnienia takich czterech światów obok siebie. Śmiali się więc sami z siebie, wyśmiewając własną głupotę, przesady i przyływ prymitywnych lęków, do których, jak sądzili, nie są już zdolni, i odprężyli się nieco. Niektórzy z nich podejrzewali, że Romb Wardena jest rezultatem działalności jakiejś minionej cywilizacji, czyniącej planety nadającymi się do zamieszkania lecz jeśli nawet tak było, ślady takiej działalności nie były widoczne.

Łądowali z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Charon był gorący i parny, jak przystało planecie najbliższej słońcu z całej czwórki. Padało tani prawie nieustannie, a małe, obrzydliwe gady, przypominające wyglądem dinozaury, wyglądały groźnie, nawet niebezpiecznie, ale nie mogły stanowić większego problemu dla człowieka i jego technologii. Możliwe, iż morza

pokrywające większość powierzchni planety kryły coś bardziej niebezpiecznego, jednak stwierdzenie tego wymagałoby założenia stałej bazy. Tymczasem zbadano, że ten zarośnięty dżunglą świat ma temperaturę od 28 do 60°C, a nachylenie jego osi wynosi około 6 stopni. Rozmieszczenie lądów na powierzchni czyniło go nadającym się do zamieszkania, choć niezbyt wygodnym. Charon rzeczywiście przypominał wyglądem piekło.

Następni była Lilith, świat prawie podręcznikowo doskonały. Odrobinę mniejszy od Charona, pokryty był w około 70 procentach wodą, lecz jego klimat był o wiele bardziej umiarkowany, a krajobraz znacznie łagodniejszy. Wokół niewysokich gór rozciągały się wielkie równiny i bagna. Różnorodność form geologicznych była imponująca, gwałtowne i niebezpieczne zjawiska przyrody praktycznie nieobecne, a nachylenie osi wynoszące 84 stopnie – robiące wrażenie, iż cały świat leży na boku – świadczyło o minimalnych różnicach między porami roku. Było tam bardzo gorąco – temperatura przekraczała często 40°C natomiast 20 do 25°C oznaczało chłód.

Przypominające ziemską dżunglę lasy odznaczały się soczystą zielenią i chociaż same drzewa były zupełnie nieznane, lasy owe nie były aż tak obce, skoro rodziły olbrzymie ilości owoców i innych produktów, które okazały się jadalnymi dla człowieka. Dominującą formą życia zwierzęcego były wyłącznie insekty, od ogromnych potworów do drobniutkich stworzonek, mniejszych od łebka od szpilki. Był to więc taki rodzaj świata, jaki fachowcy Konfederacji od przystosowywania planet stawiali sobie jako ideał do osiągnięcia i którego nigdy metodami sztucznymi nie udało im się osiągnąć; a teraz oto mieli go tutaj, świat powstały w sposób naturalny, piękny jak Eden raj planety Lilith. I ani śladu węża – na razie.

Cerber był bardziej surowy. Dwudziestopięciostopniowe nachylenie osi powodowało ekstremalne zmiany pór roku i pozwalało na istnienie zarówno zamrzniętych czap polarnych, jak i występowanie temperatury 40°C na równiku. Najdziwniejsze jednak były masy lądowe, które wydawały się pokryte ogromnymi, wielokolorowymi lasami. Dopiero lądowanie pozwoliło odkryć, iż na Cerberze w ogóle nie ma stałych lądów, a prawie cała jego powierzchnia pokryta jest olbrzymimi roślinami, wyrastającymi z dna oceanu, czasami z głębokości wielu kilometrów i rosnącymi tak gęsto, iż one same tworzą praktyczne coś na kształt lądu stałego. Na tych wsiąkniętych wodą, lasach, rosły z kolei inne rośliny, tworząc jedyny w swoim rodzaju ekosystem botaniczny. Zaobserwowane zwierzęta przypominały ptaki, chociaż zauważono także pewną liczbę insektów, ale w sumie zwierząt było niewiele – chyba że zamieszkiwały one wszechobecny ocean. Rośliny tego wodnego świata były tak gęste i ogromne, że nadawał on się do zamieszkania przez człowieka, który zapewne byłby nawet w stanie budować miasta na jego drzewach. Osiedlenie się i kolonizacja byłaby jednak wielce ryzykowna, bowiem poza drewnem nie widać było żadnych innych bogactw naturalnych, a sprowadzanie wszystkiego, co niezbędne do cywilizowanego życia, byłoby zbyt kosztowne. Planeta nadawała się do zamieszkania, niewątpliwie, ale z punktu widzenia współczesnego człowieka byłoby to rzeczywiście pieskie warunki.

Ostatnią i najmniej przyjemną była Meduza, planeta zamrzniętych mórz, oślepiających śnieżyc i poszarpanych, ostrych, wysokich szczytów. Dziewiętnastostopniowe nachylenie osi pozwalało na występowanie pór roku, ale temperatura w pobliżu równika nie przekraczała 20°C, a wraz z oddalaniem się od niego spadała aż do niemożliwie wręcz mroźnej w okolicach biegunów. Choć skuta ludowcami, była jedynym spośród światów Wardena z widocznymi oznakami działalności

wulkanicznej. Było tam trochę lasów, ale przeważała tundra i stepy, na których zaobserwowano stada roślinożernych zwierząt, prawdopodobnie ssaków, i pojedyncze sztuki groźnych, dzikich drapieżców. Był to więc surowy i bezlitosny świat, który dałby się przecież okiełznać; Grupa Eksploracyjna jednak musiała się zgodzić z Wardenem – trzeba by mieć kielbie we łbie, by zechcieć tam się osiedlić na stałe.

Cztery światy, od parującego piekła do lodowatej tundry. Cztery światy, których ekstremalna temperatura była do zniesienia, a których powietrze i woda nadawały się do użytku. Było to wręcz niewiarygodne, fantastyczne – a przecież prawdziwe. Tak więc Grupa Eksploracyjna wylądowała i założyła swe bazę główną na brzegu tropikalnej laguny jakby żywcem zdjętej z romantycznego plakatu reklamowego jakiegoś biura podróży – naturalnie, na Lilith. Mniejsze ekspedycje udały się stamtąd na trzy pozostałe planety, by przeprowadzić badania wstępne, by powęszyć, postukać i posondować.

Warden miał rację, jeśli chodzi o te trzy planety, natomiast jego podejrzenia dotyczące Lilith były naturalnymi podejrzeniami kogoś, dla kogo coś jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. A może był to jakiś szósty zmysł, który wyrobił sobie przez te lata samotności, lata obwąchiwania i sondowania nowych i obcych systemów planetarnych. Być może był to...

Po wylądowaniu Grupy Eksploracyjnej zostały poddane przez Konfederację faktycznej kwarantannie. Wstępne badania miały trwać co najmniej rok; w którym to czasie członkowie grup byłiby zarówno badaczami, jak i królikami doświadczalnymi, obstukującymi i sondującymi się wzajemnie, tak jak obstukiwali i sondowali każdą z planet. Dysponowali promem, zdalnym do podróży pomiędzy planetami, a także pojazdami do poruszania się w atmosferze i na powierzchni planet, ale nie udostępniono im statków kosmicznych do podróży międzygwiazdowej. Byłoby to zbyt ryzykowne. Człowiek sparzył się już zbyt wiele razy, by takie ryzyko podjąć.

Dokonanie oceny możliwości przybyszów zajęło wężowi Lilith jedynie sześć miesięcy.

W momencie, w którym wszystkie maszyny przestały funkcjonować, było już za późno. Najpierw obserwowali wypływ mocy z maszyn i urządzeń, jak gdyby wypijała ją jakieś spragnione i zachłanne dziecko. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin cała ich maszyneria, wszystkie urządzenia – prawdę mówiąc wszystkie artefakty – zamieniły się w kupę złomu. W rezultacie tego zginęły cztery osoby, a pozostałe patrzyły z bezsilnym przerażeniem, jak ich ciała ulegają gwałtownemu rozkładowi.

Po tygodniu nie było najmniejszego śladu po tym, iż na tej planecie wylądował ktoś obcy. Miejsca oczyszczone z roślinności zarastały w ciągu jednej nocy; metal, plastik, związki organiczne i nieorganiczne – wszystko to gniło, rozkładało się i zamieniało w drobny proszek, wchłaniany na koniec przez żyzną glebę. Nie zostało nic – nic poza sześćdziesięcioma dwoma wstrząśniętymi, zaskoczonymi, nagimi badaczami, którzy byli zbyt ogłupiali i przerażeni, by bez pomocy jakichkolwiek instrumentów naukowych próbować wyjaśnić co takiego, u diabła, im się przydarzyło.

Tydzień wcześniej przywrócono ponownie bezpośredni kontakt pomiędzy grupami z tych

czterech planet. Przedstawiciele zespołów badawczych z trzech pozostałych planet przybyli na Lilith, by podzielić się odkryciami i ustalić program dalszych badań. Przylecieli, porozmawiali, podyskutowali, przeprowadzili wstępne analizy, wysłali raporty na znajdujący się w pobliżu krążownik wartowniczy i wrócili na swoje planety, nieświadomie zabierając ze sobą węża.

Sekcja badawcza na krążowniku natychmiast zajęła się powstałym problemem. Za pomocą zdalnie sterowanych laboratoriów analitycznych odkryli w końcu tę jedyną rzecz, które umknęła wszystkim, Z Wyjątkiem Wardena i jego szóstego zmysłu. Wąż okazał się obcym organizmem, o rozmiarach niewiarygodnie mikroskopijnych, tworzącym całe kolonie wewnątrz pojedynczych komórek. Nie był inteligentny w sensie ludzkim, bowiem nie dysponował tym, co człowiek mógłby określić jako proces myślenia, ale posiadał zbiór reguł, które narzucał całej planecie, a także niesamowitą umiejętność przystosowywania się do nowych warunków i podporządkowywania ich sobie. Choć jego długość życia wynosiła zaledwie trzy do pięciu minut, działał on jednak z szybkością setki, o ile nie tysiące, razy przewyższającą szybkość działania tego, co go otaczało. Na Lilith przystosowanie się organizmu do nowych obiektów, wprowadzonych z zewnątrz, zabrało mu sześć miesięcy, ale w końcu ewoluował na tyle, iż sam zaadaptował obcych do własnego, wygodnego, symbiotycznego systemu.

Pozostałe planety były jednak inne – posiadały inną równowagę atmosferyczną, inną grawitację i inne natężenie promieniowania. Nie mógł więc zaadaptować tych obcych środowisk do własnego systemu, wobec tego przystosował się do nich. W przypadku Meduzy, na przykład, dość szybko udało mu się dostosować do siebie organizmy gospodarzy – ludzi, zwierząt i roślin. Na Charonie i Cerberze wytworzył w organizmach nosicieli taki stan równowagi, który mu najbardziej odpowiadał; produktem ubocznym były zmiany fizyczne, związane z miejscami, w których czuł się najlepiej.

Tak tedy Romb Wardena poddarty był kwarantannie, a naukowcy poszukiwali jakiegoś lekarstwa na powstałą, sytuację. Umieszczenie pechowych ofiar w komorze izolacyjnej nie przynosiło pożądanego rezultatu: istniało coś co łączyło te organizmy z Rombem, i kiedy je stamtąd usuwano, ginęły, zabijając w ten sposób swojego nosiciela, bowiem zagnieżdżając się w jego komórkach, przejmowały nad nimi kontrolę, dostosowując wszystko do swoich potrzeb. Bez tej kontroli następował błyskawiczny rozpad funkcji komórek, powodujący gwałtowną, i bolesną, choć na szczęście szybką, śmierć.

Co zaskakujące, uwięzieni na tych czterech planetach byli w stanie podróżować wewnątrz tego systemu, bowiem mikroorganizm w ich ciałach zmutował się na tyle, iż nie rozpoznawał już Lilith jako swej ojczystej planety, a znalazłszy się w stanie homeostazy, nie widział powodów do dalszych zmian.

Człowiek mógł więc żyć, pracować i budować na Rombie Wardena, ale kiedy już tam się znalazł, nie było dla niego żadnej drogi odwrotu.

Naturalnie, nie powstrzymywało to naukowców, którzy przybywali i zakładali kolonie, choć na samej Lilith było to bardzo trudne, skoro zmuszeni byli korzystać wyłącznie z materiałów miejscowych. Przybywali tam jednak przygotowani, przybywali przeprowadzać badania i odkrywać tajemnice Rombu Wardena. Po dwóch wiekach ich potomkowie ciągle zajmowali się tym samym, wspomagani – od czasu do czasu przez świeżych przybyszów, ale postępy badali były znikome.



Dopinguowało ich to jedynie do dalszej wyczerpanej pracy.

W końcu to jednak nie uczeni badacze zasiedlili Diamenty Wardena, lecz tak zwane elementy społeczne. Dość wcześnie bowiem, kiedy uświadomiono sobie ogrom problemu, wystąpiono z pomysłem, iż te cztery światy są więzieniem najdoskonalszym z, doskonałych.

Wysyłano tam przeto nie dostosowanych całymi setkami wszystkich, którym koneksje pozwalały uniknąć fachowców od „reedukacji”, tych których geniusz lub szczególny talent uległby zniszczeniu w czasie owej reedukacji, więźniów politycznych z niezliczonych światów. Wysyłano ich wszystkich, zamiast zabijać czy zmieniać im psychikę, w nadziei iż jakiś przyszły rywal, który odniesie wreszcie sukces, będzie pamiętał, że go nie zabito ani nie odmóżdżono, a jedynie zesłano. Płeć była nieważna. Był to najlepszy element społeczny, polityczno – kryminalna elita. Żyli więc tam, płodzili dzieci i umierali, a ich dzieci żyły po nich, rodziły własne dzieci, i tak dalej.

Tak tedy wyglądały te światy, zdominowane praktycznie przez elitę kryminalistów uwięzionych na zawsze, bez sympatii lub choćby poczucia wspólnoty z obywatelami Konfederacji. Utrzymywali jednakże z nimi stosunki handlowe. Mikroorganizm bowiem mógł być zabity, a statki bezzałogowe wysterylizowane. I stąd inni geniusze kryminalni, ci, których jeszcze nie schwytano, lub ci, którzy sami byli u władzy, przechowywali skrzynie pieniędzy, klejnotów, wspaniałe dzieła sztuki i inne kradzione dobra na światach Wardena, bez najmniejszego lęku, iż Konfederacja położy na nich swą ciężką łapę.

W tym samym czasie najsilniejsi, najinteligentniejsi, najbardziej bezwzględni spośród zesłańców wdarli się na szczyty hierarchii tych dziwnych światów, aż objęli kontrolę i nad nimi, i nad całym handlem. Lilith, na której nie można było magazynować nic materialnego, była doskonałym miejscem na magazynowanie informacji, takiej jak numery kont bankowych, czy oficjalne tajemnice, o których nawet Konfederacja nie powinna nic wiedzieć – jednym słowem, takiej informacji jakiej nie powierza się komputerowi, ponieważ żaden komputer nie oprze się geniuszowi informatyki. I to niezależnie od systemu zabezpieczenia, ponieważ każdy system został przez kogoś zaprojektowany, wobec czego ktoś drugi ma szansę go złamać.

Tak tedy ci wielcy królowie przestępców – Czterej Władcy Rombu, obcy już rasie, z której się wywodzili, genialni, ale zgorzkniali banicy, mieli i tajemnice, i skradzione dobra, a tyłu samym możliwość szantażowania Konfederacji i wpływania na bieg wydarzeń w jej strukturach, choć sami nie mogli już nigdy zobaczyć jej światów.

– Jednym słowem, Czterej Władcy sprzedają nas obcym – westchnął młody Mężczyzna. – Czy nie byłoby najprostszym rozwiązaniem zniszczenie tych czterech planet? Przy okazji pozbylibyśmy się innych kłopotów.

– Bez wątplenia – zgodził się komandor Krega. – Tyle, że nie możemy tego zrobić. Zbyt długo zostawialiśmy im wolną rękę – są, politycznie rzecz biorąc, nie do ugryzienia. Jest tam za dużo bogactwa, za dużo władzy i zbyt wiele tajemnic. Po prostu, nie ma sposobu na dobranie się im do skóry. Mają haka praktycznie na każdego, kto jest na wystarczająco wysokim stanowisku, by decydować o tych sprawach.

Młody mężczyzna chrząknął znacząco.

– Rozumiem – powiedział z pewnym obrzydzeniem. Dlaczego wobec tego nie umieścimy tam agentów i nie dowiemy się, o co naprawdę w tym wszystkim chodzi?

– Och, próbowano tego od samego początku – poinformował go Krega. – Nie przyniosło to podanych rezultatów. Zważ bowiem: proponujemy komuś, by zgodził się na dożywotnie zesłanie i by zmienił się, również dożywotnio, w kogoś, kto nie jest tak całkiem człowiekiem. Jedynie fanatyk zgodziłby się na taką propozycję, a fanatycy to na ogół bardzo kiepscy szpiedzy. Czterej Władcy nie są bynajmniej łatwym celem. Sprawdzają dokładnie każdego nowo przybyłego, a ich ludzie tutaj przekażą im każdą informację, jakiej zażądatają na temat tychże nowo przybyłych. Może i udałoby się nam przesznułować jednego agenta, jednego naprawdę dobrego agenta, ale iluś? Nigdy w życiu. Szybko by się zorientowali i wybili wszystkich jak leci, winnych i niewinnych. Znają również niezłe psychologię człowieka – agent więc musiałby być cholernie dobrym agentem, by ująć z życiem. A jeśli jest taki dobry, to zorientuje się natychmiast, że jest w pułapce, której nigdy już nie opuści. Niełatwo o lojalnych, ale nawet najbardziej lojalny i zaangażowany w zadanie agent ma dość rozumu, by zobaczyć, co jest istotne dla jego przyszłego dobrobytu. I przechodzi na drugą stronę. Jeden z obecnych Władców to w rzeczywistości agent Konfederacji.

– Hm. Naprawdę?

Krega skinął głową.

– W każdym razie, był nim. Najlepszy fachowiec w tym interesie, znał wszystkie triki, a Romb nie tyle go przeraził co fascynował. Twierdził, że Konfederacja go nudzi. Wysłaliśmy go na Lilith, by spróbował się jakoś wspiąć po szczeblach tamtejszej hierarchii i trzeba przyznać, że mu się to udało. Aż za dobrze. Tyle, iż przez cały czas nie dostarczał nam żadnych informacji, podczas gdy my nie żalowaliśmy mu najistotniejszych. A obecnie jest jednym z naszym wrogów. Teraz rozumiesz?

– Macie ciężki orzech do zgryzienia – powiedział młody mężczyzna ze zrozumieniem. – Nie macie na planetach Wardena ludzi, na których moglibyście polegać, a jeśli znajdziecie tutaj kogoś, kto jest w stanie zrobić to, co należy, natychmiast ląduje po tamtej stronie. A na dodatek teraz sprzedają nas jakimś obcym siłom.

– Właśnie – Krega skinął głową. – Widzisz w jakiej to nas stawia sytuacji. Naturalnie, mamy tam ludzi. Żaden nie jest godzien stuprocentowego zaufania, a każdy poderżnąłby ci gardło, gdyby uważał, iż jest to w jego interesie. Mamy jednak pewne przekonywujące argumenty – zapłata w tej czy innej formie, mały szantażyk wobec tych, którzy mają bliskich krewnych w Konfederacji – które dają nam jakieś możliwości działania. Niestety niewielkie, bowiem Czterej Władcy są całkowicie bezwzględni, jeśli chodzi o to, co oni uważają za zdradę. Naszym jedynym atutem i szansą jest fakt, iż światy te, jako stosunkowo niedawno odkryte, są jeszcze rzadko zaludnione. Na żadnym z nich nie istnieje totalitarna kontrola wszystkich i wszystkiego i każdy z nich posiada inny system i hierarchię władzy.

Młody mężczyzna pokiwał głową.

– Mam dziwnie nieprzyjemne uczucie, że do czegoś zmierzasz i chcę ci przypomnieć to, co mi powiedziałaś o agentach z przeszłości, a także fakt, iż jeśli nawet będę wrzeszczał i kopał, to i tak nie przestanę być jednym, jedynym agentem na całej dużej planecie.

Komandor Krega uśmiechnął się.

– To nie całkiem jest tak, jak mówisz. Jesteś cholernie dobrym detektywem i wiesz o tym. Zdarzało ci się wysledzić i dopaść faceta w miejscu, w którym nikt inny by go w ogóle nie szukał, przechytrzyłeś i wyprowadziłeś w pole najbardziej wyrafinowane komputery i najbystrzejszych przestępców, mimo niewątpliwie bardzo młodego wieku. Jesteś najmłodszym Oficerem w randze Inspektora w całej historii Konfederacji. Mamy tutaj przed sobą dwa oddzielne problemy. Pierwszy, to ustalenie tożsamości i miejsca pochodzenia tej obcej rasy. Musimy odkryć kim są, gdzie się znajdują i jakie mają zamiary. Możliwe, iż już jest na to wszystko za późno, ale musimy spróbować. Drugi, to neutralizacja ich kanału informacyjnego, to znaczy, neutralizacja Czterech Władców. Jakbyś się do tego zabrał?

Młody mężczyzna uśmiechnął się.

– Zapłaciłbym Czterem Władcom więcej niż obcy. Niech pracują dla nas – zasugerował.

– To niemożliwe. Braliśmy to już pod uwagę – odpowiedział komandor ponuro. – Nie chodzi tutaj o materialne korzyści. Mają i tak więcej, niż potrzebują. I nie chodzi o władzę; tej też mają w nadmiarze. Problem polega na tym, iż odcięliśmy ich na zawsze od reszty wszechświata, zamknęliśmy ich w pułapce. Przedtem nie byli w stanie zmienić tego stanu rzeczy, ale teraz, z obcymi jako ich sojusznikami, będą mogli to uczynić. Obawiam się, iż motywem działania ludzi tego pokroju jest Zemsta, a tej my im nic jesteśmy w stanie zapewnić. Nie możemy nawet zmienić czy unieważnić ich wyroków, chyba że nastąpi jakieś nieoczekiwane, fantastyczne odkrycie naukowe, a przecież nikt nie poświęca temu zagadnieniu tyle czasu i energii, co oni sami. Nie, zawarcie jakiegoś układu nie wchodzi w grę. Po prostu nie mamy żadnych kart.

– To znaczy, że musicie wysłać kogoś na każdą z tych planet, by poszukał informacji dotyczącej obcych. Przecież muszą się kontaktować z nimi bezpośrednio, muszą przekazywać informację i wysłać swoje zabaweczki, takie jak ten fantazyjny robot. Agent może, co prawda zdradzić, ale jeśli będzie ochotnikiem, nie będzie nim kierować chęć zemsty i będzie czuł się bliższy ludziom, a nie jakiejś obcej rasie o nieznanym wyglądzie i strukturze.

– To prawda. Musi być także najlepszym z najlepszych. Kimś, kto nie tylko przeżyje, ale i dostosuje się świetnie do miejscowych warunków, potrafi zebrać dane i przesłać je na zewnątrz. Jak jednak zyskać na czasie, którego tak nam brakuje.

Młody człowiek ponownie się uśmiechnął.

– To łatwe. Przynajmniej łatwo to sformułować, bo samo wykonanie może być prawie że niemożliwe. Należy zabić wszystkich Czterech Władców. Inni, naturalnie, Zajmą ich miejsce, ale tymczasem można zyskać kilka miesięcy, jeśli nie lat.

– Rozumowaliśmy podobnie – przyznał Krega. – I tak też zaprogramowaliśmy komputery. Mistrz wśród detektywów, lojalny, zgłaszający się na ochotnika i posiadający Licencję Skrytobójcy. Potrzeba nam takich czterech i koordynatora, bowiem robota musi być wykonana równocześnie, a nie będzie ani powodu do kontaktu między nimi, ani zresztą takiej możliwości. I dodatkowo, jako zabezpieczenie, potrzebni są ewentualni zmiennicy, gdyby się coś przydarzyło oryginałom. Takie właśnie cechy i wymagania podaliśmy komputerowi i... wypłuł nam ciebie.

Młody człowiek roześmiał się bez odrobiny wesołości.

– Nie wątpię. Mnie i kogo jeszcze?

– Nikogo więcej. Tylko ciebie.

Po raz pierwszy od początku tej rozmowy młody człowiek wyglądał na zdziwionego.

– Tylko umie?

– Och, mnóstwo innych, ale nie tak godnych zaufania z różnych powodów, słabszych pod jakimś względem, lub, mówiąc szczerze, zajętych w tej chwili bardzo ważnymi sprawami na drugim końcu Konfederacji.

– Wobec tego macie przed sobą dwa problemy – powiedział młody mężczyzna. – Po pierwsze, musicie wymyślić jak, do diabła, zmusić mnie, żebym się podjął takiego zadania na ochotnika i po drugie, w jaki sposób uzyskacie... – Przerwał i wyprostował się. – Chyba rozumiem.

– Tak też sądziłem. – Głos Kregi zdradzał zadowolenie i pewność siebie. – Jest to prawdopodobnie najpilniej strzeżona tajemnica w całej Konfederacji, ale proces Mertona ukazał się skuteczny. Prawie w stu procentach.

Jego towarzysz skinął w roztargnieniu głową, zajęty własnymi myślami. Zanim awansowano go na inspektora rok wcześniej, zabrano go do jakiegoś wielce skomplikowanego i tajemniczego laboratorium, gdzie został wprowadzony go w dziwny stan hipnotyczny. Do końca nie był pewien, co też właściwie z nim zrobiono, ale ponieważ przez następne trzy dni cierpiał na ból głowy, pobudziło to jego ciekawość. Proces Mertona. Klucz do nieśmiertelności, jak twierdzili poniektórzy. Zajęło im to mnóstwo czasu, żeby choć trochę zbliżyć się do wyjaśnienia tajemnicy i jedyne, co udało mu się w końcu ustalić, to fakt, iż Konfederacja pracuje nad procesem, podczas którego cała pamięć, cała osobowość pojedynczego osobnika, może zostać zapisana, w jakiś sposób zmagazynowana, po czym odcisnięta w innym mózgu, być może nawet mózgu będącym wynikiem klonowania. Dowiedział się również, że za każdym razem kiedy przeprowadzano taki eksperyment, nowa osoba albo popadała w szaleństwo, albo umierała. Powiedział o tym teraz.

– Rzeczywiście tak się zdawało – przyznał Krega – ale to już przeszłość. Mózgi uzyskane w rezultacie klonowania nie były w stanie tego wytrzymać. Hodowane w zbiornikach rozwijały, charakterystyczne tylko dla nich, układy zawiadujące funkcjami autonomicznymi i układy te ulegały rozchwianiu podczas transferu. Mimo to byliśmy jednak w stanie usunąć całą odpowiedzialną ze świadomości część mózgu jakiejś osoby i wstawić ją, tak jak była przedtem umiejscowiona, z

powrotem do oryginalnego ciała, przechowując jednocześnie zapis pierwotnej informacji w naszych rejestrach. Prowadziło to, naturalnie, do prób z następnymi ciałami, do usunięcia partii mózgowej, by tak rzec, jakby do zmazania zapisu, po czym do wstawienia w to miejsce osobowości i pamięci kogoś innego. To bardzo delikatna operacja, udaje się tylko od czasu do czasu, jedynie wówczas kiedy dziesiątki czynników, których znaczenia niezbyt dobrze rozumiem, wystąpi jednocześnie. Na przykład, nowe ciało musi być dwa lata młodsze od oryginału. Z drugiej strony, niektóre ważne czynniki, takie jak płeć czy planeta urodzenia, wydają się zupełnie nieistotne. Niemniej uzyskujemy doskonały transfer mniej więcej raz na dwadzieścia przypadków.

Młody mężczyzna poruszył się niespokojnie. – A co z pozostałą dziewiętnastką?

Krega wzruszył ramionami.

– Umierają lub popadają w szaleństwo i muszą być likwidowani. Używamy zresztą jedynie osobników społecznych, takich których i tak trzeba byłoby poddać obróbce psychicznej, zrobić im pranie mózgu, albo wręcz wyeliminować. Czternaście miesięcy temu, zdjęliśmy matrycę z twojego mózgu – na pewno o tym wiedziałeś. Teraz możemy wykonać cztery egzemplarze twojej szanownej osoby. Ciała byłyby naturalnie różne, ale wewnątrz to ty, w najdrobniejszym szczególe. W razie konieczności może was być więcej niż czterech. Możemy wysłać cię na wszystkie cztery planety jednocześnie, razem z rejestrem przestępczym i historią życia. Możemy tam cię wysłać, a mimo to mieć cię tutaj na miejscu, takiego jakim jesteś, wykonującego udanie korelowania danych otrzymanych od tych pozostałych.

Młody mężczyzna nie odezwał się przez pełną minutę, po czym powiedział:

– Niech mnie piorun strzeli.

– Czterokrotnie, a zarazem wcale – odrzekł komandor. – Bo widzisz, nie ma tu najmniejszego ryzyka. My przecież już mamy całkowity zapis twojej matrycy.

Rozważył te słowa.

– Zapewne powinna być zdjęta najnowsza – zauważył. – Niedobrze by się stało, gdyby moje cztery „sobowtóry” obudziły się w drodze na Romb Wardena, bez pamięci ostatnich czternastu miesięcy, żeby nie wspomnieć tej rozmowy, którą właśnie prowadzimy.

Krega skinął głową.

– Masz oczywiście rację. Mój własny zapis jest uaktualniany raz w roku. Nie licząc bólu głowy, jeśli ten proces zadziała za pierwszym razem, będzie działał już zawsze.

– To pocieszające – odpowiedział młody mężczyzna niepewnie, pamiętając, iż raz już poddano go tej operacji bez jego wiedzy i zgody, a słowa komandora jednoznacznie sugerowały, że proces czasami bywał zawodny. Odpychając od siebie te niemile myśli, zapytał: – A w jaki sposób będę otrzymywał te dane, które mam korelować? Zakładając nawet, iż tym czterem kopiom mojej własnej osoby uda się dowiedzieć czegoś ważnego, jak ja się o tym dowiem?

Krega sięgnął do szuflady i wyjął małe pudełko. Otworzył je i podsunął rozmówcy.

– Dzięki temu – powiedział obojętnym głosem.

Młody mężczyzna popatrzył na przedmiot leżący w pudełeczku. „To” okazało się maleńkim paciorkiem zbudowanym z nieznannej substancji, tak drobnym, iż ledwie widocznym gołym okiem, nawet na tle czarnego aksamitu.

– Implantowane urządzenie naprowadzające? – Głos mężczyzny wyrażał sceptycyzm. – A w czym nam ono może pomóc?

Urządzenie takie znane bowiem było każdemu policjantowi; można je było umieścić w którymkolwiek miejscu ciała bez specjalnego zabiegu operacyjnego, a szansa jego wykrycia była bliska zeru. Po implantacji, jego sygnał wskazywał drogę śledzącym – zwyczajne narzędzie policyjne.

– To nie jest żadne urządzenie naprowadzające – powiedział komandor. – Przyznaję, iż w jakiejś mierze jest na nim oparte, ale w jeszcze większym stopniu jest ono produktem ubocznym badań naukowych związanych z procesem Mertona. Wszczepia się je bezpośrednio do konkretnego punktu w mózgu – przykro mi, ale nie znam na tyle biologii, by ci wyjaśnić bliżej. Ty również otrzymasz jedno z tych urządzeń. Działa ono jedynie wówczas, kiedy dwa ciała posiadają taki sam wzór matrycy mózgu; w przeciwnym razie uzyskałbyś jedynie bełkot. Wykorzystując tę część, która oparta jest na urządzeniu naprowadzającym, specjalny odbiornik może odnaleźć noszącego to nasze urządzenie, gdziekolwiek by się znajdował, nastawić się na niego, odbierać i wzmacniać sygnały, po czym przekazywać je do rejestratora Mertona. Ta informacja może posłużyć do wykonania świeżego odbicia nazywanego „miękkim”, które pozwoli partnerowi naszego nadawcy uzyskać zapis tego, co się wydarzyło w czasie zawartym między przebudzeniem nowego ciała a dokonaniem przez nas odczytu. Jest ono miękkie i łagodne, bo jak twierdzą, przypomina obejrzenie całego filmu w jednej chwili. Niemniej jest to zapis wszystkiego co powiedział i zrobił twój odpowiednik. Umieścimy cię na statku wartowniczym, bardzo wygodnym, i będziemy prowadzić w miarę ciągły zapis odbicia „miękkiego”, za pośrednictwem satelitów monitorujących. Dostaniesz więc swoje dane, nie martw się. A jeśli chodzi o tę rzecz tutaj, to jest ona zbudowana z substancji quasi-organiczej, tak że nawet na Lilith, która nienawidzi wszystkiego co obce, będzie funkcjonowała jako część twego ciała. Wiemy to na pewno. Mamy bowiem już tam kilku ludzi z tymi urządzeniami. Oni naturalnie są tego nieświadomi. To tylko test, ale działa bez zarzutu.

Młody mężczyzna pokiwał głową.

– Wygląda na to, że pomyśleliście o wszystkim. – Przerwał. – A co się stanie, jeśli odmówię? Albo formułując to inaczej, co się stanie, jeśli ja się zgodzę, a moi alter ego już na miejscu podejmą decyzję o zerwaniu współpracy?

Uśmiech Kregi miał w sobie coś bardzo nieprzyjemnego.

– Zważ, co ci oferuję. Mamy możliwości, by uczynić cię nieśmiertelnym, jeśli odniesiesz sukces. W takim przypadku, żadna nagroda nie będzie za wysoka. Jesteś ateistą. Wiesz przeto, że jeśli

się tam udasz, to już na zawsze chyba że odniesiesz wspomniany sukces. Wówczas i ty i twoi alter ego będziecie istnieć nadal. Będziecie nadal żyć. Sądzę, i to całkiem przekonujący argument.

Młody mężczyzna zamyślił się.

– Zastanawiam się, czy oni podobnie będą widzieli tę sytuację? – wyszeptał do siebie.

Czterech Władców Rombu. Czterech potężnych i inteligentnych mężczyzn, których trzeba zabić. Cztery klucze do tajemnicy, która może oznaczać koniec ludzkiej rany. Pięć problemów, pięć zagadek.

Tak naprawdę, to Krega nie musiał oferować żadnej nagrody. I bez niej, trudno byłoby się oprzeć takiej propozycji.

### 3

Statek baza miał siedem kilometrów długości. Tkwił w pobliżu układu Wardena, w odległości około ćwierć roku świetlnego od jego słońca. Zaprojektowany jako ruchoma baza, prawie mini – świat, był całkowicie samowystarczalny i gdyby nie uczucie pewnego osamotnienia, służba na nim byłaby wręcz komfortowa.

Z dolnych pokładów startowały statki wartownicze: pojazdy z załogą jednoosobową, lub całkowicie automatyczne, krążące wokół układu Wardena i dostarczające statkowi bazie informacji na temat przestrzeni wokół układu, jak i wewnątrz niego. Wszelki transport towarów z zewnątrz skierowany był wpierw tutaj i dopiero na statku bazie dokonywano przeładunku na automatyczne pojazdy obsługujące transport wewnątrzsystemowy. Nikomu, poza personelem wojskowym, nie wolno było latać poza perymetr wyznaczony przez statki wartownicze, a i im nawet nie wolno było lądować na poszczególnych planetach. Kara za przekroczenie tego zakazu była prosta – pochwycenie winnego, o ile było to możliwe, likwidacja, jeśli schwywanie okazało się niemożliwe. Mając przeciwko sobie automatycznych strażników i załogowe patrole, potencjalny intruz miał szansę umknąć jednemu lub drugiemu, ale pokonanie całej sieci złożonej z kilkuset pojazdów było praktycznie niemożliwe, tym bardziej że musiałyby działać przeciwko najlepszym komputerom obrony, jakie znał człowiek.

Z tego też powodu wskazanie Rombu Wardena jako centrum konspiracji z udziałem jakiejś obcej rasy spotkało się z wielce sceptycznym przyjęciem ze strony sił wojskowych, które uważały, iż robot usiłował wyprowadzić je w pole, wskazując fałszywy kierunek.

Komputery analityczne i stratedzy mieli inne zdanie na ten temat. Przynajmniej nie mogli sobie pozwolić na lekceważenie takiej możliwości. Stąd, przybycie na statek bazę bardzo szczególnego gościa. Wszyscy wiedzieli, iż jest kimś wyjątkowym i choć krążyło mnóstwo plotek na temat jego

tożsamości, wykonywanych zadań i pełnomocnictw, nikt, włącznie z dowodzącym statkiem admirałem, nie wiedział nic na pewno.

Z człowiekiem tym przybył cały osobny moduł, który został podłączony do statku bazy w miejscu sąsiadującym z sekcją bezpieczeństwa. Tutaj, z dala od pozostałych, tajemniczy gość wykonywał swoje zadania, otoczony przez Strażników, którzy nie mieli najmniejszego pojęcia kim był i co robił – i którym nie wolno było wejść do modułu, tak jak nie było wolno i samemu admirałowi. Zamki zaprogramowane były bowiem na fale mózgowie tajemniczego mężczyzny, na wzór jego siatkówki, na jego strukturę genetyczną i praktycznie na wszystko, co tylko był w stanie wymyślić cierpiący na paranoję wydział bezpieczeństwa. Każdy, kto by usiłował tam wejść zostałby natychmiast zatrzymany i przekazany odpowiednim służbom. Materia nieożywiona byłaby natomiast bez na najmniejszej zwłoki rozpylona na atomy.

I chociaż ów mężczyzna przebywał tam już od kilku miesięcy, nikt nie znał nawet jego imienia. Nie żeby trzymał się całkowicie na uboczu – przeciwnie, brał udział w grach sportowych i innych rozrywkach, jadał posiłki w messie służby bezpieczeństwa, zdarzało mu się nawet jadać kolację i pić wino w towarzystwie kobiet, zarówno wojskowych, jak i cywilnych, najwyraźniej – zaintrygowanych jego tajemniczością. Był sympatyczny, miły w obejściu i w pełni zrelaksowany. Podczas tych wszystkich miesięcy, nie wyjawiał żadnego szczegółu na swój temat, nawet tym, z którymi zapoznał się bliżej – chociaż, jak zauważyli funkcjonariusze służby bezpieczeństwa, miał wyjątkowy talent dowiadywania się o najbardziej intymnych sprawach ludzi, z którymi się spotykał. Podziwiano jego samokontrolę i profesjonalizm i odczuwano przed nim lęk.

Codziennie spędzał kilka godzin w swojej niewielkiej kabinie, będącej zarazem jego sypialnią. Wszyscy zastanawiali się, co też może kryć jej wnętrze, ale nikt nigdy nie odgadł prawdy.

Kiedy wchodził do swego modułu, usłyszał brzęczyk. Po raz pierwszy odczuł podniecenie i ekscytację. Już dawno osiągnął to, co było możliwe, jeśli chodzi o dane fizyczne i od dawna stanowiło to dla niego jedynie nudne i monotonne ćwiczenie. Komputer zapisał wszystko, co mógł, ze śladów pamięci, ale obraz, który mu przedstawił, był zbyt niekompletny i zbyt pełen emocji, by znaczyć cokolwiek. Mając nadzieję, iż tym razem będzie inaczej, skierował się do fotela dowódcy i usiadł w nim. Komputer, wyczuwając jego obecność, opuścił małe sondy, umieścił je wokół jego głowy, zaaplikował mu odmierzoną porcję iniekcji i rozpoczął wczytywanie zapisu głównego.

Przez chwilę unosił się w półhipnotycznej mgle, powoli jednak w jego mózgu poczęły powstawać obrazy, tak jak zdarzało się to już przedtem. Tyle że teraz wydawały się ostrzejsze, wyraźniejsze, bardziej podobne do jego własnych myśli. Środki farmakologiczne i sondy neuronowe wykonały swoje zadanie. Jego własny umysł i osobowość ustąpiły pola, a ich miejsce zajął podobny, a jednak zupełnie inny układ.

– Agent ma się zgłosić na rozkaz – polecił komputer, przesyłając tę komendę głęboko w jego umysł, w umysł, który już nie był jego własnością.

To, co teraz miało nastąpić, a tak przynajmniej twierdzili technicy, to przywołanie całkowitej informacji, pełnej zawartości pamięci jego alter ego znajdującego się na powierzchni planety,



informacji, którą jego własny umysł posortuje, poklasyfikuje i zredaguje, czyniąc z niej konkretną całość.

Włączyły się urządzenia rejestrujące.

Mężczyzna w fotelu odchrząknął kilkakrotnie. Minęły przeszło trzy godziny, nim oprócz pomruków i dziwacznych słów czy dźwięków z jego ust zaczęły wydobywać się pierwsze sensowne sylaby, ale komputer był nieskończenie cierpliwy, wiedząc iż umysł mężczyzny odbiera olbrzymie ilości danych i trzdzi się wielce z ich sortowaniem i klasyfikowaniem.

W końcu mężczyzna zaczął mówić równo i płynnie.

## Rozdział pierwszy

### **ODRODZENIE**

Po przemówieniu Kręgi i po drobnych zabiegach związanych z uporządkowaniem spraw osobistych – miało to przecież potrwać trochę dłużej – zgłosiłem się do Kliniki Służb Bezpieczeństwa Konfederacji. Naturalnie, byłem tam już wiele razy przedtem, nigdy jednak świadomie w tym właśnie celu. Było to przecież miejsce, gdzie programowano nas przed wykonaniem misji, dostarczając niezbędnej podczas jej wykonywania informacji, i gdzie doprowadzano nas do pierwotnego stanu po jej zakończeniu. Praca moja, co zrozumiałe, często była poza legalną – termin ten w moim odczuciu jest bardziej właściwy od nielegalna, jako że ten drugi implikuje zamiar popełnienia przestępstwa – i często tak delikatna, iż, w żaden sposób nie można jej było ujawnić. By uniknąć ryzyka takiego ujawnienia, wymazywano z pamięci agentów pamięć o misji, dotyczącej spraw delikatnych. Zdarzyło się to każdemu z nas.

Życie takie, w którym delikwent nie wie nawet, gdzie był i co robił, może wydawać się dziwne, jednak ma ono swoje plusy. Skoro potencjalny wróg, czy to polityczny czy wojskowy, wie, iż wymazano ci co trzeba, możesz sobie żyć praktycznie normalnym, spokojnym życiem po zakończeniu każdej misji. Nie ma sensu cię likwidować, bo przecież nie posiadasz wiedzy na temat tego, co zrobiłeś, dlaczego to zrobiłeś, czy dla kogo to zrobiłeś. W nagrodę za te przerwy w życiorysie, agent Konfederacji prowadzi żywot przyjemny i luksusowy, otrzymuje niemal nieograniczoną ilość pieniędzy i wszystko, co jest mu potrzebne do życia w komforcie. Ja osobiście objąłem się tu i tam, pływałem, uprawiałem hazard, jadałem w najlepszych restauracjach, grałem w różne gry zręcznościowe i w tenisa – w czym byłem nie tylko niezły, ale co pozwalało mi również utrzymywać dobrą kondycję fizyczną. Życie takie sprawiało mi wielką przyjemność, oczywiście z wyjątkiem regularnych sześciotygodniowych treningów związanych z ciągłym przekwalifikowaniem – treningów przypominających szkolenie wojskowe, tyle że o wiele bardziej przykre – i nie miewałem wyrzutów sumienia z powodu jego lekkiego charakteru. Treningi nie pozwalały, by ciało czy umysł zmiękły od zbyt wielu komfortów. Implantowane na stałe czujniki monitorowały nieustannie wszystkie najważniejsze parametry i decydowały o tym, kiedy przydałaby się „odnowa biologiczna”.

Często zastanawiałem się nad tym, jak bardzo wyrafinowane są te czujniki. Myśl bowiem, iż cała służba bezpieczeństwa mogłaby oglądać moje ekscesy z początku bardzo mnie irytowała, ale po jakimś czasie, nauczyłem się w ogóle o tym nie myśleć.

Życie, jakie mi oferowano w tym zawodzie, było po prostu bardzo miłe. Poza tym i tak nie miałem żadnego wpływu na te sprawy. Ludzie na większości cywilizowanych światów także mieli wszczepione podobne czujniki, tyle że nie tak wyrafinowane technicznie jak moje. Jakże bowiem inaczej dałoby się utrzymać w porządku, postępie i pokoju tak olbrzymie masy rozrzuconej w przestrzeni ludności?

Kiedy jednak przychodziła misja, nie można było przecież rezygnować z nabytego uprzednio doświadczenia. Wymazanie danych z mózgu bez ich zmagazynowania gdzie indziej, byłoby wielce niepraktyczne, bo przecież dobry agent staje się coraz lepszy dzięki temu, iż nie powtarza własnych błędów.

Dlatego właśnie należało się udać do Kliniki Służb Bezpieczeństwa, gdzie przechowywano to wszystko, czego kiedykolwiek doświadczyłeś i pozwolić, by ci to na powrót wpisano, tak żebyś mógł być cały na duszy i ciele przed następną misją.

Zdumiewał mnie zawsze mój stan, kiedy wstawałem z fotela po przywróceniu mi pamięci. Nawet wyraźne wspomnienia rzeczy, których dokonałem wprowadzały mnie w zdumienie. Dziwiło mnie bardzo, iż to ja właśnie, wybrany ze wszystkich ludzi na świecie, zrobiłem to czy owo. Tym razem wiedziałem jednak, że proces ten pójdzie o jeden krok dalej. Nie tylko cały „ja” wstanę z tego stołu, ale ta sama pamięć zostanie odcisnięta w innych umysłach, w innych ciałach – w tylu, ile będzie niezbędnych do uzyskania właściwego rezultatu.

Zastanawiałem się, jacy oni będą, jakie będą te cztery wersje mnie samego. Fizycznie prawdopodobnie będą się ode mnie znacznie różnić – łamiący prawo, których tu spotykałem, na ogół nie pochodzili z jednego z cywilizowanych światów, gdzie ludzi standaryzowano w imię równości. Nie, ci ludzie wywodzili się z pogranicza, spośród kupców, górników i wolnych strzelców, którzy egzystowali na obrzeżach cywilizacji i którzy dla takiej dokonującej się ekspansji cywilizacji byli niezbędni, bowiem warunki, w których żyli, wymagały olbrzymiej indywidualności, samodzielności, oryginalności i wyobraźni. Głupia władza zlikwidowałaby ich wszystkich, ale głupia władza degeneruje się i traci witalność i możliwość dalszego rozwoju właśnie poprzez standaryzację.

Ten problem tkwił zresztą u korzeni Rezerwatu Rombu Wardena. Niektórzy z tych twardzieli z pogranicza mieli tak silne poczucie niezależności, iż stanowili pewne zagrożenie dla stabilności światów cywilizowanych. Kłopot bowiem polega na tym, że ten, który potrafi rozluźnić więzy utrzymujące nasze społeczeństwo w całości, na ogół należy do kategorii najbystrzejszych, najbardziej przebiegłych, najbardziej bezwzględnych i najbardziej oryginalnych umysłów wyprodukowanych przez to społeczeństwo – a tym samym nie jest kimś, komu lekką ręką wymazuje się zawartość mózgu. Romb mógł skutecznie zatrzymać ten gatunek ludzi na zawsze, dostarczając im jednocześnie twórczych możliwości, które pod subtelną kontrolą, mogłyby ewentualnie dać coś wartościowego samej Konfederacji – nawet gdyby to miał być jedynie jakiś pomysł, nowa idea, myśl, nowe spojrzenie na skomplikowany problem. A przestępcy, których lam wysyłało, bardzo chcieli okazać się przydatni, skoro alternatywą była śmierć. W rezultacie tego wszystkiego wiele twórczych umysłów stało się niezbędnymi dla Konfederacji, czym zapewniły sobie własne przetrwanie.

Ta cholerna sonda sprawiała mi ból jak wszyscy diabli. Zazwyczaj odczuwałem jedynie mrowienie, po którym następowało uczucie senności i sen, z którego budziłem się po kilku minutach

w świetnej formie. Tym razem mrowienie przeszło w ból, który wydawał się wwiercać do czaszki, skakać w jej wnętrzu i obejmować kontrolę nad moją całą głową. Było to tak, jak gdyby olbrzymia dłoń objęła mój mózg, ścisnęła, puściła, znowu ścisnęła, wszystko to w ogłuszającym bólem rytmie. Zamiast więc zasnąć, straciłem przytomność.

Przebudziłem się i jęknąłem cicho. Bolesne pulsowanie ustało, ale pamięć o nim była zbyt świeża i zbyt żywa. Minęło kilka minut, nim znalazłem w sobie dość sił, by usiąść.

Napłynęły stare wspomnienia, a ja zdumiewałem sam siebie, przypominając sobie niektóre z moich dawnych przygód. Zastanawiałem się, czy moje „sobowtóry” zostaną poddane podobnej kuracji, skoro ich pamięci nie da się wymazać po zakończeniu misji tak jak mojej. Uzmysłowiłem sobie, iż będą one musiały być zlikwidowane, jeżeli są w posiadaniu całej zawartości mojej pamięci. W przeciwnym bowiem razie zbyt wiele tajemnic znalazłoby się na planetach Rombu Wardena i mogłyby one wpaść w ręce ludzi, którzy wiedzieliby, jaki z nich zrobić użytek.

Ledwie zdążyłem o tym pomyśleć, kiedy nagle uświadomiłem sobie, iż coś jest nie tak. Rozejrzałem się po małym pokoiku, w którym się obudziłem, i natychmiast zorientowałem się, co było źródłem mojego niepokoju.

To nie była Klinika Służb Bezpieczeństwa; to nie było żadne ze znanych mi miejsc. Było to małe pomieszczenie, około dwunastu metrów sześciennych objętości, przy czym sufit był trochę wyżej niż normalnie. Znajdowała się w nim koja, na której się przebudziłem, mała umywalka, standardowy luk żywnościowy i wysuwana toaleta w ścianie. To wszystko. Nic więcej – chociaż...

Rozejrzałem się wokół i bez trudu zauważyłem to, co było najbardziej oczywiste. Tak, nie byłem w stanie wykonać żadnego ruchu, który nie byłby rejestrowany wizualnie i dźwiękowo. Drzwi były prawie niewidoczne i na pewno nie dałoby się ich otworzyć od wewnątrz. Pojąłem natychmiast, gdzie jestem.

Była to cela więzienna.

Co gorsza, odczuwałem delikatną wibrację, która nie pochodziła z żadnego konkretnego źródła. Uczucie to było wielce irytujące; w rzeczywistości wibracja była tak słaba, iż prawie niezauważalna, ale ja wiedziałem, co ona oznacza. Znajdowałem się na pokładzie statku, poruszającego się gdzieś w przestrzeni.

Wstałem, zataczając się lekko pod wpływem nagłego zawrotu głowy, który przeszedł równie szybko, jak się pojawił, i przyjrzałem się swemu ciału. Było niesamowicie muskularne, jak ciało górnika czy też innego ciężko pracującego robotnika. Posiadało kilka blizn po ranach, których najwyraźniej nie opatrywał żaden lekarz; dwie z nich rozpoznałem jako ślady po ranach zadanych nożem.

Całe ciało pokryte miałem gęstym, czarnym włosiem – taką ilość owłosienia, jaką miałem na piersiach, ramionach i nogach, widziałem jedynie u zwierząt. Trudno mi też było nie zauważyć, iż wyposażono mnie w organ płciowy takich rozmiarów, które u istoty ludzkiej wydawały się wręcz niewiarygodne. Nie wiem, jak długo stałem tam ogłuszony moimi odkryciami.

Przecież to nie ja! – zawył mój umysł. – Jestem jednym z nich jednym z tych sobowtórów!

Usiadłem na pryczy, powtarzając sobie, że to niemożliwe. Wiedziałem przecież, kim jestem, pamiętałem wszystko, każdy szczegół ze swego życia i pracy.

Po jakimś czasie szok ustąpił miejsca wściekłości – wściekłości i frustracji. Byłem kopią, imitacją kogoś, kto wciąż żyje i działa i kto, być może, obserwuje mój każdy ruch i zna każdą moją myśl. Nienawidziłem wtedy tego drugiego, nienawidziłem go z patologiczną siłą, nie mającą nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem. Siedzi tam sobie wygodnie i bezpiecznie i obserwuje moją pracę, obserwuje sobie to wszystko – a kiedy to się skończy, wróci do domu, by złożyć sprawozdanie, wróci do tego przyjemnego życia, podczas gdy ja...

Zamierzali rzucić mnie na któryś ze światów Rombu Wardena, zatrzasnąć mnie w pułapce jak jakiegoś superkryminalistę, uwięzić mnie tam na resztę mojego żywota – przynajmniej na resztę żywota tego ciała. A co potem? Kiedy zadanie zostanie wykonane? Sam to pomyślałem, tuż po przebudzeniu, sam wydałem na siebie wyrok. A tyle wiedziałem! Naturalnie, będę poddany ciągłej obserwacji. I zabiją mnie, jeśli wydam którąś z tych tajemnic. Zabiją mnie i tak po zakończeniu misji, choćby ze względów bezpieczeństwa.

W tym momencie jednak moje wyszkolenie i profesjonalizm wzięły górę nad szokiem i gniewem. Odzyskałem panowanie nad sobą i przemyślałem wszystko, co wiedziałem.

Obserwacja i monitoring? Bez wątpienia – dokładniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Przypomniało mi się, co mówił Krega o jakiejś organicznej łączności. Dobrze się bawisz, ty sukinsynu? Masz dużą przyjemność, doświadczając moich przeżyć z drugiej ręki?

Ponownie włączyło się wyszkolenie, uspokajając mnie nieco. Nieważne, powiedziałem sobie. Przecież dobrze wiem, co on sobie myśli, a to już jest pewna przewaga. Ze wszystkich ludzi na świecie on wie najlepiej, że niełatwo mnie będzie zabić.

Odkrycie, iż nie jest się tym, kim się było, a jedynie sztucznym tworem, stanowiło ogromny wstrząs. Wstrząsem było również uświadomienie sobie, iż całe życie, które się pamięta, nawet jeżeli osobiście się go nie doświadczyło, odeszło na zawsze. Nie będzie już cywilizowanych światów, nie będzie kasyn i pięknych kobiet, nie będzie więcej łatwych pieniędzy do wydawania. Niemniej kiedy tak sobie lam siedziałem, mój umysł automatycznie przystosowywał się do sytuacji. Dlatego właśnie wybierano takich jak ja: posiadaliśmy bowiem umiejętność przystosowywania się i adaptowania do każdych okoliczności.

I choć to nie było moje ciało, to jednak ciągle to byłem ja. Pamięć, myśl i osobowość tworzyły bowiem jednostkę ludzką, nie zaś jego ciało. Powiedziałem sobie, iż ciało to jest jedynie rodzajem biologicznego przebrania, choć wyjątkowo wyrafinowanego. Jeśli chodzi o prawdziwego mnie, to wydawało mi się, że ta osobowość i te wspomnienia w równym stopniu należą do mnie, co i do tamtego osobnika. I tak przecież byłem kimś innym do momentu, w którym podniosłem się z fotela w klinice. Wtedy już część mojej pamięci i moich doświadczeń przestała istnieć. Ten siary ja, z okresu pomiędzy misjami, był tworem sztucznym, przynajmniej w mojej opinii. Ten nieciekawy playboy w rzeczywistości nie istniał, jego osobowość była rezultatem manipulacji. Prawdziwy ja został

„zakonserwowany” i zmagazynowany w komputerach psychochirurgicznych, a pozwalano mu ujawnić się jedynie wówczas, kiedy był do czegoś przydatny – i nie bez racji. Wypuszczony na wolność, stanowiłem takie samo zagrożenie dla struktur władzy, jak i dla tych, przeciwko którym władza mnie wysyłała.

A byłem dobry. Najlepszy, jak twierdził Krega. Dlatego właśnie znalazłem się tutaj, w tym ciele, w tej celi, na tym statku. I nie wyczyszczą mi pamięci, nie zabiją mnie, jeśli tylko uda mi się temu zapobiec. Ten drugi ja, siedzący tam, przy konsoli – jakoś przestałem odczuwać do niego nienawiść – stał mi się wręcz obojętny. Kiedy to się skończy, jeszcze raz wymażą mu zawartość jego pamięci, być może zabiją, jeśli ja i moi bracia agenci na Rombie dowiemy się zbyt dużo. W najlepszym wypadku powróci on do stanu ospałego i bojaźliwego mięczaka.

Ja, z drugiej strony... Ja, będę tutaj, będę sobie żył, prawdziwy ja. Stanę się pełniejszym od niego.

Nie miałem jednak żadnych złudzeń. Zabiją mnie, jeśli tylko będą mogli, o ile nie zrobię tego, na czym im zależy. Uczynią to zdalnie, z satelity – robota, bez najmniejszego wahania. Przynajmniej, ja bym tak zrobił. Narażony na to będę jedynie do czasu, dopóki nie opanuję nowej sytuacji i mojego nowego i stałego już środowiska. Byłem tego wszystkiego pewien, znałem bowiem ich metody i ich sposób myślenia. Muszę wykonywać za nich ich brudną robotę – ale jedynie tak długo, jak długo nie znajdę sposobu jej obejścia. Można ich przecież pokonać, nawet na ich własnym terenie. Po to zresztą zatrudniali ludzi mojego pokroju: byśmy demaskowali tych którzy po mistrzowsku zacierali swoje ślady, ukrywali życie i działalność, znikali jak duchy z ich monitorów, byśmy ich demaskowali i likwidowali.

Nie wyślą jednak za mną nowego agenta profesjonalisty, żeby mnie dopadł, jeśli ja pokonam ich wcześniej. Postawiliby bowiem kogoś innego dokładnie w tej samej sytuacji, w jakiej ja się znajduję.

Zrozumiałem wtedy coś, do czego oni bez wątpienia doszli przede mną: iż nie mam wyjścia i muszę wypełnić tę misję. Tylko tak długo, jak będę wykonywał to, czego ode mnie oczekują, będę chroniony przez nich w tym niebezpiecznym dla mnie okresie. Potem zaś – no cóż, zobaczymy.

Ogarnęło mnie podniecenie związane ze stojącym przede mną wyzwaniem, podniecenie, które towarzyszyło mi zawsze w takiej sytuacji. Należy rozwiązać zagadki, osiągnąć wskazane cele. Lubię zwyciężać, a zwycięstwo jest zawsze łatwiejsze, kiedy nie ma się emocjonalnego stosunku do sprawy, kiedy ma się do czynienia jedynie z wyzwaniem, problemem i przeciwnikiem i kiedy potrzebny jest fizyczny i intelektualny wysiłek, by sprostać wyzwaniu. Musze dowiedzieć się czegoś na temat zagrożenia ze strony obcych. Prawdę mówiąc, nie przejmowałem się tym zagadnieniem – i tak już byłem uwięziony na zawsze w świecie Wardena. Jeśli obcy zwyciężą, w nadchodzącej konfrontacji, mieszkańcy Wardena przetrwają jako sojusznicy. Jeśli obcy przegrają, nie będzie to miało większego znaczenia, sytuacja będzie wyglądała tak jak w tej chwili. Po prostu cały ten problem obcych był problemem czysto intelektualnym, co mi bardzo odpowiadało.

Drugi cel misji stwarzał podobną sytuację. Znaleźć władcę konkretnego Diamentu i zabić go, jeśli potrafię. W pewnym sensie, dokonanie tego będzie znacznie trudniejsze, jako że muszę działać

na obcym terenie i dlatego będę potrzebował więcej czasu i jakichś sojuszników. Jeszcze jedno wyzwanie, ale jeśli go dopadnę, poprawi to na pewno moją sytuację. Jeśli natomiast on mnie dopadnie, rozwiąże to wszystkie problemy – jednak myśl o przegranej była dla mnie wielce odpychająca. Ustawilo to cały ten pojedynek, z mojego punktu widzenia, na najlepszej z możliwych płaszczyzn. Zabójstwo połączone z tropieniem ofiary było grą najbardziej wyrafinowaną i ostateczną, bowiem albo w niej wygrywałeś, albo umierałeś, i nie musiałeś żyć z myślą o przegranej.

Przyszło mi nagle do głowy, iż jedyną rzeczywistą różnicą pomiędzy mną a jakimś władcą Diamentu jest to, że ja pracuję dla prawa, a on – czy ona – przeciw niemu. Nie, to chyba nie tak. Na jego świecie, to on był prawem, a ja będę działał przeciw niemu i prawu. Pod względem etycznym wychodził mi remis.

Jedyna rzecz natomiast, która mi się nie podobała w tym momencie, to fakt, iż rozpoczynałem wykonywanie zadania w tak niekorzystnej dla siebie sytuacji. Zazwyczaj programowano bowiem całą istotną informację w moim mózgu przed wysłaniem mnie na misję – ale tym razem tego nie uczyniono. Możliwe, pomyślałem sobie, iż wpłynęły na to cztery programowania przed czterema kolejnymi misjami i obawa przed dodawaniem jeszcze czegoś do mojego mózgu, bezpośrednio po dokonaniu transferu do nowego ciała, który sam w sobie był operacją trudną. Jakby nie było, taka metoda spowoduje, iż znajdę się w poważnych tarapatach. Ktoś powinien był o tym pomyśleć.

Ktoś pomyślał, ale odkryłem to dopiero po jakimś czasie. Mniej więcej godzinę po przebudzeniu, usłyszałem dzwonek przy luku żywnościowym, wobec czego podszedłem do niego. Prawie natychmiast ukazała się gorąca taca, razem z nożem i widelcem, które, co bez trudu rozpoznałem, należały do kategorii przedmiotów ulegających samo-rozkładowi. Za pół godziny rozpuszczą się, tworząc kleistą kałużę, po czym wyschną na sypki proszek – standardowa procedura w przypadku więźniów.

Jedzenie było okropne, ale nie spodziewałem się lepszego. Witaminizowany sok owocowy, który mu towarzyszył, był natomiast całkiem dobry; wypilem go z dużą przyjemnością, a cienki, przezroczysty pojemnik (nierozpuszczalny) zachowałem jako naczynie na wodę, tak na wszelki wypadek. Całą resztę włożyłem z powrotem do podajnika, gdzie elegancko wyparowała. Szybkość i czystość.

Nie potrafili kontrolować jedynie funkcje fizjologicznych. I tak, jakieś pół godziny po zjedzeniu posiłku, moje nowe ciało zaczęło domagać się swoich praw. Na ścianie była płyta z napisem „toaleta” i mały pierścień do pociągania – proste, standardowe rozwiązanie. Pociągnąłem za pierścień, całość się opuściła – i niech mnie licho weźmie, jeśli w zagłębieniu z tyłu nie ujrzałem cieniutkiej jak papier sondy. Usiadłem więc na sedesie, oparłem się wygodnie i ulżyłem sobie w czasie, kiedy przekazywano mi dodatkowe instrukcje.

Działo to na zasadzie kontaktu ze skórą – nie pytajcie mnie nawet jak. Nie mam zdolności technicznych. Nie było tak dobre jak programowanie, ale umożliwiała im przekazywanie mi informacji słownej, i nie tylko. Mogli mi również przysyłać filmy, które jedynie ja byłem w stanie widzieć i słyszeć.

– Mam nadzieję, że wyszedłeś już z szoku wywołanego odkryciem kim i czym jesteś – doszedł

mnie głos Kręgi, pozornie brzęczący bezpośrednio w mózgu. Wstrząsnęło mną, kiedy sobie uświadomiłem, iż nawet strażnicy więzienia, w którym się znajdowałem, nic nie słyszą i nic nie widzą.

– Jesteśmy zmuszeni dostarczać ci informacji w taki właśnie sposób, ponieważ sam proces transferu już jest bardzo delikatny i nie należy przesadzać. Och, nie przejmuj się, dokonał się na stałe. Wolimy jednak dać twojemu mózgowi tyle czasu, ile jest tylko możliwe, żeby się zaadaptował do nowej sytuacji bez zbędnych, dodatkowych wstrząsów. Ta metoda musi wystarczyć, a bardzo tego żałuję, ponieważ czuję, iż masz najtrudniejsze zadanie z całej czwórki.

Czułem jak rośnie moje podniecenie. Wyzwanie, wyzwanie...

– Twoim celem jest planeta Lilith, pierwsza z kolonii Rombu – ciągnął komandor. – Z naukowego punktu widzenia Lilith to dom wariatów. Nie istnieje żadne racjonalne, naukowe wyjaśnienie tego, co tam napotkasz. Jedyne, co nie pozwala kompletnie oszaleć, to fakt, iż miejsce to ma swoje własne reguły i jest konsekwentne w ramach swej własnej logiki. W szczegółach najlepiej zorientujesz się sam, już po wylądowaniu. Znajdziesz się tam w roli skazańca i wspólnie z innymi więźniami zostaniesz pouczony i poinstruowany przez przedstawicieli władcy Lilith, którzy to zrobią o wiele bardziej skutecznie ode mnie, a na dodatek, będą to informacje z pierwszej ręki.

– Choć możliwości tego urządzenia są dość ograniczone – mówił dalej – jesteśmy w stanie przesłać ci jedną podstawową rzecz, której dziwnym trafem nie znalazłbyś na samej Lilith. Mam na myśli mapę całej planety, tak dokładną, jak to tylko było możliwe do osiągnięcia.

Poczułem ostry ból, a po nim zawroty głowy i nudności; wszystko to ustąpiło bardzo szybko i wówczas stwierdziłem, że rzeczywiście mam w głowie szczegółową mapę fizyczno – polityczną całej Lilith. Na pewno okaże się wielce przydatna.

Następnie odebrałem nieprzerwany strumień faktów dotyczących tego miejsca, na tyle drobiazgowych, iż mogłyby się znaleźć w każdym fachowo prowadzonym wykładzie indoktrynacyjnym. Planeta miała z grubsza 52000 kilometrów w obwodzie i to zarówno na równiku, jak i na linii biegunów, z niewielkimi różnicami wynikającymi z układu topograficznego. Podobnie jak pozostałe trzy Diamenty Wardena, była, praktycznie, kulą – co jest rzeczą dość niezwykłą, jeśli chodzi o planety, chociaż większość ludzi, ze mną włącznie, uważa iż wszystkie większe planety mają kształt kulisty.

Przyciąganie wynosiło z grubsza 0,95 normy, co oznaczało, iż będę tam lżejszy, a moje skoki będą dłuższe. Zanotowałem sobie w pamięci potrzebę przećwiczenia manewrów, których zgranie w czasie stanowiło o ich skuteczności. Tlenu było minimalnie więcej, niż wynosiła norma, co mogłoby mnie uczynić ciut bardziej energicznym, a co zarazem na pewno powoduje, iż ogień płonie łatwiej, szybciej i jaśniej. Chociaż różnica jest prawdopodobnie niewielka. Wyższa od normalnej koncentracja wody, połączona z 85 – stopniowym nachyleniem osi i wynoszącą niecałe 192 000 000 kilometrów odległością od miejscowego słońca, powodowała iż świat ten był gorący i bardzo wilgotny, z niewielkimi różnicami pomiędzy poszczególnymi porami roku. Różnice temperatury wynikałyby raczej z szerokości geograficznej i wysokości nad poziomem morza, a nie z pory roku. Różnica poziomów była zaś bliska standardu i wynosiła 3 stopnie na 1800 metrów.



Jednak nawet szerokość geograficzna nie stanowiła czynnika decydującego o klimacie. Temperatura w pobliżu równika była bardzo wysoka – od 35 do 50°C, na szerokościach średnich sięgała od 25 do 34°C, a w pobliżu biegunów nigdy nie była niższa niż 20°C. Nie było tam więc żadnych czap polarnych. Nie było też lodu jako takiego, co mogłoby tłumaczyć istnienie na Lilith tylko jednego, olbrzymiego kontynentu i grupy małych wysp.

Doba trwała 32,2 standardowej godziny – to już będzie wymagało drobnego przystosowania się, może nawet więcej niż tylko drobnego. Było to aż o osiem godzin więcej od tego, do czego byłem przyzwyczajony. Dawałem sobie radę z podobnymi trudnościami; z tymi też sobie poradzę. Rok trwał 344 miejscowych dni. Był to więc dość duży świat, ale z niewielką grawitacją, co oznaczało, iż niewiele tam występuje metali. Niezłe więzienie.

– Władcą Lilith jest Marek Kreegan – ciągnął Krega. – Bez wątpienia najbardziej niebezpieczny z Czterech Władców, bo on jedyny spośród nich nie jest ani kryminalistą, ani skazańcem, ale podobnie jak ty, agentem Konfederacji, jednym z najlepszych. Gdyby był w stanie opuścić system Wardena, uważalibyśmy go za najbardziej niebezpiecznego człowieka w całej Konfederacji.

Poczułem dreszcz podniecenia, który miał więcej niż tylko jedną przyczynę. Po pierwsze, wyzwanie polegające na wytropieniu i na zlikwidowaniu kogoś takiego jak ja sam, kogoś wyszkolonego tak, jak ja byłem wyszkolony, kogoś uważanego za najbardziej niebezpiecznego spośród żyjących, to coś fantastycznego. Jednak było tu coś więcej, ta informacja dawała mi dwa promyki nadziei, których Krega na pewno w ogóle nie wziął pod uwagę. Jeśli ten człowiek był doborowym agentem, wysłanym tutaj w celu wypełnienia jakiejś misji, musiał po jej zakończeniu znaleźć się w podobnej sytuacji, w jakiej ja się znajduję – i nie został zabity. Mógł być tylko jeden powód takiego stanu rzeczy: nie byli w stanie go zlikwidować. Wymyślił więc jakiś sposób, by uniknąć śmierci i wykorzystał go. Doskonale. Jeśli Kreegan potrafił to zrobić, potrafię i ja.

A poza tym wspiał się na sam szczyt, stając się władcą Lilith.

Logika bez zarzutu. Jeśli uważano nas za mniej więcej równych sobie, oznaczało to, iż mam potencjalnie takie same możliwości, jakie on ma – większe tym samym niż czyjekolwiek możliwości na tej planecie, w przeciwnym razie ktoś inny byłby władcą. I to, co on potrafił zrobić, ja też potrafię.

– Niemniej odnalezienie Kreegana, nie mówiąc już o jego likwidacji, może się okazać zadaniem praktycznie niewykonalnym – kontynuował Krega. – Przede wszystkim, rzadko pojawia się publicznie, a kiedy już to czyni, ma zawsze zakrytą twarz. Zabija się każdego, kto odkryje jego wygląd. Nie ma stałej bazy, ale przenosi się z miejsca na miejsce, zawsze w przebraniu. Utrzymuje podwładnych w czujności i we względnej lojalności, przynajmniej w stosunku do niego. Nie mają pojęcia, kim w danej chwili jest, ale odczuwają przed nim ogromny lęk, ponieważ on może ich zabić, a oni nie są w stanie mu nic uczynić. Ostatni spis wykazał, że na Lilith żyje trochę ponad 13 244 000 osób, naturalnie, w przybliżeniu. Przyznasz, że to niewiele, ale Kreegan może być każdą z tych osób.

No nie, raczej nie może, powiedziałem sobie w duchu. Po pierwsze, reprezentował sobą pewien standard ze świata cywilizowanego. Oznaczało to, iż musiał się mieścić w konkretnych parametrach fizycznych, co już eliminowało sporą grupę ludzi. Naturalnie, wiedziałem, iż jest mężczyzną, a to

wykluczało prawie połowę całej populacji. Miał siedemdziesiąt siedem lat, z czego dwadzieścia jeden spędził na Lilith, w związku z czym jego zdjęcia z okresu wcześniejszego niewiele mogły pomóc. Niemniej jest mężczyzną w starszym wieku, a tacy na Lilith powinni być bardziej widoczni – był to przecież świat bardzo surowy. Powiedzmy więc, iż jest w średnim wieku, posiada standardowy wzrost i budowę i jest mężczyzną. Kiedy ma się do czynienia z populacją rzędu 13 000 000, zawęża to zapewne pole poszukiwań o wiele bardziej, niż Krega przypuszczał.

Wyzwanie bez wątpienia, ale nie aż tak niemożliwe, jakby się wydawało. A co ważniejsze, będąc władcą i administratorem, musi pojawiać się w pewnych określonych miejscach i uczestniczyć w pewnych uroczystościach. To jeszcze bardziej zawężało pole poszukiwań, a przecież jeszcze nawet nie wylądowałem.

Pozostałe informacje były czysto rutynowe. Po zakończeniu przekazu podniosłem się z sedesu i umieściłem go na powrót wewnątrz ściany. Usłyszałem odgłos splukiwania i kiedy następnym razem korzystałem z toalety, odkryłem, iż moje odchody nie były jedyną rzeczą, która stamtąd zniknęła.

Nadzwyczajnie kompetentni, ci chłopcy z bezpieczeństwa, mruknąłem do siebie. Nawet ci wiecznie czujni strażnicy, znajdujący się z drugiej strony tych wszystkich soczewek i mikrofonów, nie przypuszczali, iż mogę nie być tym, za kogo mnie uważają.

A jeśli już chodzi o to kim byłem, to pierwszy obraz samego siebie uzyskałem podczas tego krótkiego przekazu i instruktażu. Moje stare wcielenie nazwałoby mnie teraz typem lekko zwierzęcym, ale na swój sposób przystojnym i obdarzonym nadmiarem seksu; to ostatnie zupełnie mi nie przeszkadzało.

Nazywałem się Cal Tremon; byłem piratem – samotnikiem, mordercą, i w ogóle typem aspołecznym. Miałem ponad dwa metry wzrostu i 119 kilogramów samych mięśni i chrząstek, twarz kwadratową i groźną, gęstą grzywę czarnych jak węgiel włosów, przechodzącą w brodę i wielkie, krzaczaste wąsy połączone z bokobrodami, szerokie usta, o grubych wargach, nad którymi tkwił lekko spłaszczony, ale wielki nos, oczy duże, ciemnobrązowe, ale tym, co nadawało mej twarzy złowrogi wygląd, były krzaczaste, czarne brwi, zrosnięte ze sobą u nasady nosa.

Przyglądałem się sobie i czułem się trochę tak jak jakiś pierwotny jaskiniowiec, jeden z tych naszych najdalszych przodków. Z drugiej strony, to ciało było w doskonałej formie, potężne i groźne – o wiele potężniejsze od mojego własnego. Trzeba się będzie przyzwyczaić do tego ogromnego, umięśnionego, pełnego energii ciała, a kiedy doprowadzi się je do maksymalnej sprawności, na pewno stanie się olbrzymim atutem w przyszłej rozgrywce.

Jedno było pewne, Cal Tremon nigdy nie był i nigdy nie będzie włamywaczem typu człowiek – mucha. Był on bowiem z postury podobny do góry.

On? Mój umysł poprawił mi to „on” na „ja”. Teraz i już na zawsze, to ja byłem Cal'em Tremonem.

Położyłem się na pryczy i wprawiłem się w lekki trans, przebiegając w myślach te nowe informacje, sortując je i zapamiętując. Dane dotyczące życia Tremona, jego barwna i krwawa

kariera, były szczególnie ważne. Chociaż nie wyglądał na takiego, który ma jakichkolwiek przyjaciół, to należało pamiętać o tym, że tam, na dole, jest świat pełen przestępców i oszustów. Któryś z nich na pewno spotkał go na swojej przestępczej drodze życia.

## Rozdział drugi

### ZSYŁKA

Z wyjątkiem regularnych posiłków, nie było nic innego, co mogłoby wskazywać na tempo upływu czasu, ale była to niewątpliwie długa podróż. Nie marnowano pieniędzy na przewożenie więźniów najszybszymi z możliwych tras, to pewne.

W końcu jednak zacumowaliśmy do statku bazy, znajdującego się jakąś jedną trzecią roku świetlnego od systemu Wardena. Poinformowały mnie o tym nie jakieś szczególne wrażenia i odczucia, lecz raczej ich brak – wibracja, która towarzyszyła mi od dłuższego czasu, ustała. Poza tym, niewiele się zmieniło; podejrzewam, iż czekano na tak duży kontyngent skazanych ze wszystkich stron galaktyki, który uczyniłby lądowanie operacją opłacalną. Mogłem więc jedynie siedzieć na koi i po raz milionowy analizować w myślach dostępne mi dane, od czasu do czasu przetrawiając fakt, iż prawdopodobnie jestem zupełnie blisko mojego dawnego ciała (w takich to kategoriach zacząłem o nim myśleć). Zastanawiałem się też, czy ono samo przypadkiem nie przychodziło tutaj raz na jakiś czas, żeby sobie na mnie popatrzeć, ot lak, ze zwykłej ciekawości – na mnie i na trzech pozostałych, którzy prawdopodobnie również byli w pobliżu.

Miałem też dość czasu, by pomyśleć o sytuacji na Rombie Wardena i o powodach, dla których tak znakomicie nadawał się na więzienie. Nie przyjąłem bowiem tego, co mi opowiadano, bez żadnych zastrzeżeń – nie istniało przecież więzienie doskonale – chociaż to tutaj było takiej doskonałości bliskie. Wkrótce po wylądowaniu na Lilith, kiedy zacznę tam żyć i oddychać jej atmosferą, zostanę zainfekowany dziwnym, super – mikroskopijnym organizmem, który zajmie się wewnętrzną gospodarką każdej komórki mego ciała. Będzie lam sobie żył, ciągnąc pokarm z mojego organizmu, ale i zarabiając na własne utrzymanie przez trzymanie na odległość mikroorganizmów chorobotwórczych, infekcji i tym podobnych zagrożeń. Jedyne, co to stworzenie posiadało, to wola przetrwania, a przetrwać mogło tylko wówczas, kiedy i ty przetrwałeś.

Jednak do życia potrzebne mu było coś jeszcze, jakiś pierwiastek, choćby w śladowych ilościach, taki, który występował tylko i wyłącznie w systemie Wardena. Nikt nie wiedział, co to jest i nikt tak naprawdę nie wykonał tej całej żmudnej roboty, by to odkryć, ale wszyscy wiedzieli, iż może się to znajdować tylko tam, tylko w systemie Wardena. Czymkolwiek to było, nie znajdowało się w powietrzu, ponieważ promy krążyły pomiędzy poszczególnymi Diamentami i można było na nich oddychać oczyszczoną, automatycznie wytwarzaną atmosferą, bez żadnych złych skutków. W

żywności to też się nie znajdowało. Sprawdzili to Ludzie z któregośkolwiek ze światów Wardena mogli odżywiać się syntetyczną żywnością w jakimś całkowicie odizolowanym laboratorium, jakim jest na przykład stacja orbitalna. Wystarczyło jednak oddalić się zbyt daleko, nawet jeśli się miało zapas żywności i powietrza z którejś planety Wardena, a organizm Wardena ginął; a skoro dokonał modyfikacji twoich komórek i komórki te były w swoim funkcjonowaniu całkowicie uzależnione od niego, ty również ginąłeś – bolesną i powolną śmiercią, w potwornych mękach. Ta graniczna odległość wynosiła mniej więcej ćwierć roku świetlnego od słońca, co wyjaśniało dlaczego statek baza był tam, gdzie był.

Cztery planety Rombu różniły się nie tylko klimatem. Organizm Wardena wykazywał godną podziwu konsekwencję, jeśli chodzi o wpływ, jaki wywierał na człowieka na każdej z poszczególnych planet. Możliwie, iż w zależności od odległości od słońca, która wydawała się czynnikiem determinującym życie tego organizmu – jego wpływ zależał od tego, na której z planet dany człowiek zetknął się z nim po raz pierwszy. Niezależnie od tego, co czynił, postępował konsekwentnie w ten sam sposób, nawet jeśli jego nosiciel przenoślił się z planety na planetę.

Organizm ten prawdopodobnie posiadał pewne zdolności telepatyczne, choć nikt nie wiedział, jak to jest możliwe. Nie był bowiem organizmem obdarzonym inteligencją; a przynajmniej zawsze można było przewidzieć jego zachowanie. Większość wywoływanych przez niego zmian polegała na oddziaływaniu całej kolonii organizmów w jednej osobie na całą kolonię w drugiej osobie, lub osobach. Człowiek dostarczał jedynie świadomej kontroli nad wydarzeniami, jeśli potrafił, a to już determinowało kto rządził kim. Niezbyt skomplikowany w sumie układ, nawet jeżeli nikt do tej pory nie potrafił wyjaśnić rządzących nim reguł.

Jeśli chodzi o Lilith, to pamiętałem jedynie, iż był to rodzaj Rajskiego Ogrodu. Przeklinałem sam siebie za to, że nie kazałem dostarczyć sobie odpowiedniego programu, dzięki któremu byłbym teraz o wiele lepiej przygotowany. Uczenie się szczegółów i poznawanie układów zajmie pewnie sporo czasu.

Jakieś półtora dnia – pięć posiłków – po przylocie do statku bazy, bujanie, wstrząsy i łomoty wywołały u mnie lekką chorobę morską i zmusiły do położenia się na koi. Nie zmartwiłem się. Bez wątpienia, przygotowywano się do transportu towarów i do wylądowania zawartości tych więziennych cel. Czekałem, z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony, pragnąłem z całych sił wydostać się z tego małego pudła, które nie oferowało mi nic prócz nie kończącej się, potwornej nudy. Z drugiej wszakże, kiedy już się wynurzę z tego pudła, znajdę się w większym i zapewne piękniejszym pudle – na Lilith, która również jest więzienną celą, tyle że wielkości całej planety. I to co ona może mi zaoferować w postaci rozrywki, wyzwania i podniet, ma, w przeciwieństwie do tego tutaj pudła, bardzo, ale to bardzo ostateczny charakter.

Łomoty wkrótce ustały i po krótkiej, pełnej niepewności przerwie, ponownie poczułem wibrację wskazującą na ruch – tym razem o wiele bardziej wyraźną. Albo więc znalazłem się na pokładzie znacznie mniejszego statku, albo byłem bardzo blisko silników. Jakkolwiek z tym było, minęły cztery nieznośnie długie dni, dwanaście posiłków, nim znaleźliśmy się w punkcie przeznaczenia. Długo, bez wątpienia, ale zarazem całkiem szybko jak na podświetliły transportowiec, prawdopodobnie przerobiony i zautomatyzowany stary statek towarowy. Wibracja ustała i wiedziałem, że jesteśmy na orbicie. I znowu ogarnęły mnie mieszane uczucia, tym razem było to z

jednej strony ożywienie i radość, a z drugiej uczucie zagrożenia towarzyszące komuś, kto znalazł się w pułapce bez wyjścia.

Usłyszałem trzaski, po czym z głośnika, z którego istnienia w ogóle nie zdawałem sobie sprawy, popłynęły słowa.

– Uwaga, wszyscy więźniowie! – zabrzmiał metaliczny głos, parodia męskiego barytonu. – Znajdujemy się na orbicie planety Lilith, w systemie Wardena – ciągnął, nie mówiąc mi nic, czego bym nie wiedział, ale prawdopodobnie informując innych po raz pierwszy o tym, gdzie się znajdują. Domyślałem się, co przeżywają w tej chwili, na podstawie swoich własnych odczuć. Ich uczucia jednak były zapewne o wicie silniejsze, bowiem ja szedłem tutaj z szeroko otwartymi oczyma, nawet jeśli niezupełnie na ochotnika. Przez moment pomyślałem o lordzie Kreeganie. On był tym, który poszedł na ochotnika, jedynym zresztą o którym słyszałem. Zastanawiałem się, dlaczego to uczynił. Być może było coś takiego w Rombie Wardena, o czym Konfederacja nie miała najmniejszego pojęcia.

– Za chwilę – kontynuował głos – drzwi waszych cel otworzą się i będziecie mogli wyjść. Radzimy zrobić to szybko, ponieważ drzwi zamkną się ponownie po upływie trzydziestu sekund, a pompa próżniowa rozpocznie sterylizację cel. Pozostanie na miejscu byłoby fatalne w skutkach dla ociągających się.

Subtelne zagranie, pomyślałem sobie. Stosowana metoda nie tylko zapobiegała próbom ucieczki podczas transportu, ale zmuszała cię także do poruszania się zgodnie z ich harmonogramem. Alternatywą była bowiem śmierć. Zastanawiałem się, czy byli tacy, którzy ją właśnie wybrali.

– Kiedy znajdziecie się na korytarzu głównym – ciągnął głos – będziecie stać nieruchomo, dopóki drzwi do cel nie zostaną zamknięte. Nie próbujcie oddalać się przed waszych cel, bo w razie takiej próby automatyczne urządzenia wartownicze rozpylą was na atomy. Nie wolno rozmawiać. Nieposłuszni zostaną ukarani na miejscu. Dalsze instrukcje otrzymacie po zamknięciu drzwi. Przygotować się do wyjścia – ruszać!

Nie zwlekałem ani chwili, kiedy drzwi się otworzyły. Na zewnątrz biała płyta, z wymalowanymi stopami, wskazywała jednoznacznie, gdzie należy stanąć. Zrobiłem, co mi polecono, choć było to bardzo irytujące. Całkowita nagość i osamotnienie na statku kontrolowanym jedynie przez komputer, upokarzało człowieka ponad miarę, powodowało uczucie totalnej bezradności.

Rozejrzałem się i stwierdziłem, iż miałem rację. Staliśmy w długim, zamkniętym z obu końców korytarzu, po bokach którego znajdowały się małe cele. Popatrzyłem w prawo i w lewo i zorientowałem się, iż jest nas jakiś tuzin, na pewno jednak nie więcej niż piętnaście osób. Sama śmietanka, pomyślałem kwaśno. Tuzin mężczyzn i kobiet – mniej więcej pół na pół – nagich i sponiewieranych, których trzeba przetransportować i pozostawić swemu losowi. Zastanawiałem się, dlaczego akurat ich zdecydowano się zesłać, pomimo związanych z tym kosztów, zamiast po prostu poddać ich praniu mózgow. Cóż takiego komputery i koleś psycholodzy znaleźli w tych przygnębiających okazach, co zadecydowało, iż powinni oni żyć? Oni sami tego nie wiedzieli, to pewne. Ciekaw byłem, kto wiedział.

Drzwi się zamknęły. Czekałem w napięciu na krzyk kogoś, kto nie ruszał się dość szybko i, być może, zaskoczyło go nagle wypompowywanie powietrza, ale nic nie usłyszałem. Jeśli nawet ktoś wybrał takie rozwiązanie, nie było to w żaden sposób widoczne.

– Na mój rozkaz – szczerknął głos z głośników pod sufitem – wykonacie zwrot w prawo i pójdziecie powoli gęsiego tak daleko, jak się da. Dojdziecie w ten sposób do specjalnego promu, który przewiezie was na powierzchnię. Zajmiecie miejsca poczynając od przodu statku, nie zostawiając wolnych. Pasy macie zapiąć natychmiast po zajęciu miejsc.

– Sukinsyny – mruknęła kobieta przede mną. Natychmiast rozległ się syk i krótki, ale ostry promień światła uderzył w podłogę tuż obok jej stóp. Drgnęła zaskoczona, po czym zawołała: – No dobrze, już dobrze. – Nie odezwała się więcej.

Głos przerwał, ale po krótkiej chwili podjął przekazywanie poleceń, nie wspominając ani słowem o tym incydencie.

– W prawo zwrot, ruszaj! – rozkazał, a my wypełniliśmy ten rozkaz. – Maszerować powoli do promu, zgodnie z moją instrukcją.

Szliśmy w milczeniu, ale bez pośpiechu. Metalowa podłoga była cholernie zimna – w rzeczywistości, całe to otoczenie było niezbyt przyjemne – co przemawiało na korzyść promu.

Okazał się on bowiem zaskakująco wygodny i nowoczesny, chociaż jego siedzenia nie były dostosowane do nagich ciał. Znalazłem miejsce jakieś cztery rzędy od końca, założyłem pasy bezpieczeństwa i czekałem na pozostałych. Zauważyłem, iż moja wstępna ocena dotycząca liczby więźniów była bliska rzeczywistości. Prom mógł pomieścić dwadzieścia cztery osoby, nas natomiast było czternaścioro – ośmiu mężczyzn i sześć kobiet.

Kłapa wejściowa zamknęła się automatycznie i rozległ się syk, świadczący o wyrównywaniu ciśnienia. Potem nastąpiło gwałtowne szarpnięcie, które oznaczało, że odcumowaliśmy od statku i znajdujemy się w drodze na powierzchnię.

Prom był zbyt komfortowy i nowoczesny, by służyć jedynie jako transportowiec dla więźniów. Musiał więc być jednym z tych statków, które utrzymują regularną łączność pomiędzy planetami Rombu Wardena.

Głośniki rad naszymi głowami zatrzeszczały i rozległ się z nich przyjemny głos kobiecy. Była to wyraźna zmiana na lepsze.

– Witamy na Lilith – powiedział głos tonem, który brzmiał zupełnie szczerze. – Jak wam już, bez wątplenia, wyjaśniono, Lilith jest ostatecznym celem waszej podróży i waszym nowym domem. I chociaż nie będziecie już mogli opuścić systemu Wardena, przestaniecie automatycznie być więźniami, a staniecie się obywatelami Rombu Wardena. Władza Konfederacji skończyła się w momencie waszego wejścia na prom, który jest wspólną własnością, światów Wardena i częścią floty powietrznej, złożonej z czterech promów i szesnastu transportowców. Rada Systemu jest uznawana przez Konfederację za ciało niezależne i ma nawet swoje miejsce w Kongresie

Konfederacji. Każdy z czterech światów posiada osobną administrację, a rząd każdej planety jest niezawisły i niezależny. Niezależnie od tego, kim byliście i co robiliście w przeszłości, teraz jesteście obywatelami Lilith i niczym więcej. Nie jesteście już więźniami. Wasze czyny należą do przeszłości, której nikt wam nie będzie pamiętał i która nigdzie nie zostanie zarejestrowana. Istotne będzie jedynie to, co będziecie robić teraz jako obywatele Lilith, w systemie Wardeny.

Głos przerwał, zostawiając nam trochę czasu na przetrawienie tej informacji. Kontrast pomiędzy stosunkiem do nas i tonem jakim się obecnie do nas zwracano, a tym, czego poprzednio doświadczyliśmy, był ogromny.

– Z powodu wyjątkowych własności Lilith – kontynuował głos – prom nie może pozostawać dłużej na jej powierzchni, uległby bowiem uszkodzeniu. Co więcej, obowiązuje go pewien harmonogram i są inni, którzy zechcą skorzystać z jego usług. Dlatego też, należy wysiadać natychmiast po otwarciu wjazdu. Ktoś na pewno będzie was oczekiwał, ktoś, kto odpowie na wasze pytania i wskaże wam wasze nowe miejsca zamieszkania. Proszę współpracować ściśle z tą osobą, ponieważ Lilith jest światem prymitywnym i wielce niebezpiecznym dla nowo przybyłych. Lądowanie nastąpi za około pięć minut.

Chociaż napięcie w dużym stopniu ustąpiło, nikt się nie odezwał przez pozostałą część drogi – w dużym stopniu był to rezultat tresury jaką przeszliśmy jako więźniowie, ale głównym powodem były zapewne nerwy. Mnie również to dotyczyło. To jest to, powiedziałem sobie. Zaczyna się.

Nagle uczucie opadania, jakiego doznajemy, wpadając w dziurę powietrzną podczas lotu samolotem, ustąpiło miejsca przemieszczeniu się sił przyciągania, po którym nastąpiło gwałtowne uderzenie i podskok. Wylądowali tak szybko, jak to było możliwe i przez chwilę zastanawiałem się, dlaczego im się tak spieszy. Wjazd zasyczał i otworzył się; ku memu zaskoczeniu uderzyło w nas gorące i wilgotne powietrze.

Nie marnowaliśmy czasu i zrobiliśmy tak, jak nas poinstruowano – nie miało sensu narażać się naszym nowym panom i władcom, kiedy nie miało się pojęcia o niczym – i szybko wysiedliśmy. Zaskoczyły mnie jedynie ruchome schody odchodzące od wejścia do promu i sięgające gołej ziemi. Nie było tam bowiem żadnego lotniska, nie było niczego. Po kilku sekundach, staliśmy nadzy i zdezorientowani, natychmiast oblani lepkiem polem, na jakiejś trawiastej równinie czy łące.

Przybyliśmy na Lilith – i w tym samym momencie, w którym uderzyło w nas gorące, miejscowe powietrze, rozpoczęła się systematyczna inwazja wiadomych mikroorganizmów w głąb naszych ciał.



## Rozdział trzeci

### POCZĄTKI

Byłem świadom obecności jakichś innych ludzi wokół nas – nie mechaników i personelu obsługi technicznej, których obecność byłaby oczywista, ale po prostu innych ludzi – pasażerów odlatujących. Zauważyłem jakieś pół tuzina osób, ubranych w luźne spódniczki, a nawet w jakieś błyszczące szaty, nie różniących się zbyt wiele od przeciętnych osobników z pogranicza, których tak dobrze znałem. W rzeczywistości, nie bardzo różniły się one od nas samych. Kiedy ostatni z naszej grupy opuścił prom, pasażerowie ci szybko zajęli nasze miejsca w tym, jak się teraz okazało, lśniącym i przypominającym latający spodek, pojeździe. Natychmiast wciągnięto schody i zamknięto właz.

– Nie marnują ani chwili, co? – zauważył stojący obok mnie mężczyzna i nie mogłem się z nim nie zgodzić.

Kiedy pomyślałem o tych pasażerach, zdałem sobie sprawę, iż jest w nich coś dziwnego, coś, co różni ich od pasażerów któregośkolwiek ze statków międzyplanetarnych, jakich spotkałem w swym życiu. Żaden z nich, ani jeden, nie miał przy sobie jakiegokolwiek bagażu, a przecież nie było dość czasu, by taki bagaż załadować na statek w czasie, kiedy my go opuszczaliśmy. Prawdę mówiąc, nie mieli przy sobie zupełnie niczego, z wyjątkiem skąpego odzienia, w które byli ubrani.

Z pewnego oddalenia obserwowaliśmy jak statek ożywa i wznosi się szybko w powietrze. Przestał być widoczny w jednej chwili, a mimo to wszyscy nadal odprowadzaliśmy go wzrokiem, wpatrując się dokładnie w ten punkt błękitnego nieba, w którym zniknął. Tak jakby ten prom reprezentował sobą ostatnie ogniwo łączące nas ze starą cywilizacją, jakby był ostatnim połączeniem z miejscami, w których kiedyś byliśmy i z ludźmi, których znaliśmy – a także z ludźmi, którymi my sami kiedyś byliśmy.

Byłem jednym z pierwszych, którzy oderwali oczy od nieba, i dlatego natychmiast spostrzegłem zbliżającą się do nas atrakcyjną kobietę. Miała na sobie skąpą kolorową spódniczkę i coś, co przypominało sandały. Była bardzo wysoka – na pewno jakieś 180 centymetrów – włosy miała długie i czarne, skórę tak mocno opaloną, iż prawie czarną.

– Halo! – zawołała głębokim, gardłowym, a mimo to przyjemnym głosem. – Jestem waszą

przewodniczką i instruktorką. Proszę iść za mną do miejsca zakwaterowania.

Kilka osób wpatrywało się ciągle w niebo, jakby były zaczarowane czy zahipnotyzowane, w końcu jednak wszyscy udaliśmy się za naszą przewodniczką. Byliśmy przecież tymi, którzy przeżyli, i życie toczyło się dalej.

Opis Lilith jako Rajskiego Ogrodu, dotyczył głównie jej ciepłego klimatu i bujnej roślinności. Przynajmniej ja sani tak sobie tę planetę wyobrażałem. Jednak moja wyobraźnia nie podsunęła mi obrazu półnagich kobiet i chat z trawy; do takiego prymitywu nie byłem przyzwyczajony.

A właśnie takie chaty z trawy ujrzałem; żółte ściany z trzciny i kryte strzechą dachy. Zauważyłem, że inni byli równie zaskoczeni jak ja. Byliśmy przygotowani prawie na wszystko, ale przecież wychowaliśmy się w błyszczącym, zautomatyzowanym świecie. Nawet najniższe warstwy społeczne przyzwyczajone były do zerkania od czasu do czasu na zegarek, by sprawdzić godzinę, datę i tak dalej; do światła, które włączało się, kiedy wchodziłeś do pokoju; do pożywienia, które otrzymywałeś, jeśli wydałeś polecenie i dotknąłeś płytki w ścianie. Prymitywne miejsce to takie, gdzie nie zawsze można kontrolować pogodę, gdzie budynki bywają zbudowane z kamienia i drewna... i gdzie rośnie trawa i drzewa. A tutaj – nie tylko wyglądałem teraz jak jakiś człowiek prehistoryczny, ja nim po prostu byłem. Usiedliśmy przed jedną z chat i słuchaliśmy naszej przewodniczki.

– Jestem Patra – powiedziała, wymawiając głoską r z lekką wibracją. – Jakieś pięć lat temu, podobnie jak wy, zostałam skazana na zesłanie tutaj. Nie wyjawię mojego przestępstwa ani mojego dawnego imienia – na światach Wardena nie pytamy o takie rzeczy, chociaż czasami są tacy, którzy z własnej woli udzielają informacji tego rodzaju. Do was należy wybór, czy chcecie ujawnić coś z waszej przeszłości i komu to chcecie ujawnić. Możecie używać waszego dawnego imienia, możecie też przyjąć nowe, jak ja to uczyniłam.

Rozległy się szepty i potakiwania. Musze przyznać, iż mnie leż przypadł do gustu ten pomysł. Z wyjątkiem sytuacji, kiedy napotkam kogoś, kto znał osobiście starego Cala Tremona, oszczędzi mi to odpowiadania na wiele kłopotliwych pytań i tym samym zmniejszy szansę popełnienia błędu.

– Zostaniecie tutaj przez kilka dni – ciągnęła Patra. – Jesteście bowiem na nowym i wrogim człowiekowi świecie. Domyślałam się, iż wielu spośród was było na nowych i wrogich światach, ale żaden z nich nie przypominał tego. W przeszłości mieliście mapy, plany, komputery, mechaniczne pomoce wszelkiego rodzaju, nie wspominając skutecznej broni. Tutaj te rzeczy nie istnieją, a informacje możecie otrzymać jedynie ode mnie. Co więcej, a z czego bez wątpienia zdajecie sobie sprawę, organizm Wardena wnika do naszych ciał i żyje wewnątrz nas, a proces ten może mieć bardzo nieprzyjemne skutki uboczne podczas pierwszych kilku dni. Nie chciałabym was bez potrzeby straszyć, powiem więc tylko, iż skutki te na ogół ograniczają się do zawrotów głowy, dezorientacji, bólu żołądka i tym podobnych objawów. Nie będziecie tak naprawdę chorzy, będziecie tylko od czasu do czasu odczuwać pewien przykry dyskomfort. Minie to jednak bardzo szybko i wkrótce o wszystkim zapomnicie. A ma to także swoje zalety.

– Taa, przykuwa nas do tej skały – mruknął któryś ze słuchających.

Patra uśmiechnęła się tylko.

– Nie całkiem, chociaż zatrzymuje nas w tym układzie słonecznym. Jest to fakt, który należy zaakceptować, z którym należy się pogodzić. Nawet nie próbujcie myśleć o ucieczce, o przechytrzeniu tego systemu. Nie tylko nie da się tego zrobić – a usiłowały to uczynić najlepsze mózgi w galaktyce – ale śmierć związana z taką próbą, należy do najgorszych, najbardziej okropnych, jakie można sobie wyobrazić.

Przerwała, dając nam trochę czasu na przetrawienie tej informacji i wiedząc, iż prawdopodobnie nie przyjmiemy jej na razie do wiadomości, po czym ciągnęła dalej.

– Zaletą tego organizmu jest to, że już nigdy nie będziecie musieli cierpieć na jakakolwiek chorobę. Żadnych bólów zęba, żadnych przeziębień, żadnych infekcji, nic z tych rzeczy. Nawet spore rany, o ile nie są śmiertelne, zablizną się szybko. Możliwa jest również regeneracja tkanek. Na Lilith nigdy nie potrzebowaliśmy lekarzy i nigdy ich nie będziemy potrzebować. Innymi słowy, organizm Wardena płaci za to, co zabiera.

Ciągnęła w tym duchu przez jakiś czas, podając mnóstwo podstawowych i szczegółowych danych na temat planety, danych, które ja już znalazłem z wcześniejszego instruktażu, po czym przyszedł czas na posiłek. A tu już naprawdę było do czego się przyzwyczajać, bowiem kuchnia Lilith składała się z gotowanych insektów i przeróżnych chwastów, przemieszanych z jakimś zianiem w kolorze mało apetycznego fioleto.

Kilka osób z mojej grupy nie było w stanie z początku znieść takiego pożywienia, w końcu jednak wszyscy się przyzwyczajają. Dla niektórych życie z tego powodu stanie się jeszcze mniej przyjemne, dla innych okaże się to skuteczną formą diety odchudzającej.

Przyzwyczajanie się do gulaszu z owadów i gumowatego, fioletowego chleba nie będzie łatwe, pomyślałem sobie, ale nauczę się to jeść i spróbuję nawet polubić, w przeciwnym bowiem razie... W ciągu kilku następnych dni udało mi się przyzwyczaić do miejscowego pożywienia oraz do załatwiania się w krzakach i do używania liści w miejsce automatycznych wycieraczek, i do całej tej reszty. Jak już powiedziałem wcześniej, wybierano nas ze względu na naszą umiejętność adaptacji praktycznie do wszystkiego – a to było „praktycznie to wszystko”, o którym wspominały podręczniki na szkoleniach.

Patra miała również rację, jeśli chodzi o skutki uboczne inwazji naszych ciał przez ten organizm. Doświadczyłem na sobie silnych zawrotów głowy, przedziwnych bólów w całym ciele, uczucia swędzenia wewnętrznego – cholernie nieprzyjemnego, ale do wytrzymania. Wszyscy leż mieliśmy biegunki, podejrzewam jednak, iż związane z pożywieniem, a nie z tym mikroorganizmem.

Jak do tej pory, sesje szkoleniowe prowadzone przez Patrę dotyczyły znanych mi spraw, a choć były one przedstawione w sposób bardziej szczegółowy niż materiały, które mi przekazano, i dlatego były bardzo przyteczne, nie zawierały jednak potrzebnych mi faktów. Czwartego dnia, bardzo długiego – niełatwo było spać w tym klimacie, pomijając fakt że dnie i noce były o tyle dłuższe – dotarła wreszcie do spraw ciekawszych.

– Wiem, iż wielu z was zastanawia się i pyta, dlaczego nie ma tu maszyn, nie ma lotniska, budynków i innych pożytecznych urządzeń – zaczęła. – Zbywałam was do tej pory milczeniem na te tematy, ponieważ najważniejszym dla mnie było, byście przebrnęli przez ten okres związany z nieprzyjemnymi symptomami występującymi tuż po przybyciu na planetę. Powód braku tego wszystkiego jest łatwy do wytłumaczenia, ale piekielnie trudny do zaakceptowania, niemniej wyjaśnia on wszystko, co widzicie wokół siebie. – Popatrzyła na nas przez chwilę, z półuśmiechem na ustach.

– Lilith – powiedziała – jest żywa. Tak, wiem, że to nie ma sensu, ale żaden ze światów Wardena nie miałby sensu, w potocznym znaczeniu tego słowa. Powiem wam więc, jak się tutaj przedstawia sytuacja, używając terminów, które oddają rzeczywistość jedynie w przybliżeniu. Chcę, byście sobie wyobrazili, iż wszystko, co widzicie – nie tylko trawa i drzewa, ale wszystko: skały, ziemia pod waszymi stopami – jest żywe, jest komórkami jednego organizmu, a każda z tych komórek zawiera w sobie organizm Wardena, pozostający z nią w takim samym układzie symbiotycznym, jaki właśnie powstaje w waszych ciałach. Organizmowi temu odpowiada świat w takiej formie, w jakiej się teraz znajduje. Dlatego utrzymuje go przy życiu. Zetniście drzewo, a drugie wyrośnie błyskawicznie na jego miejscu. Tymczasem, to ścięte równie szybko ulega rozkładowi – gnije w ciągu jednego dnia, a po trzech dniach znika, pochłonięte przez glebę. To samo dotyczy ludzi. Kiedy umrzecie, obrócicie się w proch w niecałe trzy dni. Dlatego właśnie nasze pożywienie wygląda tak, jak wygląda. Składa się na nie jedynie to, co można schwytać, zabić i przygotować do spożycia w ciągu jednego dnia. Zauważyliście zapewne, iż nasze racje żywnościowe dostarczane nam są każdego dnia rano.

Rozległy się odgłosy potakiwania, ale ja miałem wątpliwości.

– Chwileczkę. Jeśli to wszystko prawda, to jak to się dzieje, że te chaty z trawy jakoś się trzymają? Są przecież z martwej materii.

Uśmiechnęła się ponownie.

– Dobre pytanie. Prawda jednak jest taka, iż to nie jest martwa materia. Są to bowiem żywe krzewy bunti, spokrewnione z tymi żółtymi łodygami, które widzicie tutaj i tam, w tamtym lesie.

– Chcesz przez to powiedzieć, że rosną sobie same z siebie i przyjmują kształt domów, żeby nam sprawić przyjemność? – spytała z powątpiewaniem jakaś kobieta.

– Cóż, niezupełnie – odpowiedziała Patra. – Przybierają one kształt domów, bo tak im rozkazano.

Wszyscy otworzyli szeroko oczy.

– A kto im rozkazał? – ktoś spytał.

– Życie jest ciągłym ścieraniem się siły woli dwóch stron – wyjaśniała Patra. – Na Lilith w jeszcze większym stopniu niż gdzie indziej. Jest to jądrem tej cywilizacji, którą tutaj stworzyliśmy. Zważcie bowiem, że chociaż organizm Wardena nie posiada inteligencji w naszym rozumieniu tego

pojęcia, jest on autentycznie obcym organizmem, który staje się, w większym lub mniejszym stopniu, integralną częścią tego, w czym żyje – a żyje we wszystkim. Nie jesteście już więc istotami ludzkimi. Jesteście teraz czymś innym – tak naprawdę jesteście istotami obcymi. Jeśli opanujecie własne ciało i jeśli wasz umysł jest wystarczająco silny i posiada wystarczająco dużo naturalnych umiejętności i siły woli, będziecie w stanie wyczuć obecność organizmu Wardena we wszystkim, co się wokół was znajduje – wyczuć i w jakimś sensie przemawiać do niego. W jakiś sposób, nikt nie wie w jaki, organizmy Wardena są ze sobą połączone. Możecie myśleć o nich jak o pojedynczych, niezależnych komórkach jakiegoś wielkiego stworzenia. W przeciwieństwie do naszych komórek nie są połączone ze sobą bezpośrednio, ale łączą się ze sobą w sposób, którego nie jesteśmy w stanie pojąć. Potrafią komunikować się ze sobą. A wy możecie spowodować, żeby się ze sobą komunikowały. Moglibyście również, jeśli posiadziecie taką moc, nakazać organizmowi Wardena, i to nie będącym częścią waszego własnego organizmu, by czyniły to, co chcecie.

Uczucie zdumienia i niedowierzania ogarnęło całą grupę, ja jednak byłem troszkę lepiej przygotowany na przyjęcie tego rodzaju rewelacji. Mimo to, miałem duże kłopoty z wyobrażeniem sobie tego wszystkiego w konkretnej sytuacji.

– Władza jednostki nad tym organizmem – wyjaśniała Patra – różni się w bardzo szerokim zakresie. Niektórym ludziom nigdy nic się nie udaje – obawiam się, iż większość jest mniej więcej taka jak wy w tej chwili – i stąd pozostają na lasce potężniejszych umysłów, które mogą kontrolować organizmy Wardena niezbędne do życia i od których zależy tym samym pożywienie, schronienie, a nawet to, co dzieje się wewnątrz waszych własnych ciał. Zdarzają się też samorodne, dzikie talenty, posiadające umiejętność ukazywania swej mocy, czasem olbrzymiej, ale niezdolne do jej kontrolowania. Zakres kontroli, jaką się posiada, jest stały. Nie mamy pojęcia, dlaczego jedni nią dysponują, a inni nic. Mogę wam jednak powiedzieć, iż z jakiejś przyczyny przybysze wykazują na ogół predyspozycje do uzyskiwania wyższego poziomu mocy, niż ci, którzy urodzili się tutaj. Możliwe, iż dzieje się tak, dlatego że organizm Wardena pozostaje dla nas czymś obcym i ciągle jesteśmy świadomi jego obcości i jego obecności w nas samych. Jeśli będziecie posiadać taką moc, ujawni się ona sama z siebie. A kiedy się już ujawni, wymagane będą ćwiczenia i praktyka w celu wykrycia pełnych potencjalnych możliwości, które zadecydują o waszym miejscu w tym świecie.

Było nad czym rozmyślać i czym się martwić – istnienie przypadkowego czynnika, znajdującego się całkowicie poza moją kontrolą, nieco mną wstrząsnęło. To, jak daleko zajdę tutaj i jak mi się powiedzie, zależało przecież od tego, jak dobrze ułożą się moje stosunki z tymi małymi stworzonkami wewnątrz moich własnych komórek.

– Lilith jest podzielona politycznie na pewne regiony – wyjaśniała dalej. – Te tereny, czy też okręgi, utworzone są na podstawie liczby ludności. Obecnie każdy okręg zamieszkuje około dwudziestu ośmiu tysięcy osób. Na czele każdego okręgu, których w sumie jest czterysta siedemdziesiąt, stoi funkcjonariusz, nazywany księciem. Książęta są niezmiernie potężni, ponieważ posiadają oni rzadką umiejętność stabilizowania martwej materii. W rezultacie tego, mieszkają w pięknych pałacach, często posiadają dzieła sztuki, zastawę stołową i wiele pięknych przedmiotów. A także broń.

– Książę jest zarazem najpotężniejszym rycerzem w swoim okręgu. Stąd funkcjonariuszy bezpośrednio mu podległych nazywamy rycerzami, a teren zarządzany przez każdego z rycerzy,

dziedzina. Rycerze również posiadają pewien zakres kontroli nad martwą materią, lecz na skalę o wiele mniejszą od księcia – jeśli zaś chodzi o pozostałą ludność, to dla niej różnice mocy pomiędzy księciem a rycerzem są praktycznie niezauważalne. Książę jest, w tym sensie, jedynie najpotężniejszym z rycerzy. Dziedziny różnią się rozmiarami, od bardzo małych do ogromnych, w zależności od liczby mieszkańców. Im rycerz jest potężniejszy, tym większą liczbę osób kontroluje i tym większa jest jego dziedzina. Książę, będąc rycerzem, posiada naturalnie największą dziedzinę.

Pokiwałem głową, rozważając jej słowa. Rycerze i książęta nieźle się tutaj urządzili. To miejsce zaczęło mi przypominać jakąś monarchię, tyle że opartą na jakichś nieokreślonych, naturalnych zdolnościach, a nie na dziedziczości. Cóż, przynajmniej nie zakładano dzięki temu dynastii.

– Dziedziny – ciągnęła Patra – administrowane są przez panów. Można przyjąć, iż są odpowiednikami kierowników wydziałów. Każdy z nich zarządza bowiem jakimś działem administracji dziedziny. Panowie potrafią kontrolować istoty żywe, lecz ich zdolność do stabilizacji martwej materii jest bardzo, bardzo ograniczona. Pan mógłby, na przykład, spowodować, by te krzewy bunt wyrosły w kształt domu, i to zgodny z jego konkretnym projektem. Poniżej panów są nadzorcy, którzy wykonują zadania odpowiadające ich imieniu. Organizują bezpośrednio pracę. Ich zdolność stabilizowania martwej materii ograniczona jest na ogół do kilku drobnych artykułów odzieżowych, ale dysponują pewną władzą nad istotami żywymi, głównie natury niszczącej. Potrafią jednakże regenerować części swego ciała, nawet całe członki, i powodować regenerację u innych – co, naturalnie, wchodzi w zakres możliwości panów, rycerzy i książąt. Muszę was ostrzec, potrafią oni również uczynić coś wręcz przeciwnego – spowodować uschnięcie członka i zadać ból, za pomocą samej siły woli.

– A kim ty sama jesteś?

– Żadną z wymienionych – roześmiała się. – Jestem wędrowniczka. Zasadniczo moja moc jest podobna do mocy pana, ale nie należę do żadnej z dziedzin. Książętom potrzebni są ludzie, którzy wędrowaliby pomiędzy dziedzinaми, służyli jako posłańcy, parali się handlem, cóż, również szkolili nowo przybyłych. Jesteśmy przeto kupcami, ambasadorami, kurierami i czym tam jeszcze – odpowiedzialnymi tylko przed księciem. To głównie kwestia temperamentu, czy należysz do klasy wędrowców czy panów. Obydwa zajęcia mają swoje plusy i minusy, a fakt, iż jestem wędrowniczka nie oznacza, że kiedyś nie zdecyduję się przyjąć stanowiska pani.

– Wyjaśniłaś nam sytuację na wyższych szczeblach hierarchii – zauważyłem. – Dotyczy ona kilku tysięcy osób, a przecież powiedziałaś, że na planecie żyje przeszło trzysta milionów mieszkańców. Co z całą resztą?

– Pionki – odpowiedziała. – Pracują. Wykonują wszystko, co im każą. Zważcie bowiem – pionkom potrzebni są ci potężniejsi od nich, by ich nakarmili, dali im dach nad głową, bronili ich przed dzikimi bestiami żyjącymi na tej planecie. Oni tego wszystkiego nie potrafią.

– Niewolnicy – mruknął siedzący obok mnie mężczyzna. – Zupełnie jak w świecie cywilizowanym, tyle że zredukowane do najniższego wspólnego mianownika.

Nie uważałem, by porównanie to było właściwe, ale rozumiałem jego uczucia i tym samym domyślałem się dlaczego się tutaj znalazł.

– Opuściłaś kogoś w tej wyliczance. – odezwała się ta buntownicza kobieta ze statku więziennego. – Faceta, który rządzi tym wszystkim. Jaka moc jest potrzebna, żeby być władcą?

Patra robiła wrażenie lekko zakłopotanej sposobem, w jaki postawiono to pytanie, ale odpowiedzi udzieliła bez żadnej zwłoki.

– Jest tylko jeden władca. Obecnie jest nim lord Marek Kreegan. Został nim, ponieważ rzucił wyzwanie poprzedniemu władcy i zabił go, tym samym udowadniając swą moc. Władcy bowiem mają wszystkie te moce, jakimi dysponują książęta, plus jedną dodatkową, którą rzadko kto posiada – zdolność stabilizowania materii obcego pochodzenia. Mogą tedy posiadać urzędników nie pochodzących z naszego świata. Cała bowiem materia obcego pochodzenia, z wyjątkiem tej, która jest stabilizowana przez władcę lub prawie dorównującego mu mocą kanclerza, Wielkiego Księcia Kobe, ulega rozkładowi. Nasze dwa promy, oprócz tego, iż były poddane ścisłej procedurze odkażającej, jednocześnie stabilizowane były przez lorda Kreegana. Gdyby bowiem tego nie uczynił, uległyby one tutaj rozkładowi.

Oto i wyjaśnienie wszystkiego: niewiarygodnej rzeczywistości układu hierarchii na Lilith, tego, co wolno, i czego nie wolno jednostce, a nawet tego, dlaczego ci wyjeżdżający nie mieli ze sobą żadnego bagażu. Także wyjaśnienie ubrania, a raczej jego braku, jakie obserwowaliśmy wokół. Skoro liczyła się przede wszystkim twoja zdolność „stabilizowania martwej materii”, oznaczało to, iż im więcej miałeś odzieży, tym wyżej w hierarchii było twoje miejsce. Zastanawiałem się, bez sensu, czy książęta noszą tyle ubrań, iż wyglądem przypominają wieszaki sklepowe; gdyby tak było, wyższa ranga miałaby swoje minusy, bo wymagałaby widocznych na pierwszy rzut oka zewnętrznych znamion zajmowanego stanowiska. Nic w tym dziwnego, iż lord Kreegan zachowywał pełną anonimowość. Szaty ceremonialne związane z jego stanowiskiem musiałyby go chyba przygnieść i udusić.

Na Lilith szaty świadczyły o człowieku, a człowiek o szalach, i sam sobie te szaty sporządzał. Znaczyło to, że skoro jesteśmy nadzy, zaczynamy nasze życie na samym dole hierarchii społecznej. Cóż, w tym klimacie przynajmniej nie zamrzniemy na śmierć. Niemniej pewne poczucie wstydlivosti zostało głęboko wryte w mojej psychice, chociaż w tym otoczeniu, pośród innych nagich więźniów nie dokuczało mi zupełnie. Wiedziałem, że kiedy znajdę się w otoczeniu nieznanym na tej obcej ziemi i w tej obcej kulturze, będę czuł się troszkę niezręcznie, szczególnie jeśli chodzi o środkowe partie mojego ciała.

Później, tego samego popołudnia, pobrano nam krew. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób są w stanie przeprowadzić jej analizę, ale okazało się, że ją przeprowadzili i że rezultaty są zadowalające. Wieczorem, Patra zebrała nas razem, już po raz ostatni jako zwartą grupę.

– Jutro – oznajmiła nam – przyłeci po was prom i zabierze was do rozrzuconych szeroko i daleko dziedzin. Od tej pory będziecie już w rejestrach konkretnej dziedziny, nie wiem której, i zostanie wam wyznaczona praca. Pierwsze tygodnie będą nauką, podczas której poznacie siły występujące w tym świecie i sposób ich działania. To czy pozostaniecie pionkami, czy też się

wzniesiecie wyżej, zależeć będzie od was samych. Właściwy dla was poziom i tak osiągniecie, nie da się tego uniknąć, ale czas, w jakim to uczynicie, może być bardzo różny, od tygodni do lat. Pamiętajcie, że około trzech milionów mieszkańców Lilith przybyło tutaj taką samą drogą jak wy; reszta urodziła się na miejscu i są oni potomkami przybyłych wcześniej. Macie takie same potencjalnie możliwości jak pozostali.

W naszej grupie rozległy się szepty i pomruki. Wydawało nam się, iż jest to najgorszy rodzaj cywilizacji dla kogoś z zewnątrz: cywilizacja walki, oparta na mocach, których siła znajdowała się poza jakąkolwiek kontrolą jednostki.

Niewiele spałem tej nocy. Nie byłem zresztą wyjątkiem w tym względzie, pozostali zapewne również myśleli o nadchodzącym dniu. Jeśli chodzi o mnie, to odczuwałem coś, czego już od bardzo dawna nie doświadczyłem. Odczuwałem bowiem wątpliwości i malejącą wiarę w siebie i we własne zdolności. A było jeszcze tak wiele rzeczy, których nie znałem w tym świecie – rzeczy, których musiałem się nauczyć i dowiedzieć, tak jak dowiedziałem się, gdzie zostałem ulokowany w społeczeństwie przez ten przedziwny system. Jedyne, co mnie trochę pocieszało, to laki, iż Marek Kreegan wywodził się z tego samego środowiska co ja, a jednak wspiał się na szczył i rządzi tym wszystkim. A co najważniejsze, był tak jak ja człowiekiem, osobą, istota ludzką. Mówiło się, iż posiada olbrzymią moc, ale był przecież śmiertelny i mógł umrzeć.

Poza tym, już w tej chwili wiedziałem o nim bardzo dużo. Znałem jego wiek, płeć, wygląd ogólny i wiedziałem, że przepada za anonimowością, a nie lubi wygodnego życia. Oznaczało to, iż musi występować w postaci wędrownika, by móc podróżować bez przeszkód i obserwować zarówno tych wielkich, jak i małuczkich. Naturalnie, inni też już zapewne doszli do podobnych wniosków, co tylko oznaczało, iż miał on jakieś dodatkowe sztuczki w rękawie, pozwalające mu zachować anonimowość. Zdałem sobie sprawę z tego, że chociaż wędrownicy dysponowali jedynie mocą pana, ich ranga i godność musiała być wyższa, szczególnie jeśli byli już w średnim wieku. Nawet największy z książąt nie był w stanie pozbyć się pewnego uczucia niepewności, kiedy obcował z tymi ludźmi. Wędrowiec byłby więc rangą najbardziej odpowiednią dla moich celów, zdecydowałem – ale był to czynnik, który znajdował się całkowicie poza moją kontrolą.

To ostatnie sprowadziło na mnie ponownie przygnębienie, zacząłem więc pocieszać się myślą, że przecież jestem tutaj dopiero od kilku dni i niewiele jeszcze widziałem z tego dziwnego świata, a już zawęziłem krąg podejrzanych do grupki, liczącej może mniej niż tysiąc, osób.

Tak, na pewno. Moje zadanie wyglądało na coraz łatwiejsze.



## Rozdział czwarty

### **DZIEDZINA ZEIS**

Prom, który przywiózł nas do punktu szkolenia – nigdy nie odkryłem, w którym miejscu na Lilith on się znajdował – był srebrny, a ten, którym lecieliśmy do stałego miejsca pobytu, choć rudoczerwony, był wewnątrz dokładnie taki sam jak ten pierwszy. Zastanawiałem się, czy to nie ta sama maszyna. Może malują go za każdym razem, kiedy znajduje się na orbicie, by zastąpić tę warstwę powierzchni, którą utracił podczas lotu. Nie ulegało wątpliwości, iż harmonogram lotów promu, który posiada stałą bazę na orbicie, musi być z góry bardzo dokładnie opracowany. A robi to ktoś, kto przecież nie korzysta z dobrodziejstwa radia – co wskazywałoby na przedstawiciela wszystkich książąt i władcy Lilith, skoro harmonogram musi być skoordynowany z dużym wyprzedzeniem czasowym, a jednocześnie prom powinien być dostępny, jeśli powstanie nagle potrzeba jego użycia.

Ciągle nie miałem najmniejszego pojęcia, na czym miałyby polegać ta szczególna „moc”, ani jeśli chodzi o zasadę działania, ani chociażby samo działanie, które mógłbym zobaczyć na własne oczy. Nic wokół mnie się nie rozpadło, nikt nie raził nikogo piorunami z końców palców, nic z tych rzeczy. Skoro nigdy nie widziałem tej mocy w działaniu, to skąd będę wiedział, że ją posiadam? A jeśli jej nie będę posiadał, i to w odpowiednich ilościach, to przegram, zanim jeszcze cokolwiek zacznę. Chyba powinienem mieć trochę zaufania do fachowców ze Służby. To ich komputery wybrały mnie do tej roboty, a jednymi spośród czynników, które musiały brać pod uwagę, były zapewne te, które sprzyjały uzyskaniu przeze mnie ewentualnej, wielkiej mocy. Z drugiej strony, te same przecież komputery i ci sami, najlepsi w galaktyce, naukowcy, nie mieli żadnego naturalnego, fizycznego wyjaśnienia zjawiska Wardena.

Ciągle wracałem myślą do Kreegana. Wiedział przecież, w co się pakuje, a mimo to na ochotnika i bez obaw poleciał na Lilith. Najwyraźniej miał jakieś zdecydowane podstawy, by oczekiwać, iż zyska wielką moc, w przeciwnym razie by tego nie zrobił.

Ładowaliśmy czterokrotnie nim przyszła kolej na mnie. Za każdym razem wysiadał ktoś z mojej grupy, ale jednocześnie wsiadali i wysiadali zwyczajni pasażerowie. Nie mogłem nie zauważyć, iż jedynie my, nowo przybyli, byliśmy nadzy. Wylądowaliśmy ponownie – prom wchodził na orbitę po każdym lądowaniu w celu oczyszczenia, a to oznaczało wolniejszą podróż – i głos w głośniku wywołał numer mojego fotela. Właz zasyczał i otworzył się, opuszczono schodki i po raz drugi stopy moje stanęły na powierzchni Lilith.

Sceneria była niewiarygodna. Znajdowałem się w przepięknej dolinie, otoczonej wysokimi górami, na szczytach których można było dostrzec ślady śniegu. Sama dolina wyglądała jak żywcem wyjęta z dziecięcej baśni: szerokie pola, na których rosły w równiutkich rzędach trzymetrowe rośliny o długich, mięsistych liściach; małe jeziora, które wyglądały na tak płytkie, iż mogły być czymś w rodzaju pól ryżowych; i łąka, na której pasło się jakieś bydło o przerażającym wyglądem. Po raz pierwszy zobaczyłem to, co stanowiło podstawę spożywanego przez nas gulaszu i muszę przyznać, że zrobiło mi się niedobrze. Ogromne insekty przypominały monstrualnych rozmiarów karaluchy, tyle że miały wielkie, wielościenne oczy na szypułkach i pokryte były brązowym, kręconym futrem. W swoich podróżach widziałem wiele gatunków fauny pozaziemskiej, a wśród nich stworzenia jeszcze bardziej obrzydliwe niż te, ale nigdy ich nie jadłem.

Po jednej stronie doliny rosły sady owocowe. Owoce były mi nie znane, ale było ich dużo i były różnorodne. Opodal rosły krzewy pokryte jagodami. To wszystko przynajmniej wyglądało na jadalne.

Tym, co czyniło tę całą sielską scenerię nierzeczywistą, był znajdujący się pośrodku zamek, stojący na tle góry i wybudowany prawdopodobnie na sztucznie utworzonej skalnej półce, na wysokości jakichś stu metrów ponad poziomem doliny. Kamienna budowla posiadała wieżyczki, parapety i blanki; była tego rodzaju miejscem, jakie spotykamy jedynie w fantazji.

Poniżej zamku, w samej dolinie, znajdowało się coś, co wyglądało na osiedle słomianych chat, podobne do tego, w którym mieścił się ośrodek szkoleniowy, ale o wiele gęściej zabudowane. To tam więc mieszkali zwykli ludzie. To było miejsce, wokół którego koncentrowało się ich życie. Zauważyłem podobne zgrupowania chat również w innych miejscach doliny.

Usłyszałem turkot i obróciwszy się zobaczyłem podobny do sań wóz, zbudowany z jakiegoś materiału roślinnego. Ciągnięty był przez wielkie, zielone stworzenie, pokryte błyszczącą, omal kulistą skorupą, pod którą ujrzałem wielką liczbę odnóży. Z przodu wystawała maleńka główka, z pyskiem na kształt rogu, nad którym widoczne były dwie niewyraźne czerwone kropki i para cienkich czulek.

Mężczyzna siedzący na grubo ciosanym koźle był śniady, potężny i groźnie wyglądający, ale nie przeszkadzało mi to zupełnie – w końcu ja sam byłem teraz śniady, potężnie zbudowany i o groźnym wyglądzie. Interesujące było natomiast to, że nie miał ani lejc, ani żadnego innego urządzenia do kierowania pojazdem. Siedział po prostu na koźle ze znudzoną miną i pozwalał, by zwierzę ciągnęło wóz.

Prawie natychmiast zdałem sobie sprawę z tego, iż jestem świadkiem zastosowania owej tajemniczej mocy. Mężczyzna faktycznie kontrolował to zwierzę pociągowe, tyle że bez pomocy urządzeń mechanicznych.

Wóz podjechał i zatrzymał się. Mężczyzna uniósł się z koźła i stał tak wpatrując się we mnie. Wyglądał imponująco – solidne mięśnie, budowa ciężarowca – a przecież tak naprawdę nie był wysokim mężczyzną. Krępa budowa i potężne mięśnie powodowały, iż wydawał się duży. Miał na sobie coś, co wyglądało jak żółty trykot, przepasany szerokim pasem z jakiegoś elastycznego, ciemnobrązowego materiału, spod którego zwisał groźnie wyglądający bicz.

– I co? – warknął. – Masz zamiar tak stać i gapić się, czy może wreszcie wsiądziesz na wóz?

Serdecznie witamy w nowym domu, pomyślałem kwaśno, wspinając się i siadając obok niego na ławeczce. Jak wiele innych rzeczy na tym świecie, wykonana była z grubego, twardego materiału roślinnego, prawdopodobnie z kory. Bez żadnego głośnego polecenia, wielkie zielone stworzenie ruszyło do przodu, o mało nie zrzucając mnie z siedzenia na ziemię.

Mężczyzna obok zachichotał.

– Taa, jeździ się niezbyt wygodnie – skomentował – ale przyzwyczaisz się. Nie bardzo masz się czym martwić, pionki rzadko jeżdżą. – Przerwał na chwilę, żeby mi się przyjrzeć.

– Nieźle mięśnie, dobra budowa. Przydasz się. Masz jakiś zawód z tamtych czasów, który uczyniłby cię trochę bardziej użytecznym? Ciesiołka? Murarstwo? Hodowla zwierząt?

O mało się nie roześmiałem. Przypuszczenie, iż ktoś z cywilizowanych światów mógłby znać znaczenie tych terminów, było nedorzeczne. Powstrzymałem się jednak w porę, przypominając sobie, że to przecież nie moje własne ciało, ale ciało człowieka żyjącego w ciężkich warunkach na rubieżach cywilizacji, a ja chciałem udawać takiego typu tak długo, jak to tylko będzie możliwe.

Pokręciłem tedy przecząco głową i odrzekłem:

– Przykro mi, ale nic mi nie przychodzi do głowy. Jedyne systemy energetyczne, broń i tym podobne.

– Energetyczne! – Parsknął. – Ha! Tutaj to słowo nic nie znaczy. Jesteś teraz zwykłym robotnikiem fizycznym. Jedyne elektrycznością na Lilith są błyskawice, a jedyną energią to, co niektórzy ludzie posiadają. Tak. Najlepiej będzie, jak zapomnisz o starych wygodach; jesteś teraz pionkiem dziedziny Zeis. A ja jestem Kronlon, nadzorca tego odcinka. Będziesz pracował dla mnie. Będziesz się zwracał do mnie „proszę pana” i będziesz słuchał tylko moich rozkazów, niczyich więcej.

– Nie mam zwyczaju słuchać rozkazów – mruknąłem pod nosem cicho, ale na tyle głośno, żeby mnie usłyszał. Sądziłem, iż go tym sprowokuję i tym samym będę miał okazję, by sprawdzić jego możliwości, ale on roześmiał się tylko. Wóz zatrzymał się pośrodku pola, mniej więcej w połowie drogi do niewielkiego skupiska chat, znajdującego się aa lewo od zamku.

– Złaź – rozkazał tonem bardziej obojętnym niż groźnym, podkreślając rozkaz gestem potężnej dłoni. – No, ruszaj się. Złaź.

Wzruszyłem ramionami i wykonałem polecenie. W takiej sytuacji spodziewałbym się raczej groźnego tonu, a nawet jakiegoś zamachu ramieniem, więc jeśli był to wstęp do bójki, to mój przeciwnik musiał należeć do wyjątkowo opanowanych.

Zeskoczył z wozu i podszedł do mnie. Byłem wyższy, lecz fakt ten sprawiał mu jedynie dodatkową uciechę.

– W porządku. Zaczynaj. Uderz mnie. Ruszaj się, uderzaj!

Wysunął do przodu szczękę. A jednak była to próba sił. Ponownie wzruszyłem ramionami, po czym zamachnąłem się i uderzyłem z całej siły. Tyle że bez żadnego rezultatu. Ramię moje z zaciśniętą pięścią bowiem zatrzymało się w połowie drogi. Nie byłem w stanie nim poruszać ani do przodu, ani do tyłu, ani w górę, ani w dół. Czułem, jak moje mięśnie, napięte i przygotowane do ciosu, zaczynają mnie boleć od nierozładowanego napięcia i nie mogłem nie zrobić, by dać tej energii ujście. Moja pięść znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od jego wysuniętej do przodu szczęki.

Zamachnął się i uderzył mnie w tors ciosem zdolnym połamać zebra. Upadłem z jękiem i okrzykiem zaskoczenia i bólu. Leżąc na plecach i łapiąc z trudem powietrze, uświadomiłem sobie, że dłoń mam ciągle zaciśniętą w pięść. Stał nade mną i uśmiechnął się.

– Teraz rozumiesz? Trochę ciężko w to uwierzyć, co? – Najwyraźniej świetnie się bawił.

Poczułem, że odzyskuję władzę w ramieniu, więc leżąc jeszcze na ziemi, dokończyłem wyprowadzanie ciosu, obracając się przy tym wokół własnej osi.

Kronlon roześmiał się z pogardą, odwrócił się i ruszył z powrotem do wozu.

Zebrałem siły i skoczyłem na niego, usiłując zwalić go z nóg. Być może mnie usłyszał, bo widzieć mnie nie mógł, a połączenie, jakie tworzyło moje nowe ciało z niską grawitacją, dawało mi zarówno siłę, jak i szybkość. Nagle, kiedy znajdowałem się tuż obok niego, moje nogi zrobiły się jak z gumy. Potknąłem się, krzyknąłem i zwałem ciężko na ziemię.

Zatrzymał się, by popatrzeć na mnie. Uśmiechał się przy tym z ogromnym zadowoleniem.

– No i widzisz? Nawet nie możesz się do mnie podkraść. Słuchaj, wiem, co w tobie siedzi. Mam całą potrzebną informację tu, w mojej czaszce. – Postukał się w głowę dla podkreślenia swoich słów. – Z góry wiem, kiedy mnie chcesz zaatakować i mogę rozkazać twemu ciału, by odmówiło ci posłuszeństwa. W porządku, możesz już wstać. Nic ci nie jest.

Wstawałem powoli, czując się poobijany tu i ówdzie. Myśli jak szalone przelatywały przez moją głowę, w pierw pełne frustracji i wściekłości, że znajduję się na łasce tego człowieka, potem zaś, pełne irytacji spowodowanej tym, że chociaż widziałem demonstrację owej mocy, nie miałem pojęcia, na jakiej zasadzie ona działa. A przecież ten facet znajdował się na najniższym szczeblu hierarchii ludzi nią dysponujących!

Odpiął bicz, który miał przymocowany do pasa, i przez moment sądziłem, iż użyje go na mnie, ale ku memu zdumieniu rzucił go do mnie.

– Łap. Rozwiń go. Wiesz, jak się go używa? No dobrze, wobec tego użyj go. Stłucz mnie na kwaśne jabłko!

Byłem tak wściekły, że zdecydowałem się skorzystać z jego propozycji. Bicz był dość prymitywny, wykonany z jakiejś błyszczącej plecionki, ale był długi i dobrze wyważony. Strzeliłem z

niego kilka razy, starając się poznać jego własności, po czym zaatakowałem.

A on tymczasem stał bez ruchu i śmiał się na cały głos. Robiłem, co mogłem, a mimo to nie byłem w stanie nawet go dotknąć. Udawało mi się, co prawda, poderwać jakiś kamyk, czy ściąć źdźbło trawy, ale niezależnie od tego, jak dokładnie wymierzałem cios, bicz zawsze chybiał celu. Nie mogłem w to uwierzyć i ponawiałem próby, podczas gdy Kronlon stał tam sobie, śmiejąc się i prowokując mnie, nie uchylając się przed moimi ciosami ani na milimetr.

– No dobrze, koniec zabawy – powiedział w końcu, wyraźnie znudzony. – Widzisz teraz, na czym polega twój problem. Zrzuć dwudziestokilogramowy kamień na moją głowę z wysokości mniejszej niż metr, a on i tak chybi celu. Ale nie odwrotnie.

Wyciągnął dłoń i bicz przeskoczył z mojej dłoni do jego, po czym zajął sam swoje miejsce za pasem. Ku mojej uldze, spoczął tam na dłużej.

Uśmiech mężczyzny był teraz bardziej złośliwy.

– Wiem, co sobie myślisz. Czytam to z twojej twarzy. Cieszysz się, że nie potraktowałem cię tym biczem. A chcesz wiedzieć, dlaczego? Bo jest on oznaką urzędu; wszyscy nadzorcy takie mają. Dostałem go od samego bossa Tiela. Jest do mnie dopasowany i nie chciałbym, żeby się pogiął, czy połamał. – Uśmiech i obojętny ton zniknęły w jednej chwili. Miast nich z jego ust zaczęła spływać sama groźba. – Masz tylko dwa wyjścia, nie więcej – warknął Kronlon. – Słuchasz rozkazów. Słuchasz, żyjesz, czekasz na moje rozkazy i wypełniasz je. Nie zadajesz, pytań, nie zastanawiasz się i nie kombinujesz. Wypełniasz tylko rozkazy. Robisz, co ci każe i żyjesz sobie. Drugie wyjście to zabić się. Ja cię nie zabiję. Nie muszę. Mogę zrobić coś znacznie gorszego.

Nagle ciało moje ogarnął potworny, nieznośny ból, jakiego nigdy przedtem nie zaznałem. Wrzasnąłem i upadłem, nie czując nic innego prócz tego holu i wiłem się jak robak na pokrytej trawą ziemi. Nie mogłem tego wytrzymać; ból był tak intensywny, tak wszechogarniający. Zapraгнаłem śmierci, czegokolwiek, co przyniosłoby mi ulgę.

Równie nagle ból zniknął. Ulga miała w sobie echo agonii w systemie nerwowym i palącą pamięć w mózgu. Leżałem na trawie twarzą ku niebu i dyszałem ciężko.

– Wstawaj! – rozkazał Kronlon.

Zawahałem się, ponieważ ciągle byłem pod wpływem szoku i nie bardzo wiedziałem, co się ze mną dzieje. Natychmiast powrócił ból i choć trwał jedynie ułamek sekundy, wydawał się całą wiecznością. Obróciłem się, poczołgałem i z trudem wstałem na nogi, trzęsąc się ciągle i dysząc ciężko.

Kronlon obserwował mnie z uśmiechem zadowolenia na twarzy. Najwyraźniej robił to już wiele razy przedtem. Nienawidziłem go jak nikogo wcześniej w moim całym życiu.

A on ze mną jeszcze nie skończył.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– Tre... Tremon – wykrztusiłem. – Cał Tremon.

Ból powrócił, ponownie zwałając mnie z nóg; po czym ustąpił.

– Wstawaj! – rozkazał nadzorca.

Próbowałem się podnieść i udało mi się dopiero za drugą próbą. Czekał cierpliwie.

– Zawsze będziesz do mnie mówił „panie” – ostrzegł. – Będziesz tak mówił na początku i na końcu każdego wypowiedzanego do mnie zdania. Będziesz stał wyprostowany, kiedy znajdę się w pobliżu, z twarzą, zwróconą ku mnie, a kiedy wydam ci jakiś rozkaz, skłonisz się lekko i natychmiast go wykonasz. Nie będziesz odzywał się do nikogo spoza swojej klasy, chyba że zadadzą ci pytanie. Rozumiesz?

Ciągle nie mogłem złapać tchu.

– Tak... panie – odpowiedziałem.

Ból powrócił.

– Nie tak ci kazałem, Tremon! Cóż za śmierdzący głupek z ciebie. Wstawaj gnojku, spróbujemy jeszcze raz.

Przez moment byłem kompletnie zdezorientowany i wahałem się, dopóki nie zdałem sobie sprawy z tego, iż był śmiertelnie poważny. Ból, który był w stanie zadać, nie poruszając nawet palcem, był potworny i intensywny. Bałem się tego bólu bardziej niż czegokolwiek, pamięć o nim była tak żywa i wyraźna, że zrobiłbym wszystko byle go uniknąć. Świadomość, że tak łatwo mnie upokorzyć i pobić, tak szybko złamać, sprawiała dodatkowy ból. Nie potrafiłem już nawet myśleć logicznie. Pragnąłem jedynie umknąć tego bólu.

Wydawało mi się, że spędziliśmy na tym polu całe godziny. Zadawał mi ból, po którym następowały żądania, raz za razem; prawdziwa radość dla oprawcy. Znałem tę procedurę, ale nigdy przedtem nie znajdowałem się po tej stronie. Nie popuszczaj ofierze: zadaj ból, żądaj właściwej reakcji i znów zadaj ból. Nigdy nie bądź zadowolony, nigdy nie bądź usatysfakcjonowany. Agentów uczono umiejętności utraty przytomności, po osiągnięciu przez nich pewnego progu wytrzymałości, jednak stwierdziłem, że z jakiegoś powodu, nie jestem w stanie do tego doprowadzić. Agenci potrafili również siłą woli doprowadzić do własnej śmierci, ale uważałem, że na to jest jeszcze za wcześnie.

Gdyby przesłuchiowano mnie w związku z moją misją, albo gdybym narażał tę misję czy innych ludzi na śmiertelne niebezpieczeństwo, wówczas nie zawahałbym się wybrać takiego wyjścia; tu jednak nie mieliśmy do czynienia z podobną sytuacją. Nie stosowano również żadnych narzędzi tortur – po prostu pośrodku pola stał sobie przysadzisty brutal i absolutnie nic nie robił.

Tak jak Kronlon ostrzegał, były tylko dwa wyjścia z tej sytuacji dla myślącego człowieka –

śmierć albo absolutne, bezwarunkowe posłuszeństwo. Moje ego zostało zdruzgotane, moja wola obrócona w nicość. Przed zmierzchem, na rozkaz, lizałem jego śmierdzące, brudne stopy.

Kiedy wjeżdżaliśmy do niewielkiej wioski, siedziałem otępiały obok niego na koźle i jedynie jakaś drobna cząstka dawnego mnie, reprezentująca wszystko, co wydawało się przetrwać na poziomie świadomości, powtarzała w kółko: – A pan jest dziesięciokrotnie potężniejszy od nadzorca, a rycerz dziesięciokrotnie potężniejszy od pana, a Książę dziesięciokrotnie potężniejszy od rycerza, a władca jest jak bóg...

Nie pamiętałem już nawet momentu przybycia do małej wioszczyny, której chaty zbudowane były ze słomy i gliny. Obudziłem się tuż przed świtem.

## Rozdział piąty

### WIOSKOWE ŻYCIE

Bardzo szybko odkryłem, jak nędzne i prymitywne jest życie pionków sypiających w ciasnych chatach, na tych samych łądygach bunti, z których te chaty były zbudowane, tyle że pokrywających podłogę grubszą warstwą, uginającą się pod ciężarem ludzkiego ciała.

Przez kilka dni znajdowałem się w stanie kompletnej apatii i wykonywałem wszelkie czynności jak automat, bez myśli i bez czucia. Inne pionki chyba rozumiały, przez co musi przejść nowo przybyły, choć większość z nich urodziła się tutaj i wychowała w tym potwornym systemie, nie doświadczając dokładnie tego samego, co ja. Nie poganiano mnie, nie usiłowano nawiązać ze mną kontaktu. Wyglądało na to, że czekają, aż otrząsnę się z tego stanu, o ile to w ogóle kiedyś nastąpi, i sam nawiążę z nimi kontakt.

Zrywano nas o świcie i natychmiast udawaliśmy się do centrum wioski, by tak rzec, gdzie znajdowało się miejsce naszych wspólnych posiłków i gdzie w tłoku zjadaliśmy wielkie, pozbawione smaku, bułki i smaczną, z kolei, pulpę z jakichś żółtych owoców. Potem przychodził nadzorca, który mieszkał tuż obok w takiej samej chacie jak cała reszta, tyle że przeznaczonej tylko do jego osobistego użytku. Serwowano mu to samo pożywienie, co nam, ale jadł je w swojej chacie i ktoś zawsze sprzątał jego dom, kiedy inni byli w pracy.

Wydawało się niewiarygodne, że Kronlon mimo ogromnej mocy jaką posiadał, był na Lilith jedynie drobnym trybikiem, o włoszek nad nami, najniższymi z niskich. Jedno spojrzenie na jego skromną chatę i na ów zamek na górze wystarczyło, by uświadomić sobie przepaść, jaka istniała między nim a jego panami.

Praca składała się głównie z ładowania i transportowania. Jakżeż miękka stała się cywilizowana ludzkość, nawet na pograniczu. Na Lilith życie zastygło na etapie kamienia łupanego: cała praca wykonywana była ręcznie, wszelkie narzędzia były prymitywne i krótkotrwałe.

Z gór spływały dwie rzeki zasilające małe jeziora i stwarzające zarazem podwójny problem: kontroli powodziowej i irygacji. Było takie miejsce, gdzie deszcz padał codziennie; trwał krótko, lecz powodował szybki spływ wody. Góry brały na siebie główne uderzenia burz i tylko te najgwałtowniejsze docierały do dziedziny Zeis. Trzeba było kopać kanały irygacyjne ręcznie:



przenosić błoto i szlam na wózki, ciągnąć te wózki w pobliże jezior, tam wyładowywać i z tego szlamu i mułu formować wały i zapory przeciwko wodzie. Setki kilometrów systemu drenażowego i kanałów irygacyjnych ulegało wiecznemu zamulaniu; ledwie zakończyło się cały odcinek, już należało zaczynać od nowa.

Mężczyźni i kobiety wykonywali te same prace na polach. Naturalnie, najsilniejsi i najbardziej wytrzymali wykonywali najcięższe prace fizyczne, a przydział zadań najwyraźniej oparty był na budowie fizycznej, wieku i tym podobnych. Dzieci – niektóre jak przypuszczam pięcio- czy sześćioletnie – pracowały razem ze starszymi, robiąc to, na co im pozwalał ich wiek, pod czujnym okiem najstarszych i najsłabszych. System społeczny był prymitywny, ale przemyślany. Działał on bowiem na najniższym, plemiennym poziomie. Kiedyś, nim ludzkość na swej macierzystej planecie ewoluowała, stając się tym, co nazywamy istotami ludzkimi, musiała żyć w podobny sposób.

Dni były długie, znaczone jedynie krótkimi przerwami, z których cztery przeznaczone były na posiłek, a praca trwała szesnaście godzin. Odpoczynek przychodził wtedy, kiedy nad doliną zapadała ciemność, a odległy zamek rozjarzał się światłami. Noce również były długie. Dziedzina Zeis leżała tylko 5 stopni na południe od równika, co powodowało, iż noce i dni były prawie równej długości przez okrągły rok.

Życie społeczne pionków ograniczało się jedynie do nocy i było równie prymitywne jak wszystko inne, co ich dotyczyło. Trochę tańczyli i śpiewali, jeśli mieli na to ochotę i siły, poza tym rozmawiali i plotkowali na najbardziej podstawowe tematy. Uprawiali też miłość, choć wydawało się, że stałe związki i wieży rodzinne tutaj nie istnieją. Takie pojęcie jak małżeństwo było chyba dla nich obce, ale zdarzało się, że dwójka partnerów pobierała się, jeśli odczuwała taką potrzebę.

Tworzyli pełną życia, choć w jakimś sensie tragiczną, grupę ludzi nieświadomych niczego poza ich nędzną egzystencją, która, akceptowali jako coś normalnego i naturalnego, ponieważ nie znali żadnej innej. Tak głęboko wryty w ich psychikę był ten system, i nie przypominam sobie ani jednego przypadku, w którym nadzorca musiałby skorzystać ze swej potwornej mocy.

Jeśli zaś chodzi o mnie, to znajdowałem się w przedziwnym stanie umysłowej katalepsji. Jakoś funkcjonowałem, wykonywałem pracę zgodnie z rozkazem, jadłem i spałem, ale prawdę mówiąc, w ogóle nie myślałem. Kiedy wspomynam ten okres mojego życia, widzę powody takiego zachowania i rozumiem je, a jednak nie potrafię sobie wybaczyć. Nie chodzi mi tutaj o klęskę zadaną mi rękami Kronlona, czy miażdżące ciosy jakie znieść musiało moje ego i moja duma. Tak naprawdę irytuje mnie fakt, iż w rezultacie tego pojedynku stałem się umysłową rośliną.

Nie wiem, jak długo pozostawałem w tym stanie – dni, tygodnie; trudno mieć pewność, skoro na Lilith nie ma ani zegarów, ani kalendarzy. Jednak powoli, bez ustanku mój umysł walczył o odzyskanie jakiejś kontroli, jakiejś tożsamości – wpierw w snach, a później w pojawiających się na krótko wspomnieniach. Realne niebezpieczeństwo tej sytuacji tkwiło w tym, że mogłem przecież oszaleć, mogłem uciec w świat fantazji, w świat nierzeczywistej egzystencji. Teraz rozumiem, iż ta wewnętrzna walka była wynikiem wpisanego w mój mózg przymusu działania, umieszczonego tam przez programistów z Kliniki Służb Bezpieczeństwa. Nie należeli oni do ryzykantów i chociaż zawsze mogli zaprogramować jakieś nowe ciało, to jednak skoro już jedno zaprogramowali i wysiali do systemu Wardena, musieli być pewni, że ich nie zdradzi. Odnaleźć obcych... zabić władcę...

Rozkazy te powracały echem w moich snach i stawały się podporą, której czepiało się moje strzaskane ego. Odnaleźć obcych... zabić władcę...

Powoli, bardzo powoli, noc po nocy, powracały następne fragmenty i krzepły wokół tych głęboko ukrytych rozkazów – rozkazów, których istnienia nawet nie podejrzewałem. Odnaleźć obcych... zabić władcę...

I w końcu powróciła myśl racjonalna. Wieczorami, tuż przed zaśnięciem, byłem w stanie uzmysłowić sobie, co mi się przydarzyło, odzyskać troszkę wiary w samego siebie. Potrzebowałem nadziei, a jedyna nadzieja leżała w poszukiwaniu logicznego wyjścia z kłopotliwego położenia, w jakim się znalazłem.

Łańcuch logiczny, jaki wykułem, posiadał być może pewne wady, ale był skuteczny, a jedynie to było naprawdę ważne. Pierwszą i najbardziej istotną sprawą było uświadomienie sobie, że każdy, kto tu przybywał, poddawany był podobnej obróbce: Patra, ten rycerz w swoim baśniowym zamku, a nawet lord Marek Kreegan. Zastraszyla ich wszystkich, zmusiła do bezwzględnego posłuchu, z którym musieli sobie jakoś radzić. Czy było to szaleństwo, czy fatalistyczna rezygnacja?

Na Lilith nie było stanowisk dziedzicznych, z wyjątkiem być może tych, które dotyczyły umiejętności użytecznych dla władców. Żadne stanowiska polityczne, żadne stanowiska administracyjne nie były ani dziedziczne, ani nie pochodziły z wyboru. Wszystkie, poczynając od nadzorca, a kończąc na władcy, zdobyte zostały siłą.

Odnaleźć obcych... zabić władcę...

Każdy na tym świecie, kto wspiął się wyżej, zaczynał na samym dole jako zniewolony pionek. Każdy.

Na jakiej zasadzie działała ta moc? Jak się dowiedzieć, czy się ją posiada?

Odczuwałem wstyd związany z moją reakcją na Kronlona. Bywałem już przecież w trudnych sytuacjach, w sytuacjach, w których przeciwnik dysponował wszystkimi atutami, a powstrzymywało mnie to na bardzo krótko. Różnica polegała jedynie na tym, że tym razem po rozpoznaniu terenu i sił nieprzyjaciela, zamiast przemyśleć problem i znaleźć sposób na pokonanie wroga – czy przynajmniej zginać, podejmując próby jego pokonania – potulnie się poddałem. Dzień, w którym zdałem sobie sprawę z tego, iż napotkałem na swej drodze wyjątkowo potężną przeszkodę, ale nie nieprzekraczalną barierę, był dniem, w którym ponownie stałem się członkiem rasy ludzkiej.

Zacząłem rozmawiać z ludźmi, choć rozmowy te były wielce ograniczone. Niewiele bowiem było tematów do rozmów – pogoda, na przykład, była zawsze upalna i wilgotna – i trudno się rozmawiało z ludźmi, którzy choć sami zapewne bystrzy i inteligentni, żyli w prymitywnym świecie, pozbawionym wszelkich urządzeń technicznych. Cóż można było mieć do powiedzenia ludziom, których cały pogląd na świat, o ile taki w ogóle posiadali, ograniczał się do tego, że ich dolina jest całym światem, nad którym słońce wschodzi i zachodzi? Wiedzieli, naturalnie, że są także inne dziedziny, ale sądzili, iż nie różnią się niczym od ich własnej. Jeśli zaś chodzi o technikę, to widywali przylatujący i odlatujący prom, ale nie przywiązywali do tego większej wagi – w końcu,

przyzwyczajeni byli do olbrzymich latających insektów. Maszyna, która nie byłaby poruszana mięśniami, była czymś poza możliwościami ich pojmowania.

Tutaj właśnie tkwiło sedno problemu. Wiedziałem zbyt mało, o wiele za mało, ale wiedziałem o niebo więcej od tubylców. I teraz, kiedy już się otrząsnąłem, marzyłem o inteligentnej rozmowie. Zawsze byłem samotnikiem, jest jednak pewna różnica, czy jest się samotnym z wyboru, czy jest się zmuszonym do bycia samotnym, do osamotnienia. Konwersacja i rozrywka zawsze mi były dostępne, kiedykolwiek ich potrzebowałem. Wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie. Nie dano mi najmniejszej szansy od początku tej misji, od momentu przebudzenia. Teraz jednak zyskałem tę szansę.

Na imię miała Ti.

Kilka dni po „odzyskaniu zdrowia” spotkałem ją na wiejskich błoniach, po wieczornym posiłku. Zauważyłem ją już przedtem, a kiedy raz się ją zobaczyło, niełatwo było o niej zapomnieć.

Miała około 160 centymetrów wzrostu, była bardzo szczupła i wąska w talii, ale miała duże piersi i kształtne pośladki, a także niezwykle piaskowo-brązowe włosy, sięgające poniżej pasa. Ładna, seksowna kobietka, można by rzec, tyle że jej twarz była zadziwiająco młoda i niewinna, i zupełnie nie pasowała do takiego ciała. Szeroko rozstawione oczy spoglądały z pełnym niewinności wyrazem. Była to śliczna twarzyczka dziecka mającego nie więcej niż jedenaście czy dwanaście lat, wieńcząca znakomicie rozwinięte ciało. Chociaż te dwie części w końcu kiedyś miały się dopasować, w tej chwili wyglądało jednak na to, iż ciało wyprzedza w rozwoju twarz o kilka lat.

Łatwiej byłoby mi pojąć ten kontrast, gdyby występował on częściej na Lilith, ale tak nie było, przynajmniej wśród znanej mi próbki pionków. Była to jedna z tych drobnych tajemnic, o których chciałem wiedzieć coś więcej i dlatego spytałem o nią kilku z pracujących ze mną mężczyzn.

– Och, to Ti – wyjaśniał jeden. – Wybrana przez hodowcę. Wyrwie ją stąd niezadługo. Zwłoka wynika pewnie stąd, iż posiada jakiś nie kontrolowany talent, a oni chcą wiedzieć, na czym on polega.

Nowe informacje. Czuję, że jestem na tropie czegoś wartościowego.

– Co to znaczy, że jest wybrana przez hodowcę? – zapytałem. – Wiesz przecież, że się tutaj nie urodziłem i nie wszystko rozumiem.

Pytanie moje wywołało wyraz zdziwienia na twarzy rozmówcy, do którego to zdziwienia zdążyłem się już częściowo przyzwyczaić, tubylcy bowiem nie byli w stanie wyobrazić sobie, iż jakieś inne miejsce może się zasadniczo różnić od dziedziny Zeis. Wzruszył ramionami, ale odpowiedział. Tak jak i pozostali, tłumaczył sobie moje zachowanie przebyłym szokiem, a ten byli w stanie zrozumieć, i wynikającym z tego szoku niegroźnym szaleństwem.

– Boss Tiel hoduje kobiety tak, jak hoduje snarki – wyjaśniał robotnik. Snarkami nazywano owe pokryte futrem potwory pasące się na łące, cenione ze względu na ich mięso. – Kiedy dziecko, a w

szczegółności dziewczynka, wyróżnia się urodą, lub czymś takim, naznaczone jest przez hodowcę odpowiedzialnego za hodowlę. Chowa je w taki sposób, jaki mu odpowiada, po czym łączy je z wybranymi chłopcami. Rozumiesz?

Naturalnie, zrozumiałem, chociaż pomysł ten budził we mnie większy wstręt niż cokolwiek innego na tym odrażającym świecie. Budził we mnie wstręt, ale mnie nie zaskoczył.

– Ale jej... hm... rozwój nie jest naturalny, czy tak? – podpowiadałem.

Zachichotał i pokazał mi palec wskazujący.

– Widzisz ten palec? Straciłem go, obcięto mi go równiutko w wypadku. Krwawił jak szalony. Wzięli mnie do hodowcy, a ten tylko spojrzął i przestało krwawić. Potem popatrzył na palec, dotknął go i pozwolił mi wrócić do domu. Odrósł niedługo, wygląda jak nowy. Popatrz. – Poruszał nim dla podkreślenia swych słów.

– Ale co to ma...? – zacząłem, po czym dotarło do mnie znaczenie tego, co powiedział, i pokręciłem z podziwem głową.

Zauważył to i uśmiechnął się.

– Stado rozplodowe musi produkować dużo dzieci, musi chcieć produkować mnóstwo dzieci – zauważył. – Rozumiesz?

Jasne, że rozumiałem. Powoli, tak żeby wytrzymały to jej komórki i jej system nerwowy, hodowca sięgał swą mocą do jej wnętrza, w ten sam sposób, w jaki rozkazał, by nastąpiła regeneracja palca, czy w jaki Kronlon zadawał ból i powodował paraliż. Dokonywano subtelnych zmian, prawdopodobnie od momentu wejścia w wiek dojrzewania, co miało zapewne miejsce jakiś rok temu. Stymulowano hormony, zmieniano całą chemię wewnętrzną, czyniąc ją tym samym nie całkiem naturalną, trochę zdeformowaną – wszystko jednak w jednym celu. Chciał przecież hodowli rozplodowej, a nie przeznaczonej na wystawę. Czemu jednak ona? Czyżby dla pięknego koloru włosów? Może i był to wystarczający powód, ale przysłała mi do głowy zupełnie nowa myśl.

– Hogi? – zwróciłem się ponownie do towarzysza w niedoli.

– Hm?

– Powiedziałaś, że posiada jakiś nie kontrolowany talent.

Jakiego rodzaju? Co potrafi robić? Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. I tak bym tego pewnie nie rozumiał. Wiem tylko, że żaden z nadzorców jej się nie naprzykrza, nawet Kronlon jej nie dręczy. Może się trochę boją, a to by znaczyło, że jej moc jest wielka, tyle że przypadkowa. Pojawia się i znika. Nie można jej kontrolować.

Pokiwałem głową. To by wyjaśniało, dlaczego zostawiono ją w spokoju po okresie dojrzewania, zamiast zabrać do głównej wioski, czy nawet na teren samego zamku. Nie byli pewni,

na czym polega jej moc i czy kiedyś nie nauczy się jej kontrolować. Chcieli wpiery zobaczyć, przekonać się, na jak wiele ją stać. Obawiali się tkwiących w niej potencjalnych możliwości, które wskazywały na wielką moc. Jeśli nie osiągnie kontroli, cóż, posłuży do rozplodu i tyle. Jeśli jednak taką kontrolę osiągnie, mogłaby im zagrozić.

Podejrzałem, iż takie właśnie powody kryły się za tym całym programem hodowli. Musi być rzeczą wielce frustrującą dla klas wyższych, kiedy widzą one, jak ich własne dzieci zostają pionkami, kiedy przekazują cały ten przepych i dobra ludziom obcym i własnym poddanym. Po raz pierwszy wydawało mi się, iż rozumiem panów i rycerzy. Jak irytujące, jak frustrujące musi to być, kiedy jest się podobnym bogu i nie można tego przekazać, zostawić komuś bliskiemu. Manipulacja genetyczna nie wchodziła w rachubę, tak jak i inne badania naukowe i procedury laboratoryjne ze świata cywilizowanego. Czynniki, który obdarzał ludzi ową tajemniczą i przerażającą mocą Wardena i który ją regulował, tak samo umykał nauce wspartej technologią, jak i miejscowym badaczom. Nie mają tedy wyboru, muszą podjąć próbę hodowli odpowiednich jednostek. Wpiery szukając kandydatów naturalnie spośród siebie, ale to nie przynosiło pożądanego rezultatu.

Uderzyło mnie, że z wyjątkiem Patry, niemal wszyscy ludzie obdarzeni mocą, o których słyzałem, byli mężczyznami. Taka statystyka mogła być myląca, oparta bowiem jedynie na małej próbie, ale jeśli tak było, chociaż po części, oznaczało to jeszcze większe problemy, wynikające z czystego chowu wsobnego.

Hogi przynajmniej znał odpowiedź na to pytanie.

– Cóż, tak, więcej mężczyzn niż kobiet, ale wiele kobiet również ją posiada – zapewniał mnie. – Ale słyzałem, że kiedy kobieta, która jest panem czy księciem, zachodzi w ciążę, traci kontrolę nad mocą na cały okres ciąży. W tym czasie ktoś inny może zająć jej pozycję, rozumiesz?

Rozumiałem to doskonale. Kiedy miało się do czynienia z zaledwie kilkoma tysiącami stanowisk blisko szczytu władzy i 471 na samym szczycie, ludzie te stanowiska zajmujący musieli żyć pod ciągłą presją, ciągle narażeni na wyzwania ze strony nowo przybyłych – stąd nie do pomyślenia było wystawienie się na niebezpieczeństwo wyzwania na okres tak długi, jakim jest dziewięć miesięcy.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ci ludzie nie współżyją ze sobą?

– Co? Pewnie, że współżyją. To takie proste, kiedy ma się moc. Jak się skaleczysz, rozkazujesz swemu ciału, żeby przestało krwawić. Możesz też powiedzieć swemu ciału, żeby nie zaszło w ciążę. Rozumiesz? – Wszystko to wypowiedział najczęściej używanym w stosunku do mnie tonem, typu: „czyżbyś naprawdę był aż tak tępy?”

Wszystko się dziwnie zgadzało. Płodzili potomstwo z tymi spośród pionków, którym przydarzała się nie kontrolowana moc. Poszukiwali w ten sposób i mocy, i kontroli, a być może również klucza do uzyskania i jednego, i drugiego u swoich potomków.

Ta dziewczyna tutaj posiadała moc, i nawet jeśli była ona nie kontrolowana, stanowiła dla mnie w tej chwili najważniejszą rzecz na świecie. Muszę dowiedzieć się więcej na temat tej mocy, a skoro

dziewczyna jest jedyną osobą w okolicy, która ją posiada, i z którą mogę rozmawiać jak równy z równym, byłem zdecydowany poznać ją bliżej.

## Rozdział szósty

### TI

Następnego wieczoru poszukałem jej, starając się sprawić wrażenie, iż nasze spotkanie jest zupełnie przypadkowe. Ostrzeżono mnie, że niełatwo nawiązać z nią kontakt i że trudno jest z nią rozmawiać, ale nie miałem takich problemów. Siedziała samotnie na kamieniu, odpędzając wszędobylskie roje insektów oraz żując leniwie kawałek gri, podobnego do melona owocu, o dziwnie słodko – kwaśnym smaku.

Niewielki miałem wybór, skoro nie chciałem się zachować staromodnie i nie chciałem, by moje intencje były zbyt oczywiste. Podszedłem więc do niej i powiedziałem:

– Cześć.

Popatrzyła na mnie tymi ogromnymi oczyma małej dziewczynki i uśmiechnęła się.

– Cześć. Usiądź tutaj.

– Nazywam się... – zacząłem, ale mi przerwała.

– Nazywasz się Cal Tremon i przybyłeś z Zewnątrz – wyrecytowała, zaskakując mnie nieco. Jej głos, bardzo jeszcze młody, o wiele bardziej pasował do jej twarzy i rzeczywistego wieku niż jej ciało.

Roześmiałem się.

– I skąd ty to wszystko wiesz?

– Widziałam, jak mi się przyglądasz – odpowiedziała wesoło. – Oczywiście wszyscy mężczyźni mi się przyglądają, ale zwróciłam szczególną uwagę na ciebie. Mówią, że coś jest nie w porządku z twoją głową. Czy to prawda?

Zacząłem odczuwać do niej sympatię.

– Tak było – odpowiedziałem – ale jest już lepiej. To miejsce nie przypomina tego, z którego

przybyłem i przyzwyczajanie do niego zabrało mi sporo czasu.

Rzuciła skórkę owocu w krzaki i zmieniła pozycję, podciągając kolana do góry i obejmując nogi ramionami. Zaczęła się delikatnie kołysać.

– Jak tam jest... na Zewnątrz? – zapytała.

Uśmiechnąłem się. Była taka rozkoszna.

– Nie tak jak tutaj – odpowiedziałem, usiłując znaleźć słowa, które mogła zrozumieć. – Zupełnie nie tak. Przede wszystkim jest tam znacznie chłodniej. Nie ma też pionków, nadzorców ani rycerzy.

Widziałem, że niełatwo przychodzi jej to przełknąć.

– Jeśli nie ma pionków, to kto wykonuje całą robotę?

Dobre pytanie.

– Ludzie, którzy mają na to ochotę – zacząłem ostrożnie. – A poza tym jest to zupełnie inny rodzaj pracy niż ta, którą tutaj wykonujemy. Tam maszyny wykonują całą ciężką robotę.

– Słyszałam o tych maszynach – powiedziała z dumą. – Ktoś jednak musi je rozmnażać i hodować. Nieprawda?

Westchnąłem. Jak zwykle ślepa uliczka. Jak bowiem wytłumaczyć, czym są maszyny, komuś, kto urodził i wychował się w świecie, gdzie nic nie działało i praktycznie nic nie było w stanie dłużej przetrwać? Zdecydowałem, iż można użyć tej rozmowy jako pretekstu do zmiany tematu na taki, który interesuje mnie rzeczywiście.

– Tam, skąd pochodzę, nikt nie dysponuje mocą – powiedziałem. – A kiedy moc nie istnieje, można zmienić rzeczy, wytwarzać takie, które trwają długo. Niektóre z tych maszyn potrafią robić to, co moc czyni tutaj.

Przetrawiała to, usiłowała ułożyć sobie jakoś w głowie, ale chyba nie rozumiała. Z nikim przedtem nie udało mi się zająć dalej w rozmowie, co wskazywałoby, że jakąś inteligencję jednak posiada.

– Dlaczego nie mają mocy? – spytała.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Nie wiem, dlaczego inni ją mają. Ciągle nie jestem w stanie zrozumieć, na czym ta moc polega. – Uważaj, ostrzegałem sam siebie. Bądź bardzo ostrożny. – Słyszałem, że ty również posiadasz moc. Czy to prawda?

– Cóż, chyba tak – przyznała. – Nie mam z niej żadnego pożytku. Wiesz, to jest tak, że czujesz ją w środku, a nie możesz do mej przemówić. Przypuszczam, że inni właśnie to potrafią robić. Potrafią



do niej przemawiać, kazać jej robić różne rzeczy.

– Ale ty ją czujesz – podpowiadałem. – Jakie to jest uczucie?

Rozłączyła ramiona i ześlizgnęła się z kamienia, przeciągając się i masując pośladki. Usiadła ponownie, tym razem tuż obok mnie.

– Po prostu ją czuję, to wszystko – odpowiedziała. – A ty nie?

Pokręciłem głową.

– Nie. Albo jej nie mam, albo nie wiem, jak jej szukać i co powinienem odczuwać.

Wzruszyła ramionami.

– A szukałeś kiedyś?

Rozważyłem te słowa i zanotowałem je sobie w pamięci na przyszły użytek.

Próbowałem kontynuować rozmowę na ten temat, ale znudził on ją najwyraźniej i nie chciała dłużej o tych sprawach rozmawiać. A ja nie chciałem jej zmuszać. Udało mi się przecież w jakiś sposób z nią zaprzyjaźnić i nie miałem ochoty tego zaprzepaścić. Będą jeszcze inne wieczory.

Nagle uświadomiłem sobie, iż siedzi bardzo blisko mnie i równocześnie po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z powodu, dla którego mogłem być dla niej atrakcyjny i dla którego już wcześniej mnie zauważyła. Moja najbardziej widoczna, przerośnięta cecha fizyczna, stanowi zapewne nieodparty magnes dla kogoś, kim manipulowano tak jak nią. I po raz pierwszy, odkąd znalazłem się w tym ciele, zacząłem odczuwać podniecenie. Coś mnie jednak powstrzymywało. Była tak bardzo młoda i słowo „pionek” znaczyło dla niej tak wiele.

Kiedy lekka, przesycona flirtem rozmowa nie wywołała z mojej strony żadnej reakcji, wyprostowała się i popatrzyła na mnie dziwnie.

– Nie należysz chyba do tych co kochają się z mężczyznami? – spytała autentycznie zdziwiona.

Roześmiałem się.

– Nie, nic z tych rzeczy – odpowiadałem ostrożnie. – Ja... cóż, po prostu tam, skąd przychodzę, ktoś w moim wieku nie czuje się zbyt swobodnie z kimś w twoim wieku. – Mógłbym mieć córkę w twoim wieku, dodałem w duchu.

Popatrzyła na mnie z obrzydzeniem.

– Tak też sobie myślałam – powiedziała, wydymając wargi. – Nie wiem, po co te mecyje. Tak jakbym nigdy tego nie robiła. Często to robię, odkąd dojrzałam. Pan Tang mówi, że tak właśnie należy. – Wstała, wyraźnie zirytowana. – Pójdę chyba do nadzorcy. Jemu nic nie przeszkadza.

Westchnąłem. Trudno mi było zaakceptować takie połączenie kobiety z dzieckiem, a co dopiero mówić o jego wykorzystaniu. Jednocześnie byłem rozdarty pomiędzy pragnieniem, by jej sobie przypadkiem nie zrazić, a psychicznym reagowaniem na nią jak na dziecko. To tak jak gdyby godna pożądanja nieletnia powiedziała: – Jeśli się nie będziesz ze mną kochał, to wstrzymam oddech na tak długo, aż zsinieję! – Kontrast pomiędzy chętną i zmysłową kobietą a małym dzieckiem był czymś, z czym trudno mi było sobie poradzić, szczególnie iż miałem świadomość, że jej chciwa seksualność została zaprogramowana przez zimnych, obojętnych mężczyzn, którzy widzieli w niej jedynie pewien rodzaj udomowionego zwierzątka. Wydawało mi się, do diabła, iż byłoby coś kazirodczego w wykorzystaniu takiej sytuacji.

Wolę uważać, iż powodem, dla którego uległem jednak owej nocy, była obawa, by jej sobie nie zrazić i tym samym nie utracić możliwości uzyskania dalszych informacji na interesujący mnie temat.

Ciało, w jakie mnie wyposażono, posiadało naturalnie spore potencjalne możliwości. Krega powiedział, że sprawdzili ich mnóstwo, nim „odcisk się przyjął”, tak że był to zupełny przypadek, iż wylądowałem w tym właśnie a nie innym – okazało się ono jednak dla mnie prawdziwym atutem. Jego prymitywna, pierwotna natura dała mi dużą masę i wielką siłę, a pewne przerośnięte organy uczyniły mnie atrakcyjnym dla Ti. Przez następne dni przebywała ze mną, lub w pobliżu mnie, przynajmniej wieczorami. Wydawało się, iż zdałem jakiś egzamin dzięki samym rozmiarom, przynajmniej w jej umyśle, a inni mężczyźni wokół nie sprostali jej wymaganiom. Co więcej, playboy, jakim ja kiedyś byłem, zna się na wszelkich odmianach tej sztuki, a różnorodność była tym, czego brakowało na Lilith.

Przez cały czas usiłowałem w sposób subtelny i nie powodujący jej znudzenia dowiedzieć się czegoś więcej na temat mocy, którą odczuwała i na temat natury tej mocy. Powoli, z uwagi na krótki okres, w jakim była w stanie utrzymać uwagę, dowiadywałem się wszystkiego, czego mogłem się dowiedzieć. Późną nocą, z Ti leżącą u mego boku, usiłowałem odgrodzić się absolutnie od wszystkiego i zobaczyć, czy ja też ją „wyczuję”.

Był to proces wewnętrzny, w jakimś stopniu psychiczny, ale nie było żadnych reguł, żadnego przewodnika, który pomógłby go uporządkować. Ti urodziła się już wyposażona w tę moc, wzrastała wraz z nią i dlatego była najbardziej odpowiednią osobą, by mi powiedzieć, czego konkretnie mam szukać. Najlepiej byłoby mieć do pomocy nadzorcę, lub kogoś stojącego jeszcze wyżej, lecz ci nie mieli zamiaru wyjawiać czegokolwiek.

Kronlon był głównym powodem mojej uporczywości i wytrwałości. Człowiek ten był sadystą, małym zawistnym bożkiem pozbawionym rozumu. A przecież jakoś tę moc znalazł, nauczył się z niej korzystać. Nigdy do końca nie pojmem, co leżało u podstaw selekcji przy kierowaniu przestępców na światy Wardena i dlaczego wysłano tu takiego Kronlona, zamiast poddać go praniu mózgu. A wiadomo, że został tutaj zesłany; tak przynajmniej twierdziła Ti. I chociaż było to naturalnie już dawno temu, to przecież ten bękart został spłodzony w mojej przestrzeni, a nie na tej prymitywnej i brutalnej planecie.

Cóż on takiego uczynił, by obudzić te moce? Zastanawiałem się nad tym każdej nocy. Cóż takiego odczuwał?

Czasami, na krawędzi snu, wydawało mi się, iż czuję, jak coś się we mnie porusza, coś dziwnego; ale było to nieuchwytnie i zawsze umykało przede mną w ostatniej chwili. Zacząłem się zamartwiać, iż widocznie nie zostało mi to dane. A może fakt, że nie znajdowałem się w swym własnym ciele stanowił czynnik blokujący. Mówiono, że towarzyszące temu uczucie jest uczuciem obcości. W moim odczuciu ciało którego używałem, uprzednio własność odwołanej pamięci Cala Tremona, też było obce, a przecież z każdym dniem stawało się coraz bardziej moim własnym. Wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale teraz widzę to znacznie wyraźniej.

Moje wspomnienia i moja osobowość pozostały nietknięte, ale w każdym z nas jest również aspekt biologiczny, na który wpływ mają enzymy, hormony i gruczoły wydzielania wewnętrznego. To tak jakby jednostka, osobowość, była wyjątkowo wyraźną czarno – białą fotografią, a owe elementy fizjologiczne przydawały jej kolorów, odcieni i niuansów. Nawet nasze preferencje seksualne determinowane są przez niewielką grupę komórek ukrytych głęboko w mózgu. Komórki te nie są przenoszone wraz z osobowością podczas procesu transferu; dostajesz więc nowe ciało ze wszystkimi jego fizjologicznymi i chemicznymi cechami, i one w jakimś sensie cię zmieniają.

Ciało Tremona było wyjątkowo wrażliwe, ponieważ było ciałem nie uregulowanym, należącym do człowieka z obrzeży cywilizacji. Na światach cywilizowanych, owe własności fizyczne i chemiczne były bardzo precyzyjnie regulowane. Tremon zaś, będący rezultatem przypadkowego związku pary nie uregulowanych ludzi, podlegał wpływom tych wszystkich starożytnych genów i odmian, wynikających nie tylko z ewolucji, ale i z mutacji, na którą tak podatni byli wędrujący w kosmosie.

Osobowość zbudowana jest na tych własnościach, a nie odwrotnie. Tremon był gwałtowny, agresywny i amoralny; był mężczyzną brutalem, ze wszystkim, co nazwa ta implikuje. Wszystkie te czynniki fizyczne oddziaływały teraz na mnie, tak jak kiedyś oddziaływały na niego, a temperowane były jedynie przez moje własne wspomnienia i moją własną osobowość, moje wryte głęboko w psychikę przyzwyczajenia i opory kulturowe. Temperowane, ale nie wygaszone całkowicie. Naturalnie im dłużej pozostawałem w tym ciele, w tym większym stopniu czynniki te wpływały na moje zachowanie. Już bowiem zaczynałem spoglądać na me przeszłe życie i dziwić się dlaczego coś uczyniłem właśnie w ten sposób, a nie w inny, i dlaczego coś podobało mi się bardziej od czegoś innego. Coraz trudniej przychodziło mi myśleć o tamtym życiu jak o własnym. Ta przeszłość była wyraźna i żywa, i była to moja jedyna przeszłość, a przecież coraz bardziej zaczynałem myśleć i działać tak, jakbym to ja, Cal Tremon, w jakiś sposób odziedziczył – poprzez Klinikę Służb Bezpieczeństwa – wspomnienia i wiedzę kogoś zupełnie mi obcego.

Już jakieś dwa tygodnie od pierwszego spotkania z Ti miałem wyraźne kłopoty, by zrozumieć, na czym polegały moje wcześniejsze względem niej opory. Rozumiałem to, naturalnie, na poziomie intelektualnym, ale na zyskującym coraz większą przewagę poziomie emocjonalnym coraz trudniej było mi uwierzyć, iż tego rodzaju obiekcje mogą mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Wtedy to, pewnego wieczoru, kiedy wracałem do wioski po długim, męczącym dniu, a myśli moje krążyły wokół czekającego na mnie posiłku i wokół Ti, usłyszałem głos traw.

Było to niesamowite, obce uczucie, jakiego nigdy przedtem nie doznałem; trawa prowadziła bowiem rozmowy, których istota ludzka pojąć nie mogła. To tak, jakby cała wypełniona była

koloniami istot żywych, utrzymujących ze sobą stały kontakt, kontakt pomiędzy poszczególnymi źdźbłami i kępkami traw. Dotarł wtedy do mnie – na przykład – nieprzyjemny dla mnie protest, kiedy tę trawę deptałem, a także westchnienie ulgi, kiedy stopy przenosiły mnie dalej. Nie sędzę, bym wyczuwał wówczas jakiś intelekt za tym wszystkim; czułem raczej świadomość i życie, na najbardziej podstawowym poziomie emocjonalnym. A jednak było w tym jakieś komunikowanie się, skoro wyczuwałem w pewnej odległości przede mną uczucie napięcia, emanujące z tej trawy, na którą za chwilę miałem nadepnąć.

Było to przedziwne uczucie; niby istniało, a zarazem prawie że nie istniało, a dawało się odczuć jedynie dlatego, iż było tak przenikliwe, tak wszechogarniające z powodu dużej ilości tej cholernej trawy. Byłem podekscytowany tym przeżyciem, choć świadom swojego zmęczenia, brudu, lekkiej depresji, a możliwe, że w ogóle popadałem w szaleństwo.

Jednakże Ti, z którą spotkałem się, kiedy zakończyła swą pracę, wyczuła coś, nim zdążyłem jej o tym opowiedzieć.

– Czułeś to dzisiaj – powiedziała nie pytana.

Skinąłem głową.

– Chyba tak. To było... dziwne. Słyszeć trawę, wyczuwać niezliczone miliardy drobniutkich połączonych ze sobą żyjątek.

Nie rozumiała wszystkich słów, ale wiedziała, co mam na myśli i na jej twarzy pojawił się wyraz litości.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że przedtem tego nie słyszałeś?

Było to dla niej pewnego rodzaju objawienie; to tak jakby nagle odkryła, iż osoba, którą dobrze знаła, była głucha przez całe swoje życie i nagle odzyskała słuch. Tak ostre było to uczucie, prawie jak dodatkowy zmysł, szósty zmysł, a rosło ono i rozwijało się wraz z upływem czasu.

Kiedy wiedziałem już, czego mam szukać, postrzegałem to zjawisko wszędzie dokoła.

Skąły, drzewa, zwierzęta tego świata, wszystko śpiewało tę pieśń istnienia, istnienia ponad istnieniem jednostkowym. Było to niewiarygodne uczucie – i piękne. Świat śpiewał i szeptał do ciebie.

Również ludzi „wyczuwałem” – choć było to najtrudniejsze, częściowo dlatego, że ich własne działania w jakimś stopniu maskowały owo zjawisko, tak cichym i subtelnym ono było, a częściowo dlatego, iż jest rzeczą prawie niemożliwą obserwować istotę ludzką z równym obiektywizmem, z jakim obserwujemy kamień, drzewo czy źdźbło trawy. A przecież każdy obiekt był jedynym w swoim rodzaju i przy odrobinie koncentracji mogłem nie tylko wyczuć jego obecność, ale również zamknąwszy oczy, sporządzić we własnym umyśle coś na kształt mapy najbliższego otoczenia.

Uświadomiłem sobie, iż to właśnie było kluczem do owej tajemniczej mocy. Moje własne organizmy Wardena, znajdujące się wewnątrz każdej mojej komórki, a może nawet wewnątrz każdej

molekuły mego ciała, były w jakiś sposób połączone, za pośrednictwem jakiejś nieznannej energii, ze wszystkimi innymi organizmami Wardena. Owo wzajemne połączenie było tym, co widziałem, czułem i słyszałem. Musiało być tym, co widzieli, czuli i słyszeli ci wszyscy, którzy obdarzeni byli choć cząstką tej mocy.

Nadzorca odczuwał to samo, co ja, ale posiadał również umiejętność przesyłać ją za pośrednictwem symbiontów żyjących w jego ciele informacji do symbiontów żyjących w ciele kogoś drugiego lub w drzewie, kamieniu czy jakimś przedmiocie. Pan, natomiast, mógł czynić to samo, ale z większą dokładnością; potrafił bowiem dojrzeć poszczególne części wewnątrz ludzkiego ciała i nakazać im dokonanie zmian w sposobie ich działania.

Kiedy coś umierało lub traciło swój pierwotny kształt – tak jak w przypadku zmiażdżonego kamienia – organizmy Wardena ginęły, a bez nich cała struktura stawała się niestabilna i ulegała rozpadowi. Rycerz przeto był tym, który potrafił w tych warunkach utrzymać organizmy Wardena przy życiu. Nawet wówczas jednak organizm ten atakował i destabilizował materię nieorganiczną spoza swego środowiska. Przyszły mi na myśl antyciała, te substancje w krwi ludzkiej, które atakują obce substancje, na przykład wirusy wnikające do naszych ciał. Wydawało mi się, iż organizm Wardena działa podobnie, tyle że na obcą materię nieorganiczną: atakuje, destabilizuje i niszczy ją.

Kreegan mógł tedy czynić to, co wydaje się niemożliwym – przekonać organizm Wardena, aby nie atakował i nie niszczył obcej materii nieorganicznej. A każdy, kto był wyższy rangą mógł powstrzymać tych, którzy byli niżsi od niego rangą od komunikowania się z ich własnymi organizmami Wardena, zapewniając im w ten sposób ochronę.

Co jednak pozwalało dostroić się do twoich własnych symbiontów, pozwalało za ich pośrednictwem przekazywać rozkazy innym, znajdującym się na zewnątrz twojego ciała? To jeszcze musiałem odkryć. Samo odkrycie, iż ja byłem w stanie wyczuwać taką komunikację, podczas gdy inne pionki nie były do tego zdolne, już stanowiło najlepszą rzecz, jaka mi się tutaj przydarzyła. Przestałem odczuwać zmęczenie i przygnębienie. Byłem obdarzony talentem. Musiałem teraz, zbadać swą moc, wypróbować ją, nauczyć się z niej korzystać, poznać swe własne ograniczenia.

Być może nie dorównam władcy; być może potrzebna mi będzie pomoc, jakiś cenny sojusznik.

Tymczasem jednak wystarczał fakt, iż w końcu wiem, jak się rzeczy mają na tym szalonym świecie... i wiem, iż dni wypełnione ciągnięciem ciężkich wózków z błotem są policzone.

I tak trwało to wszystko zbyt długo.

## Rozdział siódmy

### **OJCIEC BRONZ**

W ciągu następnych dni moja wzrastająca wrażliwość na ową niemą komunikację zaabsorbowała mnie całkowicie i usiłowałem dowiedzieć się wszystkiego, co tylko możliwe, na jej temat. Żaden z pionków nie mógł mi w tym pomóc, z wyjątkiem Ti, która choć czuła tę moc, nie nauczyła się nigdy jej kontrolować ani właściwie używać. Skoro pozycja każdego mieszkańca Lilith zależna była od umiejętności opanowania tej mocy i skoro mobilność społeczna zazwyczaj prowadziła do śmierci jednego ze współzawodników, nie ma chyba potrzeby dodawać, iż nie istniały żadne podręczniki z tego zakresu.

Chociaż od jakiegoś już czasu żyłem ze świadomością owego uczucia, ciągle nie umiałem go sobie opisać. Najbardziej obiektywny z opisów, jaki byłbym w stanie podać, mówiłby o podwyższonej wrażliwości na przepływ energii. Energia ta, choć niewielka, daje się wyczuć, jednak nie jako coś statycznego, ale jako ciągły, pulsujący wpływ energii ze wszystkich ciał stałych. Gazy i woda chyba jej nie posiadają, podczas gdy najmniejsze stworzonko żyjące w wodzie ma ją.

Energia ta jest tego samego rodzaju niezależnie od tego czy wypływa ze źdźbła trawy, z osoby, czy też z owadów, ale wzór czy układ, który tworzy, jest jedynym i niepowtarzalnym. Stąd możliwość odróżnienia jednego źdźbła trawy od drugiego, człowieka od zwierzęcia; nawet miliardy mikrobów, które żyją w naszym wnętrzu posiadają charakterystyczne dla siebie układy.

Ciągle jeszcze byłem w fazie eksperymentów, kiedy do naszej małej wioski zawitał pewien nieznajomy. Spędził w niej już większą część dnia, odwiedzając różne brygady i grupy robocze, nim dotarł do mojej. W końcu zobaczyłem go dopiero wieczorem, odpoczywającego i jedzącego jakieś owoce.

Ubrany był w błyszczącą, białą togę, która falowała przy każdym jego ruchu, na stopach miał natomiast parę pięknie wykonanych sandałów, świadczących o tym, iż był on wyjątkowo ważną osobistością. A przecież siedział sobie swobodnie, jedząc i rozmawiając ze zwykłymi pionkami. Był w podeszłym wieku, twarz miał pokrytą drobnymi zmarszczkami, brodę starannie przyciętą i zaawansowaną łysinę, zarówno z przodu, jak i na szczycie głowy. Choć szczupły, był w doskonałej formie, czego zresztą należało się po kimś takim spodziewać. Trudno byłoby zgadnąć jego wiek, ale na pewno miał około siedemdziesiątki, jeśli nie znacznie więcej.

Na krótki moment wpadł do mojej już z natury podejrzliwej głowy pomysł, iż może to być sam lord Marek Kreegan. Dlaczego jednak miałby się pokazać tutaj i w tym czasie było tajemnicą, która praktycznie wykluczałaby taki zbieg okoliczności. Poza tym Kreegan miał standardowy wzrost i budowę, tak jak i wszyscy inni żyjący w cywilizowanym świecie, ze mną włącznie. Ten zaś mężczyzna był troszkę za niski i troszkę zbyt barczysty, by pasować do tej kategorii.

Było rzeczą wielce interesującą obserwować stosunek pionków do niego. Ci, którzy nie ośmieliliby się zwrócić nawet do nadzorca z własnej inicjatywy i którzy traktowali wyższych rangą ze służalczą, podchodzili swobodnie do niego i rozmawiali z nim prawie jak równy z równym. Odnalazłem Ti i spytałem, kim jest ten człowiek.

– To ojciec Bronz – odpowiedziała.

– Świetnie. Ale co to znaczy? – zareagowałem z irytacją. – Kim lub czym jest ojciec Bronz?

– Jest panem – odrzekła, jak gdyby wyjaśniało to już wszystko, podczas gdy w rzeczywistości było jedynie stwierdzeniem oczywistego faktu.

– Tyle to sam wiem – naciskałem odważnie – ale nigdy przedtem nie widziałem by zachowywali się z taką swobodą w obecności kogoś obdarzonego mocą. Zdarza im się nawet omijać ciebie z daleka z wiadomych powodów. Chciałbym wiedzieć, czy on jest z zaniku? Czy pracuje dla bossa, dla księcia, czy co tam wreszcie robi?

Roześmiała się beztrąsko.

– Ojciec Bronz nie pracuje dla nikogo – powiedziała z pogardą. – Jest bożym człowiekiem.

Trochę mnie to zaskoczyło, nim zdałem sobie po chwili sprawę z tego, iż nie odnosi się ona do jego mocy, ale raczej do jego zawodu. Chciała najwyraźniej w ten sposób poinformować mnie, iż jest on jakimś duchownym, choć muszę przyznać, że nie zauważyłem, jak do tej pory, żadnych śladów życia religijnego na Lilith. Naturalnie, wiedziałem, kim są duchowni; z jakichś niejasnych powodów te stare kultury i stare przesady traktowane były poważnie przez mnóstwo ludzi nawet na światach cywilizowanych. Im bardziej starano się je zdusić, tym bardziej rosły w siłę.

Ponownie przyjrzałem się temu starszemu mężczyźnie. Dziwne miejsce dla duchownego, pomyślałem sobie. Zaiste musi wyznawać jakąś dziwną religię, skoro jest tutaj, na Lilith. Po co skazywać się na dożywocie tutaj, podczas gdy można żyć wygodnie w jakiejś świątyni utrzymywanej przez ciemnych ludzi? I jakże mógł, zastanawiałem się, boży człowiek uzyskać rangę pana, nie plamiąc sobie rąk krwią?

Mężczyźni i kobiety podchodzili do niego pojedynczo i grupkami, by z nim porozmawiać.

– Dlaczego oni z nim rozmawiają? – spytałem Ti. – Czyżby uważali, że muszą? – Wydawało mi się bowiem, że jeśli chcesz nawracać i posiadasz moc pana, możesz przynajmniej zmusić ich do wysłuchiwania twoich kazań. Tymczasem on nie wygłaszał kazania. Prowadził jedynie miłe rozmowy.

– Opowiadają mu o swoich kłopotach – powiedziała Ti – i czasem jest w stanie im pomóc. Jest jedynym spośród posiadających moc, który lubi pionków.

Zmarszczyłem brwi w namyśle. Spowiednik – a może rzeczywiście oferował swe wstawiennictwo? Rozwazałem te możliwości, ale w żaden sposób nie mogłem wymyślić czym on się zajmuje. Jeszcze jedna rzecz, której muszę się nauczyć, powiedziałem sobie. I chociaż istniała tylko jedna droga dokonania tego, sama myśl podejścia z własnej woli do kogoś dziesięciokrotnie potężniejszego od Kronlona była mi wielce niemiłą.

Przypuszczam, iż zauważył, jak stoję i wpatruję się w niego, bowiem kiedy się przerzedziło wokół niego, spojrzał w moim kierunku i zamachał przyzywająco ramieniem.

– Hej, ty tam! Duży i owłosiony chłopcze! Podejdz tutaj! – zawołał całkiem sympatycznie, głosem głębokim i dobrodusznym.

Był to głos uwodziciela albo oszusta, ten rodzaj głosu, który powoduje, że tłum postępuje zgodnie z jego życzeniem.

Nie miałem wyboru, więc podszedłem do niego, chociaż moje zdenerwowanie musiało być dla niego oczywiste.

– Nie przejmuj się – uspokajał mnie. – Ani nie gryzę, ani nie zadaję bólu pionkom, ani nie zjadam niemowląt na śniadanie.

Obejrzał mnie sobie dokładnie w świetle pochodni i oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

– To przecież ty musisz być tym Calem Tremonem.

Nie okazałem żadnych uczuć na zewnątrz, lecz wewnątrz cały byłem spięty, bo to, że rozpoznał mnie nie wróżyło nic dobrego.

– Dużo o tobie słyszałem od, hm, twoich kolegów, którzy również tu wylądowali – ciągnął. – Zastanawiałem się, jak też wyglądasz.

Bardzo mi się to nie podobało. Oznaczało bowiem, iż całkiem spora liczba ludzi wiedziała o życiu i wyczynach Cala Tremona znacznie więcej niż ja sam.

– Usiądź – powiedział, wskazując na kępę trawy – i, na Boga, odpręż się trochę! Jestem człowiekiem Boga i nie masz się czego obawiać z mojej strony.

Usiadłem, myśląc zarazem jak bardzo jest w błędzie. Nie obawiałem się przecież jego mocy, a jedynie jego wiedzy, która mogła mnie zdemaskować. Pomimo złych przeczuć rozluźniłem się nieco i zdecydowałem podjąć z nim rozmowę.

– Tak, jestem Tremon – przyznałem. – Co o mnie słyszałeś? I od kogo?

Uśmiechnął się.



– Cóż, większość nowo przybyłych zajmowała się przedtem prawie tym samym. A ludzie podobnych zawodów znają co sławniejszych spomiędzy siebie. Ty zaś jesteś legendą, Cal; mam nadzieję, iż mogę się tak do ciebie zwracać. Zapewnił ci to chociażby ten skok na Coristan. W pojedynkę wysadzić kopuły mieszkalne całej kolonii górniczej i zwiać z czterdziestoma milionami! – Pokręcił głową z podziwem. – Zastanawiam się, jak to było w ogóle możliwe, że cię złapali, skoro posiadałeś taki talent i taki mózg, że nie wspomnę pieniędzy.

– Służby specjalne wysłały za mną skrytobójcę – odpowiedziałem tak gładko, jak tylko umiałem, tym bardziej że nigdy w życiu nie słyszałem o Coristanie. – A dysponują najlepszymi, którzy rzadko zawodzą. Nie zabito mnie jedynie dlatego, iż byłem na tyle przewidujący, że łup ukryłem i musieli mnie dostać żywego, żeby wyciągnąć ode mnie informacje, które by ich do niego doprowadziły.

To przynajmniej było prawdą; instrukcje, które otrzymałem były dokładniejsze w części dotyczącej późniejszej kariery i sylwetki psychologicznej Tremona.

Duchowny pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Tak, jest rzeczą prawie niemożliwą umknąć tym agentom, a nawet jeśli ci się uda wyeliminować jednego z nich, pozostali cię dopadną. Czy wiesz o tym, że panujący obecnie władca Lilith był również agentem? Skinąłem głową.

– Tak mówią. Wybacz mi, że o tym wspominam, ale spotkanie duchownego w takim miejscu jest faktem bardzo dziwnym i zaskakującym, szczególnie zaś takiego duchownego, który jakby nigdy nie rozmawia ze złodziejami i mordercami.

Ojciec Bronz roześmiał się.

– Chodzi ci o to, że nie słyszysz kazań? Cóż, moja praca jest teraz troszkę inna. Kiedyś byłem kaznodzieją i to dobrym; obawiam się, iż byłem również ofiarą własnego sukcesu. Zacząłem od małego zgromadzenia – jakichś dwudziestu, trzydziestu członków – na małym świecie z pogranicza, aż kościół mój urósł tak, że stałem się najważniejszym duchownym trzech planet, z których dwie były ucywilizowane! – Twarz jego nabrała nieobecnego wyrazu i oczy mu zabłyśły. – Ach, te olbrzymie sumy wpływające do kasy, te katedry, te wspólne modlitwy tłumów i te błogosławieństwa dla pół miliona obecnych! To było na wielką skalę! – W głosie jego zabrzmiała tęsknota i smutek.

– Cóż się tedy wydarzyło, iż znalazłeś się tutaj?

Wrócił nagle do terażniejszości i spojrzał mi prosto w oczy.

– Zbyt wiele zyskałem. Zbyt wielu wiernych, za dużo pieniędzy, co naturalnie oznaczało również zbyt duże wpływy. Kościół nie wiedział, jak postąpić. Pominięto mnie przy nominacji na arcybiskupa i zaczęto przysyłać głupich, małych ludzi, by objęli stery mojego kościoła. A potem kongres i władze światów, na których dopiero zaczynaliśmy swą działalność, uległy nerwowej atmosferze i zaczęły naciskać na kościół. Nie mogli wiele zdziałać; nie złamałem żadnego prawa.

Nie mogli mnie po prostu zdegradować. Pojawiłbym się bowiem gdzie indziej, a moi wierni wywarliby nacisk, by mnie przywrócić. Byłaby to dla nich niewybaczalna porażka, wobec czego wpadli na pomysł, by obarczyć mnie pracą misyjną w Rombie Wardena; można by to nazwać banicją doskonałą. Tyle że ja nie godziłem się tu przylecieć. Groziłem, że wyprowadzę swój kościół i swoich wiernych z oficjalnego kościoła. Zdarzało się to już wcześniej, kiedy kościół ulegał zepsuciu i korupcji. I naturalnie tu mnie dopadli. Przeprowadzili kilka symulacji komputerowych, sfabrykowali oskarżenia o defraudacje dużych sum i o używanie religii w celach politycznych, i znalazłem się tutaj, zesłany na placówkę, na którą nigdy nie udałbym się z własnej i nieprzymuszonej woli, przetransportowany tutaj jak pospolity przestępca.

Odniosłem wrażenie, iż nic, co dotyczy ojca Bronza, nie może być całkiem zwyczajne.

– A jednak mimo wszystko służysz tu kościołowi jako misjonarz? – spytałem z niedowierzaniem.

Uśmiechnął się.

– Możliwe, iż moja księgowość była do kitu, ale moja motywacja jest przynajmniej szczerą. Wierzę w religijne treści zawarte w nauczaniu kościoła i wierzę, iż Bóg używa mnie jako narzędzia w Jego pracy. Kościół w świecie cywilizowanym jest równie świecki i zepsuty jak rządy, ale tutaj tak nie jest. Na Lilith nastąpił powrót do źródeł – żadnej hierarchii, żadnych kościołów, a jedynie czysta wiara. Tak więc mam do czynienia z wielką grupą praktycznie pogańskiej ludności i nie stoi nade mną żaden przełożony, z wyjątkiem Boga Wszechmogącego. – Popatrzył na kręcących się wokół i zniżył głos. – Spójrz na nich – prawie wyszeptał. – Jakiż tu wszyscy prowadzicie żywot? Bez nadziei, bez przyszłości, a jedynie w bezruchu terażniejszości. Jeśli nie dysponujesz mocą, jesteś pionkiem, w dosłownym znaczeniu tego słowa. A przecież wszyscy tutaj są istotami ludzkimi. Potrzebna im nadzieja, obietnica czegoś lepszego, czegoś, co wykracza poza to doczesne życie. Nie uzyskają tego na Lilith, a opuścić jej nie mogą, stąd Wieczność jest ich jedyną nadzieją zbawienia. Jeśli zaś chodzi o niektórych – powiedzmy, o element przestępczy – cóż, to właśnie ludzie tego pokroju najbardziej mnie potrzebują. Któż inny wysłucha ich skarg, kto przemówi w ich imieniu do ich przełożonych? Tylko ktoś taki jak ja. I to wszystko.

Chyba udało mi się go rozgryźć, pomyślałem sobie. Był kompletnym szaleńcem, a ogromne poczucie winy związane z własną przeszłością kryminalną, z tym niby kultem czy czymś takim, spowodowało, iż zdecydował się odkupić swe winy. Typ męczennika. Zbawić własną duszę, zbawiając innych. Tacy ludzie są niebezpieczni, bo są zbyt fanatyczni, by pogodzić się z rzeczywistością, ale bywają również użyteczni. Użyteczni dla tych tutaj, a być może jeszcze w większym stopniu użyteczni dla mnie samego.

Ojciec Bronz spostrzegł stojącą skromnie na uboczu Ti. Westchnął ze smutkiem.

– Och, nie – wyszeptał, ale go usłyszałem.

Zdziwiony uniosłem brwi.

– O co chodzi?

Wskazał na Ti.

– To grzech, to, co oni z nią wyprawiają i z innymi ładnymi dziewczętami. Za szybko dorosłeją, a kiedy już się znajdują w zamku, ich los jest jeszcze gorszy.

Nerwowy dreszcz przebiegł moje ciało. Nie chciałem nawet o tym myśleć, a dzięki cichej umowie nigdy nie poruszaliśmy z Ti tego tematu. Możliwe, iż nie chciałem dopuścić do świadomości faktu, że ona może odejść, przynajmniej nie wtedy, kiedy tu jestem. Pomogła mi wydostać się z owej czarnej przepaści, w jakiej pogrążył się mój umysł i stała się dla mnie przyjacielem, towarzyszem, źródłem informacji i stymulatorem mojego rozwoju. Tworzyliśmy parę już znacznie dłużej niż ktokolwiek inny w tej wiosce. I chociaż nie oszukiwałem się, że było to coś więcej niż potrzeba zaspokojenia naszych dwóch ciał, to jednak odsuwałem od siebie myśl o przyszłości. Teraz wszakże czułem, że muszę zadać to pytanie.

– Co oni z nią zrobią? – spytałem wbrew samemu sobie.

Ponownie westchnął.

– Wpierw ją zamrozą, że tak powiem – odpowiadał ojciec Bronz powoli. – Rozwijający się, pełen inteligencji umysł byłby dla nich niewygodny, wobec tego będą ją utrzymywać w stanie permanentnego dzieciństwa. Gorszego nawet niż to obecne. To tylko sprawa znalezienia właściwego miejsca w mózgu i zabicia tego, co trzeba. Większość hodowców to byli lekarze i potrafią wykonać taki zabieg bez większego trudu. Potem zwiększają wydzielanie gruczołów czy czegoś takiego – nie jestem lekarzem i nie znam szczegółów – a kiedy nastąpi już stan równowagi wewnętrznej organizmu, umieszczą ją w haremie z podobnie przygotowanymi dziewczętami i będą eksperymentować na jednym niemowlęciu po drugim, by znaleźć klucz do mocy i do możliwości jej przekazywania.

Wstrząsnął mną zimny dreszcz.

– I to mają być lekarze? Sądziłem, że lekarze ratują życie i leczą ciała i umysły.

Popatrzył na mnie jakoś dziwnie.

– Doprawdy, Tremon! Oczywiście lekarze nie bardziej są wolni od grzechu i zepsucia niż ty czy ja. Bywają dobrzy i bywają zli, przy czym większość złych o najwyższych umiejętnościach trafia właśnie tutaj, gdzie mają doskonałe warunki, by sprawdzić w praktyce swoje groteskowe teorie. Słyszałem, że nawet Konfederacja zachęca ich do tego, zapewniając im komputerową analizę wyników ich pracy, w nadziei, iż odkryją istotę działania organizmu Wardena.

Potrząsnąłem jedynie głową, nie mogąc pogodzić się z podobnymi podejrzeniami. Konfederacja! Do diabła! To było szaleńcze, wariackie, a jednocześnie doskonale logiczne. Żadne poprzednie eksperymenty nie przyniosły pożądanых wyników, a te światy tutaj były jedynie więzieniem. Niezależnie jednak od tego, czy było poparcie Konfederacji, czy też go nie było, to wszystko źle rokowało biednej Ti.

– Kiedy ją... zabiorą? – zapytałem, z lękiem oczekując odpowiedzi.

Przyjrzał jej się uważnie.

– Cóż – odrzekł – przeszła już wstępną obróbkę. Powiedziałbym, że czas jej już nawet minął. Bo widzisz, nie mogą jej pozwolić przebywać tu dłużej niż trzeba, bowiem układ, jaki utrwalił się w jej mózgu, uczyni zabawę z nią mniej bezpieczną. Innymi słowy, będzie zbyt inteligentna, zbyt skomplikowana. Podejrzewam, iż ty przyspieszyłeś ich plany, jeśli w ogóle świadomi są waszego związku, bowiem kontakt z kimś z Zewnątrz, takim jak ty, poszerzył jedynie jej horyzonty.

Wstrząsnęło mną to nie tylko dlatego, iż to ja mogłem się przyczynić do przyspieszenia jej okropnego losu, ale również dlatego, że Bronz bez najmniejszego trudu zauważył łączący nas związek.

– Skąd o nas wiesz? – spytałem dość ostro.

Roześmiał się.

– Książd może posiadać wiele różnych cech, ale jedną z najważniejszych jego umiejętności jest umiejętność obserwowania natury ludzkiej. Widzę sposób, w jaki tam się kręci, wzrok, jakim na ciebie patrzy, wzrok szczenięcia patrzącego na swego pana. Jest w tobie zadurzona, czy tego chcesz czy też nie. A jakie są twoje uczucia w stosunku do niej?

Zastanowiłem się nad tym pytaniem. Jakie były moje rzeczywiste uczucia do niej? Naprawdę nie byłem tego pewien. Czy uważałem nas za partnerów w sensie fizycznym bez żadnych zobowiązań? Nie, taki układ nie byłby zgodny z moją naturą. Darzyłem ją uczuciem i to nie tylko cielesnym, wyczuwając w niej potencjał pełnego człowieczeństwa. Była inteligentna, ciekawa świata i chwytiała znaczenie nowych pojęć o wiele szybciej niż ktokolwiek inny urodzony na tym szalonym świecie. Zastanowiłem się przelotnie, czy możliwe jest jednocześnie uczucie ojcowskie i uczucie pożądania. Pachniało mi to trochę kazirodztwem, choć nie byliśmy w żadnym stopniu spokrewnieni, ale jednocześnie najlepiej podsumowywało moje do niej uczucia. Powiedziałem to Bronzowi.

Skinął głową.

– Właśnie coś takiego podejrzewałem. Wielka szkoda; przy tobie miałyby szansę rozwinąć się we wspaniałą kobietę.

Rozważyłem jego słowa. Potencjał – było to słowo najwłaściwsze. Potencjał. To czyniło ją tak dla mnie atrakcyjną, w przeciwieństwie do kręcących się wokół pionków. A jednocześnie było źródłem jej tragedii. Poczulem nagle wzbierającą we mnie wściekłość, wściekłość, której nie rozumiałem i nad którą nie byłem w stanie w pełni zapanować. Właśnie ten potencjał zamierzali jej odebrać. Oblała mnie taka fala gniewu, że trząsałem się cały, wstrząsany tym brutalnym uczuciem, nad którym prawie traciłem kontrolę.

Ojciec Bronz siedział nieruchomo i obserwował mnie z poważnym wyrazem twarzy. W końcu, kiedy już się opanowałem, kiedy odzyskałem kontrolę nad własnymi emocjami i próbowałem się odprężyć, by przemóc do końca ten przyływ obcych mi uczuć, przemówił.

– Po raz pierwszy – powiedział łagodnie – ujrzałem obok siebie Cala Tremona; był postacią równie groźną i równie straszną jak ta, którą przedstawiają legendy. Poznałem również jego emocje. Ową wielką siłę wzbierającą wewnątrz, wrzącą jak płynna lawa i omal wypływającą na powierzchnię. Staniesz się kiedyś potężnym człowiekiem, Tremon, jeśli nauczysz się ukierunkowywać i odpowiednio wykorzystywać tę furję.

Siedziałem tam i patrzyłem na niego, a nagła świadomość samego siebie i własnych możliwości eksplodowała w mym umyśle. Wiedziałem, że Bronz, z pozycji potężnego pana, w tym samym momencie wyczuł u mnie nagły przyływ umiejętności wardenowskich. A ja zrozumiałem, dlaczego jedni pięli się wyżej, a inni nie, i na jakiej zasadzie to się odbywało. Kluczem były emocje – nagie, potworne emocje. Aż do tej chwili emocje i uczucia były mi prawie że obce; były bowiem słabością, na którą nie mogłem sobie pozwolić w mojej starej pracy w charakterze agenta. Tutaj natomiast enzymy i hormony, i ta cała reszta, która czyniła Tremona tak przerażająco groźnym, zyskała przewagę, prawie mnie spalając. To właśnie poczuł Bronz.

Nie chodziło więc tylko o ilość posiadanej mocy, ale i o ilość samokontroli tej mocy towarzyszącej – o umiejętność opanowania tej nagiej, nieokiełzanej emocji, ukierunkowania jej, kontrolowania i kształtowania za pomocą własnego intelektu. Raczej to właśnie, a nie jakieś stopniowanie mocy, było tym, co dzieliło poszczególne szczeble hierarchii na tym świecie. To wyjaśniało, dlaczego Kronlon z całą jego mocą był takim nędznym człowieczkiem i dlaczego takim pozostanie. To również wyjaśniało, dlaczego Marek Kreegan mógł wznieść się na szczyty i zostać władcą. Był wyszkolonym agentem, należał do śmietanki tego zawodu, a znalazł się tutaj w sytuacji tak sprzyjającej ludziom tego pokroju.

Zrobiło się późno; większość pionków wróciła już do swoich chat i pogrążyła się we śnie. Ja, jak na razie, byłem ciągle pionkiem, na którego czekał długi dzień pracy.

– Czy będziesz tu jeszcze jutro? – spytałem Bronza.

Pokręcił przecząco głową.

– Przykro mi, ale mam przed sobą długą drogę, a i tak już siedziałem tu dłużej, niż zamierzałem. Powinienem już być w dziedzinie Shemlon, leżącej stąd na południe. Miło mi było cię poznać i mam przeczucie, że wkrótce spotkamy się ponownie. Człowiek z twoją mocą szybko awansuje na tym świecie, jeśli będzie właściwie szkolony, a jego talent rozwijany.

Ta ostatnia uwaga była tak ważna, że nie mogłem jej w żadnym wypadku zignorować.

– Szkolony – powtórzyłem – Przez kogo? Kto prowadzi szkolenie?

– Czasami nikt, a czasami ktoś, kto zna kogoś – odrzekł enigmatycznie. – Najlepsze szkolenie, o jakim słyszałem prowadzone jest w kolonii złożonej z potomków pierwszych naukowców, jacy tu wylądowali, w dziedzinie Moab, ale ta znajduje się tysiące kilometrów stąd. Nie przejmuj się, znajdziesz kogoś. Najlepszym zawsze to się udaje.

Zostawiłem go na tym miejscu, gdzie siedział cały wieczór i poszedłem z Ti do chaty. Chociaż

było późno, a ja byłem po długim dniu pracy, nie mogłem zasnąć. Głowę miałem wypełnioną myślami o wyrwaniu się z tego życia wśród pionków i o odnalezieniu Marka Kreegana. Myślałem także o Ti, biednej, naiwnej, małej Ti, i o tym jaką krzywdę jej czyniono. Zbudowałem całą armię z tych, z którymi chciałem wyrównać rachunki, choć wiciu z nich nawet jeszcze nie spotkałem.

## Rozdział ósmy

### MOBILNOŚĆ SPOŁECZNA NA LILITH

Ćwiczyłem tak dużo, jak to było możliwe przy długim i ciężkim dniu wypełnionym pracą fizyczną. Powtarzałem sobie, że te ostatnie tygodnie czy miesiące pozwoliły mi osiągnąć dwie rzeczy. Pierwsza, to opanowanie do końca i dostrojenie do siebie ciała Cala Tremona w taki sposób, bym mógł nie tylko korzystać z niego w sposób naturalny, ale bym je odczuwał jako swoje własne. Druga, to fakt, iż jego mięśnie – aha! moje mięśnie – rozwinęły się w stopniu, który przedtem uważałbym za zupełnie niemożliwy. Podnosiłem ciężary trzykrotnie większe bez zastanowienia i bez trapiącego mnie uprzednio bólu. Byłem pewien, że potrafię teraz z łatwością giąć grube stalowe pręty.

Choć może wydawać się to dziwne, jako wyszkolony agent bardziej jeszcze doceniałem tę drugą rzecz. Poniżono mnie. Sponiewierano, złamano ze śmieszną łatwością i to właśnie było tak upokarzające.

Może to brzmi zaskakująco w moich ustach, ale właśnie upokorzenie było tym, czego mi bardzo było potrzeba. Byłem przecież zarozumiały, próżny i zbyt pewny siebie, kiedy zaczęła się ta cała eskapada. Homo superior – nigdy nie pokonany podczas wykonywania zadania. Ciągle jeszcze w to wierzyłem, mimo że miejsce, w którym mogłem wykazać swą wyższość było dla mnie zamknięte na zawsze. Ten świat tutaj był całkowicie obcy; był światem, który kierował się zupełnie odmiennymi regułami. Tutaj znajdowałem się poza swoim żywiołem, jeśli więc chciałem zwyciężyć, musiałem spaść na samo dno, by zacząć wszystko od podstaw. Był to powód, dla którego ciągle jeszcze znajdowałem się przy życiu. To i fakt, że chociaż złamany w obliczu pozornie niepokonanej siły straciłem poczucie celu, to jednak nigdy nie straciłem woli przetrwania.

Pod koniec pewnego dnia, wkrótce po wyjeździe Bronza, wraz z innymi wróciłem do wioski na wieczorny posiłek. W trakcie jedzenia rozejrzałem się po brudnych i zmęczonych twarzach pionków i uświadomiłem sobie, że coś jest nie całkiem tak, jak powinno być.

Brakowało Ti. Prawie zawsze spotykaliśmy się tutaj i jedliśmy wspólnie, a życie w dziedzinie było tak regularne i niezmienne, iż w tych kilku przypadkach, kiedy musiała być gdzie indziej, zawsze wiedziałem o tym z góry.

Zacząłem pytać wszystkich wokół, ale nikt jej nie widział. W końcu znalazłem ludzi, którzy z nią pracowali i ci powiedzieli, że przyszedł po nią Kronlon w porze południowego posiłku i zabrał ze sobą.

Zastanowiłem się. Co prawda, Kronlonowi zdarzało się zabierać co ładniejsze dziewczyny, by się z nimi zabawić, ale tym razem nie była to właściwa pora na coś takiego. Kronlon bowiem, mimo całej swej władzy jaką posiadał, na szczeblach hierarchii stał niewiele wyżej od zwykłych pionków i istniały zadania, które musiał bezwzględnie wykonywać. Miałem jak najgorsze przeczucia. Przerwałem posiłek, wstałem od stołu i poszedłem powoli w kierunku chaty nadzorcy. Nie było to z mojej strony działanie rozsądne, ale uważałem, iż nie mogę czegoś takiego przepuścić.

Kronlon był u siebie. Widziałem, że siedzi w swoim niewielkim pokoiku i coś popija – prawdopodobnie miejscowe piwo – z dużej tykwy i pali jakiegoś skręta, który mógł być równie dobrze cygarem ze śmierdzącego zielska, jak i lokalnym odpowiednikiem „trawki”. Nie miałem pewności, co to może być, bo pionkom nie przysługiwały takie luksusy. Ponieważ było czymś niezwykłym, by ktoś z własnej woli zbliżył się do jego kwatery, wyczuwając moją obecność, odwrócił się zaskoczony. Kiedy mnie zobaczył, twarz wykrzywiła mu się w złośliwym grymasie.

– Tremon! No, no! Trochę się ciebie spodziewałem – zawołał. – Chodź tutaj, chłopcze!

Podchodziłem ostrożnie, bo chociaż mogłem już wyczuć, usłyszeć i zobaczyć organizm Wardena praktycznie we wszystkim, włączając w to i jego, to jednak, jak do tej pory, nie odniosłem żadnych sukcesów w wykorzystaniu tej umiejętności. Wydawało mi się, że Kronlon świeci trochę jaśniej niż inni, na których się koncentrowałem – a może były to tylko nerwy? Trudno mi było zapomnieć to, czego doznałem za jego przyczyną, ten niewiarygodny ból, który zadawał jedynie siłą swej woli.

Przez krótki moment miałem ochotę się wycofać, ale było już na to za późno i on o tym wiedział. Zobaczył mnie, zaprosił do siebie, a to było równoznaczne z rozkazem. Niezależnie więc od rezultatu konfrontacji, wycofać się nie mogłem.

Kronlon rozparł się wygodnie i przyglądał mi się z krzywym uśmiechem na twarzy.

– Szukasz swojej małej suki, hm? Brakuje ci partnerki do łóżka, co?

Oczy błyskały mu okrucieństwem. Wiedziałem, że ten sukinsyn mnie prowokuje.

Poczułem nietypowy w swym charakterze przypływ gniewu, częściowo zneutralizowany lękiem, jaki przed nim odczuwałem. Skinąłem więc jedynie głową i milczałem.

Roześmiał się, czerpiąc uciechę ze swej władzy i sytuacji. Stałem przed nim, potężnie zbudowany i tak silny, że mógłbym bez trudu złamać go na dwoje, a mimo to on był mym panem, jak gdybym był drobny i słaby, taki jak Ti. Ryknął śmiechem i pociągnął łyk piwa.

– Nie ma jej, chłopcze! – powiedział. – Odeszła na zawsze. I lepiej, żebyś się przyzwyczaił do pustego łóżka, synu, bo ona nigdy już nie wróci i możesz poszukać sobie kogoś nowego. Biedny, wielki, stary Cal zrobiony w konia. – Ponownie się roześmiał.



Moja furia i frustracja narastała i zaczynała wymykać mi się spod kontroli. Przez cały ten czas rządził mną i terroryzował mnie ten głupawy sadysta i miałem już tego powyżej uszu.

– Dokąd odeszła... panie? – wykrztusiłem, ciągle jeszcze powstrzymywany groźbą tkwiącej w nim potwornej mocy.

Mój niepewny ton i także zachowanie sprawiało mu dodatkową radość.

– Naprawdę coś do niej czujesz, co? – odezwał się, traktując swoje informacje jak okrutny dowcip. – No cóż, chłopcze, dziś rano dostałem polecenie, że mam ją zabrać i przyprowadzić do zamku. Powiem ci, że nie chciała iść, ale, do diabła, przecież nie miała wyboru. – Jego wzrok stał się nagle trochę nieobecny, a głos spoważniał. – Nikt nie ma żadnego wyboru w niczym – dodał.

Zdałem sobie sprawę z tego, że Kronlon nie zwykł myśleć o podobnych sprawach. Nie lubił o nich myśleć. Pokrywał swój własny strach i poniżenie okrucieństwem i sadyzmem, jedynymi rzeczami, które tak naprawdę wypełniały jego małe ego.

Powinienem być odczuwać dla niego litość, ale widziałem przed sobą małego człowieka, który nie miał nawet kwalifikacji, by obmywać stopy tym ludziom, których terroryzował. Czuję jak wszystko we mnie wrze.

– A wiesz, co z nią zrobią? – prowokował. – Zrobią z niej krowę w ludzkim ciele, Tremon. A wiesz, co to jest krowa, co? Wielkie cycki i brak mózgu. – Zarechotał głośno z własnego dowcipu.

– Ty śmierdzący sukinsynu – powiedziałem spokojnym głosem.

Przez chwilę śmiał się dalej, tak że nie byłem pewien, czy mnie w ogóle usłyszał, choć w tym momencie było mi to już zupełnie obojętne. Byłem wściekły, kipiałem z gniewu, może nawet byłem szaleńczo wściekły. Nie dbałem już o to, co ten robak, najniższy z najniższych, mógł zrobić, jaki ból zadać. Ból był ceną jaką byłem gotów zapłacić za możliwość skręcenia mu tego brudnego karku.

Jednak usłyszał.

– Co powiedziałaś, chłopcze? Masz jakiś problem? W porządku, dostarczę ci zaraz tematu do rozmyślań!

Teraz już prawie wrzeszczał. Wstał. Nie myliłem się; czułem, że zmysł związany z organizmem Wardena jest w nim w jakimś sensie silniejszy, bardziej intensywny, jakoś jaśniejszy. A teraz rósł w siłę.

– Hej, chłopcze! – ryknął. – Chyba cię tak urządzę, że przestaniesz się podniecać kobietami! Chciałbyś być kastratem? Załatwię ci to! Potrafię to zrobić! Urządzę cię!

Potem nastąpiło uderzenie bólu, tego przenikliwego bólu odczuwanego w każdej komórce ciała. Zatoczyłem się do tyłu, zachwiałem, tym razem jednak ten potworny ból wzmógł jedynie mój gniew i moje oburzenie. Dosłownie eksplodowałem, przestając być istotą myślącą, a stając się masą zbudowaną z nagich emocji, z nienawiści, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyłem,

skoncentrowanej na tym jednym potwornym człowieku.

Upadłem na kolana, a zwierzęca furia, która mnie całkowicie opanowała, spowodowała, iż nie odczuwałem już bólu tak jak kiedyś. Osłabł znacznie. Doskwierał jeszcze, ale nie był istotny.

Powoli, niespiesznie podniosłem się i uczyniłem krok w jego kierunku.

Krzaczaste brwi Kronlona uniosły się w zdumieniu; jego twarz wyrażała najpierw całkowitą dezorientację, a potem już tylko koncentrację, kiedy skupił swe wszystkie siły, by rzucić je we mnie.

Zaryczałem dzikim, pierwotnym rykiem furii, który odbił się echem w całej wiosce i uderzył w zaskoczonych i nagle bardzo przerażonych nadzorcę.

Cofnął się kilka kroków, oparł o stół, przy którym uprzednio siedział, prawie się nań przewrócił. Dopadłem do niego w jednej chwili i zacisnąłem swoje ogromne dłonie na jego umięśnionym gardle. Kronlon nauczył mnie czegoś więcej poza prawdziwym znaczeniem strachu; nauczył mnie absolutnej, ukierunkowanej nienawiści.

Usiłował rozewrzeć zaciśnięte na jego gardle dłonie. Gdzieś w głębiach mojego umysłu uświadomiłem sobie, że ból zanika i to zanika bardzo szybko. Nie liczyło się to teraz. Nie było istotne.

Poczułem wewnątrz siebie nagły przyływ energii, dotykanej mocy jak jakiejś materialnej pięści. Nim byłem w stanie ją pojąć, napięcie pękło i wypłynęło ze mnie, na zewnątrz, w kierunku mężczyzny, którego przygniatałem do stołu. Nastąpił oślepiający błysk światła, któremu towarzyszył tak intensywny żar, iż puściłem swojego przeciwnika i zatoczyłem się do tyłu. Błyskawicznie doszedłem do siebie, ale ciągle czułem się z lekka ogłuszony, kiedy podniósłszy oczy do góry, ujrzałem nadzorcę oświetlonego dziwną jasnością – pełnym grozy, nierzeczywistym, nadprzyrodzonym płomieniem.

I wtedy zaczął się rozkładać.

Widok był makabryczny, ale stan, w jakim się znajdowałem, pozwalał mi oglądać ten widok bez żadnej myśli i refleksji, a nagle i bez żadnego uczucia. Skóra odpadła od niego, potem tkanki, wreszcie szkieletem zajaśniał przeraźliwym blaskiem i zniknął.

Stałem i przyglądałem się tej nieprawdopodobnej scenie, której byłem świadkiem. W końcu podszedłem do miejsca, w którym uprzednio stał Kronlon i wpatrywałem się w nie w zapadającym zmierzchu.

Wszystko, dosłownie wszystko, co było ciałem stałym lub cieczą na Lilith, płonęło tym delikatnym światłem organizmu Wardena. Wszystko – stół, trawa, ziemia, kamienie, drzewa, nawet latarnia. Wszystko z wyjątkiem szarawego proszku, który pokrywał część stołu i kawałek podłogi pod nim.

Tyle jedynie pozostało z Kronlona.

Na poziomie intelektualnym zdawałem sobie sprawę z tego, iż ja byłem przyczyną sprawcą tego co zaszło, ale w głębi ducha nie mogłem w to uwierzyć. Prawda była zbyt niewiarygodna, zbyt niemożliwa. W jakiś sposób, w mojej zwierzęcej furii, moje własne organizmy Wardena, przejęły moc moich emocji i skierowały ją na te, które znajdowały się w komórkach ciała Kronlona. Spaliły je. Zabiły.

Odwróciłem się oszołomiony, świadom nagle, iż nie jestem sam. Tłum wieśniaków stał na zewnątrz, gapiąc się w pełnym szoku milczeniu na tę scenę. Byli przerażeni lecz nieruchomi, jakby obawiali się nawet oddychać. Kiedy szedłem w ich kierunku, cofali się szybko, a lęk ich był niemal namacalny. Nie lęk przed Kronlonem, czy lęk przed zemstą i karą.

Lęk przede mną.

– Czekajcie! – zawołałem. – Proszę! Nie bójcie się! Nie jestem... taki jak on. Nie zrobię wam krzywdy! Jestem waszym przyjacielem. Jestem jednym z was. Żyję wśród was, pracuję z wami.

Moje protesty i zapewnienia nie zdały się na nic. Najwyraźniej nie byłem już jednym z nich. Dysponowałem mocą. Oddzieliłem się od nich na zawsze, wykopałem nieprzekraczalną przepaść pomiędzy swoim życiem a ich wiecznym znojem.

– Przecież nie musi tak być – omal ich nie błagałem. – Nie musi być tyranii. Kronlona nie ma, a ja nie jestem Kronlonem.

Torlok, starszy mężczyzna z wioski, w której większość pionków nie dożywała takiego wieku, posiadał tu pewien autorytet; wysunął się do przodu. Pozostali bowiem cofali się przede mną, jak gdybym cierpiał na jakąś okropną zakaźną chorobę. Zresztą Torlok również nie podszedł zbyt blisko, choć był stary i doświadczony, i przestał zapewne przejmować się zbyt mężczyznami i kobietami obdarzonymi mocą.

– Panie, musisz teraz odejść – wychrypiał. – Nie jesteś już jednym z nas.

– Torlok... – zacząłem, ale on uniósł dłoń do góry, przerywając mi.

– Proszę cię, panie. Jeśli Kronlon nie zgłosi się jutro rano po rozkazy, przyślą kogoś, by sprawdził dlaczego. Dowiedzą się, co się z nim stało, i przyślą nam następnego Kronlona. Sytuacja uległa zmianie jedynie dla ciebie, a nie dla nas.

– Moglibyście odejść – zauważyłem. – Macie czas co najmniej do jutrzejszego południa.

Torlok westchnął.

– Panie, wydaje ci się, że rozumiesz, ale tak nie jest. Ciągłe jesteś jeszcze kimś nowym na tym naszym świecie. Mówisz uciekać... ale dokąd? Do innej dziedziny rządzonej tak samo? Do głuszy, gdzie żyje się na granicy śmierci głodowej wśród dzikusów, bez żadnej ochrony przed szlachetnymi panami i dzikimi bestiami? A może stać się zwierzyną łowną, na którą urządują polowanie? – Pokręcił głową. – Nie, dla nas nie zajdą żadne zmiany. Musisz już iść. Musisz iść do zamku, powiedzieć im, co uczyniłeś. Należysz teraz do nich, nie do nas. Ty nie możesz zawrócić. My nie

możemy iść naprzód. Idź... nim bezwiednie sprowadzisz na nas gniew panów. Jeśli w ogóle coś do nas odczuwasz, to pójdziesz... idź już teraz.

Przyglądałem mu się przez chwilę, nie bardzo wierząc w to, co słyszę. To głupcy, myślałem sobie, zasługujący na swój los. Wolą tę nędzną dolę od jakiegokolwiek wyzwania!

Cóż, niech wracają do swego nędznego żywota, powiedziałem sobie. Wspomnienie zamku przypomniało mi, że jest więcej niż jeden powód, by tam się udać. Jak powiedział Kronlon, nie mamy wyboru, żadne z nas, a już najmniej ja w tej konkretnej sytuacji.

Poziom adrenaliny w mojej krwi opadał i nie czułem się już tak pewny, tak wszechpotężny jak przed chwilą. Odwróciłem się i popatrzyłem w dal, w kierunku tego baśniowego miejsca wtopionego w bok góry. Gdzieś tam była Ti.

Bez słowa odwróciłem się plecami do tłumu, który wykluczył mnie ze swego grona, opuściłem wioskę i poszedłem pokrytymi zielenią polami w kierunku zamku.

Nie przeszedłem nawet połowy drogi, a podniecenie i oszołomienie wywołane mocą i furią ustąpiło. Uświadomiłem sobie, że dopiero teraz moje dawne ja, z przewagą intelektu nad emocjami, mogło wreszcie przejąć kontrolę, co niekoniecznie musiało oznaczać zmianę na lepsze.

Nigdy przedtem nie byłem w pobliżu zamku. Jedynymi ludźmi, o których wiedziałem, że tam bywali, byli ludzie pokroju Kronlona, ale oni nie należeli do zbyt rozmownych. Nie miałem pojęcia, ile osób tam przebywa, ani jaka jest ich potencjalna moc. Naturalnie, prawie zawsze przebywał tam rycerz i jego rodzina, a ja wiedziałem, że nie jestem równorzędnym przeciwnikiem nawet dla pana, a cóż dopiero dla rycerza. Zastanawiałem się, czy byłbym w stanie dotrzymać pola komuś o randze nadzorcy, tyle że wyszkolonemu. Kronlon był tam, gdzie był, z powodu cech osobowości; był małostkowy, złośliwy, zły, okrutny i głupi. Podejrzewam, iż te pierwsze cztery cechy tak naprawdę nie były najważniejsze, ale ta ostatnia była niewybaczalna.

Zaczynałem dochodzić do wniosku, że osobniki podobne do Kronlona, posiadające niewielką moc i małe mózgi, w rzeczywistości były kozłami ofiarnymi. Ktoś musiał przecież wykonywać tę robotę, którą ich obarczano. A zawsze istniało ryzyko, iż jeden z poniżonych i upokorzonych pionków był potencjalnie równie silny lub wręcz silniejszy od nadzorcy. Jeśli tak się zdarzyło, trzeba było prawdopodobnie skreślić jednego nadzorcę z listy.

Myśli te nasunęły mi jeszcze jeden wniosek. Gdybym był równy jedynie siłą Kronlonowi, nasze starcie zakończyłoby się remisem. Gdybym był troszkę silniejszy, cierpiałby straszne bóle, ale prawdopodobnie by przeżył. To, co się z nim stało, oznaczało siłę równą co najmniej sile pana.

Siła pana... łak, ale nie szkolona. Nie byłem w stanie zebrać tej mocy na rozkaz, na zawołanie, automatycznie, tak jak potrafił to Kronlon. Pod tym względem zapewne bardziej przypominałem Ti. Zastanawiałem się, czy mógłby to być powód, dla którego obchodzono się z nią tak ostrożnie. Czyżby zdarzyło jej się kiedyś wpaść w szal i usmażyć kogoś, rozłożyć go na atomy? Możliwe, iż tego dokonała, ale nie była w stanie powtórzyć po raz drugi.

Zatrzymałem się. Czy byłem jednym z wybrańców, czy tak jak Ti posiadałem jedynie niekontrolowany talent. Było to najbardziej otrzeźwiający pytanie, jakie sobie zadałem podczas tej drogi, a zarazem najbardziej niepokojące.

Przesiedziałem tyle nocy, wyczuwając organizm Wardena, tak jak go czułem teraz we wszystkim wokół mnie, usiłując zmusić go, by uczynił coś, cokolwiek... żeby zgiął chociaż jedno źdźbło trawy. Ponosiłem żalosne klęski, mimo najwyższej koncentracji i siły woli. A przecież teraz udało mi się siłą woli rozłożyć człowieka w pył. Jak? Dlaczego?

Nie była to nieobecność myśli, choć w tym przypadku tak właśnie było, skoro rządzący, nawet tacy jak Kronlon, potrafili dokonać tego bez wysiłku i na zawołanie. A przecież tak naprawdę nie istniała jakaś rzeczywista komunikacja z organizmem Wardena. Te drobiny nie myślały, reagowały jedynie na bodźce. Bodźce zewnętrzne. Jeśli tedy moc nie była zależna od myśli, a jednocześnie mogła być przywoływana świadomie, to czymże ona była?

Odpowiedź była tak oczywista, że wystarczyło zadać sobie jedynie pytanie, by móc już na nie odpowiedzieć. Naturalnie były to emocje. Moja nienawiść, moja pogarda i obrzydzenie, jakie odczuwałem do Kronlona, uruchomiły organizmy Wardena w moim ciele, aby przesłały sygnał mszczącej energii do organizmów w jego ciele.

Nienawiść, lęk, miłość... wszystkie te uczucia wywoływały reakcje chemiczne w różnych częściach ciała, a szczególnie w mózgu. Te właśnie reakcje i powstałe w ich rezultacie związki były przeto tymi katalizatorami, których potrzebował żyjący w każdej komórce mojego ciała organizm Wardena, by uruchomić swe własne moce. Emocje, zredukowane do produktów i produktów ubocznych reakcji chemicznych, były tym, czego było potrzeba... a to już wyjaśniało bardzo wiele. Ćwiczenia więc prowadzące do umiejętności wykorzystania tych mocy faktycznie ograniczać się musiały do tych partii mózgu i części ciała, które normalnie są poza naszą świadomą kontrolą, tak jak to jest w przypadku jogi i pokrewnych z nią dyscyplin.

Przestępcy, których tu zsyłano byli zbiorowiskiem ludzi o rozkojarzonej psychice i niezrównoważonych, często nie kontrolowanych emocjach. Urodzeni na miejscu byli na ogół bardziej zrównoważeni, co wynikało ze statycznej natury ich społeczeństwa. Co więcej, rodzili się już z organizmem Wardena, rosnącym i rozmnażającym się w ich komórkach, pozostającym w stanie lepszej równowagi z ciałem ich nosiciela; tym samym byli oni bliżsi tubylczym stworzeniom Lilith, żyjącym w doskonałej równowadze z tym organizmem, a nie kimś obcym dla niego. Dlatego właśnie przybysze posiadali naturalną przewagę, jeśli chodzi o możliwość uruchomienia tej dziwnej mocy. Jak na ironię, w sytuacji kiedy mój chłodny, szkolony, logiczny umysł nie był w stanie poradzić sobie z tą mocą, rozchwiana równowaga emocjonalna Cala Tremona – ta nowa część mojego ja, która tak była mi obca – poradziła sobie doskonale z tym zadaniem.

Ruszyłem dalej, bardzo powoli, analizując to, co już wiedziałem i zastanawiając się nad tym, czego jeszcze nie wiedziałem. Minęły prawdopodobnie jakieś dwie godziny, nim dotarłem do wykutych w kamieniu schodów, prowadzących całą serią zakosów do samego zamku. Po raz pierwszy od długiego czasu wstydziłem się trochę mojej nagości, brudu, mojego dzikiego, prymitywnego wyglądu, zupełnie nie pasującego do cywilizowanego towarzystwa. A ci tam na górze, w zamku, na pewno byli cywilizowani, nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości. Może nie

całkiem zdrowi na umyśle, jeśli się przyjmie standardowe definicje normalności, ale cywilizowani na pewno... a może i kulturalni.

Zastanawiałem się, co zrobić dalej, i przeklinałem się w duchu za to, że nie spytałem o to kogoś w wiosce. Czy wystarczy po prostu podejść, zapukać i powiedzieć: Cześć, jestem Cal Tremon. Właśnie zabiłem nadzorcę Kronlona i chce zostać członkiem waszego klubu. Jakież procedury obowiązywały tutaj?

Nie pozostawało mi nic innego, jak wspiąć się po tych stopniach i sprawdzić na miejscu.

## Rozdział dziewiąty

### ZAMEK

Muszę przyznać, iż była to imponująca budowla. W światach cywilizowanych coś takiego nie istniało już co najmniej od tysiąca lat, chyba że w wyobraźni dziecięcej.

I żyli długo i szczęśliwie...

Wieże wznosiły się po obydwu stronach bramy, podwójnych wrót z jakiegoś brązowego drewna wypełniających solidny, kamienny łuk. Okna budynku, który wyglądał na wystarczająco obszerny, by pomieścić kilkuset stałych mieszkańców, posiadały witraże i świeciły różnymi kolorami, jakby przywołanymi dłonią artysty. Na podstawie tych światel doszedłem do wniosku, iż mieszkańcy nie udali się jeszcze na nocny spoczynek, wobec czego przynajmniej nikogo nie zbudzę.

Rozejrzałem się za jakimś mniejszym, bocznym wejściem, ale wyglądało na to, że pozostawała mi brama główna. Zastanawiałem się, czy każdy rycerz na Lilith jest posiadaczem takiej budowli, czy też raczej jest to jedynie odchylenie od normy ze strony bossa Tiela. Nie istniało bowiem na Lilith żadne niebezpieczeństwo, przed którym trzeba by było chronić się za murami i bramami, mając taką jak on moc.

Ponieważ najwyraźniej nie było tam dzwonka ani żadnego innego systemu przywoływania tych, którzy znajdowali się wewnątrz, załomotałem w tę wielką, drewnianą bramę tak mocno, jak tylko mogłem to uczynić bez zrobienia sobie krzywdy.

Nie spodziewałem się zbytnio natychmiastowej reakcji i nie było takowej. Przez grube mury i bramę dochodziły do mnie słabiutkie odgłosy ludzkich głosów i muzyki, co oznaczało, iż jestem zmuszony rywalizować z jakąś uroczyością. Waliłem przeto w bramę, odpoczywając co chwila, i dochodziłem powoli do przekonania, iż przyjdzie mi biwakować pod tymi murami, dopóki rankiem zamek nie otworzy swych wierzei dla normalnej działalności.

Dzięki tym wszystkim mięśniom jakie miałem, głośny łomot nie sprawiał mi jednak wielkiego kłopotu i w końcu ktoś usłyszał moje walenie, bowiem głos gdzieś nade mną zawołał:

– Hej, ty tam! Czego, do diabła, chcesz?

Podskoczyłem troszkę, po czym odwróciłem się, by zlokalizować mówiącego. Stał w małym okienku wieży. Był zbyt daleko, bym mógł zobaczyć jego twarz czy ubiór, co być może dałoby mi jakieś pojęcie o jego randze.

Wzruszyłem ramionami. Co mi tam.

– Jestem Cal Tremon, panie! – odpowiedziałem moim najgłośniejszym i najgłębszym głosem. – Zdezintegrowałem właśnie jednego z waszych nadzorców i dano mi jednoznacznie do zrozumienia, żebym się bez zwłoki zabierał do zamku.

Mężczyzna wahał się przez moment, jakby rozważał co czynić dalej. W końcu zawołał:

– Jedną chwilę! Sprowadzę kogoś, kto się tobą zajmie!

Ponownie wzruszyłem ramionami. I tak bym nigdzie nie poszedł, dopóki po mnie nie przyjdą, bo przecież nie miałem dokąd się udać. Zastanawiałem się, co też tam może się dziać w środku. Na podstawie informacji jakie posiadałem stwierdziłem, że mogłem przed chwilą równie dobrze rozmawiać z najniższym ze sług, jak i z samym wielkim szefem.

Po kilku minutach brama uchyliła się z głośnym skrzypnięciem i zobaczyłem jakąś niewiastę. Była wysoka i bardzo szczupła, a ruchy jej zdradzały arystokratyczne pochodzenie. Przed laty musiała być piękną kobietą, ale teraz była w zaawansowanym wieku średnim, a czas nie bywał łaskawy na tego rodzaju prymitywnych światach. Miała siwe włosy, a twarz pokrywało jej więcej zmarszczek, niż wynikałoby to z samego wieku.

Istotnym było, iż miała na sobie pełen strój, złożony z długiej sukni czy szaty, z jedwabiu w kolorze głębokiej purpury wyszywanego złotem – bardzo imponujący. Co najmniej pan, powiedziałem sobie, czując się jeszcze bardziej bezbronny, a i co nieco zażenowany moim wyglądem.

Zbliżyła się i obeszła mnie dokoła, przyglądając mi się bardzo dokładnie, jak gdybym był zwierzęciem na wystawie. Skrzywiła przy tym nos, dając mi do zrozumienia, iż przebywanie z prostakami było wbrew jej gustom. Pachniała perfumami, które zapewne pozwalały zapomnieć te czasy sprzed lat, kiedy sama taplała się w szlamie i błocie.

Wreszcie się wyprostowała, cofnęła nieco i ogarnęła mój obraz w całości. Zdecydowałem się nie odzywać dopóki nie dokończy swych oględzin. Nie miało sensu postępować niezgodnie z ich protokołem.

Na koniec przemówiła:

– Zabiłeś więc Kronlona, he?

Skinąłem głową.

– Tak, pani.



– Gior powiedział, iż twierdzisz, jakobyś go... zdeintegrował czy coś w tym sensie?

Mogłem jedynie ponownie skinać głową.

– To prawda. Rozpadł się w pył pod moim dotknięciem.

Pokiwała w zamyśleniu głową, bardziej do siebie niż do mnie.

– Używasz dość swobodnie tych trudnych słów – zauważyła, a w głosie jej dał się wyczuć lekki ton zdziwienia. – Dezintegracja. Rozpad, i mowa twoja nie jest prostacka. Pochodzisz z Zewnątrz?

Skrzywiłem się, domyślając się, co sądzi o moim okropnym wyglądzie.

– Tak, pani. Jestem tu od jakiegoś czasu, choć nie mam pewności od jak dawna.

Objęła brodę dłonią w geście świadczącym o głębokim namyśle.

– Czym się zajmowałeś tam, na Zewnątrz, Tremon?

Starłem się wyglądać tak niewinnie, jak to tylko było możliwe w tych okolicznościach.

– Byłem... hm... dżentelmenem korsarzem, pani. Prychnęła pogardliwie.

– Jednym słowem, piratem.

– Z powodów politycznych – odrzekłem. – Konfederacja usiłowała narzucić swą podstawową koncepcję, z którą ja się nie zgadzałem i przeciwko której musiałem wystąpić.

– Czyżby? A cóż to była za koncepcja?

– Och, ta cała idea równości – odparłem, starając się, by zabrzmiało to w niewinnie nieszczerzy sposób. Było to w moim starym stylu. Nareszcie znalazłem się w swoim żywiole. – Konfederacja chciała, by wszyscy byli równi we wszystkim, a to oznaczało również równy podział dóbr. Ja uważam natomiast, iż niektórzy są równiejsi od innych i zgodnie z tym przekonaniem postępuję.

Milczała chwilę, po czym roześmiała się głębokim, gardłowym śmiechem.

– Tremon, naprawdę jesteś wielce zabawny – powiedziała w końcu. – Jestem przekonana, iż będziesz doskonałym nabytkiem dla naszej dziedziny. Wejdz, proszę, a postaramy się, byś wyglądał i czuł się, jak przystoi człowiekowi z twoim życiorysem.

Obróciła się i weszła do środka; poszedłem za nią, czując się już odrobinę lepiej. Po całym tym okresie niewoli i poddaństwa, zaczynałem się czuć trochę bardziej sobą.

Hol wejściowy oświetlony był lampkami oliwnymi, dającymi jasne choć migotliwe światło. Pomieszczenie to było wilgotne i o wiele chłodniejsze od wszystkiego, do czego przyzwyczałem się od czasu przybycia na Lilith. Chłód ustąpił jednak, kiedy weszliśmy do sali głównej, która właściwie

okazała się zamkniętym podwórcem. Był on dość duży – o powierzchni jakichś czterdziestu metrów kwadratowych – i pokryty ozdobną posadzką, ułożoną z dziesiątków tysięcy małych płytek w różnych kolorach, tworzących miłe dla oka wzory.

Pośrodku znajdował się wodospad – niewielki co prawda, ale jednak wodospad. Woda tryskała z jakiejś szczeliny w skale wysoko nad nami i spływała kaskadami do małej sadzawki, której powierzchnia pieniała się pod wpływem spadającej wody, ale sama sadzawka nie przelewała się od jej nadmiaru, co świadczyło o istnieniu jakiegoś odpływu, a może nawet większej ich liczby. Gapiłem się oczarowany na to чудо, które nie tylko że było piękne i robiło duże wrażenie, ale wskazywało na wyobraźnię artystyczną jego twórców. Ktokolwiek zaprojektował to miejsce, znalazł się na swoim fachu.

Moja przewodniczka spostrzegła mój zachwycony wzrok.

– Miłe, nieprawdaż? – zauważyła przyjaznym tonem. – A szczerze mówiąc, imponujące. Nigdy nie mam dość tego widoku. Pod naszymi stopami znajduje się sieć rur kierujących tę wodę do zbiorników na wodę pitną, na wodę gorącą i tę, z której uzyskuje się energię parową potrzebną na terenie całego zamku. Nadmiar wpływa do podziemnego strumienia. – Ponownie się roześmiała. – Mamy tu wszystkie wygody cywilizowanego świata, mój drogi chłopcze. – Zatoczyła wokół ramieniem, nie zatrzymując się nawet, a ja podążałem tuż za nią.

Od czasu do czasu mijaliśmy jakichś ludzi w przypominających tunele korytarzach, które rozchodziły się na wszystkie strony od dziedzińca głównego. Świadom byłem ukradkowych spojrzeń i tych całkiem jawnych, jakimi mnie obrzucali mijani mężczyźni i kobiety, ale żadne z nich się nie zatrzymało ani nie odezwało choć jednym słowem. Wielu z nich ubranych było bardzo skromnie, często jedynie w spódniczkę z trawy i sandały, niektórzy zaś w powłóczyście, kolorowe szaty przeróżnego kroju. Inni mieli na sobie jakieś dziwne koszule, spodnie i długie buty, świadczące o różnorodności pełnionych przez nich funkcji. Nikt, jednakże, nie był nagi. Prostota i niewinność ograniczała się do świata pionków, świata, z którym większość tych ludzi niewiele lub wcale nie miała do czynienia.

Niemniej niezależnie od prostoty czy wyrafinowania ich stroju, niezależnie od ich rangi, wszyscy ci ludzie wyglądali na czystych, porządnym, zadbanym i, cóż, miękkim w porównaniu z tymi, których znałem do tej pory. To była niewątpliwie oznaka cywilizacji, a ja czułem się jak barbarzyńca, który wtargnął na oficjalne przyjęcie bez zaproszenia.

Wprowadzono mnie w końcu do skromnego pokoju przyległego do jednego z owych korytarzy; prócz innych rzeczy miał on drewnianą podłogę i zasuwę przy drzwiach. Poza tym nie odznaczał się niczym nadzwyczajnym uwzględniając standardy z Zewnątrz, lecz dla kogoś, kto spędził ostatnich kilka miesięcy w ciasnocie, dzielonej z innymi chaty, wydawał się cichą przystanią. Miał jakieś pięć na siedem metrów i wyposażony był w stolik, na którym stała lampka oliwna, a także w coś na kształt wnęki z trzema głębokimi szufladami, nad którymi znajdowała się pusta przestrzeń służąca zapewne do wieszania odzienia. Pośrodku stało łóżko. Prawdziwe łóżko z jedwabistą pościelą i miękkimi poduszkami. A tyle już czasu minęło, odkąd po raz ostatni widziałem prawdziwe łóżko.

Podłoga była przykryta miękkim futrem, pochodzącym prawdopodobnie z nura –

przypominającego pająka olbrzymia, hodowanego w jednej z wiosek Zeisu. Jednym słowem, miło i przytulnie.

– To będzie twój pokój do czasu zakończenia testów i rozpoczęcia ćwiczeń – powiedziała moja przewodniczka i gospodyni. – Po przeprowadzeniu testów i ćwiczeń, będziemy już wiedzieć, gdzie jest twoje miejsce. – Popatrzyła na mnie i skrzywiła nos. – Nim jednak z tego wszystkiego skorzystasz, należałoby zdjąć z ciebie te pokłady brudu. Na litość boską! Czy pionki nigdy się nie kąpią?

– Owszem, kąpią się – zapewniłem ją. – Ale w bardziej prymitywnych warunkach, a i obciążenie pracą nie bardzo pozwala im kąpać się w miarę regularnie.

Wzruszyła ramionami.

– Cóż, Tremon, ty przynajmniej się wykąpiesz i to jeszcze dziś wieczór. Chodź ze mną. Pokażę ci, co i jak. Polem muszę wracać do sali bankietowej. Nieczęsto miewamy przyjęcia z taką liczbą gości i obawiam się, iż mimo wszystko jest to dla mnie ważniejsze od twojej osoby.

Nie obraziłem się na te słowa, bowiem doskonale ją rozumiałem. Niezależnie od względnego luksusu, życie w zamku było prawdopodobnie równie nudne jak wszystko inne na tym świecie i wydarzenia towarzyskie byłyby dla tych urodzonych na Zewnątrz tym czym narkotyki dla uzależnionego.

Zabrała mnie do łaźni, składającej się z całej serii niewielkich basenów, wypełnionych parującą wodą. Poszczególne łaźienki były całe wykafelkowane i najprawdopodobniej zaprojektowane przez kogoś o duszy artysty raczej niż architekta; kombinacja małych kafelków i równie niewielkich cegiełek dostarczała temu miejscu klasycznej elegancji.

Czekało tam na nas kilka młodych kobiet ubranych jedynie w spódniczki z liści, co oznaczało, iż są najwyżej w randze nadzorcy. Moja przewodniczka przekazała mi szybko w ich sprawne ręce. Była to najbardziej niezwykła (a zarazem przyjemna) kąpiel w moim życiu. W świecie cywilizowanym odczuwałbym pewnie zażenowanie, ale po kilku miesiącach w roli pionka wspólna kąpiel w basenie z grupką atrakcyjnych, młodych kobiet sprawiała mi jedynie przyjemność.

Delikatne, doświadczony dłonie szorowały dokładnie moje ciało przy użyciu pieniącego się, lekko perfumowanego mydła; masowały mnie następnie fachowo, po czym obcięły mi paznokcie oraz przycięły i ułożyły moją brodę i włosy. Nie słyszałem, by ktoś przeżył podobne doświadczenie – przejście od nędzy do luksusu w ciągu kilku zaledwie godzin. Pławiłem się, ile mogłem, w tym luksusie, czując się znacznie lepiej i będąc bardziej zrelaksowanym niż kiedykolwiek od momentu przebudzenia się na statku więziennym. Nawet w tym momencie, zaledwie godzinę czy dwie od przybycia do zamku, całe te miesiące niewolniczej pracy w charakterze pionka zaczęły wydawać mi się odległym koszmarem, czymś, co przydarzyło się zupełnie komu innemu.

Kobiety nie odpowiadały na żadne z moich pytań i równie fachowo obracały moje próby przyjacielskiej konwersacji w nie nieznaczące rozmówki, jak przedtem fachowo kąpały i robiły manicure.

W końcu odprowadzono mnie do mojego pokoju i zostawiono samego. Nie zamknąłem drzwi od wewnątrz; nie wiedziałem powodu, dla którego miałbym to zrobić. Wskoczyłem na to wielkie łóżko – najlepsze na świecie – i doprowadziłem się do stanu całkowitego odprężenia. Kiedy zapadałem już w sen, gdzieś z jakiegoś zakątka mojego mózgu wyłoniła się postać, a potem twarz Ti, która patrzyła na mnie oskarżycielskim wzrokiem. Zasnąłem.

## Rozdział dziesiąty

### DR POHN I PAN ARTUR

Pozwolono mi spać długo, wobec czego wykorzystałem tę możliwość do maksimum. Rzadko, o ile w ogóle, pamiętałem swoje sny, ale ta noc była czymś wyjątkowym, nawet uwzględniając moje wcześniejsze doświadczenia. Do dziś dnia pozostaję w przekonaniu, iż był to najgłębszy sen w moim życiu. Kiedy się w końcu obudziłem, odniosłem wrażenie, że spowodował to jakiś sygnał zewnętrzny. Najprawdopodobniej kazano komuś obserwować mnie z ukrycia przez całą noc. Musiało to być dla niego śmiertelnie nudne zajęcie.

W każdym razie, ledwie otworzyłem oczy usłyszałem jakiś daleki dzwonek i równocześnie pukanie do moich drzwi, na co zareagowałem rozespanym:

Proszę wejść. Spałem przesadnie długo i czułem, że chyba nigdy się nie dobudzę.

Drzwi się uchyliły i w szparze ukazała się głowa chłopca, najwyżej dziesięcio- czy jedenastoletniego.

– Proszę pozostać na miejscu przez chwilę – powiedział miłym, chłopięcym tenorkiem. – Już niosą śniadanie.

Skinąłem jedynie głową i drzwi się zamknęły. Zastanawiałem się, czy mądrze zrobię, mówiąc im, że nie miałbym gdzie się schronić, nawet gdyby od tego zależało moje życie. Czułem ból w każdym mięśniu, mój umysł wypełniony był gąbką, pajęczyną i watą. Odespałem nie tylko miesiące ciężkiej pracy; po raz pierwszy spałem wolny od ciągłego, nieuchwytnego napięcia i niepewności jaką przynosiło tamto życie.

Leżałem sobie i wypełniałem czas, próbując zlokalizować punkt obserwacyjny, co nie okazało się zbyt trudne. By pole widzenia zawierało cały pokój, musiał on się znajdować wysoko i po przeciwnej stronie. Szybkie wyliczenie właściwych kątów doprowadziło mnie do małej niszy z wyblakłej cegły, za którą bez wątplenia znajdowało się ludzkie oko.

Wkrótce pojawiło się śniadanie i z trudem przybrałem właściwą pozycję, by nim się zająć. Było niezbyt wyszukane, to prawda – grzanki z pszennego pieczywa, galaretki owocowe, kilka maleńkich

słodkich bułeczek i szklanka soku owocowego – ale po świąństwie, którym karmiono mnie przez ostatnich kilka miesięcy, wydawało się niebiańskie. Najbardziej zachwycił mnie kubek gorącej... cóż, nie byłem pewien, co to takiego, ale smakowało jak mokka i było bez wątpienia silnym środkiem pobudzającym. Wszystko zresztą smakowało wyśmienicie i spełniło swoje zadanie.

Kiedy młoda obsługa w randze nadzorcy skończyła sprzątać i zabrała już przenośny stolik śniadaniowy, doszedłem do siebie i czułem, iż mogę stawić czoła wszystkim i wszystkiemu. Widok ludzi dysponujących mocą i wykonujących obowiązki służących pasował do mojego wyobrażenia, czym musi być ten zamek. Z doświadczenia wyniesionego ze służby wiedziałem, iż generał czy admirał jest szefem, osobą z autorytetem, której należy się bać i którą należy szanować. Jednak w Dowództwie Systemów Militarnych, na przykład, niżsi generałowie i admirałowie pełnili jedynie role eleganckich posłańców. Władza nie była tylko tym, co się samemu posiadało, ale wynikała również ze stosunku, jaki zachodził między zakresem naszej władzy, a władzą tych, którzy nas otaczali.

Niemniej klasa nadzorców miała łatwy żywot w porównaniu z życiem mas na Lilith. Przed wszystkim ich praca była godna, cywilizowana, a co najważniejsze łatwa i czysta. A przecież sądząc po ich młodym wieku, musieli urodzić się tutaj, co przypomniało mi Ti i fakt, iż musi znajdować się gdzieś na terenie zamku. Choć to sprawa dość delikatna musiałem dowiedzieć się, jak sobie radzi i pomóc jej w miarę moich możliwości. W pewnym sensie właśnie jej zawdzięczałem to wszystko.

Byłem już gotów psychicznie na spotkanie tej nowej społeczności, kiedy pojawił się mój przewodnik i zarazem człowiek mający ocenić i oszacować moje potencjalne zdolności. Nie zapukał przed wejściem, co świadczyło o najwyższej randze, a i jego wygląd był imponujący. Cal Tremon był potężnie zbudowanym mężczyzną, lecz ten gość bez trudu dorównywał mu wzrostem i budową, choć spora część jego ciała ukryta była pod wyszywaniem złotem ubraniem w kolorze najczarniejszej czerni – fantazyjną koszulą i dopasowanymi, przepasanymi błyszczącym, grubym pasem, spodniami, których nogawki wsunięte były w równie błyszczące i eleganckie, wysokie, czarne buty.

Mężczyzna był gładko ogolony, nie licząc gęstych, obwisłych wąsów. Twarz miał ogorzałą, spaloną słońcem i wyrzeźbioną wiatrem. Imponujące siwe brwi podkreślały głęboką czerń najbardziej lodowatych oczu, jakie zdarzyło mi się w życiu oglądać. Włosy, precyzyjnie przycięte i ułożone, były gęste i lekko falujące, a ich siwizna świadczyła raczej o typie człowieka, a nie o wieku – równie dobrze mógł mieć trzydzieści, jak i sześćdziesiąt lat.

W jednej chwili zorientowałem się, iż jest to człowiek niebezpieczny, a w porównaniu z jego bezwzględny i arystokratycznym sposobem bycia, odżałowanej pamięci Kronlon wyglądał równie groźnie jak Ti. Wstałem i ukloniłem się lekko, uważając, iż początki naszej znajomości powinny być w miarę poprawne.

– Jestem pan Artur – odezwał się niskim i grzmiącym głosem, mogącym porazić większość jego rozmówców. Co gorsza, byłem przekonany, że jest to jego miły i sympatyczny tembr głosu, przeznaczony na specjalne okazje. Wolałbym nie widzieć tego gościa, kiedy wpadnie w złość, szczególnie z mojego powodu.

– Jestem burgrabią tej dziedziny – kontynuował, przyglądając mi się uważnie.

Nie miałem pojęcia, jakie procesy myślowe zachodziły teraz w jego mózgu.

– Jestem Cal Tremon – odpowiedziałem, mając nadzieję, iż ta informacja go zadowoli.

Skinął głową.

– Usmażyłeś więc starego Kronlona? Cóż, przynajmniej pozbyliśmy się tego nędznego szczura. Nigdy za nim nie przepadałem, choć swoje obowiązki wypełniał dobrze. Ale dość o tym. Zabiorę cię do sekcji medycznej, a potem cię przetestujemy. Czujesz się na siłach, by temu sprostać?

Potwierdziłem, chociaż ciągle odczuwałem osłabienie spowodowane zbyt długim snem.

– Jestem gotów – powiedziałem i ponownie się ukloniłem.

– Chodźmy więc.

Wykonał lekki gest dłonią, obrócił się i pomaszerował energicznie w kierunku drzwi. Poszedłem za nim, świadom jego dumnych, wojskowych ruchów. Doszedłem do wniosku, iż nie pochodził z Lilith i zastanawiałem się, kim mógł też być przed przybyciem na tę planetę.

W dzień zamek tętnił życiem i wypełniony był ludźmi zajętymi sprzątaniami i drobnymi naprawami, ale również takimi, którzy wydawali się kręcić w kółku bez widocznego celu. Wszyscy robili wrażenie czystych, porządných i cywilizowanych, czym wywoływali u mnie dziwny zestaw porównań. Tym, czym ci ludzie byli dla światów cywilizowanych, starożytna Grecja ze świata naszych przodków musiała być dla żyjących w okresie wczesnej rewolucji przemysłowej. Prymitywna technologia nie oznacza bowiem prymitywizmu w ogóle.

Mimo wszystko technologia, którą tu dało się zauważyć była dość szokująca. Od momentu przybycia na Lilith kazano mi bowiem wierzyć, że ubrania, budynki i inne rzeczy, które tu widziałem, były po prostu niemożliwe na tej planecie. Dlatego właśnie ludzie sypiali w chatkach z buntami i chodzili nago. Teraz zaczynałem doceniać ten drugi aspekt mocy organizmu Wardena – mocy, która stanowiła podstawę cywilizowanej myśli i społeczeństwa.

Moc pozwalająca zmieniać środowisko dla własnych celów była tym, czego odmówiono pionkom, była elementem utrzymującym ich w nędzy i niewoli. Kapryśne reguły rządzące organizmem Wardena powodowały, iż moc zarezerwowana była jedynie dla grupy wybrańców.

Dostrzegłem pewne, niewielkie oznaki lęku u ludzi, obok których przechodził Artur; ukradkowe spojrzenia i zmuszanie się, by nie patrzeć w naszą stronę. Nie miałem żadnych wątpliwości – lękano się go i dotyczyło to – również tych kilku panów, których spotkaliśmy po drodze.

Artur zostawił mnie w sekcji medycznej i powiedział, gdzie będzie można go znaleźć, kiedy już skończą mnie badać. Obecni tam uklonili się z szacunkiem, zachowując milczenie, a kiedy wyszedł, dało się wyczuć wśród nich wielkie uczucie ulgi. Mierzyli mnie, opukiwali i badali najlepiej, jak byli w stanie to uczynić w sytuacji, kiedy byli pozbawieni instrumentów i urządzeń tak oczywistych dla świata zewnętrznego. Niemniej posiadali różne przemysłowe urządzenia i instrumenty wykonane z dostępnych, miejscowych materiałów. Był wśród nich jakiś gatunek lokalnej winorośli, za pomocą

której mogli odczytać ciśnienie krwi; był mały, żółty liść, który, zmieniając swój kolor na czerwony, pozwalał doświadczonemu oku stwierdzić jaka jest temperatura mojego ciała. Wszystkie odczyty zapisywane były piórami z trzciny na cienkich, liściastych płatach jakiejś substancji służącej im za papier.

Wszyscy ci mężczyźni i wszystkie kobiety należały do klasy nadzorców. Dopiero po zakończeniu tych wstępnych badań poprosili swojego szefa. Był nim niski, korpulentny mężczyzna w średnim wieku o wyglądzie świadczącym o tym, iż pochodził ze świata cywilizowanego, chociaż najwyraźniej nie odpowiadał istniejącym tam standardom fizycznym. Ubrany był w białą satynową szalę i sandały, zapewne dlatego, iż tak właśnie było mu wygodnie.

– Jestem dr Pohn – przedstawił się. Podniósł płyty z zapisanymi wynikami i zerknął na nie bez większego zainteresowania. – Widzę, że masz wszystko obrzydliwie prawidłowe. Możesz w to wierzyć lub nie, ale prawie u każdego tak jest. To forma zapłaty ze strony organizmu Wardena za to, iż pozwalamy mu żyć w naszych ciałach. Wszelkie uszkodzenia, z wyjątkiem tych w mózgu, są natychmiast naprawiane, członki odrastają, i tak dalej. A miejscowe wirusy są nam tak obce, że nie musimy się nimi w ogóle martwić. Niemniej te rutynowe badania są niezbędne. Nigdy nie wiadomo, czy przypadkiem nie odkryje się czegoś niezwykłego. Poza tym interesują nas dane porównawcze pochodzące od ludzi takich jak ty, to znaczy tych, którzy wykazali się umiejętnością wykorzystania mocy.

Skinałem głową, przypominając sobie jednocześnie obsesję Tiela związaną z wyhodowaniem klasy ludzi dysponujących mocą. Ten człowiek stojący przede mną jest zapewne szefem ukochanego projektu rycerza.

– Czy byłeś lekarzem... przedtem? – spytałem zarówno z ciekawości, jak i z chęci nawiązania przyjacielskich stosunków.

Uśmiechnął się.

– Na Zewnątrz? Tak, naturalnie. Ale wiesz, to było zupełnie co innego. Cała ta diagnostyka komputerowa, chirurgia automatyczna i te wszystkie jeszcze występujące choroby do wyleczenia. Tutaj przeprowadzam badania lekarskie, stosuję jakiś miejscowy lek roślinny na bóle i napięcia nerwowe, ale większość czasu poświęcam na badania naukowe związane z samym organizmem Wardena.

Było to interesujące, mimo iż domyślałem się, co ma na myśli.

– Czy odkryłeś ostatnio coś nowego? – spytałem ostrożnie.

Wzruszył ramionami.

– Co nieco, ale to bardzo żmudna praca. Istnieją pewne czynniki fizjologiczne i chemiczne wspólne dla tych, którzy go posiadają, ale ich wyizolowanie, nie mówiąc o odtworzeniu – szczególnie u ludzi, którzy się z nim nie urodzili – wydaje się przekraczać moje możliwości. Gdybym miał moje stare laboratoria i komputery analityczne, mógłbym, być może, coś zrobić; może nawet na



satelitarnej bazie lorda Kreegana byłoby mi łatwiej, tutaj jednak jestem zmuszony do powolnej pracy w prymitywnych warunkach.

Nastawiłem uszu.

– Na bazie satelitarnej?

– A tak. Nie wiedziałeś? Meduzanie wybudowali ją dla niego już wiele lat temu. A skoro jest meduzańska, nasze małe Wardenki jej nie tkną, bo zamieszkują ją już ich kuzyni, którzy są znacznie bardziej łaskawi dla maszyn i urządzeń. Większość czasu tam spędza.

Nie byłem tego taki pewien. Chociaż Kreegan udaje się tam zapewne, kiedy musi, to jednak na takim satelicie byłby zbyt narażony na atak ze strony Konfederacji, narażony na zdmuchnięcie z nieba w każdym momencie. Gdybym ja był Kreeganem, nie latałbym tam prawie nigdy. Wolałbym raczej, żeby podwładni brali takie ryzyko na siebie, a ja używałbym satelity jedynie jako głównego centrum łączności pomiędzy planetami Wardena i pomiędzy Rombem a światem zewnętrznym.

Z rozmowy tej mogłem dowiedzieć się niewiele więcej, lecz chciałem wyciągnąć z niego jakieś informacje na temat jego projektu.

– To ciekawe, co mówisz o wspólnych czynnikach chemicznych – powiedziałem obojętnym tonem. – Doszedłem bowiem do wniosku, iż to emocje wywołały nagły przypływ mojej mocy, a związki chemiczne uwolnione od mojego organizmu, kiedy byłem wściekły, spełniły rolę katalizatora.

– Bardzo wnikliwa uwaga – powiedział, rozpromieniając się. Wyraźnie odpowiadał mu ten temat. – Tak, emocje są kluczem, o czym zresztą sam się przekonasz. Jednak poziom progowy związany z uwolnieniem się tych związków jest sprawą indywidualną, tak jak i ilości uwalnianej substancji, a przecież organizm Wardena jest bardzo wymagający, jeśli chodzi o ilość niezbędnego katalizatora. Kluczem więc jest chemia i wola. Twój gniew dał ci moc zabijania; twoja wola, by go zabić, ukierunkowała i wyzwoliła tę moc. Często podejrzewałem, iż pierwotnym czynnikiem wyzwalającym reakcję jest to, co zawsze nazywaliśmy instynktem zabijania, z braku lepszego terminu w psychologii. Każdy mieszkaniec Lilith posiada potencjalnie tę moc, ale nie każdy ma wystarczającą siłę woli, by jej użyć. Podejrzewam, iż dlatego właśnie pionki pozostają pionkami.

– Powiedziałeś, że próbujesz odtworzyć katalizator u osób, które go nie posiadają lub posiadają w zbyt małych ilościach – podpowiadałem. – Jak to chcesz uzyskać?

Wzruszył ramionami i wstał wyraźnie usatysfakcjonowany moim zainteresowaniem.

– Chodzi ze mną. Pokażę ci.

Poszedłem za nim korytarzem i po chwili weszliśmy do większego niż poprzednio pomieszczenia. Tuż po wejściu zatrzymałem się, zaskoczony nieco widokiem, jaki ujrzałem. Znajdowało się tam bowiem tuzin kamiennych bloków stojących w równych odstępach jeden od drugiego, a na nich leżały śpiące, lub też znajdujące się w stanie śpiączki, dziewczęta. Rozejrzałem

się uważnie i dostrzegłem postać Ti na bloku na wprost nas; i choć serce podskoczyło w mej piersi, opanowałem się, by nie zdradzić tego czego nie powinienem ujawniać. Jeszcze nie teraz, jeszcze nie, powtarzałem sobie.

– Czy one... żyją? – zapytałem z wahaniem, lękając się trochę odpowiedzi.

Skinął głową.

– O tak, jak najbardziej. To dziewczęta wywodzące się z klasy pionków i wykazujące przebłyski mocy mniej więcej w okresie dojrzewania, ale nie potrafiące ich powtarzać, a przynajmniej nie potrafiące uczynić niczego samą siłą woli. Dziewczęta w ogóle podlegają o wiele bardziej radykalnym zmianom fizjochemicznym pomiędzy swą pierwszą a dwunastą menstruacją niż chłopcy w odpowiadającym temu okresie rozwoju. Ponieważ zaś wiele z tych zmian chemicznych wywołuje zjawisko Wardena, obserwujemy wszystkie dziewczęta z naszej dziedziny znajdujące się na tym etapie. Zjawisko to było wyjątkowo silne u tych właśnie dziewcząt, co możesz zauważyć na podstawie ich nad wiek rozwiniętych ciał.

– Myślałem, że to ty do tego doprowadziłeś – wypaplałem, po czym usiłowałem szybko pokryć słowami własną niezręczność. – Znałem jedną z tych dziewcząt. Dlatego jestem tak tym zainteresowany. – To przynajmniej była prawda.

Robił wrażenie lekko zaskoczonego, ale przyjął moją wypowiedź, nie zastanawiając się zbytnio nad jej znaczeniem.

– Och, nie. Ten stan jest skutkiem ubocznym. Uważam, iż podczas zachodzenia tych krytycznych zmian w ciele dziewczyny organizm Wardena trochę się gubi, popełnia błędy lub otrzymuje niewłaściwe instrukcje... albo niewłaściwie interpretuje bodźce chemiczne, które otrzymuje. W żadnym wypadku nie dotyczy to wszystkich dziewcząt. W najlepszym razie jednej na sto, a z tych z kolei jedna na sto wykazuje się mocą, ale jednocześnie nadrozwojem fizycznym. To są właśnie te, które testujemy, mierzymy i pilnie obserwujemy, chociaż ograniczeni jesteśmy nieprzewidywalnością występowania mocy na tym etapie. Mógłbym przecież zostać zabiły czy okaleczony podczas takiego przypadkowego użycia mocy i choć jestem skłonny podjąć takowe ryzyko, to jednak sir Tiel nie godzi się na nie. Dlatego pozostawiamy je w wioskach do czasu, aż to niebezpieczeństwo przestanie nam zagrażać. A przy okazji, którą z nich znałeś?

– Tamtą. – Wskazałem mu Ti.

– Ach, naturalnie. Jest naszym najnowszym nabytkiem, więc musiała to być ona. Ciągle jeszcze jestem na etapie wstępnych analiz i nie mogę wiele ci powiedzieć, ale wiem, że ma największy potencjał ze wszystkich tych, które przebadalem do tej pory. Zachodzą wokół niej najróżniejsze zjawiska, włącznie z tymi najpoważniejszymi. Okaleczyła tutaj jakiś tuzin osób, a wśród nich swoją własną matkę.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem. Małeńka Ti okaleczająca innych? Nie wydaje się to możliwe, pomyślałem sobie. Jednocześnie czułem się troszkę nieswojo. Sypiałem z nią przez kilka miesięcy i jeśli przez ten cały czas dysponowała taką mocą, sam mogłem zostać niechcący

poszkodowany.

– A co teraz z nimi robisz? – chciałem koniecznie wiedzieć.

– Testowanie i pomiary, jak już powiedziałem – odparł Pohn. – Wszyscy w randze pana i powyżej posiadają moc wglądu w innych. Ranga to głównie sprawa dokładnego dostrojenia odbioru, że tak powiem, w naszej niewielkiej społeczności. Nadzorca wyczuwa i dzięki temu kontroluje cały organizm. Zabiłeś Kronlona, to prawda, ale nie potrafiłeś dokonać takiego rozróżnienia, by, na przykład, zrobić jedynie coś z jego ramieniem. A ja potrafię więcej, dużo więcej. To, co kiedyś robiłem za pomocą mikroskopów i techniki mikrochirurgii, teraz potrafię zrobić bez użycia jakichkolwiek instrumentów. Przy odpowiedniej koncentracji potrafię obserwować pojedynczą komórkę krwi wędrującą w układzie krążenia... zmienić jej kierunek, zmienić ją samą, a nawet ją zniszczyć. Możesz wyczuć organizm Wardena we wszystkim wokół, prawda?

Skinąłem głową.

– Wyobraź sobie tedy, iż jesteś w stanie zidentyfikować pojedyncze komórki w każdym organizmie. To właśnie potrafi robić pan. Naturalnie, bez mojej fachowej wiedzy medycznej nie miałoby pojęcia, na czym to wszystko polega i właśnie ta moja wiedza daje mi tutaj pewną przewagę. Panowie posiadają przeróżne umiejętności, w zależności od tego, czego poszukują i co chcą osiągnąć. Nawet cała potęga Marka Kreegana nic by ci nie dała, jeśli byś nie miał odpowiedniej wiedzy i subtelności, umiejętności i artyzmu, niezbędnych do jej właściwego wykorzystania. Dlatego tak często można zaobserwować moc używaną jedynie w celu niszczenia. Zniszczyć coś jest bardzo łatwo i nie wymaga to zbyt wiele wiedzy i umiejętności.

Rozumiałem dobrze jego wywód i pomyślałem sobie, iż wielu lekarzy i naukowców z cywilizowanych światów pozazdrościłoby mu jego możliwości, tak jak on zazdrościł im ich technologii. Móc wejrzeć do wnętrza ludzkiego ciała, móc skupić się na tym jego fragmencie, na którym się zechce, badać je, kiedy się ma na to ochotę, w sposób najbardziej dokładny i wnikliwy... tego mogłyby dokonać jedynie najbardziej wyrafinowane komputery z Zewnątrz, przy czym lekarze i technicy byłiby zmuszeni im zaufać, nie będąc do końca pewnymi, co tak naprawdę owe komputery widzą, kiedy przeprowadzają badania, sondowania i analizy.

A Pohn tę pewność posiadał.

– Są takie spokojne i nieruchome – zauważyłem. – Działanie narkotyku?

Pokręcił głową.

– Ależ skąd! To by jedynie wszystko pokomplikowało. Zablokowałem po prostu pewne obszary ich mózgow i mogę je w każdej chwili odblokować. Zapadły w stan głębokiej śpiączki, dzięki czemu mogę je badać i sondować i przeprowadzać niezbędne eksperymenty. W tej grupie szukam tych, które dysponują wystarczającą ilością odpowiednich enzymów, by móc wyzwolić moc. Z tymi będę pracował tak długo, aż uzyskam pewność, iż potrafię ją u nich wywołać, kiedy tylko zechcę; wówczas zacznę je uczyć i ćwiczyć najlepiej, jak tylko potrafię. Kria, na przykład, już teraz jest w stanie rozkruszyć na mój rozkaz skałę. – Wskazał dziewczynę leżącą blisko drzwi.

Zmarszczyłem brwi. Czuję, iż coś jest nie tak, zarówno jeśli chodzi o to miejsce, jak i o samego doktora Pohna. Skąd w ogóle tego rodzaju postać wzięła się na Lilith? Czyżby miał niezdrowe skłonności do dziewczynek? A może dokonywał podobnych eksperymentów na Zewnątrz? Wydawało mi się, że go znam, choć nigdy przedtem go nie spotkałem. W historii ludzkości zawsze pojawiali się tacy ludzie jak dr Pohn – potwory, których pragnienie eksperymentowania prowadziło do całkowitego lekceważenia jakichkolwiek zasad moralnych, cienie ze starych opowieści o człowieku, który stworzył łaknącego krwi potwora, opowieści pozostawiających otwartym pytanie, kto tak naprawdę był owym monstrum – obiekt stworzony czy jego twórca?

I te młode dziewczęta, zredukowane do postaci zombi – żywych trupów, okazów biologicznych, być może nawet zabawek erotycznych tego człowieka. Pomyślałem o Ti w jego rękach i myśl ta nappełniła mnie obrzydzeniem. Nie dałem jednak poznać tego po sobie. Zapytałem tylko:

– Zakładam, iż dokonujesz również eksperymentów hodowlanych?

Skinął głową.

– O tak. Na podstawie założenia, iż odpowiedni związek chemiczny w odpowiedniej ilości jest cechą dziedziczną. Szczerze mówiąc, sądzę, że jest to jedynie jeden z wielu czynników, ale sir Tiel ma obsesję na tym punkcie. Obawiam się, iż poziom jego wiedzy biologicznej nie wzniósł się ponad wiarę w samoródtwo, ale cóż mogę na to poradzić? Pracuję dla niego, a jest on zręcznym i bardzo zdolnym administratorem. Spełniam jego życzenia; on spełnia moje zachcianki. Cóż to komu szkodzi?

Cóż to komu szkodzi? – pomyślałem gorzko. Zaiste, tak długo, jak długo uważa się te dziewczęta za kawały mięsa, nie stojące ani wyżej, ani niżej w hierarchii od owych wielkich insektów hodowanych i rozmnażanych w dziedzinie, cóż to szkodzi? Na tym polega barbarzyństwo tutejszej cywilizacji, powiedziałem sobie. Tylko garstka wybrańców należała do rodzaju ludzkiego.

Takiej właśnie filozofii należało się spodziewać w świecie rządzonej przez najbardziej błyskotliwe przestępcze umysły, jakie spłodziła ludzkość. Umysły ludzi takich jak dr Pohn – socjopatów i prawdopodobnie psychopatów, i ludzi takich jak Cal Tremon, pirat i wielokrotny morderca.

– Naprawdę musimy już zadzwonić do Artura – powiedział Pohn, odwracając się i opuszczając pomieszczenie. Poszedłem za nim. – Obawiam się, że zbyt długo cię przetrzymałem, a nie oplaca się go denerwować.

– Ten Artur... czym on się zajmował? To znaczy, na Zewnątrz?

– I dlaczego tu się znalazł? – doktor zachichotał. – Nie znam szczegółów. Sądzę, iż był kimś bardzo ważnym w hierarchii wojskowej Konfederacji. Generałem lub admirałem. O ile pamiętam, lata temu spowodował wybuch i spalił całą atmosferę jakiejś planety. Zginęło kilka miliardów ludzi. Coś w tym stylu. Zawsze utrzymywał, iż stał się jedynie kozłem ofiarnym, bo wykonał za kogoś całą tę brudną robotę. To wszystko, co na ten temat wiem. Ale to nieprzyjemny gość.

Trudno mi było nie zgodzić się z tą opinią. Zginęło kilka miliardów ludzi...

Kiedyś przypomnę sobie, kim on naprawdę był. Zapamiętam też komentarz doktora Pohna dotyczący liczby śmiertelnych ofiar, wypowiedziany tak, jak gdyby chodziło o miliardy karaluchów, a nie istot ludzkich.

## Rozdział jedenasty

### WYBÓR ODMIENNEJ DROGI

Pan Artur zjawił się natychmiast i nie wyglądał na poirytowanego. Był chłodny i groźny jak zawsze, ale nic ponad to. Zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle miał jakieś cechy ludzkie.

Przez następną godzinę, mniej więcej, zwiedzaliśmy zamek, korzystając z planu, który Artur wręczył mi na samym początku zwiedzania. Zamek był zaplanowany całkiem logicznie, kształtem przypominał literę D. Posiadał korytarze rozchodzące się wachlarzowato we wszystkich kierunkach i prowadzące do głównych sal i pokoi, które z kolei połączone były przejściami służbowymi z biegnącym z tyłu korytarzem w kształcie łuku. Przy każdym z korytarzy znajdowały się pomieszczenia mieszkalne, magazyny oraz pomieszczenia użytkowe i wspólne łazienki. Korytarze były przydzielane poszczególnym kastom, przy czym większość z nich zajęta była przez klasę nadzorców mającą najwięcej obowiązków, dwa zaś odchodzące od korytarza – głównego przez członków grupy panów, natomiast korytarz główny, prowadzący do luksusowych apartamentów sir Tiela, należał do niego i jego najbliższej rodziny.

Zauważyłem, iż na planie nie zaznaczono, niewątpliwie istniejących, tajemnych przejść pomiędzy pokojami na wszystkich poziomach, takich, jak to, z którego mnie szpiegowano minionej nocy. Nie zaskoczyło mnie to, jednak doszedłem do wniosku, iż muszę dowiedzieć się czegoś więcej na ich temat.

Na zewnątrz zamku, ale wewnątrz potężnego ogrodzenia, mieściło się to, co było dumą i radością Artura. Palisada z ogromnych bali, z pomostami i wieżyczkami wartowniczymi przypominała prymitywną fortecę. Artur, chłodny, rzeczowy i formalny, zachowujący dystans wobec wszystkich i wszystkiego, teraz promieniował ciepłem, a oczy zabłyśły mu gorączkowo.

– Nie należy to do obowiązkowych punktów podczas zwiedzania – poinformował mnie – ale i tak chciałem wpaść tu na inspekcję, więc możesz skorzystać z okazji i dotrzymać mi towarzystwa.

Ujrzałem stada owadów, jakich nie widziałem nigdy przedtem – czy to na Lilith, czy gdziekolwiek indziej. Wyszkolony personel w randze nadzorców ruszał się żwawo na widok nadchodzącego Artura, tak że kiedy znaleźliśmy się na miejscu, wszystko już było gotowe na jego wizytę. Całe rzędy insektów stały na swych stanowiskach, ciasno i równo, przedstawiając sobą

imponujący widok.

Były to wuki, jak je zwano, z olbrzymimi cielskami w kolorze jaskrawozielonym i z białym podbrzuszem; długość ich wynosiła trzy do czterech metrów, a ciężar wspierał się na sześciu grubych, potężnych, wygiętych odnóżach; głowy zdominowane były wielkimi błyszczącymi, elipsoidalnymi oczyma znajdującymi się po dwu stronach podobnej do bicza, zawiniętej do góry trąbki, pod którą ukrywała się obrzydliwa, przypominająca kształtem dziób, paszcza. Skóra ich była doskonale gładka, ale odniosłem wrażenie, iż tuż pod ich powierzchnią kryje się solidny szkielet, który czyni je o wiele mniej kruchymi, niż na to wyglądają.

Pomiędzy pierwszą i drugą parą nóg każdy z nich miał umocowane siodło – dość złożony zestaw z twardym, wysokim oparciem i osłoną w kształcie litery X ochraniającą jeźdźca i utrzymującą go w miejscu. Jeźdźcami byli zarówno mężczyźni, jak i kobiety, ubrani w czarne bryczesy i sztylpy i wyglądający na silnych, wytrzymałych, twardych i zdyscyplinowanych. Dostrzegłem też przedmioty, w których odgadłem broń, i to w dość dużym wyborze, od pałek i kopii do czegoś co przypominało pneumatyczne kusze. Wszystko to było tak usytuowane, iż jeździec mimo ograniczeń mógł bez trudu do tej broni sięgnąć.

– To imponujące – powiedziałem Arturowi (i mówiłem to szczerze). – Tyle, że robi to wrażenie prawdziwej armii, kawalerii. Nie przyszłoby mi do głowy, że może być tutaj potrzebna armia.

Artur roześmiał się.

– Potrzebna, wręcz niezbędna – odpowiedział. – Bo widzisz, w tym społeczeństwie, żeby piąć się w górę, musisz kogoś zabić, musisz być silniejszym od innych. Powiedz mi tedy sam, gdybyś był sir Tielem czy reagowałbyś na rzucanie ci dzień po dniu wyzwania ze strony każdego, komu się wydaje, że może cię pokonać? Naturalnie, że nie. To samo dotyczy i innych rycerzy. Bo jakie są profity z tak wysokiej pozycji? Oczywiście, mnóstwo ukłonów i szurania nogami, ale przede wszystkim cała fura kłopotów związanych z administracją. Są prawdopodobnie całe setki panów silniejszych od większości rycerzy, może nawet silniejszych od samego księcia, ale nie są oni zupełnie zainteresowani tą robotą. Jednak są też tacy, których to interesuje. Moim zadaniem jest więc dopilnowanie, by wyzwanie rzucane rycerzowi dziedziny wiązało się z trochę większymi utrudnieniami; pełnię w pewnym sensie rolę policjanta. A jeśli jeden rycerz chce mieć coś, co należy do drugiego, cóż, oni też mogą sobie rzucać wyzwania, tyle że skończyłoby się takie starcie albo śmiercią, albo remisem, bez korzyści dla którejkolwiek ze stron. Wobec tego troszkę sobie walczymy. Jeśli ktoś chce cokolwiek, co należy do tej dziedziny, to musi albo negocjować grzecznie, albo o to walczyć – i tu jest właśnie miejsce dla armii.

Skinąłem głowę, ale moje wyobrażenie o Lilith uległo następnej drobnej korekcie. Wpierw nie mogłem bowiem sobie wyobrazić, dlaczego miano by prowadzić walki w skali lokalnej, po czym doszedłem do wniosku, iż odgrywają one rolę zaworu bezpieczeństwa. Kłótnie i potyczki wypełniają czas i dają zajęcie najbardziej niebezpiecznym ludziom na Lilith – psychopatom, uwielbiającym przemoc podżegaczom, militarystom i tym podobnym. Jeśli chcą sobie rozwalać czaszki, należy dać im tę możliwość, znaleźć ujście dla ich gwałtownej natury i nie pozwolić tym samym zakłócać dobrego, porządnego systemu. Mogłem sobie teraz wyobrazić doskonałego administratora, takiego, który wśród swoich ludzi ma szczególnie wielu sprawiających kłopoty, rozpoczynającego wojny z

sąsiadami po to tylko, by zmniejszyć napięcia, albo rozwiązać nudę.

– Wuki – mówił Artur – używają tych potężnych tylnych odnóży, by skakać wysoko w powietrze, z żołnierzem w siodle, Dlatego właśnie ludzie są przymocowani, choć ramiona mają swobodne. Mogą bez trudu przeskakiwać ponad stacjonarnymi liniami bojowymi, wykazując bezużyteczność stałych fortyfikacji. Tam na wzgórzu gdzie widać te wszystkie dziury, prawie takie jak w plastrze miodu, stacjonują moje besile, doskonali lotnicy, tworzący, że tak powiem, siły powietrzne. Połącz je z armią lądową, a uzyskasz siłę, która właściwie użyta jest praktycznie nie do pokonania.

Nie wypowiedział tego ostatniego zdania tonem samochwały, ale głosem, w którym czuło się prawdę i przekonanie. Istotnym wyrażeniem tutaj było „właściwie użyta”. Nie miałem wątpliwości, iż Artur musi być świetnym dowódcą w polu.

Musiałem przyznać, że to bardzo dobrze zorganizowany system. Rycerze, otyli i lubiący wygodę, niechętnie rzucali sobie wyzwania. Brak dobrej łączności oznaczał, że zdobycie nowych terenów i skonsolidowanie dziedzin pod jedną władzą byłoby bardzo trudne i nie przynoszące żadnych korzyści. A rzucający wyzwanie rycerzowi musiałby wpierw przedrzeć się przez zamek i jego obronę – niełatwe zadanie. I niezależnie od posiadanej mocy można zginąć od strzały i włóczni dobrze wymierzonych, nawet jeżeli się jest samym Markiem Kreeganem.

Oczyma wyobraźni widziałem rycerzy na przyjęciach czyniących zakłady, czyja armia jest najlepsza i czyj dowódca najzręczniejszy. Sam byłbym skłonny się założyć, iż Artur wygrał wiele spośród podobnych zakładów.

Po zakończeniu inspekcji wróciliśmy do zamku. W oddali widziałem pionków, olbrzymie ich rzesze, pracujących w polu i opiekujących się stadami. Dopiero wówczas byłem w stanie myśleć o nich na poziomie emocjonalnym. Dobę wcześniej byłem wśród nich, a przecież już w tej chwili rozdzielająca nas przepaść społeczna tworzyła nieprzekraczalną barierę. Wydawało mi się, iż jest w tym coś bardzo niewłaściwego, a zarazem bardzo głębokiego, co wiele mówi o klasie rządzącej i rządzonej; nie mogłem jednak w żaden sposób tego uchwycić. Ciągle czułem się bliższy im, a nie ludziom takim jak Artur i Pohn. I ciągle nie byłem równorzędnym przeciwnikiem nawet dla najniższego ranga, najgłępszego stajennego tutaj w zamku, o ile należał do klasy nadzorców.

Udaliśmy się do jadalni nadzorców i dopiero tam zdałem sobie sprawę z własnego głodu. Od lekkiego śniadania minęło już wiele godzin i chociaż nie pracowałem, by spalić to co zjadłem, to jednak przyzwyczajony byłem do większych objętościowo porcji.

– Zostawię cię tutaj – powiedział Artur. – Przez kilka najbliższych dni będziesz miał czas, by zapoznać się z zamkiem. Odpręż się, porozmawiaj z ludźmi, zapoznaj się z systemem. Kiedy będziemy gotowi, rozpoczniesz zajęcia, które pokażą, jak dalece można rozwinąć twą moc. – Zmarszczył krzaczaste brwi i popatrzył na mnie twardym wzrokiem. – Nie bądź zbyt pewny siebie podczas tych zajęć, chłopcze. Pamiętaj, iż nie jest to tylko sprawdzian mocy i siły woli, ale również test na inteligencję. Pamiętaj, jaki był koniec Kronlona. – I po tych słowach odszedł.

Podświadomie wyczuwałem, iż były to słowa podyktowane życzliwością do mnie ze strony tego



dziwnego, arystokratycznego mężczyzny. Zastanawiałem się nad ich znaczeniem podczas posiłku – najlepszego, jaki jadłem od miesiący – i wydawało mi się, że rozumiem, co miał na myśli.

Celem rządzących było rozwijanie twej mocy po to, byś mógł lepiej dopasować się do istniejącego systemu i tym samym lepiej służyć swoim szefom. Załóżmy jednak, iż poszło ci nad miarę dobrze. Jeśli okażesz, się silniejszy od posiadających rangę pana, czy twój gospodarz i przełożony pozwoli ci żyć? Mało prawdopodobne. Z drugiej strony, ociąganie się i kiepskie wyniki mogą cię rzucić z powrotem w błoto, między pionków. Podstępny i chytry to system społeczny.

Kilka następnych dni spędziłem na zawieraniu przyjaźni z niektórymi członkami personelu zanikowego, na poznawaniu samego zamku, jego rozkładu i przeróżnych przejść, zwanych eufemistycznie korytarzami służbowymi, a nie figurujących na planach. Od poznanych osób dowiedziałem się kilku pożytecznych rzeczy, między innymi również i tego, że przyjęcie, jakie się tutaj odbywało w wieczór mojego przybycia, wydane było na cześć samego Marka Kreegana, który złożył na zamku jedną z tych swoich niespodziewanych wizyt. Nikt go nie widział; nawet ci, którzy usługiwali podczas bankietu, nie potrafili powiedzieć, jak wyglądał władca Lilith. Byłem prawie pewien, iż nawet właściciel zamku nie wiedział, który z jego gości był Kreeganem, człowiekiem którego zdolność zaciemniania umysłów była wręcz legendarna, a namiętność do zachowania anonimowości – absolutna. Formalnie gościem honorowym pozostawał książę Kosaru, jednak wszyscy obecni wiedzieli, iż Kreegan był tam obecny.

Czy ciągle jeszcze tu jest? Dręczyło mnie to pytanie i z podejrzliwością przyglądałem się wszystkim należącym do klasy panów, których spotykałem na swej drodze, a którzy nie należeli do dziedziny Zeis.

Od czasu do czasu wpadałem do sekcji medycznej, głównie po to, by sprawdzić, co dzieje się z tymi dziewczętami leżącymi na kamiennych blokach, a szczególnie z Ti. Nie mogłem zrozumieć swojej manii na jej punkcie; w przeszłości zawsze potrafiłem zachować chłodną rezerwę w stosunku do partnerek seksualnych, a nawet i do przyjaciół. Większość z nich posiadała zresztą osobowość płytką i powierzchowną, a ci, którzy reprezentowali sobą coś więcej, stanowili dla mnie pewne niebezpieczeństwo, skoro i tak w jakimś momencie mogłem otrzymać rozkaz ich likwidacji. Martwiła mnie ta sytuacja, bowiem zawsze dokładnie wiedziałem, kim jestem, czego pragnę i jakie jest moje miejsce we wszechświecie.

Calu Tremonie, w kogo zamienia mnie to twoje ciało? Czyżbym już przestał być odporny na czynniki emocjonalne? Czyżbym stracił tę odporność, która, jak wierzyłem, odróżniała mnie od reszty ludzkości?

Moje usiłowania, by spotkać Pohna, nie powiodły się. Wyglądał na bardzo zajętego człowieka i trudno go było złapać w jakimś jednym, konkretnym miejscu. Lekarz w świetle, gdzie nikt nie chorował i gdzie większość okaleczeń zabiłżniała się sama, a brakujące członki potrafiły się zregenerować, miał mnóstwo czasu na badania naukowe, a ja domyślałem się w jakim kierunku te badania są prowadzone. Od jego asystentów dowiedziałem się, że to on był odpowiedzialny za superstworzenia w armii Artura, za hodowlę selektywną i za manipulację genetyczną, i że te wspaniałe wyniki uzyskał jedynie za pomocą samej siły woli. Ktoś tak podobny bogu nie mógł się

zapewne oprzeć chęci przeprowadzania takich samych eksperymentów na ludziach.

Złapałem go wreszcie pewnego popołudnia, a on wyraźnie ucieszył się na mój widok. Widocznie należałem do niewielkiej grupki osób zainteresowanych jego pracą, choć zdałem sobie sprawę, że moje z nim kontakty to stąpanie po bardzo niepewnym gruncie. Na swój sposób był on co najmniej tak niebezpieczny jak Artur, a to dlatego, iż jego moc sięgała znacznie dalej i była o wiele subtelniejszej natury.

Ponownie znaleźliśmy się w owym niesamowitym, robiącym wrażenie kostnicy, pokoju z dwunastką uspiomych dziewcząt. Zauważyłem, że Ti jest ciągle wśród nich.

– Jak one się odżywiają? – spytałem. – Jak je chronisz przed problemami z krążeniem i innymi kłopotami wynikającymi z braku ruchu? Chociażby przed kłopotami związanymi z czynnościami fizjologicznymi?

Zachichotał.

– To sprawy rutynowe – wyjaśniał. – Ja i moi asystenci zajmujemy się każdą z nich co cztery godziny. To zupełnie proste. Popatrz.

Podszedł do najbliższej leżącej dziewczyny, zbadał ją pobieżnie i cofnął się o dwa kroki.

– Kira, usiądź – zaproponował raczej, niż rozkazał.

Dziewczyna, ciągle nieprzytomna, z zamkniętymi oczyma, ale z regularnym oddechem, usiadła. Był to dość makabryczny widok, jak gdyby nieboszczyk ożywił się, nie wracając tak naprawdę do życia.

– Otwórz oczy, Kira – poinstruował ją, używając ciągle tego samego, delikatnego tonu.

Otworzyła oczy, ale widać było, iż te ogromne, piękne, brązowe oczy są puste i nie kryje się za nimi żadna myśl.

– Zejdź z łóżka i stań obok niego, Kira – polecił jej Pohn, a ona znów jednym płynnym ruchem uczyniła, co jej kazano.

Ja, który nieraz już w życiu zabijałem bez głębszego zastanowienia i widziałem wiele horrorów, tym razem poczułem lekki dreszcz.

– Zachowuje się jak automat, jak android – powiedziałem.

Pohn skinął głową.

– Tak, tak, bardzo podobnie – przyznał. – Android ma równie złożoną budowę co ciało ludzkie. Tutaj, mając takie możliwości techniczne, pewnego dnia poznam tajemnicę organizmu Wardena. Dzięki materiałowi takiemu jak te dziewczęta udało mi się zajść o wiele dalej, niż ośmielałem się marzyć, kiedy to wszystko zaczynałem.

– Czy one są... świadome... tego, co się dzieje? – zapytałem.

– Och nie, nie, nie – zapewnił mnie. – Byłoby to nazbyt okrutne. Na podstawie wielu eksperymentów udało mi się określić położenie kluczowych połączeń nerwowych, mówiąc językiem w miarę zrozumiałym dla laika. Część mózgu odpowiedzialna za myślenie znajduje się jakby w stanie głębokiego snu, podczas gdy reszta, jego część fizyczna, że tak powiem, może być obudzona i poddana bodźcom – nazywam to motywacją zewnętrzną – i wykonywać czynności, których świadomie nigdy by nie wykonywała. Zaraz ci to zademonstruję. Kira, idź za mną w odległości jednego kroku i kiedy się zatrzymam, ty również się zatrzymaj, a kiedy ruszę ponownie, ruszaj za mną.

Dziewczyna szła za nim, jak jej polecono, i kiedy wyszli z pokoju, poszedłem za nimi. Wkrótce znaleźliśmy się w małym laboratorium, którego ściany były litą skałą, ostrą i chropawą. Ustawił ją na wprost jednej ze skalnych ścian, w odległości nie mniejszej od trzech metrów.

– W kluczowym okresie dojrzewania Kira potrafiła wpływać na wzrost roślin i wywoływać niewielkie trzęsienie ziemi w swoim otoczeniu. Potem ta moc zanikła, co zdarza się prawie wszystkim, i Kira znalazła się tutaj. Pracując nad nią, byłem w stanie odkryć dużą liczbę stymulatorów chemicznych oddziałujących na pewne obszary mózgu. Ona dostarcza mocy i stymulatorów, a ja siłę woli. – Rozejrzył się po pustyni pomieszczeniu. – Czy czujesz tutaj obecność organizmu Wardena?

Wyczuwanie tej dziwnej formy życia wokół siebie nawet w obiektach nieożywionych stało się już moją drugą naturą. Czulem ją naturalnie w każdej cząsteczce skały tworzącej ten pokój; skinąłem więc twierdząco głową.

– Doskonale. A teraz przyglądaj się pilnie. Kira, chcę byś za pomocą umysłu utworzyła w tej skale pięćdziesięciocentymetrową dziurę w kształcie sześcianu, na wysokości dwóch metrów. – Zrobił dwa kroki w tył, a ja z zupełnie niewiadomego powodu cofnąłem się tak daleko, jak tylko mogłem.

Czulem, że Pohn koncentruje się na niej, prawdopodobnie wyzwalając owe bodźce, stymulatory czy też enzymy, które zwiększają moc.

– Teraz, Kira – wyszeptał.

To, co nastąpiło, mogło niemal rozczarować. Żadnego błysku światła, żadnego grzmotu, nic z tych rzeczy. Po prostu... cóż...

Usłyszałem ciche stuknięcie, a potem jakby dźwięk spadającego tynku, czy ziemi osuwającej się w przepaść. Dźwięk niezbyt głośny, a jednak w ścianie pojawił się wycięty z niej sześcian, w którym widoczna była kupka drobnego proszku.

Dr Pohn podszedł do ściany, wymiótł proszek dłonią i gestem polecił mi, bym się zbliżył. Myśl, iż znajdę się na ścieżce takiej mocy, nie wpływała na mnie uspokajająco, ale zbadałem owo zagłębienie stworzone przez dziewczynę pod kierunkiem drą Pohna. Było doskonale gładkie,

posiadało regularne wymiary i nic nie wskazywało na sposób, w jaki zostało uformowane.

– To jedynie dowód na to, iż potencjał tkwi w każdym z nas – powiedział doktor. – Z jakiegoś powodu jest on większy u kobiet niż u mężczyzn. Kobiety chyba posiadają większą moc, ale bardziej niepewną i mniej kontrolowaną. Mam tu dziewczęta, które byłyby w stanie zamienić ten zamek w pył, gdyby dostarczono im odpowiednich stymulatorów i odpowiedniej motywacji.

– Wydawałoby się, iż boss i jego przełożeni mogą uważać cię za pewne zagrożenie w tej sytuacji – zauważyłem.

Roześmiał się i pokręcił głową.

– Och, nie. Jestem całkiem silny, całkiem potężny, ale nie mam ochoty być rycerzem. Oznaczałoby to bowiem koniec mojej pracy badawczej. Nie jestem dla nikogo zagrożeniem, ponieważ wszyscy znają mój brak ambicji, jeśli chodzi o stanowiska. Tak naprawdę to mnie zachęcają, bym kontynuował moją pracę, bo może im ona jedynie pomóc. Pan Artur, na przykład, interesuje się jedną z dziewcząt, która, jak sądzimy, mogłaby unieruchomić atakującą, nieprzyjacielską armię, a być może nawet rozpylić ją na cztery wiatry.

Rozmawiając wracaliśmy do „kostnicy”, a przypominająca zombi Kira szła posłusznie za nami.

– Którą z nich się interesuje? – spytałem, czując skurcz w żołądku.

– Tą – odpowiedział, wskazując, czego się zresztą obawiałem, na Ti.

Nabierałem coraz większej wprawy w odnajdywaniu sekretnych przejść i pomieszczeń. Och, przyznaję, że omijałem te, które były strzeżone i zabezpieczone specjalnymi pułapkami, bo prowadziły do apartamentów sir Tiela, ale pozostałe uważałem za bardzo wygodne i przydatne. Można było praktycznie mieszkać w tych znajdujących się wewnątrz murów przejściach i korytarzykach, choć trudno byłoby uniknąć spotkania z ich innymi użytkownikami – tymi, którzy byli na służbie (szpiegowaniu) Czy przebywali tam dla rozrywki, takiej jak voyeurism czyli podglądanie. Wszyscy ich naturalnie znali, lecz nikt nie zwracał na nich większej uwagi.

Pobieranie lekcji i ćwiczenia rozpocząłem jakiś tydzień po przybyciu do zaniku i było to nareszcie to, czym byłem najbardziej zainteresowany. Moją nauczycielką była Vola Tighe, siostra matrony, która przed kilkoma dniami wpuściła mnie za bramę. W przeciwieństwie do swej siostry, Vola była osobą bardzo poważną, znającą i siebie, i swoje obowiązki. Sądząc jedynie po wyglądzie zewnętrznym, mogły być bliźniaczkami, i może nimi były naprawdę.

– Jak wiesz, najważniejszy jest tutaj bodziec chemiczny – powiedziała. – Sztuczka polega na umiejętności kontrolowania siebie samego, tak żeby być w stanie sięgnąć w głąb własnej głowy i uruchomić to, co nam jest potrzebne, i dokładnie w tym momencie, w którym tego potrzebujemy, po czym kierować tym jedynie siłą naszej woli. Każdy mieszkaniec Lilith posiada potencjalnie takie możliwości; różnica leży w psychologii. Nie każdy bowiem – nawet nie większość, dzięki Bogu – posiada tę zdolność koncentracji, tę siłę woli i inteligencję niezbędną do opanowania i zastosowania

właściwej techniki.

– Dr Pohn ma inny pogląd na te sprawy – zauważyłem. – Uważa, iż rodzimy się już z różnymi poziomami tego stymulatora w naszych organizmach i jesteśmy ograniczeni jego ilością.

– Ten zboczeniec – za reagowała z obrzydzeniem. – Jeszcze na pograniczu znany był z szarlatanerii. Jest jedynie sadystą ze skłonnościami do dziewczynek, pamiętaj o tym. Boss spełnia jego zachcianki, częściowo z obawy przed nim, jak sądzę, ale głównie dlatego, że Pohn karmi go tymi pseudonaukowymi bzdurami, żeby potwierdzić to, co sir Tiel pragnie usłyszeć. To obrzydliwe, co on wyczynia z tymi biednymi dziewczętami; za podobne praktyki został tu zresztą zesłany. Jednak tak długo, jak ogranicza swoje eksperymenty do pionków, jest całkiem bezpieczny.

Tak długo, jak ogranicza eksperymenty do pionków... Przypomniałem sobie, że sam potępiałem wieśniaków, że mój stosunek do nich był bardzo podobny i że taki stosunek był całkowicie logiczny. A przecież gdzieś musiał tkwić błąd w moim rozumowaniu, skoro niewłaściwość takiego lekceważącego stosunku do większości ludności Lilith nie dawała mi ciągle spokoju. W świecie cywilizowanym sprawy wyglądały zupełnie inaczej, mówiłem sobie. Tam większością był Homo superior, o doskonałym umyśle i ciele, mający równy udział i w pracy, i w wygodnym życiu, i żyjący w spełnionym marzeniu o utopii. Tam nieudacznicy wyrzucani byli na rubieże lub wyszukiwani i likwidowani przez takich jak ja, albo...

Albo zsyłani na Romb Wardena.

Jeśli to Vola miała rację, a nie Pohn, mówiłem sobie, to mogło to oznaczać, iż przekształcenie tej zakażonej klasowością tyranii w prawdziwy raj jest teoretycznie możliwe i jak najbardziej pożądane. Nietrudno bowiem było dostrzec istniejące tu paralele z historią rodzaju ludzkiego. Posiadający władzę zawsze przecież niewolili masy i gromadzili bogactwo, aż w końcu masy powstawały przeciw niesprawiedliwości i wybuchała rewolucja obalająca tyranów. W przypadku stworzonej przez człowieka cywilizacji potężny wybuch technologii odesłał pojęcie ciężkiej pracy fizycznej na karty podręczników historii i wyposażył każdego w osobisty komputer. Kontrola nad technologią stanowiła klucz do postępu ludzkości; kontrola mocy Wardena byłaby miejscowym odpowiednikiem tamtej kontroli. Gdyby można było każdego nauczyć korzystania z tej mocy, ludzie tacy jak Polni byłiby zbędni i zostaliby starci z powierzchni ziemi. Zdałem sobie sprawę z tego, iż Vola nie rozumiała konsekwencji wynikających z jej własnego rozumowania, że nie doprowadziła tego rozumowania do ostatecznych, logicznych wniosków, ja jednak wiedziałem już, jakiej sprawie poświęcę całe swe życie, kiedy... kiedy co?

Kiedy zostanę władcą Lilith.

Wróciłem do ćwiczeń.

Większość informacji wstępnych była podstawowej natury, dużo ezoterycznej biologii, dużo historii Rombu Wardena i tym podobnych spraw. Większość też była mi już znana, włącznie z ćwiczeniami umysłowymi, bowiem podobne przechodziłem podczas szkolenia na agenta. Było to wszystko śmiesznie łatwe i najprawdopodobniej stanowiło jedynie wstęp do poważniejszych

ćwiczeń. W tych pierwszych dniach brakowało mi właśnie owego klucza, owego katalizatora. Potrafiłem już regulować wiele autonomicznych funkcji własnego organizmu, takich jak bicie serca czy oddychanie, i posiadałem też zdolność neutralizowania głównych ośrodków bólu. Wymagało to ode mnie pewnego dostosowania się do nowego ciała, ale przy pewnej wprawie nietrudno mi było przejąć nad nim całkowitą kontrolę. A przecież ci ludzie nie posiadali jakiejś cudownej psychiki, nie byli cudotwórcami; dysponowali jednak jakimiś atutami, na których poznaniu bardzo mi zależało.

Poczyniłem mimo wszystko takie postępy, że już czwartego dnia Vola zdecydowała, iż jestem gotów. Weszła do mojej celi z małym kociołkiem z tykwy i rozpałała pod nim ogień. Z małego, skórzanego woreczka wlała do tykwy jakiś przezroczysty, złocisty płyn i doprowadziła go do stanu wrzenia. Unoszące się w powietrzu opary spowodowały, że poczułem się lekko i beztrudno.

Usatysfakcjonowana, że wszystko jest tak jak trzeba, zwróciła się do mnie.

– To jest narkotyk – wyjaśniła całkiem bez potrzeby. – Jedna z pierwszych grup badawczych, która znalazła się tutaj bez możliwości powrotu, rozpoczęła eksperymenty z miejscową florą i fauną. Jej członkowie rozumieli, iż muszą poznać środowisko, w którym im przyszło żyć. Ta konkretna mikstura zawiera najlepszy katalizator, jaki udało im się odkryć dla organizmu Wardena. Powoduje on trwale zmiany w ciele człowieka po pewnym czasie, ale tylko wtedy, kiedy zastosujemy ją co najmniej kilkadziesiąt razy. Dokładnie odmierzona dawka, podawana w równych odstępach czasu, zmienia kluczowy element w strukturze komórki, przekazując informację, by tak rzec, organizmowi Wardena, iż ma on dokonać niewielkiej korekty w równowadze enzymatycznej komórki. Wypij to teraz, wszystko, jeśli możesz, a gdyby było trochę za gorące, pozwól, by lekko ostygło. Wyższa temperatura ułatwia jedynie jej wchłanianie do krwi.

Skinąłem głową i powiedziałem, że rozumiem. W środku jednak aż kipiałem z radości. To właśnie był ten atut, klucz do prawdziwej mocy. Wypiłem chciwie parujący napój, parząc się przy tym w język, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało. Smakował gorzko i obrzydliwie, jednak i tak o wiele lepiej, niż się spodziewałem. W pewnym sensie taki napój wydawał się czymś logicznym. Był przecież naturalnym produktem Lilith, zawierał organizmy Wardena we własnych cząsteczkach i stanowił naturalne dopełnienie tego wszystkiego, co mi opowiadano na temat zjawiska Wardena.

Pozostawało jedynie pytanie, na które zapewne nie ma prostej odpowiedzi. W jaki sposób mógł w ogóle ktoś wpaść na takie rozwiązanie? Przyznaje, że o to samo można by zapytać w związku z większością wielkich odkryć. Prawdopodobnie przypadek.

Mikstura paliła mi wnętrzności, ale nie odczuwałem żadnych innych bezpośrednich skutków jej działania. Popatrzyłem na Volę.

– Skoro jest to rzeczywiście klucz chemiczny, dlaczego nie działa na wszystkich? Dlaczego nie działa na pionki?

Uśmiechnęła się z lekką wyższością.

– Wywiera on na nich jedynie niewielki, przypadkowy i na ogół destrukcyjny wpływ. Zauważyliśmy, iż wprawdzie należy osiągnąć jakiś poziom mocy, by móc go zastosować i by zadziałał.

Twoja potyczka z nieszczęsnym nadzorcą przygotowała grunt, spowodowała, iż mózg twój gotów jest zaakceptować to, co właśnie się w tej chwili dzieje. Bo widzisz, to także jest test. Każdy, kto nie dysponuje mocą, zmarłby od tej trucizny.

Zakaślałem lekko i spojrzałem na nią zdziwiony.

– Świetny moment, żeby mi o tym powiedzieć.

– Usiądź i odpręż się – poinstruowała mnie rozbawionym głosem. – Pozwól jej działać.

I rzeczywiście zacząłem odczuwać pierwsze oznaki działania tego napoju, jego dziwne, lekko halucynogenne skutki. Wymiary pokoju uległy zmianie, a sama Vola i kociołek, który właśnie odstawiała, zamgliły się, rozmazały i zniekształciły. Czułem, że mam wypieki jak przy gorączce i że jestem mokry od potu.

Vola podeszła, ujęła moją twarz w dłonie, obróciła ją nieco i badawczo przyjrzała się moim oczom. Skinęła głową i cofnęła się.

– A teraz – powiedziała głosem, który brzmiał pusto w moich uszach i pobrzmiwał echem – zobaczymy, jaka jest twoja prawdziwa siła.

Zniekształcenia w otoczeniu znikły, zastąpione innym rodzajem percepcji, możliwe iż równie fałszywym. Nagle wszystko wydało mi się bardzo ostre, bardzo wyraźne i pełne szczegółów. Jak gdybym przedtem cierpiał na głęboką krótkowzroczność, a teraz przywrócono mi pełnię ostrości widzenia.

Widziałem bowiem nie tylko pokój, ludzi i przedmioty; widziałem także organizm Wardena. Widziałem go i słyszałem w sposób zupełnie mi przedtem nie znany. Po raz pierwszy zrozumiałem, jak dr Pohn mógł dosłownie zajrzeć do komórek, a fizyk, na przykład, w głąb cząsteczki. Cały wszechświat otwierał się przede mną, wielki i mały, w zależności od tego, na czym skupiłem swą wolę, i mogłem widzieć każdą jego część, nieważne jak drobną. Było to uderzające do głowy, boskie uczucie, którego ktoś spoza Lilith nie byłby w ogóle, sobie w stanie wyobrazić. I cały czas myślałem: to nie jest wywołana narkotykiem halucynacja, to nie pomyłka zmysłów – to rzeczywistość!

Oprócz wyczuwania organizmu Wardena w otoczeniu, byłem co najmniej równie świadom jego obecności wewnątrz samego siebie. Niewiarygodnie drobniutkie istoty znajdowały się we mnie, tworzyły ze mną jedność, były częścią mnie samego. Sięgnąłem do nich, dotknąłem ich i poczułem, że odwzajemniają mi się takim samym psychicznym dotknięciem, wyczułem przyjemność i podniecenie tych żyjątek, związane z faktem rozpoznania przeze mnie ich egzystencji. A przecież stanowiły one cząstkę większego organizmu, organizmu, na który składało się wszystko, co istniało na tej zwariowanej planecie, wszystko powiązane ze sobą, tworzące jedność, utrzymujące łączność, tak jak komórki ciała utrzymują łączność z własnymi częściami i z komórkami wokół siebie.

– Teraz już znasz to uczucie – usłyszałem głos Voli. – Teraz już znasz prawdę o mocy. Teraz możesz jej użyć, możesz ją formować, naginać do swej woli, nadawać jej kierunek.

Odwróciłem się i popatrzyłem na nią, jak gdybym ją ujrzał po raz pierwszy. Kronlon świecił niematerialnym blaskiem, bardziej wyczuwalnym niż widzialnym, kiedy zebrał swą ograniczoną moc przeciwko mnie. Vola również świeciła, ale jej światło było intensywniejsze, o tyle intensywniejsze, że Kronlon przy nim wyglądał na coś mniej niż pionek, mniej niż drzewo czy źdźbło trawy. Nie była to jasność w sensie fizycznym; postronny obserwator nie dostrzegłby nic. Był to płomień wewnętrzny wyczuwany przez drobniutkie organizmy wewnątrz mnie i mnie przekazywany.

Wskazała – promienna, nadprzyrodzona istota – na wiklinowy fotel stojący w rogu celi, a ja podążyłem wzrokiem za jej ramieniem, by skupić się na nim.

– Nie patrz na fotel – instruowała – lecz w jego wnętrzu. Nawiąż kontakt z tym, co się w tym wnętrzu znajduje.

Dokonanie tego było śmiesznie łatwe i nie wymagało z mej strony żadnego wysiłku umysłowego. Spojrzałem tylko i... znałem już ten fotel, tworzyłem z nim jedność, widziałem, jak jest zbudowany i w jaki sposób związane są ze sobą jego cząsteczki.

– Rozkaż mu, by się rozpadł, lecz nie zabijaj tego, co znajduje się w jego wnętrzu – poleciła mi Vola. – A potem spraw, by powrócił do poprzedniego stanu.

Zmarszczyłem brwi, usiłując pojąć dokładnie, to co mówiła. Po czym nagle dostrzegłem znaczenie jej słów w całej jego złożoności. Ten fotel był żywy, tworzył, na czyjś rozkaz, całość jak jeden organizm, a organizmy Wardena postępowały wbrew swej naturze, by utrzymać stabilność tego układu i pozostać krzesłem. Geometria układu była dla mnie oczywista i należało jedynie go rozbić i pozwolić znajdującym się w jego wnętrzu organizmom przywrócić komórki fotela – w jakiś sposób ciągle żywe, choć dawno temu oddzielone od rośliny matecznej – do ich normalnego stanu.

Fotel uległ gwałtownej dekompozycji, ale nie rozpadł się na kawałki. Rozpadały się stare układy, powstawały nowe, układy tworzone instynktownie przez istoty w jego wnętrzu. Wyglądało to tak, jak gdyby fotel zamienił się w pył, a ten zawirował i jego małe cząsteczki połączyły się, tworząc nową serię kształtów, w dziwny sposób właściwych.

Tam, gdzie przedtem stał fotel, znajdowały się teraz łodygi siedmiu roślin matecznych, z których wycięto trzciny na budowę fotela. Rośliny żyły i ciągnęły z kamiennej podłogi potrzebne im substancje odżywcze.

– A teraz – wyszeptała Vola, najwyraźniej pod wrażeniem tego, co obserwowała – złóż z tego na powrót fotel.

To mnie przystopowało. Do diabła, przecież ten układ jest niewiarygodnie złożony. Mogę go naturalnie rozbić, ale przywrócić do stanu pierwotnego to zupełnie inna sprawa.

Zepsuła mi całą radość, pomyślałem kwaśno. A miałem tyle uciechy i czułem się jak bóg.

– Lekcja następna – powiedziała. – Moc bez wiedzy i umiejętności jest zawsze destrukcyjna. Bez trudu można coś rozbić, ale trzeba wiele się uczyć, by budować, a nie niszczyć.



– Ale jak? – zawołałem pełen frustracji. – Skąd mam wiedzieć, jak budować, jak tworzyć?

Roześmiała się.

– A czy potrafiłbyś zrobić taki fotel? Czy potrafiłbyś wziąć siekierę, ściąć łądygi odpowiedniej długości i połączyć to wszystko razem, by stworzyć taki właśnie przedmiot?

Zastanowiłem się nad tym. Potrafiłbym?

– Nie – zmuszony byłem odpowiedzieć. – Nie jestem stolarzem.

– Na Lilith jest podobnie pod tym względem jak gdzie indziej – powiedziała. – Właściwe użycie mocy w jakiejś konkretnej dziedzinie jest rzeczą ważną, ale wymaga zapamiętania odpowiednich układów i praktyki. Posiadamy tu jednak pewien atut, którego brak jest tym, którzy mocą nie dysponują – kontynuowała, a ja zauważyłem, że podeszła do drzwi, wyszła na chwilę i wróciła z identycznym fotelem, który ustawiła w rogu pomieszczenia obok roślinnych łądyg. – Popatrz na ten fotel – rozkazała. – Utwórz z nim jedność. Poznaj jego układy.

Uczyłem, co mi kazała, i okazało się to o wiele łatwiejsze niż poprzednim razem, szczególnie, że już wiedziałem, czego szukać.

– A teraz, uważając ten fotel za model, złóż tamten – poleciła mi.

Zmarszczyłem brwi. Najpierw ściągnięto mnie z wyżyn boskości, a teraz kazano mi wznieść się tam ponownie.

– Czy to w ogóle możliwe? – wydusiłem z trudem.

– Owszem, jeśli dysponuje się odpowiednią mocą – odrzekła. – Nadzorcy potrafią zniszczyć, a także, w ograniczonym stopniu, stabilizować przedmioty, które sami wykonają. Ty już wykazałeś się mocą nadzorcy. Jednak nadzorca, podobnie jak pionek, musi zbudować każdy przedmiot w sensie fizycznym. Pan potrafi znacznie więcej. Może on wziąć elementy składowe, z których coś jest zbudowane i ułożyć je zgodnie ze swoim życzeniem. Czy jesteś panem, Tremon? Czy potrafisz nim być?

Zdawałem sobie sprawę z tego, iż naciska na mnie i wahałem się. Podejrzywałem, że to nie wchodzi już w zakres tej lekcji i tego, co mieliśmy udowodnić. Czyżbym dokonał tego, przed czym ostrzegwał mnie Artur – czyżbym zrobił to, czego ode mnie oczekiwano, zbyt dobrze i bez niezbędnego wysiłku? Czy powinienem podjąć tę próbę, której żądała?

Do diabła z tym wszystkim, powiedziałem sobie. Zobaczmy z jakiego materiału jestem zbudowany i sprawdźmy czy komputer, który zdecydował, iż jestem najbardziej odpowiednią osobą do wykonania tego zadania, wiedział, co robi. Jeśli tkwił we mnie potencjał na pana, a lepiej żeby tak właśnie było, chciałbym się o tym przekonać. Zbyt dużo czasu straciłem w błocie i szlamie, czekając na odpowiedni moment, i teraz brakowało mi już cierpliwości.

Ponownie wpatrzyłem się w fotel, przejrzałem jego układy i to, co go trzymało i wiązało. Potem

popatrzyłem na dziwne rośliny, rosące tam, gdzie przedtem stał pierwszy fotel i połączyłem się z organizmami Wardena w ich wnętrzu, próbując nie tracić jednocześnie kontaktu, wspólnoty, z fotelem. Była to trudna, kuglarska sztuczka, bowiem struktura molekularna obydwu była taka sama, a nie należało ich mylić.

Rozkazałem organizmom Wardena w roślinach, by się ponownie rozłączyły, by rozwiązały obecny roślinny układ. Mając je na psychicznym, by tak rzec, oku, całą uwagę skoncentrowałem na fotelu, na jego układach, na sposobie, w jaki były połączone i powiązane.

Popełniłem wiele falstartów i wiele pomyłek; w pewnym momencie o mało nie spowodowałem rozpadnięcia się fotela, zamiast połączenia i przemiany roślin. Nie wiem, jak długo to trwało, ale wreszcie odniosłem sukces. Dwa fotele stały obok siebie jak dwa bliźniaki pochodzące z masowej produkcji jakiejś kontrolowanej przez komputery fabryki. Mokry byłem od potu, w głowie mi huczało, ale dokonałem tego. Całkowicie wycieńczony osunąłem się na podłogę, łapczywie chwytając powietrze w płuca. Vola jednakże była bardziej niż zadowolona.

– Myślałem, że nie dam rady – przyznałem, oddychając tak ciężko, jak gdybym podnosił głazy.

– Zaiste jesteś silny, Calu Tremonie – odrzekła. – Bardzo silny. Wielu spośród moich byłych więźniów zostało panami, ale jedynie czterech wykonało to ćwiczenie po jednorazowej dawce. Większość nigdy nie była w stanie go wykonać i ci pozostali nadzorcami. Wielu, jak Kronlon, nie potrafiło nawet rozłożyć tego fotela, nie zabijając znajdujących się w jego wnętrzu organizmów. Inni potrafią to uczynić, ale nie więcej. Bardzo niewielu potrafi dokonać ponownego złożenia, a jedynie czterech – teraz już pięciu – uczyniło to podczas pierwszej próby. Będzie ci szło coraz łatwiej, choć trzeba powiedzieć, iż układy w takim fotelu są stosunkowo proste w porównaniu z innymi obiektami.

– Ta czwórka – naciskałem, mimo iż byłem kompletnie wykończony. – Czy to ktoś, kogo znam?

Wzruszyła ramionami.

– Jeden z nich to mój bratanek, boss Tiel – odpowiedziała. – A także dr Pohn i pan Artur. I Marek Kreegan.

Poderwałem głowę do góry.

– Co? Uczyłaś go?

Skinęła głową.

– Naturalnie. To było dawno temu. Byłam wtedy młodziutka, nie miałam więcej niż szesnaście czy siedemnaście lat, ale byłam tutaj, jak zresztą zawsze. Należy bowiem do tych niewielu tubylców posiadających znaczną moc.

Ta sprawa była bez wątpienia interesująca, ale informacja dotycząca Marka Kreegana interesowała mnie jeszcze bardziej. Wyjaśniało to bowiem, dlaczego powracał tutaj od czasu do czasu i dlaczego zgodził się, by przyjęcie na jego cześć odbyło się właśnie w tym miejscu. Kilkadziesiąt lat temu Kreegan również wylądował tutaj, w dziedzinie Zeis, pracował na tych samych

polach, został przyprorowadzony do zamku – o ile zamek już istniał – i był szkolony przez młodziutką Volę. Zbyt wiele tu się działo, by miało to być jedynie przypadkiem. Naturalnie, zaaranżowała to Konfederacja. Wybrała człowieka najbardziej odpowiadającego charakterystyce Kreegana jako agenta i wysłała go w te same miejsca, w te same warunki. Widziałem teraz jasno ich sposób rozumowania i muszę przyznać, iż nie mogłem odmówić mu logiki.

– Założę się, że ty zrobiłaś fotel za pierwszym razem – powiedziałem.

Uśmiechnęła się i mrugnęła do mnie.

– Powiedz mi o Kreeganie – nalegałem. – Jaki on jest?

Wstała, cofnęła się dwa kroki i przyglądała mi się przez chwilę badawczo.

– Podobny do ciebie, Calu Tremonie. Bardzo podobny do ciebie.

Nic więcej jednak nie chciała powiedzieć i zostawiła mnie, żebym doszedł do siebie i zwalczył ten okropny ból głowy, będący skutkiem zażycia narkotyku.

Moc miała swą cenę.

## Rozdział dwunasty

### UCIECZKA

Spałem dobrze, choć ból głowy obudził mnie kilkakrotnie i pozwolił zauważyć, jak wielka cisza panowała wokół. Kilkakrotnie też wydawało mi się, iż ktoś wchodzi do pokoju, a raz byłem przekonany, że przynajmniej jedna osoba była w pokoju, stała przy moim łóżku i przyglądała mi się w zamyśleniu. Była to jakaś tajemnicza postać; duch, olbrzymi, górujący nad otoczeniem, niewyraźny, potężny – posiacz z dziecięcych koszmarów, a przecież tak nieodparcie realna, że obawiałem się otworzyć oczy, by sprawdzić, czy rzeczywiście tam jest.

Sam siebie przeklinałem za to zachowanie, za poddanie się pierwotnym lękom, których istnienia u siebie nawet nie podejrzewałem, ale bez rezultatu. Wreszcie zmusiłem się do uchylenia powieki, zarzucając sobie tchórzostwo, lecz ujrzałem jedynie ciemny pokój, i to pokój, w którym najwyraźniej nikogo nie było.

Już miałem się obrócić na drugi bok i spróbować zasnąć, kiedy do mych uszu dobiegi cichutki dźwięk z pobliza drzwi. Zastygłem, w połowie z ostrożności, a w połowie – wstyd się przyznać – z lęku przed tą bezimienną postacią z dziecięcych koszmarów.

– Tremon – usłyszałem cichy, kobiecy głos.

Całkowicie już teraz rozbudzony, usiadłem na łóżku. Lęk ustąpił miejsca zaciekawieniu, tym bardziej że ta osoba była jak najbardziej materialna.

– Tutaj! – wyszeptałem.

Postać zbliżyła się, poruszając się bez trudu w ciemnościach i przykucnęła luz obok mnie. Choć widziałem jedynie jej zarys, wiedziałem, że to Vola.

– Co się stało? – spytałem szeptem.

– Tremon, musisz stąd uciekać – odparła. – Zamierzają zabić cię jeszcze przed świtem. Właśnie odbyli zebranie na twój temat i brali w nim udział wszyscy najważniejsi.

Przypominałem sobie ostrzeżenie Artura. A jednak przekroczyłem granice roztropności, mimo że

staralem się postępować zgodnie z logiką.

– Słuchaj uważnie – ciągnęła. – Nie pozwolę im na to. Nawet jeśli to, co mówią, jest prawdą. Zbyt rzadko widzę takie potencjalne możliwości jak twoje, by pozwolić zdusić je w zarodku.

Zmarszczyłem brwi i spuściłem nogi z łóżka.

– A cóż takiego oni mówią?

– Że nie jesteś Calem Tremonem – wyszeptała. – Że jesteś skrytobójcą wysłanym przez Konfederację, by zabić lorda Kregana.

– Co! – wykrzyknąłem, możliwe że troszkę zbyt głośno.

Ból głowy i ostatnie ślady zmęczenia zniknęły, kiedy zaczęła płynąć adrenalina.

– Szs... nie wiem, ile mamy czasu. Możliwe, że wcale go nie mamy – ostrzegła. – Jednak lubię cię na tyle, że chciałabym dać ci jakąś szansę. – Zawahała się. – Czy to prawda?

Byłem jej winien uczciwą odpowiedź, lecz nie był to właściwy moment na honorowe zachowanie.

– Nie wiem, o czym oni mówią – odpowiedziałem tak szczerze, jak tylko umiałem. – Do diabła, przecież moje odciski, mój kod genetyczny... wszystko jest zapisane. Powinnaś wiedzieć, że nie mogę być nikim innym jak sobą, a ostatnią rzeczą, jakiej by życzył sobie Cal Tremon, to być pacholkiem Konfederacji.

– Być może – powiedziała bez przekonania. – Przecież nawet w naszym układzie planetarnym Cereberczycy potrafią podmieniać ciała; nie polegałabym więc zbyt na tej linii obrony. Dla mnie to zresztą nie ma znaczenia, ja... co to było?

Znieruchomieliśmy, wstrzymując nawet oddech. Cokolwiek to było, ja tego nie usłyszałem, wobec czego odprężyliśmy się nieco.

– Słuchaj, musisz już iść – powiedziała ponagląco.

– Iść? Dokąd?

– Nie wiem – odparła szczerze. – Jak najdalej stąd. Jak najdalej od dziedziny Zeis. Chyba na dzikie ziemie. Jeśli tam przetrwasz i doczekasz sposobnej chwili, udaj się na południe, do dziedziny Moab, skontaktuj się z tamtejszymi panami, którzy tworzą coś w rodzaju zakonu religijnego złożonego z potomków tych pierwszych naukowców, którzy tutaj utknęli. To są jedyne miejsca, gdzie możesz się czuć bezpiecznie, a tylko w dziedzinie Moab możesz zakończyć szkolenie. Nie będzie to łatwe. Pewnie i tak zginiesz albo zostaniesz schwytany przez Artura i jego agentów, ale przynajmniej będziesz miał jakąś szansę. Zapewniam cię, że jeżeli tu zostaniesz, jeszcze przed świtem będziesz martwy.

– Pójdę więc – powiedziałem.

– Czy wiesz, jak się stąd wydostać? W nocy?

– Wiem. Gdziekolwiek jestem, zawsze sprawdzam położenie wszystkich wyjść.

– Musisz unikać innych dziedzin – ostrzegła mnie. – W ciągu kilku dni rycerze na całej planecie otrzymają informacje na twój temat. A teraz już idź. Szybko i jak najdalej!

Uściskałem ją.

– Vola, szlachetna damo, nie zapomnę ci tego.

Roześmiała się cichutko.

– Zaczynam myśleć, że może ci się to udać – powiedziała z mieszaniną szczerości i zdumienia w głosie. – Naprawdę tak myślę. Przyznaję, iż mam taką nadzieję.

Opuściłem ją i wymknąłem się na korytarz, oświetlony słabo dwoma lampami znajdującymi się na dwóch jego końcach. Znałem drogę na zewnątrz, ale nie zamierzałem z niej od razu skorzystać. Poczekalem we wnęce, dopóki Vola nie wyszła z mojego pokoju i nie zniknęła za zakrętem korytarza. Możliwe, iż była to z jej strony największa i najszczerza przysługa, ale ja nikomu nie ufałem tak do końca.

Wślizgnąłem się z powrotem do pokoju i z pościeli i poduszek uformowałem z grubsza postać człowieka leżącego na łóżku. Po czym ponownie opuściłem pokój, wlałem do jednej z tych małych dziur prowadzących do korytarzyków służbowych i poczołgałem się w kierunku własnego pokoju, tyle że na poziomie znajdującym się powyżej niego. W ciemnościach z trudem zlokalizowałem właściwy wizjer. Chciałem bowiem zobaczyć, co się teraz wydarzy. Dziedzina Zeis zajmowała rozległy teren; na pewno nie udałoby mi się jej opuścić przed ogłoszeniem alarmu, nie miałem więc zamiaru tego próbować, przynajmniej na razie. Wpierw musiałem sprawdzić, czy rzeczywiście przyjdzie ktoś, żeby mnie załatwić, a jeśli tak – kto to będzie. Jeśli natomiast nikt by nie przyszedł, gotów byłem do powrotu rankiem do pokoju i do konfrontacji z Volą.

Najważniejszy w tym wszystkim był fakt, iż w jakiś sposób dowiedzieli się, że byłem agentem.

Prawdopodobnie wiedziało o tym więcej niż jedynie trzy lub cztery osoby w całej Konfederacji i każdej z nich – z wyjątkiem mojego odpowiednika krążącego gdzieś tam w górze – ta informacja mogła zostać wydarta. Przypomniałem sobie infiltrację Dowództwa Systemów Militarnych i rabunek danych z komputera, na podstawie których można już było ułożyć jakiś całościowy obraz. Jeśli raz im się to udało, mogło się udać ponownie. A w ogóle, byłem tak odcięty od informacji, że nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że Konfederacja już w tej chwili jest w stanie wojny z tą obcą nam i tajemniczą rasą.

To jednak, że udało im się ułożyć jakiś całościowy obraz i dojść do właściwych wniosków dotyczących mojego statusu, nie oznaczało, iż mieli pewność. Mógł to być jedynie test dla mnie, sprawdzający, czy ucieknę natychmiast po otrzymaniu informacji od Voli. Mimo wszystko

zdecydowałem, że będę grał zgodnie z własnymi regułami. Nagle usłyszałem jakieś hałasy na korytarzu. Dwie, a może trzy osoby, szły zdecydowanym i pewnym krokiem w moim kierunku. Słyszałem je pod sobą, tuż obok drzwi mojego pokoju, po czym zobaczyłem, jak drzwi uchylają się powoli i ostrożnie. Było ich trzech. Dwóch weszło do środka, podczas gdy trzeci pozostał na zewnątrz. Jednym z nich był Artur – trudno byłoby go pomylić z kimś innym. Drugi był zwyczajnie wyglądającym mężczyzną w średnim wieku, bez wątplenia pochodzący ze światów cywilizowanych. Ubrany był także w strój pana, a w rękę trzymał niewielką latarnię, która oświetlała pokój jakimś dziwnym, niesamowitym blaskiem.

– Nie ma go! – wyszeptał obcy zdumionym głosem.

– Co? – zadudnił głos Artura, a on sam podszedł do łóżka i gwałtownie zrzucił z niego zwiniętą pościel. Odwrócił się wściekły, z tak groźnym wyrazem twarzy, jakiego przedtem u niego nie widziałem. – Ktoś mu dał cynk. Dowiem się kto i, na Boga, zapłaci mi za to!

– Nie zrobisz tego – powiedział trzeci, niewidoczny mężczyzna. Głos jego brzmiał bardzo dziwnie, był rozmyty, nieostry, prawie mechaniczny; nie przypominał głosu ludzkiego. – Jest wyszkolonym i zdolnym agentem. Musimy założyć, że jest jednym z najlepszych, a może i najlepszym z tych, którymi obecnie dysponują. Sądzę, iż zdał sobie sprawę z tego, że nieco przesadził dzisiejszego popołudnia. Musimy go znaleźć, Arturze. Zlecam ci to zadanie. Znajdziesz go, dopóki jest słaby i nie wyszkolony, w przeciwnym razie usmaży cię jednym spojrzeniem i zje na śniadanie. Na razie jest jedynie irytujący, ale potencjalnie jest najgroźniejszym człowiekiem na całej planecie, może nawet groźniejszym ode mnie. Znajdziesz go i zabijesz – inaczej, pewnego dnia on odszuka nas wszystkich i zabije.

Artur ukłonił się z szacunkiem, ale jego twarz nie zdradzała żadnych obaw związanych z wypowiedzianymi groźbami, co nie mogło wpłynąć budująco na moje ego i na moje nadzieję. I wtedy wypowiedział słowa, które zmroziły mnie do szpiku kości.

– Tak jest, lordzie Kreegaue.

Byłem wściekły, że nie mogę zobaczyć władcy Lilith, nie będąc samemu przez niego widzianym.

Artur gestem przywołał towarzyszącego mu mężczyznę.

– Chodźmy, poderwiemy wojsko. Mamy robotę do wykonania. Musi przebyć cały ten otwarty teren, by opuścić dziedzinę i dostać się na dzikie ziemie, a będzie się śpieszył, by zdążyć przed świtem. Spróbujemy go schwytać.

Wyszli, a ja słuchałem ich szybkich kroków i butów stukających o kamienie i płyty posadzki. Nie ruszałem się jednak i nie zamierzałem nigdzie wyruszać w najbliższym czasie. Naturalnie, Artur miał rację – żadnym sposobem nie byłem w stanie pokonać odległości pomiędzy zamkiem a ziemiami dzikimi przed nastaniem świtu, a za dnia ucieczka pośród tych wszystkich kręcących się na polach pionków nie miała sensu. Nie, zamierzałem pozostać tu, gdzie byłem, przez najbliższą godzinę lub dwie, a dzień przeżyć w korytarzach wewnątrz samego zamku. Ucieknę, bez wątplenia, ale wtedy, kiedy będę do ucieczki przygotowany, na własnych warunkach i zgodnie z własnym harmonogramem.

Większość dnia spędziłem, chowając się przed ludźmi, co okazało się o wiele łatwiejsze, niż można by sądzić. Zamek był ostatnim miejscem, w którym zamierzali mnie szukać, ostatnim miejscem, w którym mogli się mnie spodziewać. Wyszkoleni gliniarze i agenci może by i o tym pomyśleli, ale ci tutaj, w większości drobni przestępcy, naiwni tubylcy i kilku twardych byłych wojskowych, takich jak Artur. Kilka razy wpadłem na jakichś ludzi, ale robiłem wrażenie, że wykonuję swoje obowiązki i nikt niczego nie podejrzewał. Starłem się jedynie, by zdarzało się to jak najrzadziej i bym nie natknął się na kogoś, kto mnie znał. Udało mi się nawet zwędzić kilka posiłków przygotowanych dla będącego na służbie personelu, tak więc nie było najgorzej.

Mimo wszystko nie zamierzałem popełnić błędu polegającego na niedocenianiu przeciwnika. Jeśli Kreegan ciągle tu przebywał, a miałem powody, by tak sądzić, na pewno każe zablokować wszystkie wyjścia. Nie wymagało to wielkiej mobilizacji – wystarczyło postawić przy każdym z nich kilku nadzorców, szczególnie przy wyjściach z korytarzy służbowych. Wydostanie się na zewnątrz w takiej sytuacji nie byłoby przechadzką, a ja nie mogłem przecież spędzić w tych murach całego tygodnia. Każda bowiem godzina zwiększała ryzyko odkrycia mojej osoby i była jednocześnie kuszeniem losu.

Sprawdziłem jeszcze raz w myślach wszystkie możliwości, podjąłem decyzje i czekałem na nadejście ciemności. Żegnaj dziedzino Zeis, żebyś tak zgniła w błocie i szlamie. Nigdy już nie będę cię oglądał; byłem o tym przekonany.

Ta ostatnia myśl nagle mnie zastopowała. Ti. Przecież ona tu ciągle jest; tam, na górze, w towarzystwie rzeźnika – sadysty i na łasce jego eksperymentów.

Nie potrafiłbym odpowiedzieć dlaczego tak się stało, ale późnym popołudniem byłem już w drodze do sekcji medycznej. Z doświadczenia wiedziałem, że cały personel tego gabinetu okropności doktora Pohna skończył już pracę i oddalił się. Nie było więc powodu, żeby tam nie iść, a jedynym niebezpieczeństwem było to, iż mogę się nadziać na samego Pohna. Teraz, kiedy już poznałem siłę tkwiącą w każdym panu, nie chciałem spotkać doktora w roli przeciwnika. Poszedłem tam więc w porze kolacji, licząc na to, iż, nikogo po drodze nie spotkam, i szczęście mi dopisało. W sekcji medycznej nie było nikogo.

Wśliznąłem się szybko do pomieszczenia, o którym zawsze będę myślał jak o kostnicy, i zobaczyłem dwanaście śpiących, niemych postaci dziewczęcych. Pośpieszyłem do nieruchomego ciała Ti i patrzyłem na nią, starając się myśleć logicznie. Do tego momentu traktowałem to raczej jako wizytę pożegnalną.

Teraz jednak, kiedy jej się przyglądałem, wiedziałem już, że nie potrafię jej tu zostawić na łasce Pohna.

Popatrzyłem na inne dziewczęta. Mrok powodował, iż pomieszczenie to bardziej niż kiedykolwiek przypominało miejsce spoczynku dla zmarłych. Bo przecież one są martwe, pomyślałem ze smutkiem. To, co starożytne przesady pozwalały jedynie przeżywać jako nocne koszmary, pokrętna nauka Lilith uczyniła rzeczywistością. Chciałem zabrać je wszystkie ze sobą i



zrobiłbym to, gdybym tylko mógł. Przecież co jeden szalenciec uczynił, inni – trochę mniej szaleni – mogliby naprawić, jednak nie było sposobu, by teraz tego dokonać.

Bez chwili zastanowienia podniosłem Ti, zarzuciłem sobie na ramię i poniosłem do mojej kryjówki. Ważyła tak niewiele, że gdyby nie jej prawic niezauważalny oddech, sądziłbym, iż niosę lalkę, manekin, a nie człowieka. Z kryjówki udałem się do zaplanowanego punktu wyjściowego, licząc, iż osiągnę go w momencie, kiedy zapadnie całkowita ciemność. Znajdowałem się już poniżej lewego muru zamku, kiedy dotarło do mnie, że zabranie Ti było aktem niewiarygodnej głupoty z mojej strony. Jeśli ktoś wróci do laboratorium i zauważy jej brak, natychmiast zorientuje się, iż ciągle jeszcze przebywam na terenie zamku.

Jednak pozostawienie jej na miejscu byłoby morderstwem dokonany z zimną krwią. Co więcej, nic by mi nie dało, bo i tak na górze zauważono by, że jej nie ma. Cóż, głupi, czy nic, czyn został popełniony i nie było od tego odwrotu.

I chociaż pozostawienie Ti ciążyłoby na moim sumieniu, to, co miałem teraz zrobić, nie wywoływało żadnych skrupułów. Pewnie gdzieś istnieją jakieś klasyfikacje zbrodni popełnianych wobec innych ludzi, zbrodni takich jak morderstwo; tutaj więc zakwalifikowałem swój postępek, z adnotacją „konieczne”.

Tuż na zewnątrz małego tunelu, w którym się znajdowałem, rozciągała się dziedzina, świat zewnętrzny, a na jego progu stała na straży dwójka nadzorców z paramilitarnego korpusu Artura. Każdy z nich zdolny był do zadania mi bólu i zatrzymania mnie do czasu nadejścia posiłków. Nie mogłem do tego dopuścić, a to oznaczało zabicie strażników. Tak bardzo chciałem mieć teraz moc, która pozwoliła mi zniszczyć Kronlona i zrekonstruować fotel z jego podstawowych komórek, ale nie było mi to dane. Stałem więc przed problemem wyeliminowania dwóch zagrożeń, z których żadne nie musiało mnie dotknąć, by mnie dopaść, podczas gdy ja musiałem dopaść fizycznie obydwu.

Moją przewagą było zaskoczenie. Nie byli przecież telepatami, ani nie dysponowali specjalnym zmysłem, który by im zdradził moją obecność. A świadomość posiadania mocy i pewność, iż ja jej nie posiadam spowodowała, że byli bardzo pewni siebie.

Miałem kilka różnych planów na przyciągnięcie ich bliżej siebie, ale nagle przyszło mi do głowy, iż najlepiej byłoby odciągnąć ich uwagę przy pomocy Ti – jeśli naturalnie potrafię kontrolować jej zachowanie, tak jak to czynił Pohn. Musiałem to sprawdzić. Położyłem ją na zimnym kamieniu na tyle daleko od wyjścia, żeby nie usłyszano mego głosu.

– Ti, otwórz oczy – rozkazałem cicho.

Powieki jej zadrgały, po czym się uniosły. Odetchnąłem z ulgą, dochodząc do wniosku, iż nie będzie to tak trudne, jak sądziłem, choć niewątpliwie ryzykowne.

– Ti, podnieś się i stań twarzą do mnie.

Zrobiła, jak jej kazałem, a ja poczułem się troszkę lepiej, choć nie wiedziałem, ile poleceń kolejno będzie skłonna wykonać.

– Ti, powiedz cichutko „cześć”.

– Cześć – powiedziała bezbarwnym, pozbawionym życia głosem, od którego przebiegł mnie lekki dreszcz.

Cóż, należało teraz sprawdzić, jak skomplikowane mogą być te polecenia.

– Ti, chcę żebyś zrobiła dwa kroki do przodu, zatrzymała się, odwróciła, uniosła prawe ramię i powiedziała „chodź tutaj”. Polecenia te były na tyle różne od siebie, że dostarczyłyby mi żądanej informacji.

Przez krótki moment stała nieruchomo, po czym wykonała wszystkie polecenia bez najmniejszego błędu i we właściwej kolejności. Obserwowanie jej w trakcie tych czynności dostarczyło mi pewnego rodzaju dreszczyku erotycznego. Było to bowiem coś na kształt urzeczywistnienia najwyższej męskiej fantazji – tyle że na pograniczu nekrofilii.

Pozostało mi jedynie sprawdzenie, czy jest to podobne do hipnotyzmu i czy działanie może być opóźnione.

Wydałem jej kilka drobnych poleceń, po czym powiedziałem, by ich nie wykonywała, o ile nie wypowiem słowa „ucieczka”. Potem je wypowiedziałem, a ona postąpiła zgodnie z instrukcją. Powtórzyłem to ćwiczenie kilkakrotnie, aż byłem w pełni usatysfakcjonowany.

Celowo wybrałem właśnie to wyjście, ponieważ tuż przy nim znajdował się sporych rozmiarów głąz. Czułem, że potrafię wykorzystać wszystkie te elementy i doszedłem do wniosku, że mimo wszystko wzięcie ze sobą Ti nie było takim głupim pomysłem.

– Słuchaj uważnie, Ti – powiedziałem. – Zapomnij o wszystkich poprzednich poleceniach. Kiedy usłyszysz, że wymawiam słowo „pułapka”, wykonasz co następuje...

Na zewnątrz grotę, do której dochodził korytarz służbowy, panowały ciemności. Dwoje strażników, młody mężczyzna i starsza kobieta, oboje w czarnych pelerynach, spodniach i butach, stanowiących umundurowanie a miii Artura, wyglądało na bardzo znudzonych. Pełnili wartę już od kilku godzin i wyczerpali tematy do rozmów, ale obawiali się zająć czymś innym, bo w każdej chwili ktoś mógł znaleźć się w pobliżu, lub, co gorsza, pan Artur mógł przeprowadzić nagłą inspekcję i stwierdzić, iż robią coś, co nie należy do służby wojskowej.

Niemniej siedzieli na ziemi zrelaksowani jak ktoś, kto jest pewien, że zwierzyna już dawno umknęła i nic się nie może wydarzyć. Dlatego też byli tak zaskoczeni, kiedy usłyszeli, że ktoś się wynurza z tunelu. Oboje zerwali się na równe nogi, odwrócili i zaczęli się zbliżać z pełną napięcia ciekawością.

– To... to dziewczyna – powiedziała zaskoczona strażniczka.

Jej towarzysz skinął głową i zawołał:

– Kim jesteś? Co tu robisz? – Głos miał pewny; przekonany był, iż bez trudu sprosta ewentualnemu wyzwaniu.

Drobna postać drgnęła, po czym zniknęła za dużym głazem przy wejściu do groty.

– Co to za dziecinne sztuczki? – mruknął mężczyzna, wyraźnie zirytowany.

Kobieta nie dała się zwieść tak łatwo.

– Uspokój się. To może być jakaś pułapka. Nie zapominaj, że ktoś mu poradził, żeby uciekł. Dajmy jej lepiej małeńki wstrząs.

– Och, jesteś trochę za nerwowa – marudził mężczyzna, ale był na tyle niepewny, że nie podszedł bliżej.

– No, to wystarczy. Powinno ją urządzić na jakiś czas – powiedziała kobieta z przekonaniem w głosie.

– Nie słyszę jej jęku – odrzekł mężczyzna, sam teraz nerwowy. – Na pewno ją dopadłaś?

– Na pewno – uspokajała go. – Chodź. Ktoś o tak drobnej posturze prawdopodobnie stracił przytomność.

Podeszli bardzo ostrożnie, obeszlili głaz i zobaczyli dziewczynę, najwyraźniej nieprzytomną, sztywną, opartą o skałę.

– O rety, Marl, coś ty jej zrobiła – spytał mężczyzna. – Wygląda na martwą.

Zbliżyli się do nieruchomej postaci opartej o skałę, już bez uprzedniej ostrożności. Kiedy ich głowy znalazły się w odległości kilku cali od siebie, wyskoczyłem z głośnym okrzykiem z drugiej strony głazu i nim którekolwiek zdążyło się otrząsnąć z paraliżu wywołanego zaskoczeniem, zderzyłem ich głowy o siebie z całą siłą, obalając ich równocześnie na ziemię rozpędem i energią samego skoku.

Nic miałem okazji robić czegoś takiego od czasu ćwiczeń z androidami, ale teraz przekonałem się, że to jednak działa. Najważniejsze jest wycucie czasu, pomyślałem sobie zadowolony z akcji. Wycucie czasu i troszkę wiadomości na temat słabych punktów ludzkiej psychiki.

Mężczyzna nie żył. Kobieta chyba jeszcze żyła, ale z głowy ciekła jej krew. Szybko i po cichu skręciłem jej kark, po czym zawlokłem obojga do groty i ukryłem tak, jak mogłem. Nie życzyłem sobie teraz żadnych alarmów, a niepewność związana z ich zniknięciem i tak wywołała przecież alarm w niewłaściwych miejscach.

Artur, który był odpowiedzialny za bezpieczeństwo zamku, nie może przecież wiedzieć, czy ta dwójka została zaskoczona przez kogoś wychodzącego z zamku, czy do niego wchodzącego. Liczyłem właśnie na to. Brałem też pod uwagę, że nikt nie podejrzewałby, iż którykolwiek z pionków potrafi zneutralizować i zabić, za pomocą siły fizycznej, dwoje wyszkolonych nadzorców.

Zastanawiałem się przez chwilę, dlaczego, u diabła, nie zrobiłem tego samego z Kronlonem już dawno temu. Ten przeklęty świat zniszczył mą pewność siebie; dopiero w tej chwili poczułem się na powrót sobą.

By oszczędzić czas, zarzuciłem sobie Ti na ramię i ruszyłem w dół, w kierunku znajdującej się poniżej doliny.

Dopiero teraz po raz pierwszy przydała mi się mapa, którą wywiad zapisał w moim mózgu. Dzikie pustkowia, nie podlegające władzy żadnego z rycerzy ani żadnej innej administracji – dżungla, lasy, góry i moczary – tworzyło tereny niczyje pomiędzy poszczególnymi dziedzinami.

W samej dziedzinie Zeis nietrudno było poruszać się w ciemnościach. Wieśniacy przygotowywali się do snu, lub odpoczywali po wieczornym posiłku; na polach i pastwiskach nie było więc nikogo z wyjątkiem pasterzy, a tych można było dość łatwo ominąć. Zeis zajmowała dolinę w kształcie miski, której jeden bok opierał się o bagniste i niezdrowe jezioro. Jezioro to wykluczyłem jako drogę ucieczki; nie miałem najmniejszej ochoty żeglować po nieznanym wodach w ciągu dnia, a cóż dopiero w ciemności. Któż mógł to wiedzieć, jakie trudności, jakie groźne stworzenia tam się kryły? Oznaczało to wędrówkę przez góry, które były prawie tak samo groźne jak jezioro. Nagi, pozbawiony wszelkich narzędzi i obciążony Ti, zmuszony będę ograniczyć się do utartych szlaków, a te prawdopodobnie pilnowane były przez chłopców Artura.

Mapa w mojej głowie informowała mnie, że mam przed sobą co najmniej sześciuset-metrową wspinaczkę, a potem tej samej długości zejście, nim dotrę do lasu po drugiej stronie. Niestety, chociaż była to mapa i fizyczna i administracyjna, nie była mapą drogową. Sam więc będę wyszukiwał szlaki i nie będę mógł być zbyt wybredny, jeśli chodzi o ich jakość.

Bez trudu odnalazłem szlaki, chociaż żaden nie wyglądał na szczególnie używany. Prowadziła do nich, naturalnie, cała sieć ścieżek biorących początek na terenie dziedziny. Kilkakrotnie przywierałem do ziemi, kiedy w pobliżu przelatowały te wielkie bestie z jeźdźcami na grzbietach. Brzęczały i buczały jak silniki samolotów, ale były zbyt duże i zbyt ciężkie, by pełnić coś więcej niż tylko rolę odstraszających patroli. Trzeba by mieć wyjątkowe szczęście, by dostrzec coś z grzbietu takiego rumaka. Gdyby jednak ktoś na ziemi podniósł alarm, natychmiast by mnie dopadły i byłbym wówczas zupełnie bezbronny.

Jeśli szlak, na którym się znalazłem, był typowy, to wejście na górę nie będzie problemem. Przeznaczony najwyraźniej dla wozów i wózków był dość szeroki i biegł zakosami. Zakosy te umożliwiałyby strażnikom stojącym powyżej obserwację szlaku biegnącego niżej i to mnie trochę martwiło. W końcu, nie była to jedynie ucieczka przed zwyczajnym wojskiem; tym przeciwnikom wystarczyło jedynie spojrzeć na mnie, by strącić mnie ze ścieżki w przepaść.

Nie pozostawało mi jednak nic innego, jak ruszyć w górę szybko, ale ostrożnie, licząc na odrobinę szczęścia i na fakt, że polowanie na mnie trwało już przecież cały dzień, a ja dopiero rozpocząłem wędrówkę. Ti była dosłownie przyklejona do mych pleców i czułem, że nie rozluźni naciśniętych na mnie dłoni.

Przebyłem mniej więcej jedną czwartą drogi pod górę, kiedy poniżej usłyszałem głosy. Zastygłem nasłuchując, ale byli dość daleko za mną i z tego co się zorientowałem, poruszali się pieszo. Głosy ich dochodziły do mnie, ale nie były zbyt wyraźne, stąd nie mogłem stwierdzić kim są idący – tak jakbym w ogóle musiał się domyślać, kto po nocy może poruszać się tym szlakiem.

Zdecydowawszy, iż najlepszym wyjściem będzie trzymać się przed nimi, podjąłem na nowo wspinaczkę. Po kilku minutach usłyszałem inne głosy. Były to głosy żeńskie, podczas gdy te poniżej bez wątpienia należały do mężczyzn. Uświadomiłem sobie nagle, że Artur zrobił to co narzuciły mu warunki Lilith i topografia dziedziny. W pewnych odstępach czasu, prawdopodobnie przypadkowych, jeden patrol ruszał w dół szlaku. Drugi, po jakimś czasie, ruszał w górę i obydwie spotykały się mniej więcej w połowie drogi. Na szlaku takim jak ten, każdy kto z niego korzystał, musiał się znaleźć pomiędzy tymi dwoma patrolami.

Próbowałem ocenić, jak daleko ode mnie znajduje się para schodząca w dół. Było to praktycznie niemożliwe. Musiałem zaryzykować i założyć, iż są na tyle daleko, że zdążę dotrzeć do granicy gęstniejącej mgły; mgły, która zawsze spowijała niebo dziedziny Zeis, a wywoływała ją konwekcja związana z pierścieniem górskim. Mgła nie tylko gęstniała, ale opadała także coraz niżej. Spieszyłem się bardzo, by sięgnąć tej omal dotykanej kurtyny szarości, która ukryłaby mnie przed wzrokiem schodzących, tak jak ich ukryłaby przed moim.

Bez Ti byłbym o wiele zwinniejszy, ale teraz stała się ona dla mnie czymś w rodzaju krucjaty, obowiązkiem. Byłem zdecydowany doprowadzić do tego, że się przebudzi i ponownie będzie stanowiła całość. Nie była już lekka jak piórko. Odczuwałem zmęczenie, a czterdzieści dwa kilogramy zaczęły wywierać realny wpływ na mięśnie mojego grzbietu i karku.

Pozostał mi jeszcze jeden zakos do krańca chmury, ale zdałem sobie sprawę, że nie będzie mi dane go sięgnąć. Głosy kobiece stały się bardzo wyraźne; dostrzegłem również niesamowity, beztęskny blask padający z żółtej latarni, którą niosła jedna z nich. Rozejrzałem się za jakąś kryjówką, lecz szlak wykuty był w żywej skale i jedyną przeszkodą stojącą pomiędzy nim a długim, bardzo długim lotem w przepaść był niziutki krawężnik, zabezpieczający koła wozów przed ześlizgnięciem się w otchłań.

Nie miałem ani czasu, ani żadnego wyboru: pozostał mi jedynie krawężnik. Przekonam się, ile tak naprawdę warte jest ciało Cala Tremo na.

Martwiłem się tymi dwoma mężczyznami znajdującymi się poniżej, ale doszedłem do wniosku, iż są oni mniejszym problemem, niż sądziłem. Tu, gdzie się znajdowałem, było bowiem całkiem ciemno, a światło ich latarni nie sięgało tak daleko.

Z największą ostrożnością opuściłem się wraz z moim ciężarem w przepaść i zawisłem swobodnie, trzymając się krawężnika szlaku obiema dłońmi. Obciążenie, jakim była Ti na moim grzbiecie, o mało nie wyrwało okrzyku bólu z moich ust; nie na darmo jednak przeszedłem te wszystkie szkolenia, a i tydzień wygodnego życia nie był w stanie zniwelować miesięcy ciężkiej, fizycznej pracy. Wisiałem tedy nad przepaścią, nie wiedząc zupełnie, jak długo wytrzymają to moje palce.

Raz jeszcze liczyłem na to, iż sprzymierzeńcem okaże się normalna, ludzka natura... a liczyło się teraz wszystko. Ludzie ci patrolują swój odcinek przez całą wyznaczoną im zmianę i są prawdopodobnie bardziej znudzeni niż czujni, podobnie jak dwójka strażników w zamku.

Kobiety wynurzyły się z mgły i szły wolno w dół szlaku. Jedna z nich podniosła od niechcenia kamyczek i rzuciła w dół, minimalnie chybiając mej głowy, która znajdowała się o jeden poziom i jeden zakos poniżej nich.

– Nareszcie wydostałyśmy się z tych śmierdzących oparów – zauważyła z ulgą w głosie jedna z kobiet.

– Taa, niech się teraz faceci przemoczą – rzuciła druga. – Może jak się nie będziemy za bardzo śpieszyć, to nadejdzie świt i zmienią nas, zanim powtórnie zaczniemy się wspinać pod górę.

– Racja – zgodziła się pierwsza. – Mam już dość gór. Teraz marzy mi się jedynie gorący posiłek, kąpiel i łóżko, obojętnie zresztą w jakiej kolejności.

Były już bardzo blisko, tuż za zakrętem i zbliżały się do mego niebezpiecznego i... bolesnego” stanowiska. W myślach powtarzałem w kółko: Nie zatrzymujcie się! Tylko się nie zatrzymujcie! Jest jednak pewne prawo rządzące takimi przypadkami i oczywiście musiały się zatrzymać jakieś trzy czy cztery metry od mych obolałych, odartych ze skóry dłoni; na dodatek widocznych częściowo ponad krawężnikiem, gdyby zechciało im się spojrzeć w tym kierunku.

– Hej! Popatrz! Już ich widać! – zawołała jedna, wskazując palcem; widziałem to wyciągnięte ramię troszkę za blisko jak na mój gust.

– Poczekamy na nich?

Nic, nic, nie róbcie tego! – błagałem i modliłem się w myślach tak gorliwie, że gdyby istniała telepatia na pewno by mnie usłyszały.

– Czekać? – spytała druga, zastanawiając się nad propozycją. – Niecę. Po diabła? Lepiej skończyć z tym jak najszybciej. – Odwróciły się i opuściły skalną półkę, na której stały, a ja zaryzykowałem spojrzenie w dół, by zobaczyć, gdzie znajdowali się w tym momencie nadchodzący mężczyźni. Zbyt blisko, stwierdziłem. Latarnia ich oświetlała już drogę jakieś dwa poziomy poniżej mojego, a latarnia kobiet oświetli mnie, kiedy pokonają najbliższy zakręt. Będę musiał zgrać bardzo dokładnie w czasie moje posunięcia i wykonać je bardzo cicho. Oceeniłem, że światło ich latarni padające na zakręt znajduje się w odległości jakichś dwudziestu metrów i staje się coraz jaśniejsze.

Niewiele brakowało, a zmarnowałbym cały dotychczasowy wysiłek, bowiem wyciągnąłem siebie i swój ciężar na drogę w momencie, kiedy mężczyźni pojawili się w moim polu widzenia. Rozpłaszczylem się i znieruchomiałem.

– Słyszałeś? – spytał jeden drugiego.

– Taaa – odparł ten drugi z podejrzliwością w głosie. – Tuż przed nami. – Sprawdźmy to, ale powoli i ostrożnie.

Tylko nie powoli, błagałem, nie nazbyt ostrożnie. Musiałem wstać i poruszać się żwawo, nim się tu pojawią, a nigdy nie miałem mniejszej ochoty na ruch jak teraz. Kark i grzbiet mnie bolały, a ramiona robiły wrażenie wyrwanych ze stawów i niezdolnych do najmniejszego wysiłku. Przywołałem wszelkie rezerwy jakie tylko posiadałem i spróbowałem zastosować kilka z tych ćwiczeń umysłowych, które oddalają ból i niemoc fizyczną. Opanowanie centrów zawiadujących bólem nie było trudne, jednak nie była to kontrola rzeczywista. Moje mięśnie i stawy bolały, dlatego że doprowadzone zostały na krawędź wytrzymałości, a fakt, że tego nie czułem, niczego nie zmieniał. Zastanawiałem się, ile jeszcze pozostało do szczytu i czy dam radę tani dotrzeć. Nie miałem ochoty nawet myśleć o jakimś jeszcze jednym patrolu schodzącym w dół. Kierując się światłem i dźwiękiem, ruszyłem w kierunku zachęcającej kurtyny mgły i wreszcie się w niej zanurzyłem.

Szedłem teraz znacznie wolniej, bo nie widziałem dalej niż, na trzy metry, a powietrze stało się nagle mokre i lepkie. Mimo to uważałem tę szarą zasłonę za przyjaciela i sojusznika, pierwszego jakiego spotkałem na tym szalonym świecie.

Nie przejmowałem się już tymi dwoma mężczyznami nadchodzącymi z dołu. Będąc tylko ludźmi i to śmiertelnie znudzonymi, na pewno zatrzymają się, by pogadać z kobietami, a to da mi kilka dodatkowych, cennych minut. Ich latarnia niewiele im pomoże, kiedy dotrą do linii mgły i będą zmuszeni posuwać się równie powoli jak ja. Czułem, że jeśli nie wpadnę na nikogo i dotrę do szczytu przed świtem, to przynajmniej na razie będę bezpieczny.

Niebo zaczęło się właśnie rozjaśniać, kiedy wreszcie dotarłem na szczyt, ale nie przejmowałem się tym za bardzo. Stąd będę już jedynie schodził w dół, w kierunku terenów dziewiczych – a miałem nadzieję, że na ruch kołowy jest jeszcze za wcześnie – i zanurzę się w czekającą mnie tam zapewne gęstwinę. Nie czułem już nóg, każdy krok wymagał olbrzymiego wysiłku, ale ciągnąłem naprzód, wiedząc, że muszę zejść na dół i znaleźć jakąś kryjówkę, nim nastanie prawdziwy dzień. Miałem też nadzieję, iż po tej stronie góry patrole będą rzadsze, o ile w ogóle takie będą. Bo szukać mnie będą, bez wątpienia, tyle że dysponując ograniczoną liczbą ludzi, Artur skoncentruje się przede wszystkim na zablokowaniu wyjść z doliny. Dopiero kiedy odkryją ciała strażników, zaczną energiczniejsze poszukiwania, zwiększą ich zasięg i obejmą nimi tereny, które normalnie nie podlegają ich kontroli. Przynajmniej taką miałem nadzieję. Kiedy dotarłem do miejsca, w którym kończyła się mgła byłem kompletnie mokry. Po raz pierwszy od wylądowania na Lilith połączenie wilgoci, lekkiego wiatru i wysokości spowodowało, iż poczułem autentyczny chłód. Zrobiło się całkiem widno; byłem pewien, że za chwilę wyjrzy słońce i zlikwiduje część tej pokrywy chmur.

Teraz, kiedy wyszedłem z tej górskiej mgły i spojrzałem przed siebie, ujrzałem Lilith i jej krajobraz poza dziedziną Zeis. Zobaczyłem pofalowane, porośnięte gęstym lasem wzgórze, a szczyty tych wzgórz i czubki drzew wynurzały się z zalegającej poniżej ciemnej, niebieskozielonej mgły. Był w tym wszystkim jakiś niesamowity spokój i poczułem, że uda mi się przynajmniej dotrzeć do osłony, jakiej mogą dostarczyć te drzewa. Nie miałem już więcej sił, by dźwigać Ti, poleciłem jej tedy, by zeszła na ziemię i szła obok mnie. Choć mogła dotrzymać mi kroku, chociażby biegnąc, zdecydowałem posuwać się powoli i bardzo ostrożnie. Kamienista ścieżka była mokra i śliska, a ja nie chciałem, by przydarzył się jakiś wypadek któremuś z nas, szczególnie teraz, kiedy osiągnąłem pierwszy cel.

Słońce było całkiem wysoko i przygrzewało tak, iż wszystko wokół parowało, nim w końcu zrozumiałem, że już dłużej nie wytrzymam, i poszukałem w pobliżu drogi miejsca ukrytego przed wzrokiem śledzących i wolnego od naturalnych zagrożeń. Całą serią rozkazów uwrażliwiłem Ti tak, że jej zadaniem było nasłuchiwać i obudzić mnie natychmiast, kiedy usłyszysz, że ktoś lub coś się zbliża, po czym ułożyłem się pod osłoną drzew i krzewów na pokrytej trawą i kamieniami ziemi, i po raz pierwszy od dłuższego czasu pozwoliłem sobie na pewne rozluźnienie. Niezależnie od podłego samopoczucia, przepełniało mnie silne poczucie sukcesu.

Uciekłem! Dokonałem tego! Po raz pierwszy w tym ciele byłem człowiekiem wolnym; i niezależnym. Było to wspaniałe uczucie.

W głębi jednak ten nękający głos, który towarzyszył mi zawsze, śpiewał na całkiem inną nutę. W porządku, supermanie, kpił. Jesteś teraz nagi i nieuzbrojony w obcym i wrogim ci świecie, którego mieszkańcy są przeciwko tobie; obarczony dziewczyną – robotem nie masz dokąd się udać i nie masz znikąd pomocy. W porządku, Homo Superior... i co teraz uczynisz?

Była na to tylko jedna odpowiedź. Zapadłem w najgłębszy ze snów.



## Rozdział trzynasty

### **ZAINTERESOWANE STRONY**

Nie mam pojęcia, jak długo spałem, ale kiedy się wreszcie obudziłem było już popołudnie, a ja nie czułem się najlepiej. Ciało miałem obolałe, przynajmniej w tych miejscach, w których nie było całkowicie odrętwiałe, a kamieniste, nierówne podłoże nie pomogło mojemu samopoczuciu. Mimo to uważałem, iż dam sobie radę tak długo, jak nie będę zmuszony wspinać się na góry czy dźwigać Ti.

Uświadomiłem sobie, iż śmierć głodowa nam nie zagraża. Warden określił Lilith jako raj i niewiele się chyba pomylił. Cała uprawiana w dziedzinach żywność pochodziła pierwotnie z roślinności rosnącej dziko, a choć naturalne produkty zapewne nie mogą być tak smaczne i tak doskonałe, to jest ich dość, by utrzymać nas przy życiu.

Utrzymać przy życiu... ale w jakim celu? Problem ucieczki z więzienia polega na tym, iż cała nasza energia skierowana jest na samą ucieczkę. To co będziemy robić na zewnątrz, jest dość mgliste i niejasne i nigdy nie jest nacechowane pragmatyzmem. Tak było również i w tym wypadku. Dziedzina Moab znajdowała się jakieś 4800 kilometrów na południowy wschód – niezła odległość w każdych warunkach, a biorąc pod uwagę, iż jest się zwierzyną, na którą polują, to tak jakby się znajdowała na innej planecie.

A polowali nie mi żarty. W oddali widziałem wielkie, skórzaste kształty – olbrzymie skrzydła utrzymujące w powietrzu robakowate cielsko i głowę pokrytą całą masą czułków – przeczesujące pobocza drogi. Bez najmniejszej wątpliwości były to besile z armii Artura. Siedziałem i podziwiałem jeźdźców, którzy tak potrafili kierować tymi bestiami, iż wydawało się że płyną w powietrzu i wiją się jak węże raczej, a nie latają.

Musiałem poczynić plany, zarówno krótko – jak i długoterminowe, mimo iż nie miałem na to najmniejszej ochoty. Nie mogłem zostać tutaj, gdzie byłem; po pierwsze, trzeba było znaleźć pożywienie, a po drugie, to miejsce znajdowało się zbyt blisko drogi wiodącej bezpośrednio do Zeis. Im dalej się oddalę od Artura, tym lepiej.

Podróżowanie nie będzie zapewne wygodne, choć z konieczności będzie bardzo powolne. Do mojej świadomości zaczynał docierać fakt, że to nie tylko fotele i zamki utrzymywane są w układach Wardena – cała dziedzina podlegała tym samym regułom. Lilith była miejscem, gdzie świat roślin i

owadów rozkwitał najbujniej, a gdzie nie było w ogóle ssaków i gadów. Mikroby się nie liczyły; wszystkie one, poza organizmem Wardena, były zbyt obce, by posiadać jakikolwiek wpływ na zdrowie człowieka. Insekty jednak roiły się i rozmnażały w milionach kształtów i rozmiarów. W dziedzinie Zeis jakimś sposobem utrzymywano drobne owady i wszelką zarazę z dala od ludzkich siedzib. Teraz znalazłem się w świecie, w którym miliony insektów, wiele z nich bardzo drobnutkich, latało, czołgało się, wiło i skakało. Już czułem swędzenie w miejscach ukąszeń, a kiedy przyjrzałem się Ti, stwierdziłem, że również jest cała pocięta przez owady.

Miałem zaledwie kilkaset metrów do krzaków, na których rosły znajomo wyglądające melony i jagody, ale tylko niektóre z nich były jadalne. Naturalny łańcuch pokarmowy na tej planecie nakierowany był na insekty, a nie na ludzi; i insekty roiły się wokół wszystkiego, co było dojrzałe. Jednakże i tak znalazłem dość owoców, by zaspokoić głód i ich kawałkami nakarmić Ti. Woda była mniejszym problemem, ponieważ prawie wszędzie spotykało się jeziora i strumyki. Niektóre wyglądały bardzo mętnie i podejrzanie, ale nie miałem żadnych obaw, wiedząc, że zarówno moje Wardenki, jak i te należące do Ti ochronią nas przed najgorszym.

Dopiero po zaspokojeniu podstawowych potrzeb, zacząłem się zastanawiać, co dalej. Przecież nie uda mi się o własnych siłach, bez niczyjej pomocy dotrzeć do dziedziny Moab, pomóc Ti i uniknąć szponów Artura. Potrzebna mi była pomoc – przyjaciele, ludzie, którzy potrafią więcej ode mnie. Ale czy znałem kogoś na Lilith, kto nie chciałby mnie dopaść lub nie był zamknięty w dziedzinie Zeis? Odpowiedź była oczywista i przygnębiająca.

Muszę w jakiś sposób odnaleźć ojca Bronza i namówić go, przekonać, by zechciał mi pomóc. Jeśli nie zrobi tego dla mnie, myślałem sobie, to może zechce pomóc Ti, którą, jak sobie przypomniałem, zna i którą darzy pewną sympatią. Musi to więc być Bronz... tylko gdzie on jest? Usiłowałem sobie przypomnieć. Minęły jakieś dwa tygodnie od naszego spotkania, ale wspomniał wówczas dokąd się wybiera. Mówił, że na południe, a to już była dobra informacja, bo oznaczała, że będzie się poruszał tą drogą. Wymienił chyba dziedzinę Shemlon jako następny przystanek w jego zwyczajowym objeździe.

Mapa w mojej głowie włączyła się automatycznie i bez trudu zlokalizowałem Shemlon, leżący około dwudziestu kilometrów na południe od miejsca, w którym się znajdowałem.

O zmierzchu ruszyliśmy dalej, ale nie szliśmy drogą, lecz równoległe do niej, szukając ciągle osłony przed patrolami, kurierami czy innymi podróżującymi służbowo. Ruch był niewielki, ale późnym popołudniem zaobserwowałem kilka wozów, a nawet pojedynczych wędrowców, prawie tylko z klasy panów, podążających w obydwu kierunkach. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, iż informacja na mój temat już dawno dotarła do Shemlon; latające besile przejawiały dużą aktywność w ostatnim czasie.

Długa i niebezpieczna wędrówka, to prawda, jednak wcale mnie to nie martwiło. Przynajmniej teraz miałem dokąd iść i powód, by tam podążać.

Osiągnęliśmy granice dziedziny Shemlon po kilku dniach ciągłego ukrywania się, i kilku nocach powolnego marszu. Zdarzały nam się w tym czasie drobne problemy ze znalezieniem pożywienia, ale

w zasadzie Lilith okazała się planetą obfitości. Wolałbym, co prawda, nie zajmować się tutaj aprowizacją dla jakiejś większej grupy ludzi, ale wyżywienie dwóch osób było stosunkowo łatwe.

Shemlon różnił się zasadniczo od Zeis. Przede wszystkim góry i wzgórza ustąpiły miejsca równinie, której znacząca część pokryta była wodą. Okazało się, iż uprawiają w niej rasti, czerwonawe zboże przypominające ryż, które stanowiło również podstawę wyżywienia w dziedzinie Zeis. Teraz dowiedziałem się, skąd ono pochodzi.

Na terenie Shemlon znajdowała się jedna tylko wioska, duże skupisko chat bunt, ustawionych w wielkim kręgu wokół budynku głównego, którym był obszerny, kolorowy dwór. Dwór ten był równie skromny jak zamek Tiela – co najmniej osiemdziesiąt do stu pokoi, tworzących dziwną geometryczną strukturę złożoną z żółtobrazowych pudełek, które wyglądały, jak gdyby miały się za moment rozpaść. Jeśli chodzi o liczbę personelu, Shemlon był znacznie mniejszy od Zeis, choć zapewne dorównywał mu powierzchnią. Powody tego stanu rzeczy mogły być czysto ekonomiczne, albo też tutejszy rycerz był po prostu niższy rangą i mniej potężny od Tiela.

Sytuacja jaką tu zastałem trochę mnie niepokoiła. Dotarcie tutaj zajęło mi sporo czasu i równie wiele czasu minęło od momentu, w którym Bronz opuścił Zeis. Prawdopodobnie już tu był i wyjechał. A ponieważ była tu tylko jedna duża wioska, trudno byłoby mi udawać pionka. Musiałem uciec się do środków nadzwyczajnych. Stawką było moje przetrwanie. Oczekałem tedy cały dzień, czyniąc rozpoznanie terenu, sprawdzając kto gdzie pracuje, wreszcie wybrałem i miejsce, i samotnie pracującego osobnika. Dokonywał on jakiejś naprawy przy przepuście na kanale doprowadzającym wodę z rzeki na pola ryżowe.

Ukryłem Ti w krzakach, a sam o zmierzchu, kiedy większość pracujących opuściła już pola i udała się do wioski, podszedłem do kończącego swą robotę przy władze człowieka. Szedłem otwarcie i śmiało w jego kierunku. Brak odzienia oznaczał, iż był on pionkiem, choć niewątpliwie wykwalifikowanym w swojej specjalności, i mój zaniedbany wygląd nie zrobił na nim większego wrażenia ani nie wzbudził podejrzeń.

Powitałem go skinieniem głowy.

– Dobry wieczór – powiedziałem bardzo uprzejmie, i po przyjacielsku. – Jestem tu nowy i chyba sobie ze mnie zażartowano, wysyłając mnie w to błoto. Kiedy tu przyszedłem nikogo już nie zastałem.

Mężczyzna uniósł ogorzałą twarz okoloną przyprószoną siwizną brodą i roześmiał się.

– Tak, tak, wiem jak to bywa. Poczekaj chwilkę, a zaprowadzę cię, gdzie trzeba.

Podziękowałem mu skinieniem głowy. Poszło tak łatwo, że z niechęcią myślałem o tym, co będę musiał za chwilę zrobić. Były to bardzo nieprzyjemne sprawy na tym bardzo nieprzyjemnym świecie.

Porozmawialiśmy o tym i o owym, po czym przeszedłem do interesującego mnie tematu.

– Wiesz, tam na Zewnątrz, byłem katolikiem. Ktoś mi powiedział, że bywa tu jakiś wędrujący

ksiądz. Czy to były jedynie żarty?

– Och, nie, jest tu taki jeden – odpowiedział mój rozmówca. – Niedawno tędy przejeżdżał. Szkoda, że się z nim rozminąłeś. Wróci prawdopodobnie dopiero po żniwach, za kilka miesięcy.

Udałem zaskoczonego.

– A gdzie mógł pojechać?

– Do innych dziedzin – odparł mężczyzna. – Pewnie już jest w pobliżu dziedziny Mola, leżącej na zachód od nas. – To dobry człowiek, chociaż ja osobiście nie przywiązuję wagi do żadnej religii.

– Jak dawno temu był tutaj? – nalegałem. – To znaczy, kiedy wyjechał?

– Przedwczoraj... słuchaj, a właściwie czemu cię to interesuje?

Westchnąłem.

– Ponieważ nazywam się Cal Tremon – odpowiedziałem i zabiłem go tak szybko i bezboleśnie, jak tylko potrafiłem. Zniosłem jego ciało w krzaki, licząc na to, że przynajmniej przez jakiś czas nie zorientują się, co się z nim stało.

Mapa w mojej głowie włączyła się ponownie i zobaczyłem na niej, gdzie leży Mola – jakieś trzydzieści kilometrów w bok. Niewiele, nie więcej niż dwa dni, jeśli poruszać się wózkiem takim, jakiego używał Bronz, ale dla idącego pieszo był to jeszcze jeden długi, mokry, swędzący i głodny marsz.

Było mi przykro z powodu zabójstwa starszego człowieka. Nie odczuwałbym tego w przypadku innych – szczególnie tutejszych klas wyższych, reprezentowanych przez takich ludzi jak Artur, Pohn, Tiel i Marek Kreegan. Nie odczuwałem wyrzutów sumienia, kiedy zabiłem Kronlona, a przecież cierpiałem z powodu tego starszego mężczyzny, tak zwyczajnego, tak przyjaznego i tak zupełnie bez winy w całej tej sprawie. Żałowałem go, a jednak akceptowałem konieczność tego, co uczyniłem. Nie mogłem przecież iść z nim do wioski, a każde moje dziwne zachowanie spowodowałoby, że opowiadałby o mnie, a zmuszony przez jakiegoś nadzorcę powiedziałby wszystko, co wiedział.

Mimo wszystko nie mogłem zapomnieć jego wzroku, kiedy usłyszał moje nazwisko. Jego spojrzenie jeszcze bardzo długo będzie mnie prześladować. Świadczyło ono bowiem o tym, iż nie miał najmniejszego pojęcia, kim jest Cal Tremon.

Następne dwa dni ostrożnego, powolnego marszu. Dwa dni ukąszeń owadów, zgniłych owoców, stęchłej wody, burz, przed którymi nie było schronienia, błota, którego nie można było ominąć, siniaków i otartych stóp. Jedyłą wyraźną korzyścią wynikającą z opuszczenia dziedziny Zeis był widok nieba, granatowego z pasemkami czerwieni i fioletu, pokrytego, ale nie zakrytego, brązowymi chmurkami. Nocą można było oglądać gwiazdy; był to widok dodający otuchy, a za razem bardzo smutny. Gwiazdy – odebrane mi na zawsze. Gwiazdy – do których nigdy już nie sięgnę.

Znajdowaliśmy się jakieś trzy czy cztery kilometry od dziedziny Mola, kiedy opodal drogi dostrzegłem niewielkie obozowisko. Było to coś niezwykłego. Byłem ciekaw co to takiego; ciekaw i pełen podejrzeń. Czyżby zakładano blokadę dróg?

Zobaczyłem małe ognisko, wygasłe już i ledwie się jarzące, a także całkiem wymyślny śpiwór. Popatrzyłem na aka, wielkie stworzenie o obłym kształcie i małej główce, przy którym wózek wyglądał jak zabawka. Choć stało nieruchomo, wyglądało na żywe i w dobrej kondycji, tak zresztą jak i wóz. Nie był to więc postój spowodowany jakąś awarią... ale po prostu jakaś osoba spędzała samotnie noc na tym pustkowiu. Osoba, o odpowiednio wysokiej randze – prawdopodobnie pan.

Pozostawiwszy Ti ponownie pod osłoną krzewów, podczołgałem się tak blisko, jak tylko się odważyłem, żeby sprawdzić, kim jest ta persona. Bez wątpienia był to mężczyzna i to chrapiący tak głośno, że i martwego mógłby obudzić. Poczułem przyływ nadziei. To niemożliwe, mówiłem sobie. Zbyt dużą miał nade mną przewagę, a poza tym dlaczego miałby nie dojechać do Moli... ale jednak to był on.

Odnalazłem ojca Bronza.

Z podniecenia, jakie mnie ogarnęło, wywołałem jakiś szelest, który, biorąc pod uwagę poziom chrapania, nie powinien w ogóle być słyszalnym. A jednak jego oczy rozwarły się gwałtownie. Leżał nieruchomo, z przekrzywioną głową i ze zdziwieniem malującym się na twarzy.

– Ojcie Bronz – wypowiedziałem głośnym szeptem. – To ja... Cal Tremon!

Ksiądz zachichotał, usiadł, ziewnął, przeciągnął się, po czym przetarł oczy i rozejrzał się. Wyszedłem na otwarty teren. Nie miałem specjalnego powodu, by mu zaufać, ale uwzględnwszy całą sytuację, nie miałem też wyboru i musiałem zdać się na jego łaskę.

– Tremon – zachrypiał, ciągle nie całkiem rozbudzony. – Najwyższy był czas, żebyś się pojawił. Już prawie postawiłem na tobie krzyżyk.

## Rozdział czternasty

### **DZICY I AMAZONKI**

Stałem ogłupiały, wpatrując się w niego. Wreszcie wykrztusiłem:

– Czekales na mnie?

Rozejrzał się.

– W jakim innym celu zatrzymałbym się w tym komfortowym, naturalnym hotelu? – mruknął z sarkazmem. – Chodź tutaj i usiądź. Wstawię herbatę.

Ruszyłem w jego kierunku, po czym zatrzymałem się nagle.

– Zapomniałem o Ti! – wykrzyknąłem, głównie zresztą do siebie.

Roześmiał się.

– No, no! A jednak ją zabrałeś ze sobą. Nie było całkiem jasne, co się z nią stało.

Zdecydowałem się pójść po nią, nim przejdziemy do szczegółów. Przynajmniej nie byłem już dłużej sam, nie zostałem ani rozpylony, ani zaatakowany w żaden inny sposób, tak że niezależnie od rodzaju gry, jaką Bronz prowadził, była to gra na moją korzyść.

Przyniosłem Ti do biwaku Bronza, a on natychmiast wstał i podszedł do niej, przypominając mi swoim zachowaniem doktora Pohna, tyle że tutaj dało się także dostrzec współczucie i troskę.

– A to diabelskie nasienie – mruczał pod nosem. – Niech zgnije w piekle. – Zamknął oczy i położył dłoń na jej czole.

– Czy możesz coś dla niej zrobić? – zapytałem z troską w głosie. – W tej chwili jest ona jedynie żywym robotem.

Westchnął i zamyślił się.

– Gdybym był lekarzem, tak, mógłbym. Gdybym znał troszkę lepiej anatomię, może byłbym w stanie coś zdziałać. Widzę bowiem, gdzie on namieszał, ale nie ośmielę się nic zrobić. Mógłbym w rezultacie spowodować trwałe uszkodzenie mózgu, a nawet ją zabić. Nie, musimy poszukać dla niej pomocy gdzie indziej, tak to wygląda.

– Chyba nie w żadnej dziedzinie – powiedziałem niepewnie. – Odesłaliby ją natychmiast do doktora Pohna.

– Nie, nie w dziedzinie – zgodził się. – Zresztą ciebie też to dotyczy. Musimy dotrzeć do jakiegoś bezpiecznego miejsca, gdzie, tobie pomogą i gdzie Ti uzyska fachową opiekę. Spodziewałem się problemów związanych ze znalezieniem przyjaciół, sojuszników i kryjówki, ale nie sądziłem, że napotkam trudności tego rodzaju. – Westchnął ponownie i wrócił do roznieconego na nowo ogniska, odsunął tykwę z wodą od płomienia i wrzucił do niej kilka pokruszonych listków wyjętych z wiszącego u pasa woreczka – jednego z kilku, jak zauważyłem.

– Usiądź tutaj – zaprosił mnie. – Będzie gotowa za kilka minut, a my i tak musimy jakoś zabić ten czas.

Zrobiłem, co kazał i poczułem się o wiele lepiej. Poza tym chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o ojcu Bronzie.

– Powiadasz, iż spodziewałeś się, że będziemy potrzebować kryjówki i że czekałeś na mnie – zauważyłem. – Możesz to bliżej wyjaśnić?

Zachichotał.

– Synu, opuściłem Zeis później, niż planowałem. Zaprosili tam na przyjęcie wszystkie szychy i zadecydowali, że ja również powinienem być na nim obecny. Poza tym, księżę i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi; od czasu do czasu świadczę mu pewne przysługi.

– Pamiętam ten wieczór – powiedziałem. – Wówczas właśnie zabiłem Kronlona i zdałem egzamin, że tak powiem. Sądziłem jednak, że ciebie już dawno tam nie było.

– Takie miałem zamiary – odrzekł, nalewając herbatę do małych wyrzeźbionych z tykwy filiżanek. – Jednak tutaj wszystko jest polityką. Cóż, dlatego właśnie zjawiłem się w Shemlon kilka dni później, niż planowałem i ciągle jeszcze tam byłem, kiedy przybyli kurierzy z Zeis z wieściami, iż skazano cię na śmierć, ale uciekłeś i jesteś teraz poszukiwanym przez wszystkich zbiegiem. Naprawdę jesteś w tej chwili trefny, jak powiadają, mój synu. A pionek, który pomoże im cię dopaść, nigdy już nie będzie musiał pracować, ani obawiać się gniewu nadzorcy.

Pokiwałem głową. Tego się właśnie spodziewałem. Ulżyło to jednak nieco mojemu sumieniu obciążonemu zabójstwem tamtego starszego człowieka.

– W każdym razie – ciągnął Bronz – nie trzeba było wielkiego wysiłku umysłowego, by dojść do wniosku, iż będziesz potrzebował przyjaciela, a ja jestem jedynym takim przyjacielem poza terenem dziedziny. Dlatego robiłem tyle hałasu, informując wszystkich dookoła, dokąd zamierzam się

udać. Nie chciałem, byś znalazł mnie w Shemlon, bo to takie małe środowisko, ruszyłem więc do Moli i zatrzymałem się w połowie drogi, zakładając tutaj ten mały biwak. Zamierzałem tu czekać dopóty, dopóki ktoś nie zacznie zadawać zbyt wielu pytań, albo dopóki ty się nie pojawisz, cokolwiek by było pierwsze. W Moli muszę się jednak stawić, chociażby dla zachowania pozorów.

– Bez trudu przewidziałeś moje kolejne ruchy – zauważyłem. – Zastanawiam się, dlaczego to się nie udało Arturowi.

– Och, jestem przekonany, że przyszło mu to do głowy – odpowiedział Bronz wesóło. – Ci „lotnicy” w powietrzu przyglądali mi się bardzo dokładnie, a jakiś gość zatrzymał się tutaj na chwilę, przekazał mi twój rysopis i pouczył, jak mam dać znać władzom, gdybym cię zobaczył. Na twoim miejscu nie przejmowałbym się tym zbyt. Nie jestem bowiem jednym z nich, synu! Dla nich jestem starym druham księcia, starą znajomą twarzą. I mogło im wpaść do głowy, że będziesz chciał ze mną nawiązać kontakt, ale nigdy nie przyszłoby im do głowy, iż nie rozpylę cię na miejscu, albo przynajmniej nie wydam, komu trzeba.

Popijałem powoli herbatę.

– A nie wydasz?

– Naturalnie, że nie – odparł nieco zirytowany. – Czy sprawiłbym sam sobie tyle kłopotów, gdybym miał taki zamiar? Nie, mój synu, w tym bastionie najciemniejszych wieków w historii ludzkości, dla ciebie przywracam do życia liczący już przeszło dwa tysiące lat zwyczaj naszego kościoła nazywany azylem. Dawno temu, w zamierzchłych czasach, kościół na planecie naszych przodków był potęgą samą dla siebie, potęgą polityczną dysponującą ogromną siłą, a jednak rozdzieloną od władzy świeckiej, ponieważ winniśmy byli naszą lojalność nie królom lecz Bogu. Przede wszystkim przestępcy polityczni, ale praktycznie każdy, kogo ścigano, mógł wbiec do kościoła czy katedry i poprosić o prawo azylu, a kościół chronił taką osobę przed ziemską, doczesną zemstą. Cóż, ty również prosisz o azyl i jak ja, jako chrześcijanin, mógłbym ci go odmówić? I tak już zresztą miałem powyżej uszu tej bezbożnej tyranii. A poza tym – dodał, uśmiechając się i mrugając do mnie – od dziesięciu lat nudzę się śmiertelnie.

Roześmiałem się i dopiłem resztkę herbaty, a on napełnił ponownie moją filiżankę.

– No dobrze – powiedział, siadając ponownie – co chcesz teraz uczynić?

– Chcę przywrócić Ti do pierwotnego stanu – odrzekłem – a poza tym, chciałbym zakończyć swoje szkolenie. Powiedziano mi, iż jestem co najmniej w klasie panów i chciałbym rzeczywiście osiągnąć taki poziom. Chcę uzyskać tyle, ile tylko jest możliwe, jeśli chodzi o moc Wardena. Skinął głową.

– To całkiem rozsądne. A taki, iż postawiłeś Ti na pierwszym miejscu i bardzo skomplikowałeś swoją ucieczkę, zabierając ją ze sobą, świadczy na twoją korzyść. Załóżmy jednak, że uda mi się doprowadzić cię do dziedziny Moab, do tej szalonej grupy tam żyjącej, i że uzyskasz całą tę moc, do której jesteś potencjalnie zdolny. Załóżmy, że będziesz czymś więcej niż panem... może rycerzem. Co wówczas?



– No cóż... – Zastanawiałem się nad tym pytaniem, które przecież zostało uczciwie posta wione. Co tak naprawdę chciałem zrobić? Czego dokonać? – Myślę, iż pewnego dnia, jeśli już będę taką moc posiadał, wrócę do dziedziny Zeis i uczynię ją moją. Polem... cóż, zobaczymy.

Roześmiał się.

– Masz więc ambicje zostać rycerzem, he? Cóż, możliwe, że ci się uda, Cal. Możliwe, że ci się uda... Wpierw jednak to, co najważniejsze. Musimy uzyskać pomoc dla ciebie, musimy uzyskać pomoc dla Ti, a polem musimy doprowadzić was bezpiecznie do Moab.

Skinąłem głową, poważniejąc i tracąc dobre samopoczucie. Miło jest snuć marzenia, ale rzeczywistość to ubłocony nagus popijający herbatę przy ognisku.

– Jak już wspomniałem, mszę przodem – powiedział ojciec Bronz. – Mam tu trochę zapasów, których powinno wam starczyć na kilka dni. Wydaje mi się, że skoro udało wam się uniknąć zasadzek i patroli do tej pory, to i potraficie się ukryć jeszcze przez jakiś czas.

– A co potem? – naciskałem, niezbyt zachwycony faktem, iż wydarzenia mogą się wymknąć spod mojej kontroli i czując się trochę bezradnym.

Uśmiechnął się.

– Kiedy już dotrę do tej dziedziny, potrafię zyskać życzliwość i pomoc, a prześlę również informacje do pewnych zainteresowanych stron i osób. Przygotuję miejsce naszego spotkania i stamtąd będziemy działać dalej.

– Pewnych stron i osób? Sądziłem, iż ten totalnie kontrolowany świat nie zniósłby żadnego ruchu oporu.

– Och, to nie jest żaden ruch oporu – odrzekł. – Zaiste, nie. To po prostu dzicy.

## Rozdział piętnasty

### ROZMOWA

Dwa dni, dłuższe i bardziej nerwowe niż jakiegokolwiek inne od czasu rozpoczęcia tej wędrówki, spędziłem całkowicie beczynnym w pobliżu miejsca, w którym natknąłem się na Ojca Bronza. Rzeczywiście musiałem mu chyba ufać bardziej teraz niż na samym początku. Nie miałem szczególnego wyboru, ale skoro do tej pory nie ujrzałem ponurej gęby Artura, to na pewno nie Bronz będzie tym, który mnie wyda. Martwiłem się raczej tym, czy nic mu się nie przydarzy, nim będzie miał szansę mi pomóc.

Moje zamartwianie się było zapewne niepotrzebne. Pozycja Bronza na Lilith, choć może i nie wyjątkowa, była niewątpliwie godna pozazdroszczenia. Jeździł, gdzie chciał, robił, co zechciał i nie odpowiadał przed nikim, nawet nie przed swoimi przełożonymi w kościele. Był znaną osobą w dziedzinach, gdzie witano go chętnie i gdzie nic mu nie zagrażało. Jako przyjaciel księcia i większości najpotężniejszych rycerzy centralno-wschodniego regionu olbrzymiego i jedyne kontynentu Lilith, nie musiał się obawiać nawet najgroźniejszych z psychopatów, bowiem i oni czuli respekt przed tymi, którzy byli potężniejsi od nich samych. Ceną jednakże było to, że chociaż sam był panem, nie stanowił zagrożenia dla niczyjej pozycji. Jako ksiądz, szczerze troszczył się o pokrzywdzonych. Chciał być pośrednikiem pomiędzy elitami w zamkach i dworach a pionkami skazanymi na wieczną niewolę i służbę. Jego przesłanie mówiące o wszechpotężnej istocie, która obiecuje rajskie życie w zaświatach tym, którzy sprawowali się dobrze w życiu doczesnym, przemawiało do klas rządzących. Każda zresztą oficjalna religia potrafiła zawsze trafić do takich grup. A przecież ta jego wiara, niezależnie jak błędna i w niewłaściwym kontekście użyta, była jedyną ostoją pozwalającą pionkom zachować zdrowe zmysły, była ich jedyną nadzieją. Cierpieli oni na Lilith pod rządami bezwzględnej tyranii; klasa rządząca odporna zaś była na wszelką rewolucję, bowiem masy nie posiadały zdolności korzystania z mocy Wardena.

Bronz wrócił późnym wieczorem drugiego dnia, zmęczony, ale zadowolony.

– Wszystko załatwione – oznajmił. – Musimy jedynie troszkę popodróżować. Miejsce spotkania leży w odległości dwóch dni jazdy, a tyle właśnie mamy czasu. To niewiele, biorąc pod uwagę patrole, a oni na nas nie poczekają. Ruszajmy więc.

– Teraz? – spytałem, odnosząc wrażenie, że mnie poganiają, tym bardziej że ostatnie dwa dni

spędziłem na zupełnej bezczynności. – Jest już prawie całkiem ciemno, a ty wyglądasz na wykończonego. Nie chciałbym cię stracić... zwłaszcza teraz.

Uśmiechnął się słabo.

– Tak, teraz. Mam trochę słomy i pościel, będziemy więc mogli ukryć Ti, a przy odrobinie wysiłku ukryjemy i twoje wielkie cielsko. Masz jednak trochę racji – jestem śmiertelnie znudzony po tych pięciu dniach posługi religijnej, które musiałem zmieścić w dwóch, i po tych zwyczajowych już rozmówkach politycznych. Dlatego właśnie musimy wyruszyć natychmiast. Ty będziesz powoził, a ja się zdrzemnę.

Zaskoczył mnie.

– Ja? Przecież pogania się te przeklęte stwory, przemawiając do nich w stylu wardenowskim! Ja tego nie potrafię!

– Och. Sheeba to takie miłe stworzonko – odparł Bronz swobodnym tonem. – Nie trzeba jej specjalnie poganiać, a kiedy już minie skrzyżowanie i przez następnych trzydzieści kilometrów nie będzie miała powodów, żeby gdziekolwiek skręcać, poczłapie sobie spokojnie naprzód.

– To do czego ja ci jesieni potrzebny? – spytałem, ciągle jeszcze niepewny.

– Żeby trzymać straż i obudzić mnie w razie jakichkolwiek kłopotów, a gdyby zatrzymał nas jakiś patrol, to zwiewać, gdzie pieprz rośnie.

I tak to wyglądało. Olbrzymie, podobne do żuka stworzenie, które ojciec Bronz zwał Sheebą, było bardzo potulne i człapało naprzód, trzymając się prawej strony drogi. Największym moim problemem, nie licząc chrapania księdza, było to, iż w każdym głębszym cieniu widziałem straszliwe niebezpieczeństwo. Dwukrotnie zbudziłem Bronza przekonany, iż widziałem coś wielkiego śledzącego nas z powietrza, a następnie z ziemi. Za drugim razem stracił cierpliwość.

– Kiedy wreszcie dorośniesz, Tremon? Za stary jesteś, żeby bać się ciemności. Słuchaj owadów, chłopcze. Tak długo, jak je słyszysz, oznacza to, że w pobliżu nikogo nie ma.

Prawda zaś była taka, że czułem się nagi nie tylko w sensie fizycznym, kiedy tak stałem na wozie, nie mając na czym oprzeć oka z wyjątkiem jakiejś przypadkowej gwiazdki, której udało się wychynąć zza wszechobecnych chmur. A ciągle crescendo owadziego brzęczenia, do którego tak przywykłem, iż wyłączyłem je ze swojej świadomości, nie milkło ani na moment.

Tuż przed świtem Bronz obudził się i zatrzymaliśmy się na herbatę.

– Cholernie irytujące miejsce – mruczał pod nosem. – Nie można zabrać pożywienia, bo się zepsuje w jeden dzień, chyba że weźmiesz ze sobą również specjalistów, którzy dopilnują właściwych warunków transportu, a także takich, którzy zadbają o właściwe magazynowanie. Ja korzystam tylko z tego, co rośnie przy drodze i oszczędzam energię Wardena na tykwy i herbatkę.

Zrozumiałem tę delikatną aluzję i tuż przed samym świtem udałem się po zaopatrzenie. Niewiele

przyniosłem, ale nie ośmieliłem się oddalać zbytnio od drogi, a i to co przyniosłem wystarczyło nam w zupełności – kilka melonów i trochę jagód. Bronz zastosował wobec nich jakąś wardenowską magię, by został nam z tego choć maleńki zapasik, ale najwyraźniej nie była to dziedzina, w której był najlepszym ekspertem.

Największe niebezpieczeństwo groziło nam za dnia. I chociaż Bronz wybrał trasę, która omijała gęściej zaludnione dziedziny i gdzie przeważało pustkowienie, to jednak od czasu do czasu spotykaliśmy przypadkowych wędrowców.

Kuliłem się wówczas na wozie, nakrywałem słomą i szmatami jak mogłem, tkwiłem bez ruchu, modląc się tylko, bym był w stanie powstrzymać się od kaszlu, kichania czy ruchu, niezależnie od tego, jak długo trwała rozmowa (a niektóre były bardzo długie). Większość napotkanych należała do klasy nadzorców, niektórzy z nich podróżowali własnymi wózkami, w których przewozili coś z jednej dziedziny do drugiej, ale raz na jakiś czas trafialiśmy też na pana. Każdy ze spotkanych podróżnych stanowił poważny problem, ponieważ wątpię, czy ojciec Bronz zdecydowałby zabić kogoś nawet w mojej obronie. Najbardziej irytujący byli panowie, chociażby dlatego, że prawdopodobnie dysponowali większą mocą niż Bronz.

Raz też wpadliśmy na blokadę, której zupełnie się nie spodziewaliśmy, a która świadczyła o tym, jak daleko zakrojona była akcja Artura. Ojciec Bronz znał osobiście dwóch strażników biorących udział w blokadzie drogi i udało mu się zagadać ich na tyle, że przepuścili wózek bez żadnych problemów. Nie miałem najgorszej opinii o kompetencjach Artura i dlatego przypuszczałem, że jeśli ci dwaj wspomną w swoim raporcie o przepuszczeniu Bronza bez sprawdzenia ładunku na wozie, to liczba strażników w dziedzinie Zeis zmniejszy się o dwóch, niezależnie od tego, jak godnym zaufania jest sam ksiądz.

Zawsze zresztą i wszędzie tak właśnie było. Zachowuj się, jak gdybyś był u siebie, nie okazuj najmniejszego niepokoju, a ujdzie ci na sucho największa bezczelność, nawet wśród tłumu.

Przez większość czasu jednak droga pozostawała pusta i mogliśmy sobie porozmawiać, a wykorzystaliśmy tę okazję do maksimum. Nie było przecież nic do roboty, a mnie zależało na tym, by się jak najwięcej dowiedzieć.

– Z tego, co zauważyłem, nie przepadasz za panującym na Lilith systemem – powiedział w pewnym momencie.

Parsknąłem śmiechem.

– System klasowy i ucisk z maleńką grupą będącą niezmiennie u władzy, i to grupą złożoną z najwybitniejszych kryminalistów, jakich wydała ludzkość. Według mnie to śmierdzący układ.

– A co ty byś zrobił w takiej sytuacji? – odparł z rozbawieniem w głosie. – Jaki system narzuciłby, powiedzmy, lord Cal Tremon, który mógłby zastąpić obecny?

– Organizm Wardena czyni to wszystko bardzo trudnym – odpowiadałem powoli i z rozwagą. – Jest rzeczą oczywistą, że moc i władza korumpują. – Bronz spojrzał na mnie urażonym wzrokiem. –

Większość ludzi – wybrnąłem jakoś z sytuacji. – Ludzie dysponujący mocą od samego początku są najbardziej zepsuci, ponieważ pochodzący spoza Rombu mają na ogół większą moc niż tubylcy, a wiadomo, iż zsyła się tutaj tylko zepsutych.

Uśmiechnął się.

– I tak oto zepsucie przychodzi do raju, a węże władają Edenem, nieprawdaż? Pozbądź się węży, a Eden powróci?

– Kpisz sobie ze mnie. Nic, nie wierzę, by tak się stało, a ty o tym dobrze wiesz. Jednak bardziej oświecona władza mogłaby podwyższyć standard życia pionków bez uciekania się do tortur i poniżania.

– Czyżby? – zapytał. – Zastanawiam się nad tym. To bardzo skomplikowana planeta i sędzę, iż jesteś zbyt jednostronny w ocenie. Myślisz o organizmie Wardena jedynie w kategoriach mocy, jakiej udziela on niektórym ludziom. A powinieneś widzieć też wpływ, jaki wywiera na życie i wszystko, co znajduje się na Lilith. Organizm Wardena jest osobliwością ewolucji tego świata; nie był on nigdy „zaprojektowany” z uwzględnieniem istot ludzkich. I jedynie wybrykowi natury należy przypisać fakt, iż człowiek potrafi z niego korzystać.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Pomyśl o nim jak o regulatorze utrzymującym tutaj równowagę, a którego ewolucja była rezultatem konieczności. Nie wiem dokładnie, dlaczego tak właśnie ewoluował, ale domyślam się, iż ten świat w przeszłości przechodził bardzo gwałtowne – zmiany. Nie znam ich natury, ale przecież na innych światach Rombu istnieją gady, ssaki i jakieś stworzenia krystaliczne, których tutaj nie ma. Tutaj przetrwały jedynie insekty, a jak wiadomo są to zwierzęta najlepiej przystosowujące się do środowiska i do zmian, choć, jak na ironię, najmniej skłonne do zmian ewolucyjnych własnych organizmów. Podejrzewam, że nawet owady i rośliny zagrożone były tymi zmianami, które przechodziła cała planeta, do tego stopnia, że rozwinęły naturalny stabilizujący mechanizm przy pewnym stanie równowagi, można by rzec. Dlaczego planecie potrzebny jest taki stan równowagi, trudno powiedzieć. Wiadomo jedynie, że jest jej niezbędny. Niezbędny jej jest właśnie taki ekosystem do przetrwania. I stąd wynika racja istnienia organizmu Wardena.

– Mówisz tak, jak gdyby sama planeta była żywa.

Skinął powoli głową.

– Wielokrotnie zauważyłem, iż wygodniej jest myśleć o niej właśnie w ten sposób. Zważ bowiem, kiedy już wieki temu człowiek wyprawił się poza Ziemię, spodziewał się napotkać światy bardzo mu obce. A co znalazł? Przeważnie światy pokryte kraterami i martwe, gazowe giganty, zamrożone rumowiska skalne, a czasami jedynie plance, która, choć wyglądała odstrasząco, mogła zostać uformowana na podobieństwo naszej Ziemi. Większość nadających się do życia planet była już zamieszkana, niektóre tylko przez rośliny i zwierzęta, ale niektóre także przez inne gatunki istot inteligentnych. I przecież – niezależnie od tego, jak szaloną wydawała nam się ich biologia i równowaga ekosystemu czy sposób myślenia i zachowania ich mieszkańców – wszystkie one

mieściły się w ramach naszej ludzkiej logiki. Mogliśmy mówić: „O tak, Alfanie to kule protoplazmy wyposażone w niby nóżki, ale popatrzcie na środowisko, w jakim ewoluowali, popatrzcie na środowisko, które ukształtowało ich kulturę, ich sposób myślenia, i tak dalej”. Ich kultura i sposób życia mogły być tak dziwaczne, że nie mogliśmy znaleźć z nimi żadnych punktów stykowych, nie mogliśmy pojąć ich rozumowania, ale jednak jako całość byli oni dla nas zrozumiali. Nigdy nie napotkaliśmy świata, który byłby tak obcy, żebyśmy nie byli w stanie zrozumieć przynajmniej, korzystając z wiedzy o prawach fizycznych i naukach społecznych, w jaki sposób takim się stał. Tak było, dopóki nie napotkaliśmy Lilith i jej siostrzyc.

Rozejrzałem się wokół, popatrzyłem na roślinność, na błękitne niebo i na resztki melonów i jagód.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo pojmuję do czego zmierzasz. Jeśli chodzi o bliskość człowiekowi, ten świat wydaje mi się bliższy i bardziej znajomy niż wiele z tych, na których kiedyś przebywałem.

– To tylko powierzchowna bliskość. – Pokiwał głową. – Wszystkie te owady są gatunkami endemicznymi, chociaż bez najmniejszego trudu rozpoznajemy w nich właśnie owady. Rośliny są także roślinami, skoro atmosfera, którą oddychamy, powstaje w wyniku zjawiska fotosyntezy zachodzącej w nich. Zważ jednak: Romb Wardena jest z punktu widzenia statystyki absurdem. Cztery światy, wszystkie w zasięgu życiodajnego słońca. Cztery światy tuż obok siebie – odległość pomiędzy Charonem i Meduzą wynosi niecałe 150 milionów kilometrów, a jeszcze dwa pozostałe w najbliższym sąsiedztwie – zupełnie jak gdyby ktoś je tu umieścił specjalnie dla nas. Przecież to nonsens. Znasz przecież stosunek liczby układów planetarnych chociażby do planet, które można by uformować na podobieństwo Ziemi. A te jednak się tu znajdują, wprost na naszej drodze, a każdy z tym drobnutkim, niewytłumaczalnym dodatkiem, który powoduje, że jesteśmy, prawdę mówiąc, więźniami.

– Przedstawiasz mi stary argument, że organizmy Wardena są tworamami sztucznymi – zauważyłem. – Wiesz przecież, iż nigdy nie było dowodów na poparcie tej tezy.

– To prawda – przyznał ojciec Bronz – ale przypomnij sobie, co powiedziałem o naszych zdolnościach zrozumienia. Wydaje, się, iż w tym przeogromnym wszechświecie, o którym tak niewiele wiemy, mamy związane ręce naszymi własnymi sztywnymi pojęciami. To, z czym tutaj mamy do czynienia, jest tak niezrozumiałe, tak prawdziwie obce, że usiłujemy to zignorować, odrzucić, nie przyjmować do wiadomości. Planety te nie pasują do naszej kosmologii, wobec tego odrzucamy je jako przypadkowe aberracje i zapominamy o całej sprawie. Według mnie natomiast, jeśli trafiamy na coś, czego nasza kosmologia nie potrafi wyjaśnić, oznacza to jedynie, iż w tej kosmologii istnieją wielkie dziury.

– A może jest w tym ręka Boga? – rzuciłem, nie mając najmniejszego zamiaru obrazić jego uczuć religijnych, lecz nie umiając odnaleźć w myślach logicznych kontrargumentów.

Nie roześmiał się ani nie obraził.

– Skoro wierzę, iż wszechświat stworzony został przez Boga, a jest On wszędzie, we wszystkim

i w każdym z nas, to wierzę również i w taką możliwość. Często myślałem sobie, że organizmy Wardena są tutaj, by zdrwić z naszego samozadowolenia. Pamiętaj jednak, iż Bóg jest w najwyższym stopniu logiczny. Dlatego muszą one pasować w jakiś sposób do reszty wszechświata, jestem o tym przekonany, nawet jeśli nie pasują do naszego sposobu postrzegania tegoż wszechświata. Zboczyliśmy jednak z naszego tematu. Mówiłem o tym, dlaczego uważam, iż twoje marzenie, by Lilith na powrót stała się rajem, jest niemożliwe do zrealizowania.

– Nie ma nic przeciwko dygresjom. – Roześmiałem się. – Cóż zresztą innego mamy tu do roboty?

Wzruszył ramionami.

– Któż to wie? Rozmowa może być sprawą żywotnie ważną, lub całkowicie bez znaczenia. Czuję, iż coś cię popycha, by rządzić tym światem. Prawdopodobnie zginiesz, próbując tego dokonać, ale jeśli przeżyjesz... cóż, przynajmniej mam okazję fechtować się z tobą i dowiedzieć się czegoś o twoich zamiarach.

– Lord Tremon – roześmiałem się. – Coś pięknego! Ależ by Konfederacja dostała zgagi!

– Taki z ciebie Cal Tremon jak ze mnie Marek Kreegan – rzucił Bronz lekko. – Moglibyśmy przestać udawać, skoro nikt w to nie wierzy... a ja nie wierzyłem od samego początku.

Zastygłem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wysłano za tobą list gończy, ponieważ Kreegan otrzymał informację od swoich agentów w Konfederacji, iż jesteś wtyczką, szpiegiem, skrytobójcą przysłanym, by go zgładzić. Obaj wiemy, że to prawda. Jesteś zbyt idealistyczny i moralny, by być kimś takim jak Tremon, który był raczej facetem uwielbiającym siekane kotlety z żywych jeszcze nieprzyjaciół. Wiedziałem już o tym od naszego pierwszego spotkania, od pierwszej z tobą rozmowy. Jesteś zbyt dobrze wykształcony, zbyt dobrze wychowany... żeby nie wspomnieć, iż jesteś doskonałym produktem własnej cywilizacji. A tak przy okazji, to kim naprawdę jesteś?

Rozważałem jego słowa i to, co mogły dla mnie oznaczać. Rzeczywiście nie było już powodu do udawania kogokolwiek. Artur o tym wiedział... do diabła, właściwie wszyscy już o tym wiedzieli.

– To, jak się nazywam, chyba nie jest istotne – odpowiadałem ostrożnie. – Nie jestem już bowiem tamtą osobą. Jestem Calem Tremonem teraz i na zawsze; nie jestem jedynie tym Tremonem z ławy oskarżonych. Ale skoro to jest jego ciało, jestem nim o wiele bardziej, niż byłbym kiedykolwiek skłonny przypuszczać.

Skinął głową.

– W porządku, niech będzie, Cal. Ale czy jesteś agentem?

– W stopniu skrytobójcy – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Jednak nie jest całkiem tak, jak

myślisz. Obaj wiemy, że skoro już tu się znalazłem i zostałem uwięziony na zawsze, jedynym powodem, dla którego mógłbym zabić Kreegana byłoby rzucenie mu wyzwania o władzę nad Rombem. Nie, moje cele są inne.

– To bardzo interesujące, że udało im się wreszcie opanować ten proces transferu osobowości przy użyciu technologii. Na Cerberze jest on bowiem produktem organizmu Wardena, tak jak przystosowanie kształtu ciała do warunków jest charakterystyczne dla Meduzy, a postrzeganie rzeczywistości dla Charona.

– Wiedziałeś, że pracują nad tym? – podpytywałem podejrzliwie.

– Owszem. – Skinął głową. – Jak ci już powiedziałem, byłem kiedyś osobą bardzo wpływową. Kilka osób związanych z tymi badaniami było katolikami i byli oni bardzo zaniepokojeni implikacjami teologicznymi swojej pracy, problemem duszy i tak dalej. Mówiąc szczerze, nie tylko ja sam, ale i cały kościół nie potraktował tego problemu z wystarczającą powagą. Rozumiesz teraz, co miałem na myśli, mówiąc o kosmologiach nie przystających do faktów?

Jego historyjka nie wyglądała mi na całkiem prawdziwą, znałem bowiem absolutną tajność tych badań, ale pominąłem tę sprawę milczeniem. Być może mój sojusznik nie mówił mi całej prawdy, ale przecież ja sam nie odkrywałem też wszystkich kart.

– Twierdzisz tedy, że nie chodzi ci o Kreegana – ciągnął, zmieniając kierunek naszej rozmowy. – W takim razie, o co ci chodzi? Cóż jest aż tak ważnego tutaj, że Konfederacja skłonna jest poświęcić jednego ze swych najlepszych ludzi, by zyskać informację, i jaka siła zmusza cię do dochowania wierności tej sprawie, skoro już się tutaj znalazłeś?

Opowiedziałem mu o obcej rasie, o przeniknięciu jej agentów do samego dowództwa i całą resztę. Wydawało mi się to najwłaściwszym posunięciem, a poza tym mógł przecież coś wiedzieć.

Kiedy skończyłem, westchnął tylko i powiedział: – Cóż... tak... obcy, hm? Wykorzystujący Czterech Władców... Bardzo zdolne bestie, musisz przyznać, żeby nas tak dobrze rozumieć.

Byłem rozczarowany. Jeśli ktoś oprócz łych na samej górze wiedział coś o obcych, to byłem pewien, że będzie to Bronz.

– Nic o tym nie słyszałeś?

– O tak, jakieś plotki – odparł. – Nie przywiązywałem do nich żadnego znaczenia, częściowo z powodu Kreegana. Różni się bowiem od pozostałych. Przybył tutaj na ochotnika z własnej i nieprzymuszonej woli, służąc przedtem dobrze i lojalnie przez całe życie Konfederacji. W odróżnieniu od innych, w jego przypadku motyw zemsty należy więc wykluczyć.

Zwątpiłem. Wszystko na próżno. Wszystko zmarnowane, ze mną włącznie. Bronz miał rację – to musiał być któryś z pozostałych Władców.

Jednak... czy rzeczywiście się nie mylił?



– To bardzo możliwe – przyznałem – ale czy wiesz, dlaczego zdrowy na umyśle człowiek, posiadający ponadprzeciętną inteligencję, tak jak Kreegan, miałby na ochotnika udać się w takie miejsce jak to? I czy można by takiego człowieka utrzymywać w pełnej nieświadomości spraw tak wielkiej wagi jak obcy, nawet jeżeli nie był w te sprawy zaangażowany od samego początku?

Bronz zastanowił się nad moimi słowami.

– Hm... Sugerujesz, że to być może, Kreegan jest tu główną figurą? Naturalnie, jest to możliwe. Załóżmy, dla przykładu, że człowiek taki jak on rozczarował się swoją pracą, zawiódł się na swoich pracodawcach i na systemie, który sam pomagał utrzymać. Załóżmy, że gdzieś przypadkowo spotkał tych obcych. To by wiele wyjaśniało. Wyjaśniałoby, na przykład, skąd ci obcy tak szybko tak wiele o nas wiedzieli i dlaczego potrafili wykorzystać światy Wardena. Kreegan byłby idealnym kandydatem na organizatora i kontrolera takiej operacji jaką opisałeś, ale wymagałoby to wiele czasu. Musiałby przecież piąć się na szczyt powoli, tak jak pozostali. Być może z obcą pomocą, niemniej i tak zajęłoby to dużo czasu. Potem, już z pozycji władzy, wprowadzałby w życie ich plany.

– Początkowo myślałem podobnie – powiedziałem. – Oznaczałoby to jednak, iż obcy są całkowicie pewni, że przez te wszystkie lata ich w ogóle nie zauważymy, i musieliby posiadać wyjątkową cierpliwość.

Bronz wzruszył ramionami.

– A może są tak cierpliwi. I czy udało się ich odkryć? Ileż natomiast oni się dowiedzieli, nim wreszcie złapano na gorącym uczynku jedna z ich fantastycznych maszyn. Wydaje mi się, że jeśli twoje przypuszczenie jest słuszne i są oni zbyt niepodobni do ludzi, by móc robić pewne rzeczy samodzielnie, i jeśli wiedzą, iż są dobrze ukryci i zamaskowani, to takie postępowanie jest najlepsze.

– Jedyna rzecz, która nie pasuje do tego eleganckiego obrazu – powiedziałem – to sam charakter Kreegana. Jest on znacznie ode mnie starszy, ale wywodzi się z takiego samego środowiska. Nasze życiorysy są w dużym stopniu podobne, nawet w punkcie dotyczącym wykonywanej pracy. Nie wyobrażam sobie, co takiego w Konfederacji mogłoby go aż tak bardzo rozczarować, że chciałby ją zniszczyć i poświęciłby tej sprawie całe swoje życie.

– Cóż, rzeczywiście, w tym, co mówisz, jest pewna racja – rzekł Bronz – ale nie tylko o to chodzi. W Konfederacji jest bardzo wiele rzeczy, którymi można się rozczarować. Możliwe, iż nie doceniasz Kreegana. Potrafię bez trudu wyobrazić go sobie jako zaangażowanego idealistę, zdecydowanego poświęcić wszystko dla sprawy. Na tej podstawie mogę sobie również wyobrazić człowieka poświęcającego się całą duszą takim właśnie planom i to nie dla zysku, ale dla krucjaty ideologicznej.

– Chyba jesteś szalony – powiedziałem mu. – Idealista pierwszy zmieniłby system panujący na Lilith. Przynajmniej pionkom powodziłoby się troszkę lepiej, a klasa rządząca zeszlaby o kilka szczebli niżej.

Ojciec Bronz roześmiał się i pokręcił głową.

– Biedaku, popatrzmy na Lilith w świetle tego, co powiedziałeś. System społeczny nie jest tutaj zdeterminowany jedynie władzą jednostki. Jest on zdeterminowany potrzebą podtrzymania na Lilith życia nietubylczego, do czego ta planeta nie była dostosowana. Organizm Wardena broni tutejszego ekosystemu – równowagi roślinnej i zwierzęcej, skał, bagien, powietrza i wody – przed zmianą. Walczy o zachowanie stanu równowagi. Totalnej. My jesteśmy tutaj obcymi, synu, i to tymi, których zrozumieć nie sposób. Posiadamy moc, to prawda, ale bardzo ograniczonej natury. Nie jesteśmy w stanie przekształcić tej planety, możemy jedynie przystosować siebie samych do warunków na niej istniejących. Nie pozwalają nam na nic innego stworzonka wardenowskie. Wyobraź sobie zrzucenie tutaj trzynastu milionów całkowicie niewłaściwych obcych.

Nie wiedziałem, do czego zmierzał, więc mu to powiedziałem.

– To takie proste – odparł. – A ty jesteś tak przyzwyczajony do technologii rozwiązującej wszelkie problemy, że nie potrafisz zauważyć, z czym tutaj mamy do czynienia. Cała historia ludzkości jest historią technologii i jej wykorzystywania do zmiany środowiska na takie, które by bardziej odpowiadało człowiekowi. I tak właśnie czyniliśmy. Na Ziemi zmienialiśmy bieg rzek, wykorzystywaliśmy, i słońce, i wiatr i wszystko, co tylko się dało, dla naszych celów. Niwelowaliśmy góry, kiedy nam przeszkadzały, a usypywaliśmy inne. Stworzyliśmy jeziora, wycięliśmy wielkie połacie lasów, oswoiliśmy całą planetę. A potem wyruszyliśmy do gwiazd i postępowaliśmy tak samo. Przekształcaliśmy planety na kształt Ziemi. Wykorzystywaliśmy inżynierię genetyczną. Przy użyciu naszej technologii zmienialiśmy całe planety; zmieniliśmy nawet samych siebie. Historia ludzkości to wojna ze środowiskiem zakończona jej zwycięstwem. Jednak na Lilith, synu – i tylko na Lilith – człowiek nie może wypowiedzieć wojny. Musi żyć w środowisku, które tu zastał. Na Lilith zwyciężyło środowisko. To była tylko jedna drobna potyczka, to prawda, ale zostaliśmy pokonani. Pobici. Nie potrafimy wygrywać. Możemy wybudować zamek, zmusić owady, by służyły nam za wierzchowce i zwierzęta pociągowe, ale będą to tylko drobne deformacje w środowisku, które zostaną natychmiast usunięte, jeśli nie będą stale podtrzymywane i wzmacniane.

– Bo widzisz, synu, dzięki organizmowi Wardena to Lilith jest tutaj szefem. Wszyscy tańczymy, jak ona nam zagra, wszyscy idziemy z nią na kompromis, lecz ona jest szefem. A przecież musimy nakarmić i dać schronienie trzynastu milionom ludzi. Musimy utrzymać trzynaście milionów intruzów na ziemi dla nich nie przeznaczonej i na której możemy dokonać jedynie drobnych, kosmetycznych zmian. Ktoś musi produkować żywność i ją transportować. Ktoś musi hodować i udomowić te wielkie insekty. Gospodarkę należy podtrzymywać, bo gdyby nagle zostawić te trzynaście milionów samym sobie, zjadły by one i wypiły wszystko, co się nadaje do spożycia, ogałając gaje melonowe. Walczyliby między sobą jak dzicy myśliwi i zbieracze, pozostając w najbardziej prymitywnych strukturach plemiennych, i przeżyłaby jedynie garstka najtwardszych.

– Rozumiesz teraz, synu? Nikomu nie sprawia uciechy ciężka praca tak niezbędna do utrzymania tego systemu, ale wskaż mi jakiś inny, który byłby równie skuteczny. Bez technologii skazani jesteśmy na siłę mięśni stosowaną na wielką skalę.

Byłem oburzony.

– Twierdzisz, że nie ma innego sposobu, by dokonać tego samego?

– Nie. Istnieje wiele sposobów, ale bardziej okrutnych i mniej skutecznych od tego. Może i jest lepszy sposób, lecz ja go nie znam. Podejrzewam, iż Kreegan widzi całą rzecz podobnie. Jestem pewien, że nie podoba mu się ten system, chociażby dlatego, iż przypomina on ten, który panuje w Konfederacji – o ile go właściwie oceniamy – ale w przeciwieństwie do Konfederacji, on, podobnie jak i ja, nie widzi lepszego.

Nie wierzyłem własnym uszom. Tak lekko podważać wiarę w podstawowe zasady.

– Co masz na myśli, mówiąc, iż ten system przypomina system obowiązujący w Konfederacji – rzuciłem ostro. – Ja nie dostrzegam żadnych podobieństw.

Ojciec Bronz parsknął pogardliwie.

– Wobec tego sam nie wiesz, co widzisz. Weź pod rozwagę tak zwane światy cywilizowane. Większość ludzi żyjących tam upodobniono do siebie ponad wszelką miarę. Na danej planecie wszyscy wyglądają tak samo, mówią tak samo, jedzą, śpią, pracują i bawią się prawie w identyczny sposób. Wszyscy są pionkami. Myślą tak samo. I wmawia się im, że są szczęśliwi, zadowoleni, na samym szczycie ludzkich osiągnięć, gdzie życie jest dobre dla wszystkich, a oni w to wierzą. To prawda, że są bardziej zadbani, że ich klatki są pozłacane, niemniej pozostają jedynie pionkami. Różnica polega tylko i wyłącznie na tym, że nasze pionki wiedzą, iż są pionkami i rozumieją działanie naszego systemu. Wasze cywilizowane światy są tak doskonale zaprogramowane, że wszyscy myślą to samo i nikomu nie wolno poznać prawdy.

– Życie tych pionków jest jednak bardzo wygodne – zauważyłem, nie chcąc mu przyznać racji, ale zgadzając się na użytą przez niego terminologię, dla dobra dyskusji.

– Wygodne? Możliwe. Jak życie kanarka. To taki mały ptaszek, żyjący w klatkach u ludzi, gdybyś o nim nie słyszał; naturalnie nie w świecie cywilizowanym, gdzie nie trzyma się zwierzęcych ulubieńców w domach. W każdym razie ptaszki te rodzą się w klatkach i w nich są karmione; ich klatki regularnie są sprzątane i czyszczone przez ich właścicieli. Nie znają innego życia. Wiedzą, iż ktoś zaspokaja ich wszelkie potrzeby, a nie znając innych potrzeb, niczego więcej nie oczekują. W zamian śpiewają wesoło i dotrzymują towarzystwa samotnikom z pogranicza. Żaden kanarek nie tylko że nie wyłamie się ze swojej klatki, ale nawet sobie nie wyobrazi, nie mówiąc już o zaplanowaniu i zrealizowaniu, lepszego życia. Nie jest on bowiem w stanie wymyślić czegoś takiego.

– To tylko zwierzęta – rzekłem. – Jak ta Sheeba.

– Owszem, zwierzęta – przyznał – ale taka jest właśnie ludzkość światów cywilizowanych. Zwierzętka domowe. Każdy posiada mieszkanie właściwych rozmiarów, odpowiednio umeblowane, odpowiednio pod każdym innym względem. Wyglądają tak samo, noszą takie same ubrania, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, wykonują prace, których celem jest utrzymanie systemu. Potem wracają do swych identycznych klitek, pogrążają się całkowicie w rozrywce, którą jest jakaś historyjka o ich własnym świecie, bez nowej myśli, pojęcia czy idei. Większość wolnego czasu spędzają pod wpływem narkotyków w jakimś szczęśliwym, beztroskim, wyimaginowanym świecie. Ich sztuka, literatura, zwyczaje i tradycje są odziedziczone po historycznych przodkach. Własnych nie posiadają. Zbyt ich zrównaliśmy; wyeliminowaliśmy tym samym miłość, ambicję i potencjał

twórczy. Kiedykolwiek bowiem narzuca się równość jako absolut, zawsze sprowadza się ją do najniższego wspólnego mianownika, a historycznie rzecz ujmując, najniższy wspólny mianownik w przypadku ludzkości był zawsze bliski zera.

– Ciągłe jednak czynimy postępy. – zauważyłem. – Ciągłe tworzymy nowe idee i wprowadzamy innowacje.

– Tak, to prawda – przyznał Bronz. – Zauważ jednak, synu, to nie jest zasługa światów cywilizowanych. Władcy światów zewnętrznych, rycerze, książęta i lordowie wiedzą, iż postęp nie może zaniknąć, bo wówczas znikną i oni, i ich władza. Dlatego właśnie mamy tereny pograniczne, obrzeża cywilizacji i hodowlę selektywną jednostek wybitnych – elitę, pracującą w zamkach światów zewnętrznych.

– Dobrze wiesz, że nie mamy ani takich tytułów, ani takich stanowisk – odparłem.

Roześmiał się głośno i rubasznie.

– Rzeczywiście nie macie! A kimże ty sam jesteś? Kim jest Marek Kreegan? A wreszcie ja sam? Czy wiesz, na czym polegała moja rzeczywista zbrodnia? Wprowadziłem ponownie do życia pionków nie tylko samą religię, ale również pojęcia miłości i duchowości. Dałem im coś nowego, pozwoliłem odkryć na nowo ich człowieczeństwo. A to już zagrażało samemu systemowi. Zostałem usunięty. Tak długo, jak byłem na rubieżach, niosąc pomoc i pociechę biedakom, wszystko było w porządku. Niech sobie kościoły działają. Kiedy jednak zacząłem czynić to samo na światach cywilizowanych... och nie, wówczas już byłem niebezpieczny. Należało mnie usunąć, bo mogłem osiągnąć coś, o czym nie wolno nawet myśleć. Mogłem przebudzić te pionki z ich narkotycznego otępienia i pokazać im, że nie muszą już być tresowanymi kanarkami, że mogą być istotami ludzkimi... tak jak ja, jak ty, jak klasa rządząca. I zostałem skarcony.

– Jak na człowieka tak krytycznego w stosunku do światów cywilizowanych, jesteś wyjątkowo wyrozumiały dla Lilith.

Wzruszył ramionami.

– To konieczność... przynajmniej tak długo, aż nie pojawi się ktoś z lepszym pomysłem i z władzą oraz wolą, by go narzucić. A tam... tam jest to niemożliwe. Tam człowiek jest panem środowiska, ale jednocześnie jest niewolnikiem klasy technokratów, która rządzi tak sprytnie, że niewolnik nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, iż jest niewolnikiem. A jeśli chodzi o wyrozumiałość? Czy ty nie grzeszysz jej brakiem, Cal? Czyż nie chciałbyś zmienić Lilith, a pozostawić bez zmian stare cywilizowane światy? Czyż nie jesteś dla nich nazbyt wyrozumiały? Synu, czasy wykonywania rozkazów twoich przełożonych już się skończyły. Teraz to ty nadajesz ton. Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale mamy tu do czynienia z fascynującym kontrastem. Tutaj, na Lilith, ciało człowieka pozostaje w niewoli, lecz on sam jest wolny w tym, co myśli, w miłości, w tańcu, w mowie, i tak dalej. Umysł jest wolny, choć ciało jest skrupowane łańcuchami... jak w większej części ludzkiej historii. Tam, skąd pochodzimy, to nie nasze ciało jest w niewoli, do diabła – lecz umysł właśnie. A teraz nikt już nie zniewala twojego umysłu, chłopcze. Użyj go więc, by rozwiązywać swe własne problemy, a nie problemy ci narzucone.

Wzdragalem się przed dalszą rozmową. Nie chciałem zastanawiać się nad słowami Bronza, bo jeśli bym utracił wiarę we własną kulturę i jej słuszność, nie pozostałoby mi już nic innego. Gorzej jeszcze, jeśli to on miał rację, to czymże było całe moje dotychczasowe życie? Ściganiem nie dostosowanych, wyłapywaniem tych, którzy mogliby rzucić wyzwanie systemowi, którzy mogliby sabotować czy wręcz obalić system będący oparciem dla cywilizowanego świata.

Jeśli to, co powiedział, było prawdą, wówczas ja sam byłem...

Kronlonem.

Czy taka jest prawda? zapytywałem sam siebie z niedowierzaniem. Jeśli tak, to czy zdarzyło się, że Marek Kreegan wyruszył pewnego dnia na poszukiwanie wroga i znalazł się twarzą w twarz z samym sobą?

Jaki on jest, Vola?

Podobny do ciebie, Calu Tremonie. Bardzo podobny do ciebie.

## Rozdział szesnasty

### SUMIKO O'HIGGINS I SABAT CZAROWNIC

Drugiej nocy, kilka godzin po zapadnięciu ciemności, dotarliśmy na miejsce spotkania. Do tego momentu zdawałem się całkowicie na ojca Bronza, teraz jednak chciałem uzyskać choć trochę informacji.

– Kim są ci... dzicy? – spytałem. – I co mogą dla nas uczynić?

– Cał, dzicy, prawie wszędzie gdzie ich spotkałem, są dzikimi tylko dla mieszkańców dziedzin. W rzeczywistości to nieudacznicy; ludzie dysponujący nie szkoloną mocą, ludzie nie posiadający żadnej mocy, lecz nie godzący się na spędzenie całego życia przy pracy na polach, banici polityczni, jak ty sam, i naturalnie ich potomstwo. Wybrałem tę grupę ze względu na ich siłę. Są silni i bardzo uzdolnieni, choć nieco anarchistyczni.

– Powiedziałeś przecież, że anarchia byłaby tu nieskuteczna – przypomniałem mu zadowolony, że i mnie udało się wreszcie zdobyć jakiś punkt.

– Bo nie jest – odpowiedział zupełnie nie zbity z tropu. – Szczególnie na większą skalę. Nawet i na małą, ale można pozwolić, żeby ludzie wierzyli, iż żyją w anarchii, jeśli tego pragną. Na bardzo małą skalę mogą być prawdziwymi dzikusami, ale wtedy spotyka ich los wszystkich prawdziwych dzikich. Umierają młodo i przeważnie śmiercią gwałtowną. Nie, ci ludzie posiadają i organizację, i potężnych przywódców, tyle że są... hm, troszkę nieortodoksyjni.

Powiedziawszy to, ojciec Bronz przeżegnał się, a było to dla mnie tak dziwne, że musiałem koniecznie dowiedzieć się, dlaczego. Do tej pory bowiem tylko dwukrotnie widziałem go czyniącego znak krzyża: kiedy dojeżdżaliśmy do blokady na drodze i tuż po jej minięciu.

– Czy to oznacza, iż są niebezpieczni?

Skinął głową.

– Bardzo. Można by powiedzieć, że my, to znaczy oni i ja, zajmujemy się tym samym. Jesteśmy dla siebie konkurencją.

– Jakiś inny kościół?

– W pewnym sensie, tak. – Zachichotał. – Są do mnie w opozycji i nie masz pojęcia, jak bardzo mnie irytuje fakt, iż muszę korzystać z ich pomocy, nie mówiąc już o tym, że muszę im zaufać. Bo widzisz, to są czarownicy i oddają cześć szatanowi.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu.

– Czarownicy? Och, daj spokój.

– Czarownicy – potwierdził z powagą. – Nie rozumiem, dlaczego to cię tak dziwi. Załóżmy, iż masz skłonności do magii i romantyzmu. Spójrz na Lilith. Zepsuty raj. Zamiast organizmów Wardena, wzorów matematycznych, katalizatorów chemicznych i wszystkich tych naukowych pojęć, które przyjmujemy jako oczywiste, weź tylko jedno, jedyne słówko: magia. Klasy wyższe, dysponujące mocą, staną się wówczas magami, czarodziejami, czarownikami. Czy wykorzystanie organizmu Wardena, jak w przypadku tego fotela, o którym mi opowiadałeś, jest zjawiskiem naturalnym? A może raczej „czarodziejskim zaklęciem”? Ty wiesz, co „napędza” ten świat i ja to wiem, ale czy wie o tym większość tutejszych mieszkańców? Czy bez tej wiedzy nie jest to świat czarów i zaklęć magicznych?

Doskonale go rozumiałem, niemniej nie poprawiło mi to samopoczucia.

– Oddajemy się w ręce i na łaskę ludzi, którzy w to wszystko wierzą?

Skinął głową.

– Musisz więc bardzo na siebie uważać. Robią to głównie dlatego, iż sprawia im wiele uciechy fakt, że ksiądz prosi o przysługę satanistów. Jednak oni w to rzeczywiście wierzą i nie wykazują się zbytnim poczuciem humoru, jeśli chodzi o te sprawy. Są wśród nich tacy, którzy mogliby cię bez trudu usmażyć; pilnuj tedy swojego języka.

Zamilkłem. Niezależnie od tego w jakie nedorzeczności wierzyli ci ludzie, niezależnie od tego, jak absurdalne mogły mi się one wydawać, byli oni moją jedyną nadzieją.

Czekaliśmy więc na satanistów.

Pojawili się, nim zdołaliśmy odkryć ich obecność. Siedzieliśmy sobie obok wozu, rozluźnieni i pełni nadziei, że jedna z tych częstych i gwałtownych burz, jakie występują na Lilith, wisząca nad horyzontem tym razem nas ominie, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, iż otacza nas milczący krąg ludzki. Zerwałem się na równe nogi i przyjąłem postawę obronną, ale uspokoiłem się, widząc, że Bronz nie wygląda na zaniepokojonego.

Krąg tworzyło kilkanaście kobiet; choć niektóre miały w sobie coś z cywilizowanego świata, to otoczenie sprawiało, że wyglądały całkiem odmiennie. Włosy miały krótko obcięte, a ich twarze i skóra były ogorzałe jak u pionków, chociaż kobiety te pionkami nie były. Ubrane były w króciutkie spódniczki, wykonane, jak mi się wydawało, z jakichś mocnych liści i podtrzymywane przez powrozy

misternie splecione z winorośli. W pętli takiego powrozu każda z nich nosiła jakąś broń – zauważyłem kamienny toporek, nóż wyrzeźbiony z jakiegoś minerału, a co najmniej u dwóch łuki i strzały z grotami z krzemienia.

Jedna z nich, wysoka i przystojna, różniła się od pozostałych długością włosów; sięgały jej one niemal do kolan. Najwyraźniej była przywódczynią tej grupy i promieniowała charyzmatyczną pewnością siebie, którą omal wyczuwało się fizycznie. I bez tego zresztą zdominowałaby każdą scenę, na jakiej by się pojawiła; przy wzroście przekraczającym dwa metry była prawie tak wysoka jak ja.

– Kogóż my tutaj widzimy? Ojciec Bronz – odezwała się głosem głębokim i pełnym. – A to jest ten zbieg w tarapatach.

– Popatrzyła na mnie i poczułem się, jak gdyby oglądał mnie jakiś naukowiec niezbyt zachwycony zapachem i wyglądem okazu. Zwróciła się do księdza. – Mówiłeś coś o dziewczynie. Czyżby to było tylko kłamstwo papisty?

– Och, dajże pokój, Sumiko – powiedział Bronz. – Znasz mnie przecież dobrze. Dziewczyna jest na wozie.

Wystarczył jeden ruch głowy, by trzy kobiety podbiegły do wozu, usunęły słomę, którą Ti była przykryta, a ją samą delikatnie zdjęły i ułożyły na ziemi.

– To sukinsyny – parsknęła przywódczyni w autentycznym gniewie, podchodząc do nieprzytomnej dziewczyny. Potem uczyniła to samo co Bronz, kiedy ją po raz pierwszy zobaczył w tym stanie: położyła dłonie na czole Ti i skoncentrowała się. Po chwili odjęła dłonie, cofnęła się, otworzyła oczy i obróciła się przodem do nas.

– Który bękart to uczynił? – warknęła.

– Pohn z Zeisu – odparł Bronz znużonym głosem. – Słyszałaś różne historie, więc teraz wiesz, że są prawdziwe. Skinęła z powagą głową.

– Przrzekam, że pewnego dnia dostanę tego nędznego robaka w swoje ręce i powoli, bardzo powoli rozerwę go na kawałki.

– Czy możesz pomóc jej? – wtrąciłem zatroskany i zirytowany również faktem, że, jak do tej pory całkowicie mnie zignorowano.

Pokiwała głową w zamyśleniu.

– Sądzę, że tak. Trochę. Mogę przynajmniej przywrócić jej przytomność, istnieje jednak możliwość powstania skrzepów i uszkodzenia mózgu, jeśli nie doprowadzimy jej do lekarza... prawdziwego lekarza, takiego, który wie co należy naprawić. Z rzuconego zaklęcia widzę, że Pohn jest mniej potężny ode mnie, ale jest bardzo sprytny i podstępny.

Wskazała nam ręką kierunek i ruszyła naprzód. Kobiety umieściły Ti z powrotem na wózku, a



jedna wskoczyła na miejsce woźnicy, nie odzywając się ani słowem. Wóz ruszył za królową czarownic – jakoś nie mogłem myśleć o niej inaczej – a my za wszystkimi zagłębiliśmy się w busz.

W czasie marszu, Bronz zwrócił się do mnie i powiedział cicho:

– No i poznałeś ją. Sumiko O’Higgins, główną czarownicę i czarującą damę.

– Ona jest... imponująca – odparłem.

– Niewątpliwie – zgodził się. – Poza tym jest silna. Jeśli tylko można pomóc Ti, to ona jest osobą, która to potrafi.

– Chyba nie zrobiłem na niej najlepszego wrażenia – zauważyłem. – Nie była mną zachwycona.

Bronz zachichotał.

– Sumiko nie przepada za mężczyznami. Nie przejmuj się jednak. To tylko interesy, nic więcej.

Nie uspokoił mnie.

– Czy naprawdę mi pomoże? – nalegałem. – Właściwie, ma nas w tej chwili w swej mocy.

– Nie przejmuj się – powtórzył – jesteś całkowicie bezpieczny. Satanistki, co jest dość zaskakujące, cenią sobie bardzo swój honor. Nie łamią umów i nie wycofują się ze zobowiązań. Poza tym ona sama nienawidzi dziedzin bardziej niż ktokolwiek, kogo znam, a ty przecież jesteś uciekinierem poszukiwanym listem gończym przez ich władze. To nadaje ci tu pewien status.

– Mam nadzieję – powiedziałem bez przekonania. – A kim ona jest? Chyba co najmniej panem.

Skinął głową.

– Prawdopodobnie stoi jeszcze wyżej. I to bez żadnego formalnego przeszkolenia. Gdyby takowe przeszła, pewnie mogłaby zostać władcą, lecz to nie odpowiadałoby jej osobowości.

Przez jakiś czas szliśmy, tracąc z oczu i wózek, i drogę i wszystko, co było w jakimś stopniu nam znane i bliskie. Byliśmy, prawdę mówiąc, więźniami zależnymi od kaprysu królowej. Miałem nadzieję, że Bronz nie myli się, jeśli o nią chodzi, a jednocześnie pamiętałem jego znak krzyża i modlitwę. Jak dotąd była to jedyna istota, której ojciec Bronz się lękał.

Maszerowaliśmy dość długo – nie potrafię określić dokładnie, bowiem wyjątkowo wydłużone dni i noce Lilith całkowicie rozstroiły moje wyczucie czasu. W końcu dotarliśmy jednak do obozowiska naszej przewodniczki, enklawy pośród dżungli różnej od wszystkich dziedzin na tej planecie. Domy nie były wykonane z buntki, ale z solidnego drewna i przypominających bambus trzciny, a ich dachy ze słomianej strzechy. Układ domów był trochę zaskakujący: trzymał się z nich ustawionych było dookoła polany, w środku której znajdował się dół, palenisko i jakiś kamienny kopiec. Mieszkańcy wioski prowadzili nocny tryb życia; kiedy do niej weszliśmy panował tam ożywiony ruch i zauważyłem, że mieszkańców – a właściwie mieszkanek, bowiem były to same

kobiety – było więcej, niż się spodziewałem – około sześćdziesięciu, a może nawet i jeszcze więcej. Brak mężczyzn wzmógł jedynie moją nerwowość.

Wózek dotarł tutaj przed nami, jakąś inną trasą. Kobiety zajmujące się swoimi sprawami przy migotliwym świetle centralnego ogniska i kilku latami z tykwy, napełnionych łatwopalnym sokiem, nie zwróciły na nas szczególnej uwagi. Kilka z nich spojrzało na nas bez większego zainteresowania, i to wszystko. Zauważyłem, iż większość kobiet była naga i niczym nie przystrojona, co oznaczało zapewne ich przynależność do pionków. Najwyraźniej, wszystkie liczące się członkinie plemienia, na poziomie nadzorczy i wyższym, wyszły nam na spotkanie, co świadczyło o tym, iż były pewne bezpieczeństwa wioski, natomiast nie miały zbyt dużego zaufania do nas.

Przywódczyni zawołała coś do kilku kobiet, a te przekazywały jej polecenia. Doszliśmy z ojcem Bronzem do wniosku, że nie jesteśmy w tej chwili nikomu potrzebni, stanęliśmy więc na uboczu, obserwując co się będzie działo.

W centralnym punkcie wioski, w pobliżu ogniska, odsłonię – to duży kamienny blok, w którym znajdowało się coś na kształt wykutej niszy. Wyglądał on jak skrzyżowanie poidła dla ptactwa z kamiennym stołem wprost z gabinetu osobliwości doktora Pohna. Podsycono ogień i przyniesiono Ti, umieszczając jej bezwładne ciało w niszy kamiennego bloku. Dwanaście kobiet, z których dziesięć było niewątpliwie pionkami, utworzyło krąg wokół nieprzytomnej dziewczyny, zasłaniając ją prawie całkowicie przed naszym wzrokiem.

Zwróciłem się do Bronza i spytałem:

– Co się tu, u diabła, dzieje?

– To właśnie, co u diabłów, czyli piekło – westchnął. – Zamierzają wydobyć Ti ze stanu, w jakim się znajduje, a ponieważ są satanistkami ubiorą to w formę religijnej ceremonii. Trudno ci znieść coś takiego, ale kobiety te nie są złe, a jedynie błędzą, ja zaś jestem pragmatykiem. Sumiko jest jedyną osobą, jaką znam, która posiada tak wielką moc i nieco wiedzy medycznej, a która nie jest nam wroga i znajduje się względnie blisko, by móc nam przyjść z pomocą.

Wzruszyłem ramionami. Satanizm i katolicyzm były mi jednakowo obojętne jako pozostałości starożytnych przesądów i struktur władzy zupełnie nieaktualnych w czasach współczesnych. Niemniej powiedziałem sobie, jeśli ten bełkot pozwoli im na lepszą koncentrację i skupienie mocy w celu przyścia z pomocą Ti, niechże i tak będzie.

Dwanaście kobiet rozpoczęło śpiewy. Nie mogłem zrozumieć słów. Jeśli w ogóle były tam jakieś słowa, to w języku, którego nie znałem.

Śpiewały jakiś czas, aż zaczęło mnie to trochę nudzić, i kiedy zdecydowałem się już przyjąć wygodniejszą pozycję i rozluźnić się nieco, z jednej z chat wyszła Sumiko O'Higgins. Wyglądała imponująco w czarnych szatach, czarnej pelerynie i z wiszącym na jej piersi, na naszyjniku z winorośli, rzeźbionym, zaczepionym odwrotnie krzyżem.

Kiedy zbliżyła się do kręgu śpiewających kobiet, ogień, który prawie już wygasł, wystrzelił

ponownie w górę – sam z siebie, co mnie wielce zaskoczyło. Efekt był niesamowity, tym bardziej że wiedziałem, iż organizmy Wardeny ginęły w ogniu jak wszystko, co żywe, a więc nie mogła to być żadna sztuczka związana z mocą Wardeny.

O’Higgins zamknęła krąg swoją osobą i przyłączyła się do chóru, po czym zamknęła oczy i wyciągnęła ramiona ku niebu, sprawiając przy tym wrażenie, jak gdyby znajdowała się w transie. Śpiew ucichł nagle i słychać było jedynie głosy wszechobecnych owadów Lilith. Nie słyszałem nawet oddechów.

– O Szatanie, panie ciemności, wysłuchaj naszej modlitwy! – zaintonowała.

– Zbierzcie się, ciemności! – odpowiedziały jej pozostałe kobiety.

– O wielki, który zwalczasz totalitaryzm kościoła i rządu, wspomóż nas i wysłuchaj naszych próśb!

– Wysłuchaj naszych próśb – powtórzyły pozostałe.

Otworzyła oczy, opuściła powoli ramiona i położyła dłonie na nieruchomej głowie Ti.

– Daj nam moc uleczenia tej dziewczyny – modliła się, po czym ponownie zamknęła oczy i ciągle dotykając głowy Ti, pogrążyła się w transie.

Trudno mi było powiedzieć, czy był to rzeczywiście trans, czy pozorowała jedynie ten stan. Zaczynałem odczuwać pewne wątpliwości w związku z tą ceremonią, ale tak przecież nie miałem innego wyboru. Spojrzałem na ojca Bronza i zobaczyłem, iż przygląda się on temu, co się dzieje, kręcąc ze smutkiem głową.

Kobiety znajdujące się na polanie znieruchomiały, a ja doszedłem do wniosku, iż niezależnie od ich przedziwnych wierzeń, O’Higgins, a może i kilka innych kobiet, w tej chwili sonduje, analizuje lub nawet naprawia ciało Ti.

Nagle królowa czarownic cofnęła się i ponownie uniosła w górę ramiona.

– O szatanie, książę ciemności, prawowity królu wszechświata, składamy ci dzięki! – niemal wykrzyczała, a słowa jej zostały powtórzone przez resztę obecnych.

Ogień wystrzelił ponownie oślepiającym blaskiem, po czym przygasł prawie zupełnie, powodując takie odczucie, jak gdyby zbliżyła się do nas materialna ciemność, która ogarnęła nas wszystkich i tę wioskę. Poczułem chłód, mimo upału i wilgotności. Byłem w stanie zrozumieć teraz, dlaczego tego rodzaju sprawy mogą przyciągać zwolenników.

– Z jasności w ciemność, a z czarnej wiedzy ostateczne zwycięstwo – zaintonowała i nastąpiła nagła przerwa, jakby na dany przez kogoś sygnał. Trzydzieści kobiet stało na chwiejących się nogach, jak gdyby wykonały jakąś ciężką fizyczną pracę.

O’Higgins odzyskała błyskawicznie siły, podeszła do nieruchomej postaci Ti i ponownie

położyła dłonie na jej głowie. Skinęła głową i poleciła zanieść Ti do jednej z chat. Kiedy wykonywano jej rozkazy, odwróciła się i podeszła do nas.

– Cóż, Bronz, twoja strona nie była w stanie nic uczynić – zauważyła.

Bronz wzruszył ramionami.

– Zrobiłaś wszystko, co konieczne?

– Naprawiłam, co mogłam – przyznała – ale jak ci już przedtem powiedziałam, ten cholerny rzeźnik jest sprytny i sprawny. Będzie się teraz czuła dobrze, a właściwie nawet lepiej niż dobrze, chociaż musiałam ominąć wicie z węzłów zadziergniętych przez Pohna i stworzyć drogi alternatywne, które mogą nie wytrzymać obciążenia. Będzie bardzo pobudzona; będzie się jej wydawać, że może góry przenosić, podczas gdy w rzeczywistości będzie bardzo słaba i potrzebne jej będą ćwiczenia i regularne posiłki, a i tak obawiam się, iż nasza pomoc nie jest ostateczna.

– Chcesz przez to powiedzieć, że powróci do poprzedniego stanu?

– Nie zapominaj, jak działa ten system – powiedziała. – Organizmy Wardena tylko pewne stany uważają za stany naturalne. Ci, którzy dysponują mocą, potrafią je przekonać, że w rzeczywistości chcą one zupełnie czego innego... i to właśnie uczynił Pohn. Organizmy Wardena w jej organizmie chcą wprowadzić ją w poprzedni stan, ponieważ on wmówił im, iż jest to stan normalny. Ominęłam blokadę nerwów, wykorzystując te części mózgu, których normalnie nie używamy, ale organizmy Wardena postrzegą to moje działanie jako uraz, taki jak na przykład złamanie ręki. Pospieszają, by to naprawić. Będą usiłowały zlikwidować skutki moich działań i ostatecznie bariery ustawione przeze mnie zostaną przełamane. Do całkowitego wyleczenia potrzebny jej jest specjalista od mózgu, i to przynajmniej klasy Pohna, albo i lepszy.

Zmarszczyłem brwi.

– Jak długo tedy będzie... przebudzona?

– Kilka dni, może tydzień. – Wzruszyła ramionami. – Nie więcej. Będzie to proces powolny, więc trudno powiedzieć dokładnie.

Jęknąłem aż z frustracji i rozczarowania.

– To po diabła było potrzebne to wszystko? Kto będzie w stanie ją ostatecznie uleczyć w tak krótkim czasie?

Spojrzała na mnie zaskoczona nieco moim tonem.

– Naprawdę tak ci na niej zależy? Na tej małej kobietce?

– Tak, zależy mu – wtrącił się Bronz, ratując mnie tym samym przed wypowiedzeniem nieprzyjemnych słów pod adresem naszej gospodyni. – Uciekł z Zeis, a ucieczka ta byłaby o wiele łatwiejsza, gdyby jej nie zabrał ze sobą. Dźwigał ją wszędzie, mył i karmił.

Spojrzała na mnie ponownie, tym razem jednak skłaniając lekko głowę. Po raz pierwszy poczułem, że uzyskałem u niej status istoty ludzkiej.

– Jeśli ona tyle znaczy dla ciebie – zwróciła się bezpośrednio do mnie – to może da się coś zrobić. Jest tylko jedno miejsce, co do którego mam pewność, że poradzą tam sobie z takim zadaniem, ale znajduje się ono dość daleko.

– Dziedzina Moab – dodał ojciec Bronz, kiwając głową. – Tak podejrzewałem. Ale leży ona aż cztery tysiące kilometrów stąd, Sumiko! Jak, na litość boską, moglibyśmy tam dotrzeć w czasie krótszym niż rok? Nie wspominając już o Tremonie, któremu potrzebne jest pełne szkolenie.

Uśmiechnęła się złośliwie.

– Tylko nie „na litość boską”, Augie. A odpowiedź jest oczywista – polecimy. Besil potrafi przelecieć trzysta do czterystu kilometrów w ciągu nocy, odpoczywając za dnia, tak więc mówimy tutaj o dziesięciu mniej więcej dniach. Czy to możesz za akceptować?

– Besile! – zawołał drwiąco Bronz. – Odkąd to macie dostęp do udomowionych besili zdolnych przenosić pasażerów?

– W tej chwili... nie mamy – przyznała. – Jeśli jednak będą nam potrzebne, bez większego wysiłku uzyskamy je ze stada w dziedzinie Zeis.

Aż podskoczyłem.

– Co takiego?

Wzruszyła ramionami.

– Albo ty gdzieś popełniłeś błąd, Augie, albo on. To nieważne. W każdym razie jesteśmy w tej chwili częściowo okrążeni przez wojsko Zeisu i spodziewam się ich ataku o świcie, kiedy będą w stanie widzieć, co się dzieje.

Odwróciłem się błyskawicznie i zdenerwowany wbiłem wzrok w ciemność. Kiedy zauważyłem, że żadne z nich nie wydaje się szczególnie zaniepokojone wieściami, moje napięcie jeszcze wzrosło.

Odwróciłem się do ojca Bronza, który stał z przekrzywioną głową nasłuchując. Wreszcie odezwał się:

– Ilu ich jest według ciebie?

– Nie więcej niż dwudziestu czy trzydziestu – odparła od niechcienia. – Przypuszczam, że ktoś udał się po posiłki, ale i tak Artur nie zaangażuje tutaj więcej niż jakiś drobny ułamek swych sił. Jacyś inni rycerze mogliby wpaść na pomysł skorzystania z takiej okazji i zaatakować Zeisu.

Bronz pokiwał potakująco głową.

– Wobec tego będziemy mieli do czynienia z jakąś czterdziestką, czyli jedną piątą jego sił. Zgadza się. Czterdziestu uzbrojonych ludzi, prawie na pewno sam Artur i, powiedzmy, dwóch panów?

– To by się mniej więcej zgadzało. – Skinęła głową.

– Jedną chwileczkę! – wybuchnąłem. – Może dla was to nieistotne, ale im chodzi o dziewczynę i o mnie! Nie możecie przecież walczyć z taką siłą!

Sumiko O’Higgins pokręciła głową z obrzydzeniem.

– No proszę, mamy tu prawdziwego mężczyznę! Idź lepiej i zaszyj się w jakiś kąt, możesz nawet się zdrzemnąć, a zmartwienia zostaw już mnie.

– Ale... ale... oni są świetnie wyszkolonymi żołnierzami, wszyscy co najmniej w randze nadzorców. Jest wśród nich więcej panów, niż wy macie tutaj! – wykrztusiłem. – W jaki sposób możecie ich pokonać?

– Nie przejmuj się tym – odparła pogardliwie. – My, ojciec Bronz i ja, mamy wiele do zrobienia jeszcze przed świtem. Dobrze, że ci miłujący Boga i my sataniści potrafimy się dogadać w sprawie wspólnego przedsięwzięcia – dodała. – Ateiści, pluj!

Ojciec Bronz odezwał się do mnie swoim najbardziej uspokajającym tonem:

– Ona doskonale wie, co robi, Cal.

Uwierzyłbym mu bez zastrzeżeń, gdyby nie wyszeptane na końcu zdania: „mam nadzieję”. Zostałem więc na miejscu, bez najmniejszej ochoty na sen, a zza każdego krzaka i zza każdego drzewa patrzyła na mnie w ciemności groźna, wąsata twarz pana Artura.

## Rozdział siedemnasty

### WIERZĘ W CZAROWNICE – NAPRAWDĘ!

Nie ma chyba potrzeby mówić, iż niewiele spałem tej nocy. Wyglądało na to, że nie spała cała wioska, ale wszystkie jej mieszkanki były ekspertkami, jeśli chodzi o ignorowanie obecności kogoś, kogo nie chciały widzieć, a ja w ich oczach byłem nikim.

Pozostawało mi jedynie sprawdzanie od czasu do czasu, co dzieje się z Ti i kiedy zajrzałem do niej po raz trzeci czy czwarty, stwierdziłem, iż oddycha głęboko i regularnie jak podczas normalnego snu, a w pewnym momencie jęknęła i zmieniła pozycję bez niczyjej pomocy. Samo to nadawało już sens temu całemu przedsięwzięciu, pod warunkiem naturalnie, że uda mi się przeżyć następny dzień.

Chociaż niewiele wiedziałem o czarach, a jeszcze mniej pamiętałem, udało mi się wyciągnąć kilka wniosków z tego, co zauważyłem wokół siebie. Trzynastka, liczba pechowa związana z liczbą uczestników Ostatniej Wieczery, była naturalnie liczbą szczęśliwą dla czcicieli diabła. Trzynaście kobiet tworzyło jedną grupę, co wyjaśniało ich liczbę podczas niedawnej ceremonii. Trzynaście dużych chat, chociaż liczba kobiet mieszkających tu wspólnie była znacznie większa. Nigdy nie udało mi się ich policzyć, ale gotów byłbym się założyć, że ich liczba jest wielokrotnością trzynastu.

Czarownica, naturalnie, była terminem odnoszącym się do osób płci żeńskiej. Jeśli stare baśnie dla dzieci cokolwiek znaczyły, to męski odpowiednik czarownicy zwany był czarownikiem, ale z nieznanych mi powodów, słowo to wyszło już prawie z użycia. Podobno byli oni bardziej złośliwi, lecz mniej potężni od czarownic. Przypomniało mi się, iż w kościele ojca Bronza duchownymi w zasadzie mogli być jedynie mężczyźni, co w jakiejś mierze wyjaśniałoby dominację kobiet w satanizmie; jednocześnie przypomniały mi się słowa doktora Pohna, który twierdził, iż kobiety mają predyspozycję do posiadania większej mocy, szczególnie mocy nie kontrolowanej. Zastanawiałem się nad hierarchią władzy na Lilith. Ile było kobiet pośród rycerzy? Ciekawe. Połowa? Większość? Mimo iż to Tiel był rycerzem w Zeis, to jednak uczyła mnie Vola, tak jak uprzednio szkolila Artura i Marka Kreegana. Nagle dotarł do mnie fakt, iż olbrzymia część personelu zamku to kobiety i że pierwszy pan, którego spotkałem tuż po przybyciu na Lilith, to również była kobieta, podobnie jak co najmniej połowa żołnierzy Artura.

Nawet w tej mojej małej próbie statystycznej, kobiety miały liczbową przewagę nad mężczyznami. Możliwe, że perwersja nie była jedynym powodem, dla którego w swoich

eksperymentach Pohn ograniczał się do dziewcząt.

Rozejrzałem się ponownie wokół, patrząc na te... czarownice. Odrzućmy tę całą religijną i kultową otoczkę, tę etykietkę „dzikich” i całą resztę, i spójrzmy, co nam pozostanie. Ich przywódczyni posiadała mocy aż nadto – Bronz powiedział, że byłaby w klasie Kreegana, gdyby przeszła przeszkolenie, ale ja sam dobrze wiedziałem, iż taka moc, nawet nie szkolona, może być olbrzymia, jeśli ma podłoże emocjonalne, a nienawiść była w takich sprawach najlepszą z emocji. Sumiko O’Higgins nienawidziła dziedziny Zeis, choćby dla zasady – Zeis to między innymi Pohn, a Pohn skrzywdził Ti, kobietę.

A te inne... Choć większość z nich wyglądała na pionki, czy były nimi rzeczywiście? Było tu coś, czego nie dostrzegałem, chyba że szatan, księżę ciemności, naprawdę maczał w tym wszystkim palce. Coś bowiem zapewniało bezpieczeństwo temu kuszącemu celowi dla wszystkich dziedzin, do tego stopnia, że O’Higgins ośmieliła się wybierając się na spotkanie z nami, zabrać ze sobą najpotężniejsze współtowarzyski.

Zbliżał się świt, a ja stawałem się coraz bardziej nerwowy. O’Higgins i ojciec Bronz spędzili całą noc na przygotowywaniu jakichś planów – dziwna zaiste para – i w końcu ksiądz opuścił chatę i podszedł do mnie.

– Wyglądasz okropnie – powiedział.

– Sam nie wyglądasz zbyt rzeško – odrzekłem ponuro. – Jak mogłeś sądzić, iż mógłbym się wyspać w takiej sytuacji?

Usiadł ociężale.

– Potrzebna mi mocna herbata, żeby się dobudzić – mruknął pod nosem bardziej do siebie niż do mnie. – Coś wymyśliła. Muszę jej to przyznać. Nie wiem, czy to zadziała, ale jeśli tak, to będzie to prawie rewolucyjne rozwiązanie. Nie, ono jest rewolucyjne.

Gapiałem się na niego, nic nie rozumiejąc.

– Gadaj. O co tu chodzi?

– Pamiętasz naszą rozmowę na temat równowagi panującej na Lilith? Cóż, wygląda na to, iż posiada ona coś, co tę równowagę potrafi naruszyć, przynajmniej w jakimś niewielkim stopniu.

– Co masz na myśli? – Zmarszczyłem brwi.

– Widzisz te niewiasty? Wszystkie są dziewicami, czy w to uwierzysz czy nie, przynajmniej jeśli chodzi o współżycie z mężczyznami. Wszystkie też wykazywały się silnym nie kontrolowanym talentem w okresie dojrzewania, choć większość z nich powracała w zasadzie do statusu pionków po kilku miesiącach.

– Nie wmówisz mi, że O’Higgins jest dziewicą – wtrąciłem.



– Trudno powiedzieć. – Zachichotał. – Wątpię, czy kiedykolwiek poszła do łóżka z mężczyzną, jeśli to miałaś na myśli, a to jedynie byłoby istotne w tej sytuacji. Być może jest coś w tej starej legendzie mówiącej, iż dziewice mają większą moc magiczną, w czysto biologicznym sensie, to znaczy w tym obowiązującym na Lilith. Być może nie doszło u nich do jakichś drobnych zmian chemicznych. Nie wiem. Tak przynajmniej sądzi Sumiko, która zebrała dość dużą grupę tych dzikusiek. Możliwe, iż jest ona trochę szalona, ale na pewno nie jest głupia. Kiedyś sama była niezłym biochemikiem na Zewnątrz, więc nie lekceważ jej z powodu tych jej szalonych wierzeń. W każdym razie, kiedy ją zesłano na Lilith, bardzo krótko pozostawała pionkiem. Zbyt gorąca krew. Tak się kiedyś wściekła, że nie tylko usmażyła swojego nadzorcę, ale wymaszerowała z dziedziny, świecąc mocą Wardena jak jakieś ognie sztuczne, i zabijając każdego, kto wszedł jej w drogę.

– Bez katalizatora? – spytałem z niedowierzaniem.

– Bez. – Pokręcił głową. – Teraz już wiesz, co miałem na myśli. Przebywała jakiś czas na dzikich terenach, nim odkryła tę substancję. Była nie tylko biochemikiem, Cal... była również botanikiem. Zabrało jej to kilka miesięcy, ale wreszcie odkryła katalizator i wypracowała metodę jego destylacji. Jak tego dokonała bez instrumentów, bez narzędzi, bez laboratorium, a nawet bez tych urządzeń, które znajdują się w każdej dziedzinie, nie wiadomo... powiedziałbym, że odwagą i siłą woli. Cal, nie wiem, co ona uzyskała, ale nie jest to ta dobra, czysta substancja, z którą ty i ja mieliśmy do czynienia, nie jest więc zapewne równie skuteczna, ale bez wątpienia działa. Zebrała te wszystkie kobiety, kiedy były jeszcze bardzo młode, kierując się przy wyborze ich potencjalnym talentem... i, jak podejrzewam, ich seksualnymi preferencjami. Potrafi dobierać odpowiednie dawki tej substancji dla każdej z kobiet indywidualnie. Potrafi obudzić ich nie kontrolowaną moc. Wykorzystuje przy tym wierzenia kultowe i stosuje odpowiednią dyscyplinę, by je ukształtować i ukierunkować. – Westchnął. – Wiesz, za godzinę lub dwie, Artura może spotkać spora niespodzianka.

Myślałem o jego słowach i czerpałem z nich nadzieję, ale im dłużej o nich myślałem, tym bardziej uzmysławiałem sobie ich długoterminowe implikacje.

Pionki nie żyły w celibacie – Ti, na przykład, nigdy nie kwalifikowałyby się, by zostać czarownicą w tej grupie – ale jeśli O’Higgins rzeczywiście posiadała tę substancję, to oznaczało to, iż dysponuje czymś równym, przynajmniej w tutejszych warunkach, sile bomby wodorowej.

– Bronz, ile ona ma tutaj kobiet?

Odpoczywał i przez moment sądziłem, że śpi. Otworzył jednak jedno oko.

– Trzydzieści trzy. A czego się spodziewałeś? Sto sześćdziesiąt dziewięć kobiet, pomyślałem sobie. Wszystkie dobrane przez kogoś, kto wiedział, co robi i czego chce. Wszystkie z oczywistym nie kontrolowanym talentem i z małym chemicznym dodatkiem, służącym do obudzenia ich ukrytej mocy; wszystkie wściekle lojalne w stosunku do swej przywódczyni i archetypu matki.

– To nie wariacki kult satanistyczny – powiedziałem na głos – to załążek armii rewolucyjnej.

– Aż tyle czasu potrzebowałeś, żeby do tego dojść? – wymamrotał śpiący Bronz.

Fakty nie wyglądały uspokajająco. Naprawdę nie byłem pewien, czy podobałby mi się świat uformowany przez Sumiko O'Higgins, tak jak nie podobał mi się zresztą świat rządzony przez Marka Kreegana. Zastanawiałem się jakby od niechcienia, za jakież to przestępstwo zesłano tutaj tę królową czarownic. Za coś niezbyt przyjemnego, to pewne.

O świcie wszystkie czarownice wzięły udział w uroczystej ceremonii, podczas której, jak mogłem się zorientować, przeklino słońce za to, że wzeszło i zepsuło piękną noc, a także proszono szatana o pomoc w nadchodzących zmaganiach. W centralnym miejscu polany, nad rozpalonym ogniskiem bulgotał i syczał olbrzymi kocioł z tykwy.

Po porannych „modłach” każda z kobiet podeszła do kotła i ze śpiewem na ustach piła jakiś gorący, śmierdzący płyn, Używając w tym celu prymitywnego czerpaka. Czuję się tak bezbrony przed czekającą nas walką, iż sam chętnie napiłbym się tego naparu, lecz Bronz był temu przeciwny.

– Sumiko powiada, że napój ten może mieć fatalny wpływ na system nerwowy – poinformował mnie. – Nie całkiem w to wierzę, ale jesteśmy tu tylko gośćmi. Trzymaj się na uboczu i obserwuj, co się będzie działo. Mają włócznie, zatrute strzałki, dmuchawy, łuki, strzały, a nawet kusze. Masz siedzieć cicho i nie przeszkadzać. Gdybyś dał się zabić, wszystko to byłoby na próżno.

Chciałem dyskutować, ale jego argumenty były nie do obalenia. Poszedłem więc do chaty Ti, opuszczonej teraz przez stałe mieszkanki, i popatrzyłem na nią.

Jęknęła, obróciła się i otworzyła oczy.

– Cześć – wyszeptała słabiutkim głosem.

– Cześć – odpowiedziałem, uśmiechając się szeroko. – Czy wiesz, gdzie jesteś?

Jęknęła ponownie i usiłowała usiąść, ale nie udało jej się to za pierwszym razem. Usiadła przy drugiej próbie.

– Mniej więcej – odpowiedziała. – To było... jak jakiś szalony sen. Spałam mocno i wiedziałam, że śpię, ale słyszałam i widziałam wszystko, co wokół mnie się działo, chociaż raczej przypominało to sen. – Zawahała się, zaskoczona i poważna zarazem. – Ale to była rzeczywistość, prawda, Cal? Wszystko? Ten obrzydliwy doktor, to okropne pomieszczenie, ty ratujący mnie, ojciec Bronz, czarownice – to naprawdę są czarownice, Cal?

– W pewnym sensie. – Skinąłem głową, – Przynajmniej one tak sądzą.

Wpatrywała się we mnie wzrokiem, jakim nikt przedtem na mnie nie patrzył.

– Mogłeś tak łatwo uciec, a jednak zabrałeś mnie ze sobą – wyszeptała cichutko, prawie do siebie samej. Jej głos załamał się trochę, kiedy powiedziała: – Och Cal, przytul mnie! Przytul mnie! Proszę!

Zbliżyłem się do niej i uściśnąłem lekko, ale ona przywarła do mnie z całych sił. W końcu westchnęła, a ja ujrzałem w jej oczach łzy.

– Kocham cię, Cal – niemal zatkała i przytuliła się do mnie ponownie.

Patrzyłem na nią, nie bardzo pojmując jej zachowanie i własną reakcję na nie.

– Ja... ja też cię kocham, moja malutka Ti – odpowiedziałem i przytuliłem ją mocno, pełen zachwytu i zadziwienia, kiedy zdałem sobie sprawę z tego, iż to, co mówię, choć tak niewiarygodne, jest prawdą.

Wioska opustoszała. Widziałem jedynie dymiące resztki ogniska i pusty kocioł. Ani znaku życia, chociaż wokół rozbrzmiewał nieustanny chór owadów.

I nagle ten chór zamilkł.

Było to niesamowite i niewiarygodne. Przez chwilę myślałem, że ogłuchłem, tak absolutną była ta cisza. Żadnego dźwięku, żadnego szmeru. Nawet wiatr ustał.

Równie nagle i niespodziewanie ze wszystkich stron nadbiegły bardzo głośne i przeszywające skrzeczenia i piski, a gwałtowny wicher uderzył w drzewa. Siedziałem w chacie, wiedząc iż niewiele mogę zdziałać, a jednocześnie zdecydowany byłem zobaczyć to, co zobaczyć się uda. Ti, choć unieruchomiona i bardzo osłabiona, również chciała obserwować walkę, a kiedy protestowałem przeciwko jej obecności w pobliżu drzwi, ona nie zgadzała się na to, bym ja się narażał. Podałem się i prowadziliśmy obserwację oboje, zachowując jak najdalej posuniętą ostrożność.

Besile uniosły się lekko w powietrze z ukrycia znajdującego się w odległości zaledwie jakichś stu metrów od wioski czarownic. Chociaż nie mogłem widzieć tego co znajdowało się za mną, z ich rozmieszczenia domyśliłem się, że otaczają kręgiem całe to miejsce.

Podziwiałem niewiarygodną łatwość, z jaką wznosiły się te stworzenia i zawisały nieruchomo w powietrzu na wysokości mniej więcej dwudziestu metrów, tuż ponad szczytami drzew.

Jeden z nich wysunął się do przodu i poszybował w kierunku centrum wioski, po czym opuścił się na wysokość czterech czy pięciu metrów. Podziwiałem jego lekkie ruchy, kiedy moją uwagę przyciągnął jeździec kierujący besilem.

– Artur – usłyszałem szept Ti.

I rzeczywiście był to burgrabia dziedziny Zeis. Z jego postaci promieniowała lodowata moc, wyczuwalna prawie jak coś żywego.

– Wiedzmy! – zawołał grubym głosem. – Chcę mówić z waszą przywódczynią! Nie ma potrzeby prowadzić tu dzisiaj walki!

Nagle, ni stąd, ni zowąd, ukazała się przed nim Sumiko O'Higgins w pełnym stroju i z wszystkimi oznakami swej władzy. Nie miałem najmniejszego pojęcia, skąd się tam wzięła.

– Mów, zbrojny mężu! – odkrzyknęła. – Mów i idź precz! Nie masz tu żadnych praw i interesów!

Artur roześmiał się złowrogo, choć, jak zauważyłem, był nieco zaniepokojony jej nagłym pojawieniem i wyzywającym tonem.

– Prawa? Siła jest prawem, moja pani, o czym doskonale wiesz. Ty i twoja kolonia są tolerowane przez Wielkiego Księcia jedynie ze względu na usługi, jakie od czasu do czasu mu oddajecie, ale też tylko dlatego mógłbym was oszczędzić. Błędzisz, pani, mówiąc, że nie mam tutaj żadnych interesów. Nie kto inny jak sam lord Marek Kreegan polecił mi powrócić z Całem Tremonem, uciekinierem, który oddał się pod twoją opiekę. Przekaż go nam, a odejdziemy w pokoju. Wszystko pozostanie jak dawniej.

– Tylko Tremona? A dziewczyny nie chcecie? – spytała królowa czarownic, a ja doznałem nieprzyjemnego uczucia, że usiłuje dobić targu, z korzyścią dla siebie, ale na pewno nie dla mnie.

Artur ponownie się roześmiał.

– Zatrzymaj dziewczynę, jeśli chcesz – rzucił lekko. – Chętnie pomożemy w doprowadzeniu jej do pierwotnego stanu. Musimy jednak dostać Tremo na, i dostaniemy go.

– Nie podoba mi się twój ton, wojowniku – odparła O’Higgins. – Jesteś tak przyzwyczajony do władzy absolutnej, że twoja arogancja stanie się twoją zgubą. Nie żyjemy tutaj dzięki tolerancji Wielkiego Księcia Kobe czy kogokolwiek innego. Marek Kreegan jest twoim panem, moim zaś jest szatan Malkrieg, księżę ciemności, król piekieł, nikt inny.

Jej przeciwnik zignorował cały ten komentarz, a ja usłyszałem, jak Ti wyszeptała cichutko:

– Brawo, czarowniczko! Przemów mu dobrze do słuchu! Wyglądając groźnie i wspaniale na swoim czarnym rumaku.

Artur odpowiedział:

– Rozumiem, że nie oddasz uciekiniera po dobroci?

– Nie darzę go szczególną sympatią – odpowiedziała czarownica – ale mam jej jeszcze mniej dla ciebie i twoich panów. Jeśli zaatakujesz, zostaniesz całkowicie zniszczony. Wybór należy do ciebie.

Artur patrzył na nią gniewnie przez krótką chwilę, po czym niewidocznym niemal dotknięciem stopy skierował besila na powrót do czekającej formacji. Sumiko O’Higgins pozostała na miejscu i chociaż podziwiałem jej odwagę, uważałem, że biorąc wszystko pod uwagę, nie postępuje ona zbyt mądrze.

Nagle, w równie tajemniczy sposób w jaki pojawiła się przedtem Sumiko, wszystkie czarownice znalazły się na miejscu, ustawione w krąg na obwodzie wioski i zwrócone ku napastnikom. Nie widziałem u nich żadnej broni.

Na znak Artura po dwa besile z obydwu jego boków poszybowały naprzód, a ich jeźdźcy wycelowali groźnie wyglądające kusze, przypominające małe działa, zamontowane na siodłach przed nimi. Wszyscy czterej mierzyli wprost w Sumiko, a zbliżywszy się wystrzelili równocześnie i strzały wyleciały z ogromną siłą w kierunku stojącej poniżej, ubranej na czarno, postaci.

Z piersi wyrwał mi się krzyk, ale w tym samym momencie Sumiko wykonała delikatny ruch ręką i wszystkie cztery strzały wylądowały na ziemi wokół niej. W tym momencie, co trzecia czy też co czwarta kobieta z tego długiego, ludzkiego kręgu, odwróciła się do jego wnętrza, a O'Higgins wskazała im czterech jeźdźców.

To, co potem nastąpiło, było wręcz niewiarygodne. Mężczyźni, choć przymocowani do swych rumaków grubymi, mocnymi pasami, wyrwani zostali z siodła, jakby wyciągnęła ich stamtąd jakaś gigantyczna dłoń, i rzucony na ziemię z siłą na pewno większą niż siła grawitacji. Żaden się nie poruszał.

Artur ryknął z gniewu, a jego żołnierze zbliżyli się i swą straszliwą broń – włócznie, strzały i różnego rodzaju pociski – skierowali bezpośrednio w krąg utworzony przez kobiety. Grad śmiertelnych pocisków runął na czarownice.

Wszystkie były niecelne.

Sumiko wykonała następny gest, rysując obiema dłońmi jakiś symbol w powietrzu. Besile zawyły, a kilka z nich spadło na ziemię jak kamienie, przygniatając swymi ciałami jeźdźców.

Zaczynałem pojmować, że ta kobieta rzeczywiście dysponuje czymś bardzo konkretnym.

Artur nie zmienił stanowiska, lecz nakazał swemu oddziałowi przegrupowanie. Przyszło mu do głowy, tak jak i mnie, że należy przerwać ten krąg ludzkich ciał i reorganizować swe siły, by dostosować się do sytuacji.

– Strzelać do kręgu z zewnątrz! – usłyszałem jego wrzask. – Zwalić je wszystkie na ziemię!

Teraz wszystkie czarownice ponownie odwróciły się na zewnątrz, a Sumiko O'Higgins stanęła pośrodku otwartej przestrzeni, dosłownie na szczycie tego ołtarza, czy co to tam było. Wydała jakiś rozkaz, i wszystkie kobiety obróciły się twarzami ku niej, wbijając w nią wzrok. Nie rozumiałem tego, ale nie martwiłem się już tak bardzo. Pomyślałem sobie, że Artur pobiera dzisiaj nawet większą lekcję niż ja sam.

– O, szatanie, królu wszystkich! – zawołała Sumiko, przybierając postawę przypominającą uprzedni trans. – Przekaż swą moc twej służce, by ci niewierni przywołani zostali do porządku!

Wojsko Artura utworzyło krąg na zewnątrz kręgu czarownic i przygotowało się do ataku. Królowa czarownic uniosła twarz ku niebu, rozwarła szeroko oczy jak w jakimś hipnotycznym stanie i wyciągnęła ramiona, jak gdyby były bronią skierowaną w besile. Zaczęła się obracać w miejscu i choć nic konkretnego nie zauważyłem, to jednak mogłem dostrzec, jak pośród tego latającego kręgu pojawił się trzaskający ogień, rodzaj dziwnego, piekielnego ognia, który ujrzałem po raz pierwszy,

kiedy spłonął Kronlon. Zerknąłem na krąg kobiet i zobaczyłem, że zahipnotyzowanym wzrokiem patrzyły na swoją przywódczynię.

– Używają jej jako przekaźnika! – krzyknąłem zdziwiony. – Wlewają w nią cały swój lęk i całą nienawiść!

Część pocisków wyrzuconych przez nieprzyjaciela dosięgła celu. Kilka kobiet upadło krwawiąc, były nieprzytomne czy może martwe, ale pozostałe nie zachwiały się, nawet nie spojrzały na swe leżące siostry. Ich koncentracja była absolutna.

Jeden po drugim, rażeni niewidzialną siłą, żołnierze dziedziny Zeis zamieniali się w pył, nie opuszczając siodeł, a czasami zwalani najpierw na ziemię. Widziałem, że Artur cofnął się nieco i wołał do innych, by rozerwali szyki i dołączyli do niego. Minęły zaledwie trzy czy cztery minuty od rozpoczęcia ataku, a napastników pozostało mniej niż połowa.

– W porządku, więdmo! – zawołał. – Jak powiedziałem, siła jest prawem, a w tej chwili siła znajduje się po twojej stronie! Kiedy jednak wieści dotrą do dziedzin, siła zmobilizowana przeciwko tobie będzie o wiele potężniejsza od wszystkiego, co widział ten świat! Raduj się swoim zwycięstwem... tymczasem! – Wykrzyczawszy te słowa, oddalił się.

Królowa czarownic opuściła ramiona i wykonała jeszcze jeden gest, jeszcze jeden znak; czary przestały działać. Kobiety zataczały się i potykały, niektóre upadały, a inne pochylały się, by nieść im pomoc.

O'Higgins w jednej chwili wyszła z transu i zaczęła wydawać rozkazy.

– Zająć się rannymi – wołała. – Chcę otrzymać raport o naszych stratach tak szybko jak to możliwe! – Odwróciła się i ruszyła do chaty, w której ukrywałem się razem z Ti.

– Ojej! – wyszeptała Ti. – Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego. – Zachichotała. – Ta mina Artura! Niejeden pionek z Zeisu oddałby życie, by ujrzeć takie lanie!

– Nie lekceważ go – powiedziałem. – Przegrał bitwę, ale nie wojnę. Napotkał broń, o której istnieniu nie miał pojęcia i zapłacił wysoką cenę, ale nie został pokonany. Nie żartował, grożąc, iż powróci z superarmią. Muszą zgnieść siłę taką jak ta, bo inaczej nie będą mogli spać spokojnie w swoich zamkach.

Zobaczyłem, jak ojciec Bronz wynurza się z jednej z chat, najwyraźniej pod wrażeniem wydarzeń. Razem z Sumiko wszedł do naszej chaty.

– Ile udało ci się dostać? – spytała księdza.

– Chyba sześć – odpowiedział. – Resztę trzeba było zniszczyć. Czy to wystarczy?

– Nie bardzo – rzuciła ostro. – Ale nie mamy wyboru.

– Nie obwiniaj mnie – odparł równie zdecydowanie. – To ty je zestrzeliwałaś. Ja jedynie

zbierałem resztki.

Patrzyłem na nich zupełnie zdezorientowany.

– O czym wy, do diabła, gadacie? – spytałem z naciskiem. – Gdzie byłeś podczas bitwy, ojczy?

Roześmiał się.

– Zbierałem resztki. Potrzebne nam są besile. Więc, kiedy Sumiko i jej przyjaciółki zajmowały się jeźdźcami, udało mi się złapać sześć sztuk.

O'Higgins skinęła głową.

– O to nam właśnie chodziło. Dlatego pozwoliłam, by Artur odnalazł naszą wioskę. Miałam jednak nadzieję, że złapiesz ich więcej... przynajmniej tuzin.

– Miałabyś tuzin, gdybyś nie usmażyła i nie zmiażdżyła aż tylu – rzekł Bronz. – To był niesamowity widok, Sumiko. Naprawdę cię nie doceniałem. Nawet kiedy mi o tym mówiłaś ubiegłej nocy, nie mogłem uwierzyć, iż to, co mówisz, jest prawdą. Zakumulowana i przekazywana moc Wardena! To niewiarygodne!

Wzruszyła ramionami.

– Nie ma żadnych praw, które by tego zabraniały. Organizmy Wardena tak naprawdę nie widzą różnicy pomiędzy komórką ciała ludzkiego, rośliny, a molekułą miedzi, tyle że ich kod genetyczny, czy to co mają w jego miejsce, wpływa na to, w czym one się znajdują. Jeśli potrafimy mówić, by tak rzec, do organizmu Wardena znajdującego się w czymkolwiek i potrafimy polecić mu wykonanie czegoś, co mu nie odpowiada, to znaczy, jeśli potrafimy go przeprogramować, to będziemy w stanie rozkazać mu wykonanie wielu innych rzeczy. To trochę tak jak z komputerem, Augie. Możesz go zaprogramować, żeby wykonał, co zechcesz, jeśli tylko wymyślisz, jak to zrobić.

Jesteś nazbyt skromna powiedział szczerze, najwyraźniej w ogóle nie siląc się na komplement. – To monumentalne odkrycie. Coś zupełnie nowego, zupełnie innego. Zmieni to Lilith w sposób, w jaki rewolucja przemysłowa zmieniła Ziemię!

Na te ostatnie słowa zareagowała szyderczym śmiechem.

– Możliwe – rzekła – jeśli zdecyduję się przekazać to ludziom, jeśli da się to kontrolować w tak wielkiej skali jak planetarna.

Byłem wstrząśnięty, kiedy wyobraziłem sobie implikacje tego odkrycia, odkrycia, które powodowało, że argumenty Bronza przeciwko rewolucji społecznej na Lilith traciły swą aktualność.

– Niemniej posiadasz środki wystarczające, by zniszczyć hierarchię! Pionki mogą zyskać moc decydowania o swych własnych sprawach! – powiedziałem.

Prychnęła pogardliwie.

– A na jakiej podstawie sądzisz, że zrobią to lepiej od tych, którzy teraz decydują? Może zrobią to nawet gorzej.

Pominałem milczeniem ten jej cynizm, bowiem naszły mnie czarniejsze myśli.

– Wiesz, że on wróci, to znaczy, Artur. Z piekielną siłą. Co zamierzasz uczynić?

– Nic, drogi chłopcze – odrzekła. – Absolutnie nic. Dziwi cię to? Cóż, a czy uwierzysz, że tego miejsca nie da się odkryć, chyba że sama sobie tego zażyczę? Och, naturalnie, że tu wrócą. Możliwe, iż nawet w towarzystwie kilku rycerzy czy też starego księcia we własnej osobie. Polatają sobie w kółko, przeczeszą teren na ziemi i po prostu nic nie zobaczą. Będą się wściekać, ale mogą wylądować nawet na środku tamtego wrzosowiska, a wioski i tak nie ujrzą. A niby jak, według ciebie, byliśmy w stanie przetrwać tak długo?

Sam Bronz kręcił z podziwem głową.

– Sumiko, potrafię zaakceptować koncentrację mocy Wardena, odkąd mój umysł jest zdolny ją pojąć, ale to! To jest po prostu niemożliwe!

Roześmiała się figlarnie i uszczypnęła go w policzek.

– Augie, jesteś miłym gościem, choć reprezentujesz sobą wszystko, czego nie znoszę, dlatego radzę ci, byś w to jednak uwierzył. Życie wyda ci się wtedy o wiele prostsze.

– Ale jak, Sumiko? – chciał wiedzieć. – Jak?

Uśmiechnęła się i powiedziała.

– Cóż, jedyne, co mogę zrobić, a co pozwoli ci to jakoś pojąć, to przypomnieć fakt, że organizm Wardena znajduje się w każdej cząstce naszego ciała, włącznie z mózgiem. Nie odkryłam tu żadnej magicznej formuły, Augie! Jedyne, co uczyniłam to to, że nauczyłam się rozmawiać z tym małym stworzonkiem we właściwy sposób.

– Ojcie Bronzie! – zawołała Ti.

Odwrócił się i twarz rozjaśniła mu się na jej widok. Podbiegła do niego i uścisnęła go, a on odwzajemnił jej się uściskiem i uśmiechem.

– Proszę, proszę! – powiedział. – Mała Ti znowu jest z nami!

– Co przypomina, że należy pilnie stąd wyruszyć – wtrąciła Sumiko. – Pójdę teraz sprawdzić nasze straty i dopilnować wszystkiego. Wy odpocznijcie. System obrony już działa od nowa. Mamy przed sobą długą, nocną jazdę, pierwszą z wielu, jakie nas czekają, i wszyscy powinni być wypoczęci.

Bronz patrzył na nią zaskoczony.



– Mamy?

Skinęła głową.

– Już od dłuższego czasu chciałam się dowiedzieć, co takiego wiedzą ci starzy głupcy z Moab czego ja nie wiem – odpowiedziała. – A teraz kiedy zostałyśmy zdekonspirowane, chcę wiedzieć jak najwięcej. Poza tym mogę się wam przydać, by zapobiec ewentualnemu powrotowi Ti do poprzedniego stanu.

Zwróciłem się do ojca Bronza.

– Mam nadzieję, że też z nami jedziesz. Nie jestem pewien, czy wytrzymałbym dziesięć dni pod ochroną samych czarownic.

Roześmiał się.

– Pewnie, że pojedę. I tak zamierzałem to uczynić. Nie byłem w Moab już od wielu lat i zżera mnie ciekawość, jak tam jest. Nie spodziewaj się jednak żadnych cudów. Wiedzą oni zapewne o organizmie Wardena więcej niż ktokolwiek, – z wyjątkiem być może Sumiko, sądząc po jej ostatniej akcji – ale nie są to bezinteresowni naukowcy. W ostatnich latach zaszło tam kilka... hm, niefortunnych zmian, że się tak wyrażę.

## Rozdział osiemnasty

### **DZIEDZINA MOAB**

Najgorsza była jazda na besilach. Stworzenia te były brzydkie, śmierdziały, a pod wpływem stresu wydzielały obrzydliwą kleistą ciecz – żeby nie wspomnieć wydawanego co jakiś czas rozdzierającego krzyku, dochodzącego gdzieś z ich wnętrza. Żadne z nas nie było doświadczonym jeźdźcem, wobec czego jazda przypominała chłostę i to wymierzaną ze wszystkich stron jednocześnie, pozostającą w prawdziwym kontraście z równym, płynnym ruchem besili, jaki można zaobserwować, kiedy się nie siedzi na ich grzbiecie.

Z drugiej strony, wydawało się, że stworzenia te, będące rezultatem hodowli selektywnej, hodowane i szkolone do takiej właśnie pracy, nigdy nie ulegają zmęczeniu. Nie wymagały właściwie żadnej opieki, tym bardziej że pasły się same w dżungli poniżej, jedząc wszystko, co się dało zjeść, czy to pochodzenia roślinnego, czy zwierzęcego. Będąc zwierzętami dużymi, musiały jednak jadać dość często, a to znacznie zwalniało naszą podróż. Ilość zjedanego przez nie pożywienia musiała być równa co najmniej trzykrotnemu ciężarowi ich ciała, jeśli miały utrzymać jakąś stałą, odpowiednią szybkość.

Mimo to kilometry umykały pod nami błyskawicznie i nie mogłem przyjrzeć się okolicom tak, jakbym chciał. By zachować bezpieczeństwo i uniknąć niewłaściwego towarzystwa, skierowaliśmy się prawie bezpośrednio na wschód, ku wybrzeżu, i lecieliśmy wzdłuż niego, od strony oceanu, a lądowaliśmy, by założyć obóz, tylko w tych miejscach, gdzie lasy podchodziły do brzegu i mogły dać nam osłonę. Ocean był wprawdzie pokryty niezliczoną liczbą wysepek, ale nie było na nich dość pożywienia dla naszych besili i stąd konieczność podejmowania pewnego ryzyka na stałym lądzie.

Naturalnie, czarownice zapewniały nam pewną ochronę. Podejrzewam, iż z tego właśnie powodu spotykaliśmy na naszej drodze tak niewielki ruch. Chociaż radziliśmy sobie bez większego trudu z przypadkowo napotkanymi pojedynczymi przeciwnikami, to jednak nie mielibyśmy dość sił, by przeciwstawić się zmasowanemu atakowi, podobnemu do tego, jaki Artur przeprowadził na wioskę czarownic. Sumiko nie mogła przecież zabrać ze sobą nawet swej „gwardii”, skoro na jednym besilu mogły bezpiecznie podróżować tylko dwie osoby – jednego z nich dzieliłem z Ti, O’Higgins i Bronz dysponowali własnymi wierzchowcami, a na pozostałych trzech siedziały po dwie czarownice. My nawet nie kontrolowaliśmy ruchów naszych besili; robili to za wszystkich Bronz i O’Higgins.

Dni spędzaliśmy na poszukiwaniu pożywienia, odpoczynku i sprawdzaniu naszego położenia. Nie tworzyliśmy nazbyt przyjacielskiej grupki, bowiem czarownice nie zwracały większej uwagi na mnie i na Ti, a ojciec Bronz poświęcał większość czasu, bez widocznego sukcesu, poznaniu natury odkryć dokonanych przez O'Higgins.

Przyznaję, iż nie wiedziałem, co sądzić o królowej czarownicy. Genialna, bez wątpienia, ale również pełna determinacji i zdecydowania, jeśli chodzi o formułowanie problemów i ich rozwiązywanie. Także pragmatyczka, nie wahająca się przed użyciem swych odkryć dla stworzenia super armii – dla jakich celów trudno powiedzieć. Podczas dyskusji o roślinach i zwierzętach Lilith, o organizmie Wardena i o przedziwnych związkach zachodzących pomiędzy biochemią roślin i zwierząt, była równie fachowa i kostyczna jak jakiś uniwersytecki profesor. Wystarczyło jednak zasugerować, iż jej satanizm to pozór i blaga, służąca jedynie jakimś psychologicznym celom w stosunkach między nią a jej zwolenniczkami, a jej oschłość zniknęła, ustępując miejsca pełnym zapału i ognia argumentom. Rozprawialiśmy o niej z Ti bez końca i doszliśmy do wniosku, że albo jest jedną z największych aktorek wszechczasów, albo rzeczywiście wierzy w te bzdury.

Udało mi się dowiedzieć od ojca Bronza czegoś więcej na jej temat, choć sam przyznawał, iż jego wiedza dotycząca osoby O'Higgins jest tylko powierzchowna. Będąc dzieckiem dwojga naukowców, specjalistów od biologicznych aspektów przekształcania planet na ziemiopodobne, była zarazem rezultatem pewnego eksperymentu, w którym za pomocą manipulacji genetycznej usiłowano wyprodukować superistotę, odpowiednią do życia w ciężkich warunkach, panujących na rubieżach cywilizacji. Niewątpliwie stworzyli kogoś wyjątkowego, ale ja zastanawiałem się nad tym, jakie mogą być skutki psychologiczne tego, że dorasta się, wiedząc, iż jest się doświadczeniem 77-A, przeprowadzanym w laboratorium mamusi i tatusia. Nie wiadomo dokładnie, za jakie przestępstwo zesłano ją na Lilith, lecz musiało być ono bardzo poważne i pozostawiło u niej nienawiść i zemstę, skierowane przeciwko światom cywilizowanym. Prawdę mówiąc, posiadała ona ten rodzaj osobowości, jakiego oczekiwałbym u władcy Rombu, ale ona gardziła nawet nim. Dla niej Marek Kreegan i Konfederacja to dwie strony tego samego medalu.

Moje stosunki z Ti rozwijały się bardzo dobrze i znajdowałem w sobie uczucia, których istnienia przedtem nawet nie podejrzewałem. W pewnym sensie, to mnie niepokoiło – fakt, że człowiek z osobowością czysto intelektualną może wejść w związek uczuciowy, wydawał mi się przyznaniem do słabości, do oskarżenia wewnętrznego o to, że jest się zwykłym człowiekiem, podczas kiedy było się zawsze przekonany, iż jest się supermanem, nie poddającym się popędom typowym dla ludzkiego stada. W dodatku nie należała ona do tego typu kobiet, które mogłyby mnie ewentualnie pociągać. Inteligentna, owszem, ale zupełnie bez wykształcenia, podatna na emocje i, w pewnym sensie, słaba.

A przecież czułem się świetnie w jej towarzystwie, słysząc jej ochy i achy i obserwując jej radość, tak podobną do radości dziecka, które dostało nową zabawkę. To było tak, jakbym miał w swoim wnętrzu bolesną pustkę, wypełniającą mnie już tak długo, że nie byłem nawet jej świadom, i jakbym uważał i ten ból, i tę pustkę za coś normalnego i zwyczajnego, a teraz nagle owa pustka została wypełniona. Ulga, poczucie zdrowia i pełni psychicznej były nie do opisania. W jakimś sensie dopełnialiśmy się także wzajemnie – była moim punktem oparcia i moją przyszłością na Lilith, gdzie przyjdzie mi przeżyć całe życie, a ja byłem jej oknem na szerszy i inny wszechświat, niż tylko

ten, który w tej chwili była w stanie zrozumieć.

Dotarcie do Moab zajęło nam jedenaście dni, podczas których unikaliśmy terenów zamieszkałych i nie podejmowaliśmy zbędnego ryzyka. Teraz dziedzina Moab rozpościerała się pod nami – wielka wyspa położona w ogromnej, tropikalnej zatoce. Ze względu na bliskość równika, była ona niewymownie gorąca i pnia; przyglądając się jej jednak z góry, można było domyślić się powodów, dla których właśnie ją wybrano.

Pierwsza ekspedycja na Lilith nie miała pojęcia, co ją czeka. Potrzebowała bazy, takiej która dostarczyłaby wystarczającą liczbę próbek flory i fauny, a jednocześnie dawała schronienie przed nieznanym niebezpieczeństwem. Wybrano wyspę Moab, dużą i bujną, gdzie można było urządzić laboratorium i bazę dla wypraw do innych rejonów tego świata, a jednocześnie na tyle izolowaną wysokimi skalnymi brzegami i wodą zatoki od lądu stałego, by łatwo ją było obronić w razie ataku.

Czas i wiedza jej mieszkańców niewiele ją zmieniły. Z góry widoczne były wykarczowane kawałki lasów przeznaczone pod uprawę i rzędy drzew owocowych, zbyt proste i zbyt regularne, by mogły być dziełem przypadku. Na urwistej skale, niemal w samym środku wyspy, znajdowała się kwatery główna tych wszystkich, którzy tutaj mieszkali i pracowali. Niezbędne budowle wykute były bezpośrednio w twardej skale w sposób najbardziej prymitywny. Wśród nich znajdowała się wielka kamienna świątynia, która jednak nie wyglądała ani na prymitywną, ani na tymczasową. W rzeczywistości zamek z Zeis wydawałby się przy niej konstrukcją małą i kruchą. Moab z kolei nie miał w sobie nic z wymyślnej architektury budowli Tiela. Był prosty, nowoczesny, funkcjonalny... i ogromny.

Ojciec Bronz ostrzegł nas jednak, by nie brać pozorów za rzeczywistość. Owszem, nauka i wiedza założycieli ciągle jeszcze tu tkwiła i nie było tu autorytarnej hierarchii takiej jak w innych dziedzinach, ale cele istnienia tej enklawy zmieniły się drastycznie wraz z jej postępującą izolacją od świata zewnętrznego. Obecnie tysiące mężczyzn i kobiet pod nami wykonywało swoją pracę w imię jakiejś dziwnej, mistycznej religii, robiącej wrażenie anachronicznej i pochodzącej z czasów początków ludzkości. Długie lata badania Lilith doprowadziły nie tylko do tego, iż ją antropomorfizowali – bo ojciec Bronz również przejawiał takie tendencje – ale zaczęli uważać tę planetę za żyjącą i myślącą istotę, za uspiętego boga, który pewnego dnia się przebudzi.

Innymi słowy, był to jeszcze jeden wariacki kult, tyle że nie wywodził się on z historii ludzkości, lecz powstał pod wpływem warunków panujących na samej Lilith.

Wylądowaliśmy na szczycie tej potężnej skały i natychmiast pojawiła się obsługa, by zająć się naszymi besilami. Przez moment pomyślałem, iż zostaliśmy zaatakowani, tak szybko się do nas zbliżali, ale wkrótce zorientowałem się, że znaleźliśmy się po prostu na czymś, co w dziedzinie Moab stanowiło odpowiednik lądowiska dla helikopterów ze świata cywilizowanego.

Zwróciłem uwagę na wygląd obsługi. Wielu z nich odpowiadało standardom świata cywilizowanego, a wszyscy mieli w sobie jakieś jego cechy. Niektórzy byli nadzy, inni lekko ubrani, ale wszyscy wyglądali młodo i żaden nie zachowywał się jak pionek. Wszyscy też byli bardzo zadbani i czysti.

Ojciec Bronz, jedyny z naszej grupy, który był tu już przedtem, poprowadził nas w kierunku najbliższych schodów.

– Muszę powiedzieć, że nie wydają się szczególnie przejęci naszą obecnością ani też specjalnie nami zainteresowani – zauważyłem. – Zupełnie jakby nas oczekiwali.

– Bo pewnie tak jest – odparł Bronz. – Zważ, że ci ludzie wiedzą wszystko to, co nam z takim trudem udało się dowiedzieć o tym szalonym świecie. Ich dziadowie byli pierwszymi kolonistami i właśnie oni i ich dzieci odkryli organizm Wardena, moc Wardena i te przeróżne leki i mikstury, które teraz wszyscy stosujemy. Oni opracowali i udoskonalili metody, dzięki którym można w ogóle tutaj cokolwiek zrobić. – Zerknął na Sumiko O’Higgins. – Są tutaj całkowicie bezpieczni i wiedzą o tym. Sądzę, że nawet od ciebie nic im tutaj nie grozi, moja droga.

Popatrzyła tylko na niego z kamiennym wyrazem twarzy i nie odezwała się. Choć zawdzięczałem jej swe życie i istnienie tutaj, nigdy nie będę czuł się swobodnie w jej obecności, a już na pewno nie potrafię jej całkowicie zaufać.

U stóp długich, kręconych, kamiennych schodów czekała na nas kobieta w powłóczystych, śnieżnobiałych szatach. Nie wyglądała staro, lecz jej falujące włosy były kompletnie siwe; oczy miała błękitne i cerę świadczącą o tym, iż nigdy nie przebywała na słońcu i otwartym powietrzu. Był to dość niezwykły wygląd przypominający jednego z aniołów ojca Bronza.

– Witam cię, ojcze Bronzie, ciebie i twoich przyjaciół – odezwała się głosem łagodnym i śpiewnym.

Bronz skłonił się lekko.

– Pani, jestem szczęśliwy, że nie zapomniano mojej skromnej osoby – odpowiedział w dość formalnym stylu. – Czy pozwolisz pani, iż przedstawię ci swych towarzyszy?

Obróciła się, by popatrzeć na nas, bez krytycyzmu, ale i bez specjalnego zainteresowania.

– Znam już ich wszystkich. Ja zaś jestem dyrektor Komu. Odprowadzę was do kwater, gotowych na wasze przyjęcie, gdzie możecie odpocząć i odświeżyć się. W godzinach późniejszych zorganizuję wam zwiedzanie instytutu, a jutro porozmawiamy o sprawach poważniejszych.

Popatrzyłem na nią, a potem na Ti.

– Lady Komu, dziękuję za twą gościnność – powiedziałem, starając się zachować ową formalną uprzejmość, która chyba tutaj obowiązywała – ale mojej młodej damie potrzebna jest pomoc medyczna. Od dłuższego już czasu jest szczególnie śpiąca i odrętwiała.

Podeszła do Ti i przyglądała jej się przez chwilę, nie dotykając jej i nie robiąc nic, co moglibyśmy zauważyć. W końcu powiedziała:

– Tak, rozumiem. Proszę się nie martwić... naprawimy to bardzo szybko. – Odwróciła się. – Proszę iść za mną.

Budowla od wewnątrz robiła chyba jeszcze większe wrażenie niż na zewnątrz. Ściany i podłogi wyłożone były płytkami z materiału przypominającego mikę, które wydawały się lekko przezroczyste i za którymi jarzyły się jakieś źródła światła. Oczywiście, nie było to światło elektryczne, ale nie było to także punktowe i mrugające światełko lampek oliwnych. Prawdę mówiąc, to miejsce wyglądało tak, jak gdyby znajdowało się na zewnątrz. Miałem już o to spytać, ale ubiegła mnie Sumiko O'Higgins.

– To imponujące, a szczególnie to oświetlenie – zauważyła. – Jak tego dokonaliście?

– Och, to naprawdę niezbyt skomplikowane – rzuciła lekkim tonem lady Komu. – Źródłem światła jest materiał luminescencyjny uzyskany poprzez destylację różnych owadów świecących, tak pospolitych na Lilith. Źródło energii jest trochę bardziej złożone, ale zasada jest podobna do tej, z której korzystają same insekty. Jej podstawę stanowi tarcic zasilane energią wody. A któż wam powiedział, iż takie rzeczy są na Lilith niemożliwe?

Trudno było znaleźć odpowiedź na tak postawione pytanie i zaczynałem dochodzić do wniosku, iż ponownie będę zmuszony zrewidować swój obraz tego świata. Na pewno nie istniały przecież na Lilith żadne prawa fizyczne, które by wykluczały stosowanie klasycznych źródeł energii; ograniczeniem była jedynie liczba osób, które potrafiłyby namówić organizmy Wardena do utrzymywania kształtów nowych urządzeń, takich jak koło wodne i tym podobne.

Pokoje nasze były komfortowe, wyposażone w ręcznie rzeźbione drewniane meble i duże wygodne łóżka. Wspólne łaźnie były podobne do tych z zamku Zeis – duże, wyłożone kaflami baseny, napełnione gorącą wodą, która nie tylko obmywała nasze ciała, ale i wpływała uspokajająco. Pod koniec kąpieli poczułem się nareszcie jak człowiek całkowicie odprężony, a Ti bawiła się doskonale, tym bardziej że była to jej pierwsza kąpiel w takich warunkach; przedtem bowiem korzystała jedynie z wody deszczowej i z rzek. Była jednak bardzo zmęczona i musiałem ją dosłownie zanieść z powrotem do pokoju. Jednocześnie była na tyle rozbudzona, że kaprysiła iż łóżko jest jakieś dziwne i zbyt miękkie jak na jej gust i że pewnie wygodniej jej będzie spać na podłodze, co też w końcu uczyniła. Kiedy tylko zasnęła, ułożyłem ją na satynowej pościeli, a sam wyciągnąłem się obok niej. Nie zdawałem sobie do tej chwili sprawy z napięcia, w jakim żyłem przez ubiegłe dwa tygodnie, a i teraz – nim świadomość ta dotarła do mnie – pogrążony byłem w głębokim śnie.

## Rozdział dziewiętnasty

### **CZARODZIEJE Z DZIEDZINY MOAB**

Wieczorem zwiedzaliśmy ogromny instytut, jak go tutaj nazywano. Ti z nami nie było – ciągle była bardzo zmęczona, a ciało jej toczyło walkę z pozostałościami po eksperymencie doktora Pohna. Zdecydowałem więc, iż należy pozwolić jej spać jak najdłużej.

Wszyscy w instytucie prowadzili całkiem wygodne życie, jak na warunki panujące na Lilith. Wszyscy też robili wrażenie inteligentnych, ożywionych, bardzo kulturalnych i zadowolonych. Obejrzelśmy laboratorium, w którym prowadzili badania eksperci od miejscowej flory i fauny i podziwialiśmy zmyślnie skonstruowane, choć prymitywne, instrumenty, a wśród nich drewniane mikroskopy, których soczewki były całkiem niezłe, oraz pewną liczbę narzędzi metalowych, ku mojemu zaskoczeniu wyglądających tak, jak gdyby wyprodukowano je w prawdziwych fabrykach. Zwróciłem na to uwagę, a wówczas przypomniano mi, iż lordowie tacy jak Kreegan potrafili stabilizować pewną ilość materii obcego pochodzenia, czyniąc ją odporną na ataki organizmu Wardena. Na przykład prom wewnątrz – systemowy, który lądował na Lilith i który przywiózł mnie do dziedziny Zeis, był tego dowodem i to dowodem bardzo subtelnym i wymyślnym.

Przygotowany dla nas posiłek był bardzo dobry, chociaż nie potrafiłem rozpoznać w nim żadnej ze znanych mi potraw, z wyjątkiem melonów. Powiedziano mi, że mięso pochodzi z pewnego gatunku wielkich, udomowionych owadów; hodowane rośliny i produkty z tych roślin uzyskane, stanowiły podstawę wielu dań i napojów, które, nawet jeżeli nie były prawdziwym winem czy piwem, były ich doskonałymi substytutami.

Odniosłem wrażenie, że tylko tutaj, w instytucie, wykorzystywany jest prawdziwy potencjał Lilith. Komfort, cywilizacja, sensowna praca – wszystkie te rzeczy były możliwe jedynie tutaj. Świat ten nie musiałby być więc gabinetem horrorów, którym pierwotnie był, nie musiałby nim być, gdyby dysponujący mocą potrafili jej użyć mądrzej i lepiej.

Dlaczego tedy, zacząłem się zastanawiać, tak się nie dzieje?

Następnego ranka zabrano Ti do sekcji medycznej, bardziej rozbudowanej i skomplikowanej niż ta, którą zawiadywał doktor Pohn, chociaż tutejsi lekarze i naukowcy stosowali podobną technikę do

wykonywania podstawowych i rutynowych pomiarów i badań. Doktor Telar, młoda kobieta nie wyglądająca na starszą od Ti, ułożyła Ti na wygodnym choć twardym łóżku, dotknęła dłońmi wszystkich kluczowych punktów jej ciała, a na koniec położyła dłoń na jej czole i zamknęła oczy. Po niecałych trzydziestu sekundach, pokiwała głową, otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

Ti, która nie była poddana działaniu żadnego specyfiku i której polecono jedynie leżeć nieruchomo i nic nie robić, spoglądała niepewnie.

– Kiedy zaczniecie? – spytała nerwowo.

Telar roześmiała się.

– Właśnie skończyłam. To już wszystko.

Oboje wpatrywaliśmy się w nią zdumieni.

– To już wszystko? – powtórzyłem za nią.

Skinęła głową.

– Chętnie rzucę także okiem na ciebie. Nigdy nic nie wiadomo.

– Nie warto – powiedziałem. – Nie mi nie dolega. – Zacząłem nagle mnożyć wymówki, bo przypomniało mi się, że w moim mózgu znajduje się coś dodatkowego, organiczny przekaźnik, którym gdzie indziej w ogóle bym się nie przejmował, ale tutaj dostrzeżono by go natychmiast. Byłem o tym przekonany.

Szczerze mówiąc, od dawna już o nim nie myślałem. Nie wiem dlaczego nie wykorzystałem też obecnej sytuacji, by go usunąć, by uczynić się człowiekiem całkowicie wolnym i osobą prywatną. Choć myślałem o was, będących tam w górze, przez jakiś czas jako o moich nieprzyjaciołach, to jednak z niechęcią odnosiłem się do ostatecznego przecięcia pępowiny łączącej mnie z poprzednim życiem i poprzednim sobą samym. Odrzucić to życie i was wraz z nim byłoby ostatecznym odrzuceniem wszystkiego, co było w moim życiu ważne, a tego nie byłem jeszcze gotów uczynić. Jeszcze nie. Gdyby ta informacja docierała bezpośrednio do centrali wywiadu, to co innego, ale ona szła wprost do mnie – tego drugiego mnie, siedzącego tam w górze i obserwującego, co się tu dzieje. Do mojego syjamskiego bliźniaka.

Jeszcze nie, zdecydowałem. Jeszcze nie.

Zajęcia rozpoczęły się wkrótce potem. Podjęto decyzję, iż zarówno ja, jak i Ti przejdziemy takie szkolenie, jakie tylko będziemy w stanie znieść, tyle że osobno. Tylko podstawy mogły być przekazywane w grupie, a to miałem już za sobą. Byłem bardzo ciekaw, czym zakończy się szkolenie Ti i wiązałem z tym pewne nadzieje.

Kiedy usłyszałem na początku pobytu, iż będę miał do czynienia z jakimś religijnym kultem, zaniepokoiłem się nieco, jednak okazało się, że poza przypadkowymi wzmiankami, rzadkimi modłami, takimi jak te przed posiłkiem czy w świątyni przed wyprawami, nie było żadnego



narzucania się z wiarą, żadnej gadaniny, żadnych prób nawracania czy indoktrynacji. Ich religia nie interesowała mnie bardziej niż religia Bronza czy O'Higgins i dlatego wdzięczny im byłem za brak natręctwa.

Oprócz Ti nie widziałem żadnej z osób, które z nami przybyły. Jakies dwa tygodnie po rozpoczęciu szkolenia, poinformowano mnie, że czarownice wyjechały i udały się z powrotem do swojej dziwnej wioski, a ojciec Bronz zaangażowany jest w pracę nad własnym projektem w Instytucie, pracę wymagającą korzystania z olbrzymiej liczby manuskryptów z tutejszej biblioteki i z niektórych urządzeń laboratoryjnych. Zastanawiałem się, bez szczególnego zainteresowania, czy usiłuje on rozgryźć, mając ku temu odpowiednie warunki, tajemnice O'Higgins.

Czyniłem spore postępy, jeśli chodzi o stosowanie mocy, ale jednocześnie uzmysłowiłem sobie, iż proces ten może być bardzo powolny, co tak dokładnie pokazywał przykład Ti, i że samo posiadanie mocy to jeszcze nie wszystko. Potrzebna była również wiedza pozwalająca ją właściwie zastosować, a to już mogło zabrać całe lata.

Niemniej wiele można było zrobić w sensie ogólnym i ten aspekt procesu okazał się dla mnie śmiesznie łatwym. Tworzenie nowych układów, odtwarzanie i kopiowanie ich, tak jak to było w przypadku tamtego fotela, było proste, o ile miało się do czynienia z obiektami nieożywionymi. O'Higgins przyrównała kiedyś organizm Wardena do biologicznie obcego nam organicznego komputera i była to zupełnie niezła analogia. Mieliśmy tu jednak do czynienia z ogromną ilością małych komputerów, będących składnikami jednego, z góry już zaprogramowanego, organizmu.

– Myśl o nich – powiedział mi jeden z instruktorów – jak o komórkach matki Lilith. Twoje własne komórki zawierają spirale DNA, w których zakodowana jest cała twoja struktura genetyczna. Poszczególne części tego kodu informują konkretne komórki, jak mają się zachowywać, jak się kształtować i rosnąć, jak działać i jak reagować jako część większej całości. Komórki Wardena, jak moglibyśmy je nazwać, przypominają te z twojego własnego ciała. Mają one zaprogramowany w sobie obraz całej planety, takiej, jaką być powinna, i każda z nich zna swoje miejsce w tej wielkiej całości. A my dostarczamy im fałszywych danych i zmuszamy je oszustwem, by robiły to, co my chcemy, a nie to, co one chcą. Potrafimy tak czynić, ponieważ nasze działania są w pewnym sensie punktowe, dzięki czemu możemy skoncentrować całą siłę woli w wybranych przez nas miejscach. Jest to naturalnie możliwe jedynie na niewielką skalę.

Rozejrzałem się po okazałym otoczeniu instytutu.

– Niewielką?

Instruktor skinął jedynie głową.

– Weź pod uwagę masę tej planety. Rozważ liczbę cząsteczek, jakie się na nią składają, a każdej cząsteczce przypisz całą kolonię organizmów Wardena. Czy w tej sytuacji możemy mówić o czymś więcej niż o niewielkiej aberracji, o łagodnym nowotworze, by tak rzec?

Miał bez wątpienia rację.

Im więcej ćwicyłem, tym łatwiej mi wszystko przychodziło. Chociaż poczułem obrzydzenie, kiedy odkryłem, że jedwabisty materiał, którego używałem, jest wykonany ze śliny jakiegoś robaka, to wkrótce uznałem to jako kolejne uprzedzenie kulturowe z mojej strony i nauczyłem się samodzielnie sporządzać ubranie z tegoż właśnie materiału. Wypalanie dziur w skale i nadawanie im kształtów według własnego gustu okazało się bardzo łatwe: wystarczyło nakazać organizmom Wardena zawiadującym molekułami, by zerwały odpowiednie wiązania. Niestety, wymagało to zręczności i doszedłem do wniosku, iż na pewno nie jestem dobrym materiałem na inżyniera czy architekta. To, co zrobiłem Kronlonowi, w instytucie uważane było za nadużycie mocy, ponieważ w zasadzie polegało na przeciążeniu wardenowskich obwodów wejściowych. W jakiś sposób uległy one spaleni.

Zajęcia dotyczące techniki walki kładły nacisk na obronę, a przy okazji rozwiewały aurę tajemniczości, jaka otaczała jeszcze niedawno wiele spraw. Znajomość właściwych punktów w systemie nerwowym przeciwnika była w zmaganiu się dwu umysłów równie ważna jak elementy czysto fizyczne w judo.

Sztuka polegała na utrzymywaniu całkowitej kontroli nad własnymi organizmami Wardena, przy równoczesnej neutralizacji tych, które należały do przeciwnika, co było arcytrudnym zadaniem wymagającym nie tylko większej siły woli i lepszej samokontroli niż u przeciwnika, ale również ogromnej zdolności koncentrowania się na kilku rzeczach jednocześnie.

Uczyłem się tyle, ile tylko mogłem, i chociaż byłem zachwycony, kiedy przestano podawać mi ów szczególny napój, a ja mimo to stawałem się coraz silniejszy, to jednak zrozumiałem, iż jedynie doświadczenie będzie w stanie doszlifować moje umiejętności. Sprawdzian mojej mocy miał miejsce wówczas, kiedy przywieziono z Meduzy dwa małe pręty stalowe, które, choć także zawierały organizmy Wardena, były dla Lilith czymś obcym i nie miałem możliwości porozumienia się z ich „mieszkańcami”. Jednocześnie byłem świadom tego, iż komórki Wardena atakują tę obcą materię – podobnie jak antyciała atakują wirusy we krwi – starając się ją rozłożyć, a nawet skonsumować, w jakiś tajemniczy sposób.

Tutaj nie miałem układu, który mógłbym rozwiązać czy odtworzyć. Musiałem natomiast znaleźć jakąś formę ochrony, jakiś rodzaj informacji, która powstrzymałaby ten metal przed korozją i rozpadnięciem się w pył pod wpływem ataku komórek Wardena. Wielokrotne próby kończyły się jednak fiaskiem. Wydawało się, iż nie ma się czego uchwycić, nie ma czego przeprogramować, by ochronić tę obcą materię, która nawet dla mnie wyglądała ciemno i martwo w porównaniu z żywą wardenowską materią mnie otaczającą.

Po dwóch dniach pręty rozsypały się w pył.

Odczuwałem zniechęcenie; czułem się też niekompetentny. Dojść tak daleko i nie móc przebyć tego ostatniego małego odcinka, co pozwoliłoby mi znaleźć się, potencjalnie rzecz ujmując, blisko władzy – to było wielce przygnębiające. Wiedziałem, że jeśli nie potrafię rozwiązać tego problemu, nie będę w stanie dorównać książętom, nie mówiąc już o Marku Kreeganie.

Ti starała się mnie pocieszać. Jednak żyjąc tutaj w instytucie, na poziomie o jakim nawet nie marzyła, nie miała tym samym takich ambicji, jakie były moim udziałem. Jej szkolenie również

przebiegało w miarę pomyślnie; jak sugerowali Sumiko O'Higgins i doktor Pohn, każdy posiadał moc, przynajmniej w formie uśpionej i utajonej. Mimo szkolenia jej moc ograniczona była do poziomu nadzorcy, choć mogła z niej korzystać bardziej wybiórczo i skuteczniej niż większość nadzorców, których znałem. Ponadto mogli jej jeszcze zaoferować niektóre z metod stosowanych przez czarownice: kiedy opanowały ją emocje, jej moc ulegała zwielokrotnieniu; jednak aby tę moc kontrolować i stosować skutecznie, musiała uzyskać chwilowe wzmocnienie, jakim był ów napój. Nawet wówczas jej moc była głównie mocą niszczącą i bardzo ograniczoną.

Ten aspekt całego problemu z początku bardzo mnie martwił, jako że łatwo ulegała ona emocjom i podejrzewałem, iż mogą wystąpić trudności w naszym cielesnym współżyciu. Czasami też tak się zdarzało, jednak nie było to nic poważnego, ponieważ nigdy, nawet podświadomie, nie skierowałyby swej niszczącej mocy przeciw mojej osobie. Jeśli dochodziło do nieporozumień i poważniejszej sprzeczki, byłem w stanie się obronić dzięki chociażby szybkiemu refleksowi. Niemniej od czasu do czasu, kiedy się kochaliśmy i przestawała ona kontrolować na moment swą moc, ziemia rzeczywiście się poruszała.

Moc Ti, szczególnie przy mojej pomocy, pozwalała jej tworzyć swe własne ubranie, co było bardzo istotne dla kogoś kto wychował się pośród pionków, gdzie strój był równoznaczny ze statusem społecznym. Co więcej, jej rozumienie mocy Wardena było na tyle głębokie, że mogła pojąć moje problemy i moje frustracje i zastanowić się nad nimi. W rzeczywistości to ona właśnie znalazła ich częściowe rozwiązanie.

– Posłuchaj – powiedziała pewnego dnia – problem polega na tym, iż komórki Wardena wędrujące z pyłem i wszystkim, co jest w powietrzu, aż pędzą, żeby pożreć te metalowe przedmioty, prawda?

Skinąłem głową ponuro.

– A ja nie potrafię tego powstrzymać, bo te metalowe przedmioty, jak je nazywasz, nie posiadają w swym wnętrzu czegoś, z czym mógłbym się porozumieć, nie wspominając już kontrolowania.

– Dlaczego więc nie porozmawiasz z tym, co atakuje? – spytała. – Dlaczego nie odwiedzisz ich od ataku?

Już miałem odpowiedzieć, iż to zupełnie niedorzeczny pomysł, kiedy nagle zdałem sobie sprawę z tego, że wcale nie jest on taki niedorzeczny. Naturalnie nie w tym sensie, w jakim go ona przedstawiła, ale nagle dostrzegłem klucz do rozwiązania problemu; był tak śmiesznie wręcz prosty, iż doprawdy nie wiem, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem.

Przemówić do atakujących komórek... Oczywiście. Skoro jednak atak był ciągły i następował ze wszystkich kierunków jednocześnie, ochrona czegoś, co było wielkości gwoźdźcia zajęłaby cały mój czas i całą energię. Jeśliby natomiast pokryć ten metal jakąś miejscową substancją, a komórki Wardena znajdujące się w owej substancji poinstruować, by powstrzymały się od ataku... Dokonanie tego nie byłoby zadaniem łatwym. W rzeczywistości proces ten byłby niewiarygodnie trudny, ale była to przecież właściwa metoda. Gdyby pomyśleć o zastosowaniu go do jakiejś złożonej maszyny, cała

ta sprawa byłaby koszmarem, nie do rozwiązania bez wielu przemyśleń i dużej praktyki.

Ludzie z instytutu byli jednak zadowoleni ze mnie. W końcu niewielu było zdolnych do stabilizacji metalu na jakąkolwiek skalę, a ja zrozumiałem, że Konfederacja wiedziała, co robi, wybierając właśnie mnie. Nie przypadkiem zajęto się moją skromną osobą. Domyślałem się teraz, iż podano komputerowi całkowitą dostępną informację na temat Marka Kreegana i na tej podstawie wybrano mnie. Moje życie, moja profesja, poglądy i wszystko inne, były najbliższe jego – i stąd tak wysokie prawdopodobieństwo, iż uzyskam moc władcy.

Dowiedziałem się jednak, iż nie byłem jedyną osobą poza Kreeganem, która dysponowała mocą tej klasy. W tej kategorii mieściło się jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt osób. Kreegan bowiem ucieleśniał nie tylko największą potęgę na planecie, ale potęgę, która miała wolę i predyspozycje do rządzenia, oraz zdolność ich wykorzystania. I do tego to wszystko się sprowadzało – nie moc, lecz zdolności i umiejętności. Uświadomiła mi tę prawdę jedna z instruktorek, kiedy zapytała: I cóż, co masz zamiar uczynić ze swą mocą teraz, kiedy już dołączyłeś do kręgu wybrańców? Było to bardzo istotne pytanie. Rzeczywiście dysponowałem teraz mocą, i to olbrzymią. Nie musiałem się już lękać tej planety i jej zawistnych przywódców. Miałem dla kogo i dla czego żyć. Miałem Ti oraz nadzieję na wygodną przyszłość.

Jakie jednak były te nasze umiejętności? Ti nauczono prowadzić żłobek i przedszkole, opiekować się małymi dziećmi, a ja zamierzałem wykorzystać te jej umiejętności do opieki nad naszym własnym potomstwem. A cóż takiego umiałem ja sam? Do czego byłem wyszkolony? Do fachowego zabijania. Do rozwiązywania wyrafinowanych technologicznie przestępstw – tu na tej planecie, gdzie technologia nie była problemem. Prawdę mówiąc, jedyne zajęcie, do którego posiadałem odpowiednie kwalifikacje, byłoby podobne do tego, które wykonywał Artur, ale wyzwanie, jakie niosła ze sobą walka dla sportu i dla zabawy moich mocodawców, nie pociągało mnie. W obronie mocodawców lub dla sprawy tak, ale nie po to tylko, by rozładować agresję i dać się wyżyć lubiącym przemoc.

Na tym etapie swego życia Marek Kreegan stanął zapewne przed identycznym problemem i doszedł do wniosków, do których i ja powinienem dojść. Byliśmy przecież bardziej podobni do siebie niż pierwotnie sądziłem i nasze losy wydawały się jakoś ze sobą związane. Cóż takiego posiadał on, czego ja nie miałem? Naturalnie, doświadczenie. Sam dotarł do szczytów władzy. Ja byłem już panem, chociaż nie byłem jeszcze ekspertem w żadnej konkretnej dziedzinie. Następnym w hierarchii, formalnie rzecz ujmując, był rycerz. Po rycerzu, książę. A w końcu, jeśli zyskam odpowiednie doświadczenie, z księcia mogę stać się władcą.

Po raz pierwszy zacząłem troszeczkę rozumieć Marka Kreegana. Prawdopodobnie nie przybył on na Lilith po to, by ją zagarnąć i kontrolować. Został lordem Lilith, jednym z Czterech Władców Rombu, dlatego iż nie miał kwalifikacji, by robić cokolwiek innego. Choć brzmi to absurdalnie, taka właśnie musiała być prawda. Przypomniały mi się słowa Kronlona: Żaden z nas nie ma wyboru.

Minęło dwanaście tygodni od naszego przybycia do dziedziny Moab, a już zacząłem sobie uświadamiać, że niewiele więcej mogą mnie tutaj nauczyć. Następny krok zależał teraz ode mnie, a moje przeznaczenie leżało gdzie indziej. Dowiedziałem się bardzo dużo o sobie samym, ale nie dowiedziałem się prawie nic na temat celu, w jakim mnie tutaj przysłano. Nie wiedziałem absolutnie

nic o obcych; nie wiedziałem nawet, jak obecnie wygląda Marek Kreegan. By poczynić jakieś postępy, musiałbym teraz zostać rycerzem, a do tego potrzebna mi była armia i doradcy dobrze zorientowani w tutejszych układach.

Poszukałem ojca Bronza.

Książd był w dobrej kondycji fizycznej i robił wrażenie wypoczętego, jak również zadowolonego z naszego spotkania. Uścisnęliśmy sobie dłonie, po czym uściskaliśmy się serdecznie. Zorientowałem się szybko, że chociaż trzymał się z daleka ode mnie, to jednak pilnie śledził moje postępy.

– Tak więc... jesteś już panem, z potencjalnymi widokami na władzę! – powiedział śmiejąc się.  
– Powiedziałem ci, żebyś o mnie pamiętał, kiedy już przejmiesz władzę!

Również się roześmiałem.

– To nie nastąpi tak prędko – odparłem. – Marek Kreegan jest już w podeszłym wieku, może go więc nie być już na tym świecie, kiedy nabiorę tyle pewności siebie, by rzucić mu wyzwanie. A przecież muszę uczynić pierwszy krok i dlatego potrzebna mi jest pomoc.

– To znaczy, że zamierzasz zostać rycerzem – powiedział jakby nigdy nic. – Domyślałem się tego. Niestety, normalna droga do tego stanowiska jest dla ciebie zamknięta. Nie możesz bowiem terminować u kogoś z rycerzy jako pan i czekać na właściwy moment. Żaden cię nie przyjmie.

– Myślałem o tym – poinformowałem go. – Będę to musiał osiągnąć za jednym uderzeniem. Będę zmuszony wystąpić przeciwko zorganizowanej sile, pokonać ją i rzucić wyzwanie konkretnemu rycerzowi.

– Niezła sztuczka – przyznał Bronz. – A skąd zamierzasz wziąć wojowników, by wejść frontowymi drzwiami?

– Myślałem też o tym. Wydaje mi się, że mam tylko jedną drogę i potrzebuję twojej pomocy. Obydwaj obserwowaliśmy, kilka tygodni temu, jak stosunkowo niewielka i nieuzbrojona grupa prowadzi walkę i zwycięża z elitarną jednostką. Sądzę, iż gdyby wszystkie wzięły w tym udział zdolne byłyby pokonać armię.

– Możliwe – odpowiedział w zadumie – ale ona nigdy na to nie pójdzie. Użyć swej siły, by mężczyzna mógł rządzić? Poznałeś przecież Sumiko.

– Owszem, poznałem. Poznałem i przestudiowałem. Myślę, iż aż ją świerzbi, żeby sobie powalczyć. Sądzę, że w tym celu tutaj przybyła, żeby udoskonalić własne metody. Myślę, że z radością powitałaby możliwość ich wypróbowania.

– Bardzo prawdopodobne – powiedział. – Ale dla samej rozróby, czy też żeby sprawdzić swoje teorie w praktyce. Jednak nie dla ciebie, mój chłopcze. Nie dla ciebie.

– A jeśli testem miałyby być dziedzina Zeis?

Stał chwilę niemy, ogłuszony tym pomysłem. Wreszcie powiedział:

– Nie szukasz łatwego wyjścia, prawda? Zeis nie jest małą, słabiutką dziedziną; jest jedną z większych. Wystarczająco ważną, by lądował tam prom i stąd te wszystkie ważne osoby, które tam goszczą. A poza tym, jest tam armia Artura, na własnym terenie. Pamiętasz topografię terenu i rozkład zamku?

– Pamiętam. Mimo wszystko to musi być Zeis. Podejrzewam, iż doktor Pohn jest tym obiektem jej nienawiści, który mógłby ją tam przyciągnąć. A jeśli chodzi o położenie, to Zeis jest dostatecznie blisko, by nie sprawiać szczególnych problemów logistycznych.

Rozważał tę propozycję.

– Może i da się namówić – przyznał – ale czy ty jesteś pewien, że sobie z nią poradzisz? Jeśli już będzie walczyć o Zeis i wygra, to czy sądzisz, że przekaże ci kontrolę nad tą dziedziną?

– Nie wiem – odpowiedziałem całkiem szczerze. – Nie wiem nawet, czy uda się jej pokonać bossa Tiela. Nigdy go nie spotkałem. Mimo to uważam, że muszę spróbować.

– Ja też tak sądzę – powiedział Bronz bardziej do siebie niż do mnie. – No cóż. Skontaktuję się z Sumiko i spróbuję wy badać, czy ona to kupi, albo czy przynajmniej zgodzi się o tym porozmawiać. Skontaktuję się również z księciem Kisornem. Może go przekonam, żeby pozwolił ci poprobaować.

– A co z Markiem Kreeganem? Czy będzie się trzymał na uboczu? Jakby nie było, to przecież on ustalił cenę na moją głowę.

– Och, jestem pewien, że Kreegan nie będzie się wtrącał – powiedział ojciec Bronz z przekonaniem. – Będzie ciekaw, cóż takiego potrafisz na tym etapie, żeby ocenić, jakie stanowisz zagrożenie dla niego i jego władzy. Jeśli namówimy Sumiko i jeśli ona pokona Tiela, i jeśli ty potrafisz ją pokonać, dopiero wówczas będziesz miał czas, żeby zamartwiać się Kreeganem. Jesteś pewien, że chcesz to wszystko rozpocząć? Jest tyle niewiadomych, a kiedy już zaczniesz, nie będziesz mógł się zatrzymać. Będziesz inicjatorem rozgrywki i weźmiesz za nią odpowiedzialność.

– Czy uważasz, że jestem szalony? – spytałem go. – Sądzisz, że powinienem tu osiąść na stałe, przeczytać te wszystkie książki, założyć rodzinę i powiedzieć: do diabła z tym wszystkim?

– Ja nic takiego nie powiedziałem – odparł Bronz tonem, który sugerował coś przeciwnego.

– Nie mogę – powiedziałem. – To niezgodne z moim charakterem.

– Zobaczmy. – Ojciec Bronz westchnął głęboko. – Puszczę teraz w ruch całą maszynę, I niech Bóg ma litość nad twoją duszą.

## Rozdział dwudziesty

### NARADA WOJENNA

Wszystko przebiegło tak łatwo i tak szybko, że wydało mi się to nawet podejrzanе.

Wioska czarownic nie zmieniła od czasu, kiedy w niej przebywałem, chociaż teraz byłem o wiele bardziej uwrażliwiony na całe otaczające mnie środowisko wardenowskie i dlatego wszystko wyglądało trochę inaczej. Odczuwałem łagodne, aczkolwiek nieprzyjemne zawroty głowy, których w żaden sposób nie mogłem zidentyfikować. Ojciec Bronz poinformował mnie, że odczuwał podobne po swojej pierwszej tutaj wizycie i że jest to skutek uboczny procesu, dzięki któremu Sumiko O'Higgins pozostawała ukryta, w razie potrzeby, przed światem.

– Robią to na zmiany – powiedział. – Jedna z nich, w randze pana, i dwanaście innych dziewcząt, napojonych sokiem Sumiko, pełnią stałą i czujną straż. Nic, z wyjątkiem kamery na satelicie, nie jest w stanie ujrzeć tego, co tutaj się znajduje, a i kamera niewiele pomoże, bowiem miejsce to jest świetnie zakamuflowane od góry, między innymi kilkoma zniekształcającymi warstwami inwersyjnymi. Dlatego zresztą je wybrała.

Była pewna, że Artur nie potrafi odnaleźć wioski po poniesieniu tam porażki i miała rację. W zasadzie cała sprawa polegała na tym, że owe trzynaście strażniczek przesyłało informację do wszystkiego i wszystkich wokół, by po prostu nie zauważyli tego miejsca. Nie była to więc ani niewidzialność, ani żadna forma telepatii, ale rodzaj potężnej bariery psychicznej.

Z tego, co mi powiedział ojciec Bronz, wnioskowałem, że O'Higgins wydawała się wręcz zachwycona moim pomysłem. Mówiła coś o potrzebie „testu”. Co więcej, miała bardzo konkretne pretensje do dziedziny Zeis i to nie tylko z powodu doktora Pohna, ale również dlatego, iż Artur zabił dwie czarownice podczas poprzedniego ataku.

Mimo że zastąpiła te dwie zmarłe innymi, wyprawa na Zeis stwarzała poważny problem ilościowy. Większość sposobów walki była bowiem dużo bardziej skuteczna w obronie niż w ataku; na przykład technika taka jak krąg, który widziałem w działaniu, czy „zaćmiewanie umysłów” nie była nazbyt użyteczna w przypadku ruchomej, atakującej siły. Mogłaby unieszkodliwić część armii Artura, ale nie całą; w bezpośrednim starciu jej pionki, nawet nieco wzmocnione, nie byłyby równorzędnymi przeciwnikami dla wyszkolonych i doświadczonych nadzorców i panów z armii

Artura. Siła czarownic była siłą grupową. Artur już o tym wiedział i teraz, po tym jak został tak wykrwawiony w tamtej bitwie, na pewno podejmie odpowiednie środki, by sile tej przeciwdziałać. Gdyby miała tysiąc czarownic, Sumiko byłaby nie do pokonania, ze stu sześćdziesięcioma dziewięcioma potrzebowała pomocy.

Ponownie pomocy udzielił jej ojciec Bronz, wykazując przy tym makiaweliczne zdolności polityczne. W naszym ostatnim spotkaniu, oprócz księdza i czarownic, udział wzięły trzy nie znane mi kobiety w długich, powłóczyстых, kolorowych szatach. Gdyby nie ich sposób bycia i stroje, można by je wziąć za zwykłe, przeciętne kobiety ze światów cywilizowanych. W każdym razie odniosłem wrażenie, iż nie są to zwykłe mieszkanki Lilith, nawet nie w randze panów. Były one... czymś innym.

Kiedy siedzieliśmy wokół stołu, pojadając małe, smaczne ciasteczka i popijając łagodne, miejscowe wino, ojciec Bronz przedstawiał wszystkich po kolei. Wpierw Sumiko, potem mnie, po czym zwrócił się w stronę trzech obcych kobiet.

– Pozwólcie sobie przedstawić bossa Rognival z dziedziny Lakk – powiedział, wskazując na najbardziej okazale ubraną z trzech dam – jej asystenta do spraw administracyjnych, lady Tonę, i jej burgrabię, lady Kysil.

Chociaż panie te walczyły o własne interesy raczej niż o moje, to jednak nigdy przedtem nie czułem się tak wyłączony z planowanej operacji, mającej na dodatek zadecydować o mojej przyszłości, jak wówczas. Przyglądałem się im z wielkim zainteresowaniem, nie tylko z powodu tego, co robiły, ale także dlatego, iż nigdy przedtem nie widziałem rycerza. Suknię miała obszytą futerkiem, na głowie przepaskę z jakimś klejnotem i nic nadludzkiego w swoim wyglądzie. Muszę wszakże przyznać, że moc wardenowska płonęła i świeciła się w niej znacznie jaśniej niż u pozostałych. Mapa w mej głowie włączyła się automatycznie i zobaczyłem na niej, że dziedzina Lakk była bardzo mała i leżała na zachód od Zeis – po drugiej stronie tych groźnie wyglądających bagien.

– Przejdźmy do konkretów – powiedziała ostro Rognival, tonem szorstkim i stanowczym. – Zamierzamy zaatakować i zająć dziedzinę Zeis. Obecna tu czarownica ma swoje powody i stare rachunki do wyrównania; młody człowiek ma ambicje, a ja... cóż, powiedzmy, że Lakk jest bardzo małą dziedziną, otoczoną prawie ze wszystkich stron przez obrzydliwe bagna. Nie zawsze jednak tak było. Posiadałam kiedyś bowiem cztery kilometry kwadratowej najlepszej ziemi ornej po drugiej stronie bagna, która obecnie należy do Zeisu, Tiel i Artur zabrali ją wraz z uprawiającymi ją pionkami przed dziesięciu laty, pozostawiając mi jedynie wyspę Lakk, która, choć posiada uprawy melonów i pastwiska dla snarków, nie zapewnia nam samowystarczalności. W rezultacie stałam się wasalem Tiela i za to go nienawidzę. Do tej pory jednak nie miałam dość sił, by go zaatakować, ani dość atutów, by zyskać sojuszników. Stwarzacie mi teraz możliwość odzyskania mej ziemi, niezależności i godności własnej.

O’Higgins popatrzyła na nią z sympatią. Dostrzegałem w tym wszystkim robotę ojca Bronza – kobieta rycerz nienawidząca Zeis. Doskonały pomysł.

Aż nazbyt doskonały, pomyślałem w tym samym momencie. Coś mi tu nie grało. I to bardzo. To wszystko wyglądało zbyt gładko, zbyt obiecująco. Miałem nieprzyjemne uczucie, że ktoś mnie wystawia do wiatru i że tym kimś musi być ojciec Bronz.



Odkąd tylko uciekłem z Zeis do momentu, w którym go spotkałem, kierował całym moim życiem, a robił to chętnie i gorliwie. Cal Tremon biorący udział w tej naradzie był produktem machinacji Bronza w takim samym stopniu jak całe to starannie wyreżyserowane przedstawienie. Jaką on grę prowadził?

Sprawdziłem, co tylko mogłem w ramach moich ograniczonych kontaktów na tym świecie, i wszyscy przedstawili mi ojca Bronza jako wędrownego pana, księdza odrzuconego przez jego własny kościół, – kręcącego się tutaj od niepamiętnych czasów. To ostatnie niepokoiło mnie najbardziej. Nikt nie przypominał go sobie odprawiającego jakieś nabożeństwo czy mszę, czy wykonującego coś, co należało do przyjętych ogólnie obowiązków duchownego. Osobiście też nic takiego nie widziałem, a jeśli chodzi o to, co robił przed przybyciem na Lilith, o jego przeszłość i o przyczynę zesłania, musieliśmy polegać jedynie na jego słowie.

Z drugiej strony, skoro łączyło go coś z bossem Tielem, z Kreeganem i całą tą szajką, to po co zadawał sobie tyle trudu, zajmując się moją skromną osobą? Dlaczego po prostu mnie nie wydał? Jeśli był kimś ze szczytów hierarchii społecznej paradującym w przebraniu skromnego księdza, dlaczego pomógł mi dotrzeć do instytutu i dopilnował, bym otrzymał najlepsze szkolenie i doświadczenie dostępne na Lilith? Jeśli miał własne ambicje, byłbym przecież dla mego zagrożeniem, jeśli nie teraz to kiedyś w przyszłości.

A jeśli rzeczywiście był tym, za kogo się podawał, jakie były jego motywy? Nieugięty obrońca systemu panującego na Lilith jednocześnie korzystał z pomocy czarownic stanowiących największe dla tego systemu zagrożenie po to, by dać władzę człowiekowi, który tego systemu nienawidził, to znaczy mnie.

Popatrzyłem na twarze osób żywo teraz dyskutujących na temat nadchodzącej kampanii. Nie zwracałem większej uwagi na ich słowa, ponieważ, jak na ironię, byłem tutaj najmniej ważny pod względem wpływu, jaki mógłbym mieć na wynik wojny, choć naturalnie wiedziałem, iż walczyć będę. O’Higgins, psychopatka klasy władcy, z możliwościami wzmocnienia, łączenia i nadawania kierunku mocy Wardena. Rognival, która chciała zemsty za uprzednią stratę i odzyskania własnego terytorium. Bronz...

Kiedyś, myśląc o nim, użyłem terminu makiaweliczny. O ile dobrze pamiętam z czasów, kiedy studiowałem, ten nieprzeciętny, starożytny myśliciel nigdy sam nie był przywódcą, lecz jedynie doradcą – doradcą, który był rzeczywistym władcą, podczas gdy jego księżę ponosił całą odpowiedzialność i wykonywał całą brudną robotę. Czyżbym ja sam był kandydatem na takiego księcia? A może wszyscy troje mieściliśmy się w tej kategorii? Czyżby chciał on dzięki swej wielkiej cierpliwości i diabolicznej inteligencji zrealizować marzenie o kontroli nad całym sektorem, w sposób pośredni poprzez swoich władców, a potem, wykorzystując odkrycia O’Higgins, zdobyć kontrolę nad całą planetą? W jaki sposób miałby mu w tym przeszkodzić Marek Kreegan, który uderzałby raczej w książąt, a nie w jakiegoś wędrownego księdza i doradcę.

Był to dobry plan, być może nawet błyskotliwy i genialny. Przynależem sobie, że jeśli przeżyję, nie stanę się pionkiem w jego grze.

Naradę zakończono w świetnych nastrojach, bowiem udało się uzgodnić plan, który,

przynajmniej teoretycznie, był doskonały. Zobaczymy, jak się sprawdzi w praktyce, kiedy staną naprzeciw siebie konkretni ludzie.

Wróciłem do chaty, w której wraz z Ti spędziliśmy całe godziny podczas poprzedniej bitwy i, ku memu zdumieniu, nie zastałem jej tam. Nie interesowała się strategią i nie znała się na niej zupełnie, a ponieważ czarownice nie były nazbyt komunikatywne, musiała zapewne znaleźć sobie jakąś rozrywkę; nie pozostało mi więc nic innego, jak czekać.

Było już prawie ciemno kiedy wróciła, zmęczona i zmartwiona.

– Co się stało? – spytałem zaniepokojony. – Gdzie byłaś?

– Na przespiegach – westchnęła i usiadła.

– Co takiego? Co chcesz przez to powiedzieć?

Pokiwała głową.

– Nie podobają mi się te kobiety – stwierdziła. – Jest w nich coś niesamowitego i podejrzanego. – Zerknęła na mnie z niepokojem. – Kiedy bitwa?

– Za trzy dni – odparłem. – O świcie.

Pokręciła głową.

– Ta O’Higgins może i jest miła, ale to zupełna wariatka, Cal. Zbliżyłam się do jednej z grup, która miała właśnie jakieś zebranie. Nie, nie martw się. Nie zauważyły mnie. Musiałam wyęczać słuch, ale udało mi się usłyszeć większość z tego, co mówiono. – Dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

Zmarszczyłem brwi.

– I cóż takiego usłyszałaś, że tak cię wyprowadziło z równowagi?

Nachyliła się ku mnie i zaczęła szeptać.

– One nie mają zamiaru zachować się lojalnie, Cal. Jak tylko zwyciężą, zabiją ciebie i ojca Bronza. Tej lady Rognival dadzą to, czego chce, żeby mieć ją z głowy na jakiś czas, ale Zeis zatrzymają dla siebie. Mówiły coś o rozpoczęciu czystki. Co to jest czystka, Cal?

Wyjaśniłem jej.

Pokiwała głową.

– Czegoś takiego się domyślałam. Powiedziały o czystce na Lilith. Z tego, co rozumiałam, zamierzają wybić wszystkich mężczyzn z dziedziny Zeis i zamienić ją w wyłączne władztwo czarownic.

Doznałem nieprzyjemnego uczucia – uczucia, które zresztą towarzyszyło mi od dawna. Tyle że nie chciałem się do niego przyznać przed sobą samym.

– Nie przejmuj się – powiedziałem. Chciałem ją uspokoić pewnością siebie, nie czułem jej jednak. – Ojciec Bronz i ja nie pozwolimy się tak wykończyć. Zresztą ta stara wiedźma i tak by sobie nie poradziła. Marek Kreegan i najważniejsi bossowie dopadliby ją, nim cokolwiek by zaczęła.

Ti pokręciła gwałtownie głową.

– One o tym doskonale wiedzą. Może to i wariatki, ale na pewno nie są głupie. Mówią, że O’Higgins już w tej chwili jest potężniejsza od Marka Kreegana, a z tym ich sokiem – naparem szatana, jak go nazywają – są silniejsze od każdej armii, jaką przeciwko nim wystawią. Powiadają, że Sumiko jest tak silna, że była w stanie ustabilizować dwa działa laserowe, czy coś takiego, pochodzące spoza Rombu.

Działa laserowe...

– Pistolety laserowe? – podpowiedziałem słabym głosem mimo udawanej pewności siebie.

Skinęła głową.

– Tak. Właśnie tak. Och, Cal, co teraz zrobimy?

Jedyne, co w tej chwili mogłem zrobić, to przytulić ją mocno i spróbować odsunąć od niej te zmartwienia. Jednak w najbliższych dwóch dniach muszę odbyć dłuższą rozmowę z ojcem Bronzem.

Ksiądz zmarszczył brwi.

– Potrafi stabilizować pistolety laserowe, hm? To znaczy, że rzeczywiście jest tak silna jak Kreegan. A to już przedstawia pewien problem. – Znajdowaliśmy się poza obozowiskiem czarownic, w oficjalnie wyznaczonej strefie niebezpieczeństwa, ale praktycznie nic nam nie zagrażało.

– To jeszcze nie wszystko – powiedziałem. – W świecie takim jak Lilith, zwykły pistolet obezwładniający zrobiłby cię królem. Pionek byłby w stanie pozbawić przytomności władcę, gdyby tylko działał przez zaskoczenie. Wiem, że sam mógłbym to zrobić, a przecież ten świat jest pełen ekspertów od zabijania.

Bronz kiwał z powagą głową.

– Jest już trochę za późno, by zmienić cały plan; poza tym nie sądzę, by ona się zgodziła na taką zmianę. Niemniej nie jesteśmy zupełnie pozbawieni wszelkich atutów. – Oczy mu się rozjarzyły, a na ustach pojawił się cień uśmiechu. – Muszę przyznać, iż nie jestem tak całkiem zaszokowany i zaskoczony tym wszystkim. Spodziewałem się czegoś podobnego i uwzględniłem to w moich planach.

Zamiast mnie pocieszyć, ta jego ostatnia uwaga wprawiała mnie w jeszcze większe zakłopotanie.

– Kimże jesteś naprawdę, Bronzie? Na czym polega twoja gra?

Westchnął głęboko.

– Cal, nie masz rzeczywiście żadnych powodów, by mi wierzyć, lecz masz ich kilka, by mi zaufać. Wielokrotnie już miałem możliwość uśmiercenia cię, szczególnie na samym początku, gdy jeszcze niewiele wiedziałeś i byłeś zupełnie bezbronny. Nie uczyniłem tego. Pomogłem tobie i Ti na tyle, na ile mogłem. Przyznasz, że tak było?

Skinąłem głową, nie do końca poddając się temu rozumowaniu.

– Tedy musisz mi zaufać, dopóki walka się nie zakończy – ciągnął dalej. – Musisz trzymać się z dala od O’Higgins. Jest bowiem jedyną osobą, której ktoś posiadający twoją moc, może się obawiać. Czekaj więc. Kiedy bitwa się skończy, dowiesz się wszystkiego. Przynależni ci to. Poznasz i zrozumiesz wszystko, i wyciągniesz z tego osobiste korzyści.

– Po czyjej jesteś stronie, ojcie Bronzie? – spytałem z podejrzliwością. – Czy nie mógłbyś mi powiedzieć przynajmniej tego?

Uśmiechnął się.

– Jestem po swojej stronie, Cal. Powinieneś to zrozumieć. Na szczęście, twoje i moje interesy nie są sprzeczne, lecz raczej w dużym stopniu pokrywają się. Daję ci solenne słowo honoru, że tak właśnie jest. Zaufaj mi jeszcze ten jeden raz, a wszystko się wyjaśni.

– Spróbuję – powiedziałem wzdychając – tym bardziej, że nie mam wielkiego wyboru.

Roześmiał się beztrzesko i poklepał mnie po ramieniu.

– Wracajmy. Dlaczego nie spróbujesz spłodzić dziecka z tą twoją uroczą partnerką? To może być ostatnia okazja na jakiś czas. Za dwa dni twój własny umysł udzieli ci odpowiedzi. Podejrzewam, iż moje wyjaśnienia będą zupełnie zbędne. Pamiętaj tylko, że ja naprawdę cię lubię, synu. Pewnego dnia zostaniesz władcą Lilith, jeśli będziesz na siebie uważał.

Patrzyłem na niego, ale nie odpowiedziałem ani słowem. Zastanawiałem się jedynie, czy do tego czasu władza ta będzie tyle warta, by opłacało się ją w ogóle brać.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

### BITWA O DZIEDZINĘ ZEIS

Książę nie prowadzi wojny z gminem. Toczy bitwy z równymi sobie i wyższymi od siebie. Dlatego moim początkowym zadaniem było stać z boku i jedynie obserwować. Dopiero kiedy armie wykonają całą najgorszą robotę i bitwa zostanie rozstrzygnięta, przyjdzie kolej na mnie, na wejście do zamku frontowymi wrotami i przejście zakazanym korytarzem głównym. Szczerze mówiąc, wolałbym osobiście uczestniczyć w nadchodzącej bitwie, bowiem był to ten rodzaj zajęcia, któremu poświęciłem właściwie całe dotychczasowe życie. Choć mogłoby to zaszokować niektórych delikatnisiów i wrażliwców ze świata cywilizowanego, sprawiało mi ono pewną przyjemność. Teraz jednak awansowałem, stając się czymś więcej niż samotny skrytobójca, szeregowy piechociarz czy kawalerzysta. Teraz inni walczyli w moim imieniu.

Szedłem z Ti w dół zamgloną ścieżką, którą nie tak dawno podążałem pod górę obarczony jej nieruchomym ciałem i z trudem unikając strażników Zeisu. Wracaliśmy teraz samodzielnie i z własnej woli, odziani w stroje pana i nadzorcy, a kolory i krój naszych ubrań wskazywały, iż jesteśmy małżeństwem.

Kiedy wynurzyliśmy się z chmury w dolnej partii stoku, ujrzeliśmy dziedzinę Zeis oświetloną blaskiem jutrzeńki. Było to to samo baśniowe miejsce, które zachowałem w swej pamięci.

Usłyszałem zachwycone westchnienie Ti.

– Jakież to piękne – powiedziała, po czym natychmiast zerknęła na mnie, jakby w obawie, iż zachowuje się dziecinnie. W końcu zdecydowała pewnie, że nie powinna się tym przejmować. – Tam się urodziłam – rzekła, wskazując palcem naszą starą wioskę. – Wiele tam było zła, ale jestem częścią tego miejsca, a ono jest częścią mnie. Czy potrafisz to zrozumieć?

Skinąłem głową, chociaż nie było na całym świecie miejsca, które mogłoby rościć sobie prawo do mego serca, tak jak Zeis rościł sobie prawo do jej duszy. Byłem bowiem produktem innego społeczeństwa, społeczeństwa dziwnych form i struktur zaprojektowanych przez komputer, a ukształtowanych w plastiku. Niemniej moja reakcja była w jakimś stopniu zbliżona do jej reakcji, choć pozostawało to w całkowitej sprzeczności z moim charakterem i filozofią życiową. Przyciągnąłem ją do siebie i uściśnąłem.

– To wszystko może być nasze – wyszeptalem, zastanawiając się w tym samym momencie, czy już przestałem być tym, czym kiedyś byłem i należałem już do rasy ludzkiej Lilith.

Usiedliśmy na skalnej półce i odprężyliśmy się. Ti wyjęła zawartość plecionego koszyka, który niosła ze sobą – czajnik z tykwy, dwie małe filiżanki z tego samego materiału, krzesiwo, garść liści quar, które płonęły powoli, ale dawały dużo ciepła, i trochę herbaty ojca Bronza. Woda spływająca z gór tworzyła małe wodospady, mieliśmy więc pod ręką życiodajny płyn do przyrządzenia naparu. W czajniku znajdowały się także małe ciasteczka i przypominająca ser substancja, wytwarzana z jakichś owadów za pomocą technologii, której poznać nie miałem najmniejszej ochoty.

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. To przecież tak absurdalne urządzać sobie piknik, obserwując jednocześnie przebieg bitwy.

Przednia straż czarownic „wymiotła” szlaki przed świtem, dzięki czemu nie musieliśmy się obawiać żadnych nieprzyjemnych niespodzianek, przynajmniej do czasu rozpoczęcia bitwy. Mieliśmy doskonały punkt obserwacyjny, z którego widoczny był cały ten obszerny teren, od bagien aż do zamku. Wszystko jednak wyglądało na małe i bardzo odległe. Żałowałem, że nie znajdujemy się znacznie bliżej miejsca wydarzeń.

Ti pogrzebała w koszyku i wyjęła z niego dwie składane, drewniane tuby. Przyglądałem im się z podziwem, obracając w dłoniach. Okazały się bowiem niewielkimi lunetami.

– Skąd one się tu wzięły? – spytałem zaskoczony.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Zaprzyjaźniłam się z pewnym nadzorcą z Lakk, pilotem osobistego besila lady Tony. Kiedy zauważyłam to urządzenie za jego pasem, zapytałam o nie, a on postarał mi się o dwa. Pomyślałam sobie, że mogą nam się przydać.

Zaimponowała mi. Z przyzwyczajenia już ciągle jej nie doceniałem, za co wielokrotnie byłem zmuszony karcić się w myślach. Chciałem ją zresztą zostawić w bezpiecznym miejscu i nie zabierać na tę wyprawę, lecz okazało się to zupełnie niemożliwe. Zaczynałem podejrzewać, iż celowo zachowywała się jak dziecko, by zyskać nad innymi jakąś przewagę i to niezależnie od tego, czy ktoś dysponował mocą Wardena, czy też nie.

Przyłożyłem lunetę do prawego oka i studiowałem bacznie teren pod nami.

– Lada moment powinno się zacząć – odezwałem się pełnym napięcia głosem.

– Już się zaczęło – odparła. – Popatrz tam, obok fortu Artura. Widzisz?

Skierowałem lunetę w tamto miejsce, żałując, że nie mam czegoś o większej ostrości i znacznie silniejszego.

– Nie widzę... czekaj! Teraz widzę!

Ustawione w zwartym szyku bojowym, stały tam wielkie, skaczące wuki, a ich pękate odwłoki były niemal niewidoczne na tle zieleni. Za nimi widniały groźnie wyglądające kolumny piechoty, tworzące równie doskonale zgrupowanie wojskowe.

Skierowałem lunetę na zagrody besili wykute w zboczu góry powyżej terenu otoczonego palisadą i stwierdziłem, że panuje tam szalony ruch. Wiedziałem, iż na sygnał z ziemi wystrzela stamtąd gromady jeźdźców na swych powietrznych wierzchowcach. Zastanawiałem się przez chwilę, gdzie w tym wszystkim może znajdować się stanowisko Artura.

Następnie popatrzyłem na zamek. Wielkie wrota były zamknięte, a z” wieżyczek powiewały czerwone flagi. Wydawało mi się, iż widzę jakieś postacie na tych wieżyczkach, jednak odległość była zbyt wielka, bym mógł być tego pewien. Pewnym natomiast był fakt, iż nigdzie nie było widać pionków. Wycofano ich wszystkich w pobliże gór, jak najdalej od pola bitwy, by tam czekali na jej rezultat.

Przyjrzałem się dokładnie wejściom na szlaki, biorącym swój początek w dolinie leżącej u moich stóp. Nocą zostały one zajęte przez czarownice, które stały tam teraz, tworząc jedną linię, a nie krąg, z twarzami zwróconymi ku dolinie.

Nie było możliwości przeprowadzenia jakichkolwiek ruchów bez wiedzy przeciwnika i dlatego nikt się specjalnie nie krył, przeprowadzając kolejne manewry. Czarownice ustawione były w sposób, który, w razie potrzeby, umożliwiał im przyjscie z pomocą każdej z poszczególnych grup i chociaż Artur mógłby znieść każdy ich liczący trzysta kobiet oddział, to byłoby to równoznaczne z zaproszeniem do ataku na własne tyły, przez nadciągające siły dziedziny Lakk. Doszedłem do wniosku, że Artur będzie wolał wpierw stoczyć bitwę i pokonać armię Lakk, zostawiając na razie czarownice w spokoju. Z ruchów jego wojsk wywnioskowałem również, iż zamierza on spotkać napastników jak najbliżej bagien i prowadzić walkę nad tym wilgotnym i zdradliwym terenem, zmuszając tym samym jeźdźców z Lakk do lądowania na suchej ziemi jedynie pojedynczo lub w małych grupach. W ten sposób byłby ich znosił kolejno, nim mieliby w ogóle szansę się przegrupować.

To, co widziałem przed palisadą, stanowiło jedynie rezerwy, niewiele ponad połowę jego wszystkich sił, które mógł rzucić, w razie potrzeby, w miejsca wymagające wsparcia lub skierować przeciwko poszczególnym grupom czarownic. Była to mądra strategia wojskowa i można było zrozumieć szacunek, jakim darzono Artura, a także powody, dla których Zeis uważany był za twierdzą nie do zdobycia.

Do dziedziny Zeis prowadziło tylko siedem dróg i każda z nich zablokowana była przez trzysta czarownic. Pozostawało ich więc siedemdziesiąt osiem i tych siedemdziesiąt osiem czarownic stanowiło potężną, wzmocnioną i stopioną w jedno, siłę wardenowską. Zeis w sensie militarnym, stanowił wręcz model układu obronnego, jednakże jego siła leżała w niemożliwości zdobycia i utrzymania przyczółka na jego terenie. Jeśli wystarczająco wielkim siłom udałoby się wylądować na twardym gruncie, wówczas sami obrońcy znaleźliby się w otoczonej ze wszystkich stron górami pułapce.

– Besile ruszyły! – zawołała podekscytowana Ti.

Nie potrzebowałem lunety, by ujrzeć te wielkie, ciemne kształty wypływające z ich górskich stajni. Jeźdźcy przymocowani byli do specjalnych siodeł bojowych, na których wspierały się równie długie i ostro zakończone drewniane lance. Popatrzyłem ponad zamglonym bagniskiem i przez moment nic nie dostrzegłem. Potem ujrzałem długi, powolny rząd besili. W przeciwieństwie do besili Artura, których podbrzusza pomalowane były na czerwony kolor, te tutaj miały kolor żółty, kolor dziedziny Lakk.

Nadlatywały powoli i na niewielkiej wysokości, zachowując dużą ostrożność. W dolinie oprócz kilku pasemek mgły nie było już chmur i panowały doskonałe warunki do staczania pojedynków powietrznych.

Besile z Zejs zbliżyły się do bagien i zatrzymały się; by utrzymać się w miejscu, poruszały teraz skrzydłami z tak wielką szybkością, iż skrzydła te stały się całkowicie niewidoczne. Szczerze mówiąc, nigdy nie mogłem zrozumieć, jak zwierzęta o takiej masie mogą w ogóle latać.

Atakująca formacja rozdzieliła się; jedna trzecia skierowała się w lewo, jedna trzecia w prawo, a kolumna centralna parła do przodu, przyspieszając nagle i nabierając olbrzymiej szybkości. Setki czarnych, chryzących lotników wpadało w wir bitwy i wypadało z niego, wymierzało i parowało ciosy, usiłując trafić bezpośrednio w jeźdźców przeciwnika lub w podbrzusza ich wierzchowców. Bitwę toczono w trzech wymiarach, pod zupełnie szalonymi kątami i przy ogromnej szybkości.

Podczas gdy awangarda besili Zeisu zajęta była walką w powietrzu, znajdujące się poniżej bagnisko nagie ożyło, a w zalegającej je mgłę zaczęły przesuwać się w różnych kierunkach jakieś niesamowite postacie. Wreszcie ukazały się wielkie, dwunastonożne, owłosione snarki, hodowane dla futra przez mieszkańców Lilith, a także używane jako podstawa gulaszu. Te obeznane z bagnami stworzenia unikały zapadania się w grzęzawisko, a to dzięki stosowanemu przez nie przesuwaniu, według woli, środka ciężkości. Jako roślinożerne, były dla ludzi całkowicie niegroźne, a jednocześnie stanowiły doskonałe transportery wojskowe w sytuacji kiedy bitwa rozgrywała się na bagnach. Do tego właśnie celu hodowano je w dziedzinie Lakk.

Ze strony Zeisu ruszyły do akcji wielkie, skaczące, zielone wuki, które próbowały mierzyć tak dokładnie i skakać tak wysoko, by lądować na grzbietach snarków i wywracać je wraz z ich ładunkiem wprost w bagno. Manewr ten byłby się powiódł, gdyby snarki transportowały żołnierzy, ale tym razem było zupełnie inaczej.

Snarki zatrzymały się nagle, jak gdyby w oczekiwaniu na pewną śmierć, a dumne i imponujące wuki równie nagle hamowały i koziołkowały w pół skoku, jakby trafiały na zaporę z ognia maszynowego, po czym waliły się bezwładnie na ziemię.

Snarki bowiem nie przewoziły wojowników, lecz wzmocnione chemicznie czarownice, które psychicznie skupione były na znajdującym się w samym centrum snarku, skąd ich przywódczyni strącała z powietrza wuki jedynie gestami swych rąk.

Widząc co się dzieje, Artur błyskawicznie zmienił strategię. Zorientowawszy się po układzie, w jaki padały jego wuki, iż są one stręcane przez pojedynczą i scentralizowaną moc, Artur rozwinął część swych rezerw w poprzek całego zagłębienia, rozkazując wojownikom utrzymywać jak



najszerszy front, by rozproszyć tym samym siłę ognia czarownic. Ich skoncentrowana moc posiadała bowiem, metaforycznie rzecz ujmując, jedną lufę, która nie mogła być przecież skierowana we wszystkie strony jednocześnie.

Besile również spadały z rozdzierającym krzykiem na ziemię; nie mogły one pomóc żadnej ze stron w tym fragmencie bitwy, ale skutecznie blokowały swych przeciwników przed udzieleniem takiej pomocy. Wokół zapanowała krwawa rzeź, a plan Artura zaczął wreszcie przynosić efekty. Jeden z wuków uderzył bowiem swymi podciągniętymi w ostatniej sekundzie potężnymi tylnymi nogami snarka transportującego grupę czarownic, a ten załamał się i padł w bagno, pociągając za sobą swoje pasażerki, tym samym zmniejszając o jakiś ułamek moc Sumiko O'Higgins. Z odległości, w jakiej się znajdowaliśmy, trudno było ocenić, ile czarownic mieściło się na jednym snarku, ale uwzględniając liczbę tych stworzeń, należało przypuszczać, że cztery lub pięć. Cała sceneria przed naszymi oczyma robiła wstrząsające wrażenie, a rozgrywający się tam niesamowity balet śmierci i zniszczenia przypominały dość dokładnie sceny jakie miały miejsce na naszej matce Ziemi kilkaset lat wcześniej.

Manewr wuków osłabił czarownice, jednak większość z nich dotarła na stały grunt, gdzie na nowo szybko tworzyły swoje grupy. Niektóre grupy były niepełne, ale ponieważ wszystkie czarownice działały z, poprzez i pod kierunkiem Sumiko O'Higgins, niezależnie od tego ile ich wylądowało i tak dysponowały liczącą się siłą.

Nagle przed lądującymi czarownicami trawa trysnęła ogniem, tworząc gigantyczną kurtynę płomieni w poprzek całego pola oślepiającą swym blaskiem wszystkich patrzących.

Domyśliłem się, że to moc Wardeny walczy z mocą Wardeny.

Po krótkiej chwili paniki spowodowanej zaskoczeniem czarownice dokonały przegrupowania. I wtedy uniósł się w górę potężny wir z ziemi i piasku, który jak gigantyczny pług posuwał się wzdłuż linii ognia, dusząc go prawie całkowicie. Czarownice zaatakowały szerokim półkolem. Nie wiem dokładnie ile ich było, ale jestem przekonany, iż co najmniej pięćdziesiąt. Sumiko chełpiła się kiedyś, że mniejsza ich liczba wystarczy, by zrównać zamek z ziemią.

A teraz ogień obrócił się przeciw broniącym się. Przerażliwie jasna ściana płomieni wystrzeliła w górę i poczęła się toczyć do przodu rozszerzającym się stale łukiem, spychając do tyłu siły naziemne i odsłaniając wielkie, czarne dziury będące najwyraźniej pułapkami czekającymi na tych spośród napastników, którym udało się dotrzeć tak daleko.

Zmarszczyłem brwi i skierowałem swą niewielką lunetę na rezerwy tkwiące ciągle na miejscu za palisadą.

– Przegra – mruknąłem bardziej do siebie niż do Ti – jeśli natychmiast nie pošle tych rezerw w bój. Przecież udało się już zdobyć przyczółek. Dlaczego ich nie rusza?

Ti nie zareagowała, a ja nie mogłem oderwać oczu od rozgrywającego się przede mną przedstawienia.

Ponownie patrzyłem na bagna, gdzie ukazały się całe chmury snarków transportujących żołnierzy z Lakk, którzy właśnie teraz lądowali na suchym gruncie za osłoną stworzonej przez czarownice kurtyny z płomieni.

Zwróciłem lunetę na obwody gotowe do akcji, lecz ciągle nieruchome, i potrząsałem głową.

– Nie mogą być przecież aż tak niekompetentni – powiedziałem do siebie. – Dlaczegoż ich, do diabła, nie ruszy, zanim jego przeciwniczki nie umocnią zdobytego przyczółka.

Nagle usłyszałem krzyk Ti.

– Patrz! Besile zaprzestały walki!

Zwróciłem wzrok w tamtą stronę i zobaczyłem, że tak rzeczywiście było. Te, które przeżyły pierwszą potyczkę – około czterdziestu czy pięćdziesięciu – zaprzestały walki, choć żadna ze stron nie cofnęła się ze swoich pozycji.

– One... one się wspólnie przegrupowują! – wykrztusiłem zaskoczony. – Cóż, u diabła...?

Usłyszałem potężny wybuch, którego echo odbijało się w tę i z powrotem od gór, i którego dźwięk był tak głośny, że ciekaw byłem jego źródła. Wybuch? Tutaj?

Ujrzałem wielki słup dymu tuż przed linią czarownic, a za nimi dojrzałem atakującą je falangę wojowników! I wtedy ruszyły rezerwy, dla których eksplozja była oczywistym sygnałem. Besile wystartowały ze swoich górskich gniazd, a wuki i wojska naziemne zaczęły formować front... lecz nie przeciwko napastnikom.

– Spójrz, oni kierują się przeciwko czarownicom strzegącym wejść na szlaki – wrzasnąłem zdumiony.

Zmusiłem się, by ponownie popatrzeć na przyczółek, i dostrzegłem pierwsze niewątpliwe oznaki zbliżającej się rzezi. Kurtyna ognia stała się teraz pułapką dla czarownic, uwięzionych pomiędzy nią a atakującymi od tyłu napastnikami.

Zdezorganizowane i zdezorientowane czarownice ruszyły biegiem w głąb dziedziny Zeis. Besile, zarówno te czerwone jak i żółte, zaatakowały, starając się je rozdzielić i rozproszyć. Jasne błyski świadczyły o tym, iż używano przeciwko czarownicom mocy Wardena, zabijając je podczas biegu, kiedy jeszcze niezupełnie zrozumiały, co się tak naprawdę dzieje.

Na polu poniżej, rezerwy ucierpiały w dużym stopniu od skoncentrowanej mocy czarownic, jednak tym razem stosunek sił nie wynosił sto sześćdziesiąt dziewięć kobiet na czterdzieści besili, jak w tamtej bitwie w wiosce czarownic. Raczej odwrotnie, jakieś dwadzieścia besili, tuzin wilków i duża liczba dobrze uzbrojonej piechoty uderzała w każdej osobnej potyczce na trzysta czarownic. Pokonanie ich było kosztowne, a nawet jeżeli czarownicom udało się zabić połowę atakujących, musiały ulec przewadze i padały jedna po drugiej na ziemię, gdzie rąbano je bezlitośnie na kawałki.

Odłożyłem lunetę i popatrzyłem przez chwilę na Ti. Wyczuła to zapewne, bo odwróciła się do mnie. Jej twarz wyrażała zaskoczenie i niedowierzenie będące, czego byłem pewien, lustrzanym odbiciem tego, co malowało się na moim własnym obliczu.

– Armia z Lakk zaatakowała czarownice – powiedziała zdumiona. – Siły tych dwóch stron połączyły się. Cal, co tu się tak naprawdę dzieje? Czyżby nas oszukano i wykorzystano naszą naiwność?

Pokręciłem przecząco głową.

– Nie, skarbie. Chociaż... chyba jednak tak. To druzgocące uczucie, tak w końcu to wszystko zrozumieć. Do diabła! – Walnąłem pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki. – Nie mam pojęcia, dlaczego nie domyśliłem się tego od początku... a przynajmniej kilka dni temu, kiedy znałem już wszystkie kawałki tej układanki.

– Ale przecież oni walczyli dla nas, nieprawda? Zamierzali zdobyć dla nas dziedzinę Zeis!

Potrząsałem ze smutkiem głową i ścisnąłem jej dłoń.

– Dziecino, nie sądzę, by kogokolwiek tam na dole interesowały w najmniejszym chociaż stopniu nasze osoby. – Puściłem jej rękę i ponownie uderzyłem pięścią w otwartą dłoń. – Pionki! – wymamrotałem. – A niech to wszystko szlag trafi! Cała ta długa droga... i ciągle tylko pionki! Patrzyła na mnie, nic nie pojmując.

– Co...?

Westchnąłem i podniosłem się z miejsca.

– Chodź. Zrobimy sobie długi spacer w dół do zamku. Nie przejmuj się. Nikt nas nie zatrzyma, prawdopodobnie nikt na nas w ogóle nie zwróci uwagi.

Szedłem w dół stoku, mając u boku ciągle niczego nie rozumiejącą Ti.

## Rozdział dwudziesty drugi

### **PIERWSZY LORD ROMBU**

Rozmiary rzezi były ogromne. Czarownice zostały zmasakrowane i to dokładniej niż podczas najbardziej szczegółowej sekcji zwłok.

Do zamku szliśmy dwie godziny. Połączone siły żółtych i czerwonych przeczesywały teraz metodycznie pole bitwy, udzielając pomocy tym, którym była ona jeszcze potrzebna i zaprowadzając jaki taki porządek. Czekala je najpewniej jeszcze długa i ciężka praca.

Jak należało oczekiwać, ojciec Bronz wraz z innymi siedział odprężony, w wiklinowym fotelu przed bramą zamku, popijając i pojadając beztróska. Wśród obecnych rozpoznałem Volę, jej siostrę Dolę, bossa Rognival, lady Tonę, lady Kysil i pana Artura. Innych nie znałem, lecz po kolorze i kroju strojów wiedziałem, że należą do dziedziny Zeis. Jeden z nich – drobny i krucho wyglądający mężczyzna, łysy i pomarszczony – ubrany był w strojną, jedwabną tunikę i wysokie buty; na głowie miał tiarę z ogromnym, błękitnym klejnotem, podobną do tej, którą nosiła Rognival, lecz nie taką samą. Inny mężczyzna, ubrany podobnie, tyle że głównie w kolory złociste, mający na głowie kapelusz z szerokim rondem, odpoczywał obok. Był w podeszłym wieku, nosił porządnie przyciętą siwą brodę i wyglądał jak ktoś, kto na pewno pochodzi ze światów cywilizowanych. Chociaż robił wrażenie starszego ode mnie o wiele lat, najwyraźniej znajdował się w doskonałej kondycji fizycznej.

Zauważył nas ojciec Bronz.

– Cal, Ti, podejdźcie proszę! – zawołał uprzejmie.

Podeszliśmy. Z bliska ojciec Bronz robił wrażenie śmiertelnie zmęczonego i bardzo, bardzo starego. Pomyślałem sobie, że od dzisiejszego ranka musiało mu przybyć chyba z dziesięć lat. Mimo to uniósł się z fotela, uściśnął ciepło mą dłoń i pocałował Ti w czoło. Teraz dopiero wskazał lekkim skinieniem głowy pozostałych.

– Niektórych spośród obecnych tutaj już znacie – zaczął – nie sądzę jednak byście mieli przyjemność znać osobiście sir Honlona Tiela.

Starszy mężczyzna skinął głową w moim kierunku, a ja gapiłem się na niego bez słów. Więc to jest ten rycerz, któremu zamierzałem rzucić wyzwanie, pomyślałem ponuro. Boss dziedziny Zeis. Przecież komórki Wardeny świeciły jaśniej w Arturze niż w nim.

– Dżentelmen w złocistym stroju to Wielki Książę Kobe – ciągnął Bronz, a wymieniony przez niego również skinął mi głową. Przedstawił pozostałych i wszyscy oni należeli do grupy rządzącej w Zeis. Po czym zwrócił się do mnie. – Zakładam, iż teraz już wszystko rozumiesz?

– Raczej tak – odpowiedziałem. – Skłamałbym jednak, mówiąc, iż jestem zachwycony, że tak się mną posłużono. Czuję się trochę jak dziecko, któremu obiecano zabawkę na urodziny i nie tylko mu jej nie dano, ale na dodatek nikt nie przyszedł na przyjęcie.

Bronz roześmiał się.

– Och, daj spokój! Nie jest aż tak źle.

– Czy ktoś mógłby – przerwała Ti, głosem spokojnym, lecz gniewnym – wyjaśnić mi, co tu się dzieje?

Spojrzałem na nią i westchnąłem.

– Ti, pozwól, że ci przedstawię Marka Kreegana, władcę Lilith, Pierwszego Lorda Rombu.

Fakt, iż zamurowało ją kompletnie, kiedy ojciec Bronz skłonił się uprzejmie, świadczył jedynie o tym, że jeszcze wiele będzie musiała się nauczyć.

Czas na pełniejsze wyjaśnienia przyszedł znacznie później, kiedy to po kąpieli i przebraniu się w świeże stroje, zasiedliśmy do uczyty w wielkiej sali zamku. Ti ciągle nie mogła dojść do siebie po szoku związanym z odkryciem tożsamości ojca Bron – za, ale muszę przyznać, iż uzyskawszy tę informację, bardzo szybko zorientowała się w ogólnych zarysach całej intrygi.

Ja jednak chciałem usłyszeć całą tę historię z ust człowieka, który to wszystko zaplanował.

– Zacznijmy więc od spraw ogólnych – zgodził się Marek Kreegan. – Naturalnie, że mieliśmy poważny problem. Lilith, o czym powiedziałem ci już dość dawno temu, jest sztywnym, mało elastycznym systemem, w którym my, ludzie, nie odgrywamy żadnej roli. Jej gospodarka jest słaba, możliwości utrzymania większej populacji w warunkach naturalnych bez wardenowskiej ochrony wątpliwe. Pionki nie mają zbyt wspaniałego żywota... ale kto ma? Wiadomo, jak zawsze, klasa rządząca. Każdy bowiem chciałby być królem, ale gdyby każdy nim był, nie miałby kto pracować, by utrzymać jednego choć monarchę. W świecie cywilizowanym jest podobnie, tyle że dzięki technologii stosowanej na skalę masową, standard życia ich pionków jest wyższy niż ten, który da się osiągnąć na Lilith.

– W dalszym ciągu nie przekonuje mnie porównanie mas w świecie cywilizowanym do pionków posiadających swoje własne klasy uprzywilejowane – wtrąciłem.

Uniósł brwi.

– Naprawdę? Czy urodziłeś się w tym ciele?

– Wiesz, że nie – burknąłem.

– No właśnie. Proces Mertona, prawda? Potencjalna nieśmiertelność dla kogokolwiek i dla każdego, prawda? Czy jednak masy ją uzyskają? Oczywiście, że nie! Z tego samego powodu, dla którego utrzymuje się w tajemnicy fakt, iż istnieje lekarstwo na te trzy najgroźniejsze choroby zabijające ludzi. Jest nas bowiem bardzo dużo, a ekspansja na zewnątrz ma swoje ograniczenia. Przystosowanie nowych planet do kolonizacji, a szczególnie do samowystarczalności, trwa całe dekady. Cał, nie przetrwa przecież żaden system, jeśli jego członkowie nie będą umierać. Także proces Mertona nie jest tutaj żadnym panaceum, skoro potrzebne do niego jest jakieś ciało. Oznacza to bowiem klonowanie na skalę masową... kilka bilionów klonów. Toż to nedoręczność. Muszą one być przecież hodowane i podtrzymywane przy życiu jakimiś środkami biomechanicznymi dopóty dopóki będą potrzebne. Jeśli natomiast chodzi o przywódców Konfederacji... ale to już zupełnie inna sprawa. Już dawno się zaszczepili przeciwko chorobom, które zabijają zupełnie nieświadomych ich istnienia ludzi. Jak szaleni wykorzystują procesy opóźniające starzenie. A kiedy w końcu i tak się wreszcie zużyją, mają proces Mertona, który pozwoli im powtórzyć nieskończoną liczbę cykli ich życia. Masy w społeczeństwie Konfederacji liczą się tylko w statystykach. Masy. Przeciętne. Wszystko jest przeciętne. Jedynie elicie przysługują specjalty. Zupełnie tak samo jak tutaj.

– Do pewnego stopnia mogę się z tobą zgodzić – przyznałem – jednak przywództwo można osiągnąć, jeśli się bardzo tego chce.

Ponownie się roześmiał.

– Czyżby? Tak sądzisz? Myślisz, że jesteś tu gdzie jesteś dzięki sile woli i poświęceniu? Do diabła, człowieku, wyhodowano cię do tego celu. Zaprojektowano cię i wyprodukowano jak każde inne potrzebne narzędzie, a takie im właśnie było potrzebne. Ze mną zrobiono to samo.

– Ty jednak pokrzyżowałeś ich plany – zauważyłem. – Dlatego jesteś tutaj.

Wzruszył ramionami.

– Problemem dla ich systemu jest fakt, iż ich ludzkie narzędzia muszą być inteligentne i muszą być rzucane w zimny i okrutny świat, by tam wykonywać swe zadania. W końcu sobie to uświadomiamy i należy nas wyeliminować, nim sami staniemy się dla nich zagrożeniem. Czyni się to za pomocą awansu do kręgu wewnętrznego – jeśli się uda cię tam dopasować – albo pozwala się, by zlikwidował cię ktoś stojący niżej w hierarchii. Do diabła, mogą to przecież również zrobić, kładąc ci się zgłosić w Klinice Służb Bezpieczeństwa, gdzie zamiast wpisać ci w pamięć twą przeszłość i wszystko to, czego potrzebujesz, redukują cię do statusu bezmyślnego pionka, wykonującego pracę kontrolera gadżetów czy inne równie nieciekawe zajęcie. Odkryłem tę prawdę w ostatniej chwili, omal nie za późno, i zwiewałem jak wszyscy diabli.

– Na Lilith – zauważyłem. – Dlaczego, na Boga, Lilith?

Wszyscy obecni roześmieli się, naturalnie z wyjątkiem tych, którzy się tutaj urodzili.

– Nie odpowiem ci na to – odparł. – Przynajmniej do czasu dopóki nie usuniemy z twojej czaszki tego przekłętego, organicznego nadajnika i dopóki nie pobędziesz tutaj wystarczająco długo, żeby wiedzieć, po czyjej jesteś stronie.

– Obcy – wyszeptalem, czując, że obdzierają mnie z ostatnich tajemnic. Przecież on wiedział o nadajniku.

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Powiedzmy, hm, moi potężni przyjaciele... przyjaciele wszystkich obywateli Wardena, a szczególnie przyjaciele Czterech Władców Rombu. W każdym razie musiało ci przyjść do głowy, że cywilizacja zdolna do penetracji komory bezpieczeństwa w Dowództwie Systemów Militarnych nie będzie miała specjalnych kłopotów z odkryciem procesu Mertona. A sprawozdanie skierowano do mnie, jako do tego, który wie jak działają te wielkie mózgi Konfederacji. Wiedziałem, że skupią swą uwagę na Lilith, bo ja rządę tą planetą, a jedynym logicznym kandydatem na kierowanego tu agenta będzie ktoś, czyja przeszłość i kariera zawodowa będą najbardziej zbliżone do moich.

Nie odezwałem się na to ani słowem, dlatego że nie byłem w rzeczywistości tak bystry, za jakiego mnie uważał, co zresztą trochę mnie martwiło.

– Cóż, wiedzieliśmy, że się zjawisz – ciągnął władca Lilith – a znając Konfederację, doszedłem do wniosku, iż przysłany przez nią agent, w logiczny sposób powtórzy moją własną drogę tutaj, skoro już zdecydowano, iż jeden skrytobójca ma dopaść drugiego. Oznaczało to, że chodzi o dziedzinę Zeis, bowiem ja w tym miejscu zacząłem. Oznaczało to również, iż muszę poczekać, aż w Zeis pojawi się nowy więzień. I zjawiłeś się ty. Po okresie wstępnym, wkroczyłem osobiście, by ocenić twoje możliwości i troszkę cię podręczyć. Było dla mnie jasne, iż jesteś w depresji i potrzebny ci jakiś silny bodziec, żeby cię poruszyć. Ti była takim bodźcem.

Zerknąłem na Ti, która cała się najeżyła. Zaczęło bowiem do niej docierać, czym naprawdę jest pionek i ani trochę jej to nie odpowiadało.

– Tak więc – ciągnął – utrwaliłem w twym mózgu swój obraz jako jedyne niezależnego ducha na Lilith i prawdę mówiąc poinformowałem cię, dokąd się udaję. Potem wróciłem tutaj i rozkazałem doktorowi Pohnowi zabrać Ti. Byłem przekonany, że jeśli jesteś do mnie podobny, to tak się wściekniesz, że ruszysz za nią, a to oznaczało, że doświadczysz na własnym ciele wardenowskiego wybuchu. Byłeś już dojrzały do niego... widziałem to w tobie.

– A gdyby nie doszło do wybuchu?

Uśmiechnął się.

– To byłbyś niepotrzebny ani mnie, ani Konfederacji i pozostawiono by cię, byś uprawiał fasolę do końca swych dni. Jednak do tego doszło, w wieczór przyjęcia. Kiedy przyszła Dola i powiedziała nam o tym, natychmiast zaplanowaliśmy nasze dalsze posunięcia. Musieliśmy przedstawić ci doktora

Pohna w jak najgorszym świetle, a Ti jako ofiarę całkowicie bezbronną będącą na łasce łotra. Musieliśmy pokazać ci nie tylko samego pana Artura, ale także jego armię i zwierzęta – Artur na ogół nie oprowadza przybyszów osobiście – byś zrozumiał, iż potrzebna jest cała armia, by zdobyć dziedzinę Zeis. I oczywiście, musieliśmy sprawdzić twą potencjalną moc, a także pozwolić ci posmakować, czym jest ta moc, nie dając ci jej w rzeczywistości. Zajęła się tym Vola, która również spowodowała, że zdecydowałeś się uciekać. Mnie, naturalnie, w tym czasie nie było w pobliżu, bowiem musiałem dostać się daleko na południe i przygotować trop, po którym mógłbyś mnie odnaleźć.

– Ale przecież słyszałem głos...

– Obawiam się, iż był to książę Kobe i tuba z trzciny – odparł.

Kobe wykonał przeproszający gest.

– Było rzeczą ważną, by odsunąć zbyt wczesne podejrzenia dotyczące mojej osoby. Nie mogłem być przecież jednocześnie Kreeganem z korytarza i tym, który odwiedzał w tym samym czasie inne dziedziny. Zorientowałbyś się w tym szybko. Liczyłem na to, że zapamiętasz dobrze ten fakt. Z drugiej strony, musiałem być tą jedyną osobą, do której będziesz mógł zwrócić się o pomoc.

– Tutaj zaryzykowałeś – zauważyłem, rozdrażniony jego sposobem przedstawiania spraw. – Mogłem przecież po prostu udać się na pustkowie.

– Nie ryzykowałem niczym, jeśli chodzi o ciebie – odrzekł. – Gdyby okazało się, że z jakiegoś powodu się nie nadajesz, zrezygnowałbym z ciebie i poszukał kogoś innego. Pewnym zabezpieczeniem była również Ti.

Rzuciła mu takie spojrzenie, że gdyby dysponowała moją mocą, ta sala pokryłaby się gruzami.

– Pamiętaj – powiedział Kreegan – jestem od ciebie, co prawda, starszy o czterdzieści lat, ale pochodzimy z podobnych środowisk, przeszliśmy takie same szkolenia i pracowaliśmy dla tych samych szefów. Och, twarze i imiona się zmieniają, jednak są to zawsze ci sami szefowie. Jest to bowiem rozwarstwione i statyczne społeczeństwo, wierzące w system, w jakim żyje. W rezultacie, wiedziałem co myślisz. Wystarczyło postawić się na twoim miejscu, podjąć decyzję i działać zgodnie z tą decyzją.

– Skąd jednak miałeś pewność, że wezmę Ti?

Ponownie się uśmiechnął.

– Cóż, przede wszystkim twoja reakcja na Ti była tak silna, że wyzwoliła u ciebie zjawisko wardenowskie i sprowadziła cię na zamek. Musiałeś więc być mocno z nią związany emocjonalnie. Dodatkowym bodźcem, jeśli ci na niej zależało, był doktor Pohn. Jednakże na wszelki wypadek, gdyby okazało się nagle, iż stałeś się wyjątkowo pragmatyczny, Vola wymieszała słabe, hipnotyzujące zioła razem z pierwszą porcją soku; to powiedzmy, wzmacniało pewne tendencje w tobie. Ti była potrzebna. Musiałeś ją zabrać ze sobą, ponieważ mogła stanowić jedyny pretekst



wciągający do tej gry Sumiko O'Higgins.

– Dostałeś ją?

Skinął głową.

– Ale w ten sposób wybiegamy nadto w czasie. Musisz zrozumieć, jakie ona stanowiła zagrożenie. Była psychopatką i to taką, która zdana się raz na sto lat, dzięki Bogu. Są potwory, które zasługują, w przypadku ich schwytania, na likwidację i należy ją przeprowadzić. Sumiko była takim potworem. Gdyby nie szczęśliwy traf, uzyskałaby kod genetyczny Instytutu Stabilności Biologicznej, determinujący przyszły obraz światów cywilizowanych. Nie sam zresztą obraz... cóż, sam wiesz, jak wiele jest zdeterminowane genetyką.

– A przed chwilą mi powiedziałeś, iż świat cywilizowany wymaga zmian – zauważyłem.

– Zmian, być może – odparł – ale... potworów, Cal? Potworów w przebraniu ze świata cywilizowanego? Powinni byli się jej pozbyć, zmieść ją z powierzchni ziemi, rozpylić na atomy... a zamiast tego zesłali ją na Lilith, zgodnie ze swoją teorią, iż ktoś o takiej inteligencji zapewne wymyśli coś niezwykłego. I naturalnie, wymyśliła!

Pokiwałem głową.

– Coś tam słyszałem o jej planach, dzięki Ti.

– Nawet nie połowę – rzekł Kreegan. – Nie masz pojęcia, jak genialny był ten jej pokręcony umysł. Przykrawać na miarę mutacje w istniejących już organizmach! Umysłowa inżynieria genetyczna! Mieliśmy pewne informacje dotyczące jej działalności. Nie rekrutowała tych młodych kobiet całkiem po cichu. Niektóre rzeczy robiła zupełnie jawnie. A w swojej wiosce składała ofiary z ludzi. Ten kamień, na którym spoczywała Ti, był kamieniem ofiarnym, a rowki na nim służyły do odprowadzania krwi, którą wszystkie uczestniczki takiej rzezi, potem piły. Ona była chora, Cal. Chora i na tyle genialna, iż mogła przeprowadzić swój plan do końca. Musieliśmy ją zatrzymać... a nie mogliśmy nawet jej znaleźć.

Skinąłem głową, widząc teraz cały obraz i powiedziałem:

– A Artur pokazał, że nawet kiedy ją się znajdzie, nie można jej pokonać.

Burgrabia mruknął coś do siebie pod nosem.

– Mniej więcej – zgodził się Kreegan. – Zrozum, że nie odkryła ona niczego takiego, o czym instytut by już wcześniej nie wiedział, ale instytut czyni wszystko, by zachować tutaj pełną stabilność. Używając ciebie, a szczególnie Ti, byłem w stanie dostać się do jej wioski. Tam zaś mogłem już zwieść ją na tyle, by udała się z nami do instytutu... co też uczyniła. A w instytucie można było dokonać oceny jej dokonań bez jej wiedzy, chociaż i ona sama wiele się nauczyła, wykorzystując tamtejszą bibliotekę. Znalazła drogę na skróty, by tak rzec. Musieliśmy dawać jej jakieś materiały, by ją tam zatrzymać jak najdłużej. Później prowadziliśmy długie dyskusje na temat dalszych działań, rozmiarów jej mocy i tym podobnych spraw. Uważaliśmy, że dostarczyliśmy jej dość materiału, by

nabrała dużej pewności siebie i pozostało jedynie zagrać kartą atutową – zaoferować jej szansę sprawdzenia, jaka jest jej rzeczywista siła. Zastosowaliśmy taką przynętę, której nie mogła się oprzeć.

– Celem, innymi słowy, było stworzenie takiej sytuacji, w której Sumiko opuści swą bezpieczną przystań, rozdzieli swe siły i nie będzie podejrzewać, iż jej wrogiem nie jest sam Zeis, ale praktycznie wszyscy.

– To prawda – wtrąciła się Rognival. – A koszty były ogromne. Musieliśmy naprawdę walczyć ze sobą dopóki one wszystkie nie wylądują na tym przyczółku. Było to bardzo trudne, ale nie dało się tego uniknąć. W każdym razie tak rozstawiliśmy nasze siły, by część oddziałów Zeisu mogła się przebić i wyeliminować tyle czarownic, ile tylko było możliwe. Po to, by ją osłabić. Nie mogliśmy jednak zlikwidować jej wszystkich sił, dopóki ta suka pozostawała przy życiu.

– A tak dla zaspokojenia ciekawości, Kreegan, jak ją zabiliście? – spytałem.

– Och, istniało kilka możliwości – odparł. – W ostateczności mieliśmy, dzięki instytutowi, dość tego wzmacniającego napoju, by utworzyć przeciw niej zmasowaną siłę złożoną ze mnie, z obecnego tu księcia, dwóch rycerzy i około czterdziestu panów... ale nie musieliśmy tego na szczęście robić. Nie miałem pojęcia, jaka jest jej rzeczywista moc, nadal zresztą nie wiem, i wolałem tego nie sprawdzać. To ty, Cal, podsunąłeś mi pomysł.

Podskoczyłem.

– Ja?

Skinął głową.

– Kiedy poinformowałeś mnie o tej laserowej broni. Domyśliłem się, że będzie ją miała przy sobie jako pewnego rodzaju ubezpieczenie, a szczególnie jako późniejszy argument. Przecież tylko władca jest w stanie stabilizować materię pochodzącą spoza naszego układu. Wiesz o tym. To może ci dać pewne wyobrażenie o jej mocy.

Zmarszczyłem brwi.

– Ale co to ma...?

– Daj spokój, Cal! Gdybyś to ty był na moim miejscu i dysponował moją mocą, i gdybyś to ty wiedział, że ma ona przy sobie pistolet laserowy, co byś uczynił? Szczególnie, kiedy wiedziałbyś, iż cały jej umysł, cała jej energia skoncentrowana jest gdzie indziej?

Otworzyłem szeroko usta ze zdumienia, kiedy uświadomiłem sobie, co też on takiego uczynił.

– Rozłożyłeś układ wardenowski warstwy izolującej. Komórki Wardena znajdujące się w pobliżu natychmiast zaatakowały pistolet.

Uśmiechnął się i skinął głową.

– Tak jest. Źródło energii znalazło się na zewnątrz, uległo przeciążeniu i eksplodowało. A pistolet miała zatknięty za pas. Mówię ci, że zimny pot wystąpił mi na czoło, kiedy czekałem na ten wybuch. Zamierzałem poczekać najwyżej kilka minut i przerzucić się na zmasowany atak, bez względu na konsekwencje. Jednak wybuch nastąpił, dzięki Bogu, a jego huk był sygnałem dla wszystkich do przerwania walki, połączenia sił i zaatakowania czarownic ze wszystkich stron jednocześnie.

– Jednak straszliwie ryzykowałeś – zauważyłem. – Eksplozja mogła nastąpić w każdym momencie... może nawet kilka godzin później. A sam powiedziałeś, że zmasowany atak mógł nie być wystarczająco silny.

– Przyznaję, iż miałem trzecią, awaryjną możliwość – powiedział zmęczonym głosem. – Organizmy Wardena działają szybko, ale nie aż tak szybko. Gdyby już wszystko zawiodło, mój satelita wystrzeliłby raketę z głowicą jądrową bezpośrednio w Zeis. Wszystko i wszyscy zostaliby rozpyleni na atomy, oczywiście włącznie z czarownicami. Tak poważnie potraktowałem to zagrożenie.

– A co z ojcem Bronzem? – spytałem. – Chyba nie wymyśliłeś, ot tak sobie, takiej postaci?

– Och, występuję w roli ojca Bronza już od dziesięciu lat – odparł. – Jest to najprostszy sposób podróżowania bez zwracania na siebie zbytnej uwagi. – Przerwał. – Naturalnie, teraz będę musiał dokonać pewnych zmian w moim wyglądzie zewnętrznym i znaleźć jakąś nową personę, w którą mógłbym się wcielić. – Westchnął. – A szkoda. Ojciec Bronz naprawdę wykonał kawał dobrej roboty. Rozważam już od jakiegoś czasu, czy nie zaprosić tutaj kilku prawdziwych duchownych.

Nie drażyłem więcej tego tematu, ale zadałem mu pytanie, które uważałem za szczególnie istotne.

– A co ze mną? – spytałem.

– Co się teraz stanie?

– Poradzisz sobie – zapewnił mnie. – Zostaniesz tutaj przez jakiś czas jako pan, nabierzesz doświadczenia, po czym albo poczekasz na śmierć tutejszego bossa, albo poszukasz jakiegoś słabszego rycerza i zaczniesz od samego początku. Kiedyś zostaniesz co najmniej księciem, a może nawet władcą. Już ci mówiłem. Mnie to zabrało siedemnaście lat.

– Pobję twój rekord – powiedziałem, bynajmniej nie żartując.

Popatrzył na mnie z powagą.

– Sądzę, iż jest to możliwe.

Wkrótce potem nastąpił koniec wieczery i Kreegan poinformował nas, że odlatuje promem, który ląduje tutaj nazajutrz.

– Interesy – powiedział. – Sprawy Czterech Władców.

Boss Tiel, ku memu zaskoczeniu, miał również kilka słów do mnie.

– Chciałbym, byś tu został – powiedział całkiem szczerze. – Jestem już starym człowiekiem. Mógłbyś pokonać mnie teraz, tak jak to wcześniej planowałeś. Jednak pewna liczba panów, takich jak Artur, jest bardzo silna i mogłoby się okazać, że pokonawszy mnie przegrywasz z kimś innym, choćby z powodu niewielkiego doświadczenia. Może nawet z Rognival, która byłaby zachwycona możliwością zamiany tej swojej wyspy na Zeis. A jeśli spędzisz tutaj kilka lat, poznasz odpowiednią technikę i pełnię swojej mocy, nawiązesz kontakty, prowadząc prawidłową politykę personalną, uzyskasz stopień rycerski przez aklamację. Posiadasz najlepsze ku temu kwalifikacje. Artur jest doskonałym żołnierzem, lecz kiepskim administratorem. Inni podobnie. Albo zbyt mało talentu, albo brak ambicji. Decyzja należy, oczywiście, do ciebie, ale muszę przyznać, że zrobiłeś na mnie duże wrażenie.

Powiedziałem mu, że przemyślę to sobie, choć odpowiedź już znałem. Naturalnie pozostanę tutaj, ponieważ ta droga odpowiadała moim ambicjom, a także z powodu Ti. Nigdy nie polubi tych ludzi, ani im nie wybaczy, ale, jak powiedziała, sama jest częścią Zeis.

Na koniec odszukałem doktora Pohna. Ciągle czułem ogromną antypatię do tego sukinsyna i wiedziałem, że pod mającymi nadejść rządami Tremona nie będzie tu dla niego miejsca. Teraz jednak będzie mi potrzebny.

Następnego popołudnia wykona małą operację w wardenowskim stylu. W porządku, mój bliźniaku i odpowiedniku tam w górze... zawiodłem okropnie. Nabrano mnie i wykorzystano. Nie dowiedziałem się niczego o tej, tak ważnej dla ciebie obcej rasie, a lord Marek Kreegan, niech będzie przeklęta jego czarna dusza, pozostaje władcą Lilith i Pierwszym Lordem Rombu. Tak jednak wygląda stan faktyczny. Zrobiłem wszystko, co mogłem zrobić i mam coraz mniejszą ochotę, by świadczyć ci uprzejmość i oddawać przysługi. Wypchaj się, Konfederacjo! Być może, kiedy zostanę władcą Lilith nie spodobają mi się ci obcy; a może jednak mi się spodobają, kto to wie? W każdym razie dostarczenie wam jakiegokolwiek informacji będzie uzależnione od mojej oceny sytuacji w danym momencie z punktu widzenia moich własnych interesów.

Niniejszym, Cal Tremon, bez wyrażania specjalnego poważania dla mocodawców, składa swą rezygnację.

## Rozdział dwudziesty trzeci

### JESZCZE JEDEN DROBIAZG

Powietrze było ciepłe i wilgotne. Właśnie skończyła się jedna z tych nieprzyjemnych charakterystycznych dla Lilith burz i pułap chmur obniżył się znacznie. Mimo to prom przyleciał zgodnie z rozkładem... a zresztą, czy mógł zawieść lorda Marka Kreegana?

Prawie całą noc spędziłem na uspokajaniu Ti.

– Nienawidzę tego człowieka – powtarzała w kółko.

W pewnym sensie straciła tak samo wiele jak ja, a na dodatek w jej obrazie świata zagnieździła się gorycz. Nie była w stanie wybaczyć człowiekowi, który spowodował, iż wpadła w łapy doktora Pohna, i który poniżył ją tak bardzo dla własnych celów. Odczuwała to jako gwałt na własnej osobie ze strony Marka Kreegana; gwałt silniejszy niż przemoc seksualna. Był to bowiem w jej odczuciu gwałt totalny, a skaza na jej duszy, powstała w jego wyniku, nie zginie tak szybko.

Niemniej ciągle się jeszcze uczyła. Stała ze mną, kiedy po zachodniej stronie zamku lądował prom; gdy ukazał się na tle chmur i powoli siadał na ziemi. Włączył się skomplikowany system śluz i zabezpieczeń statku, choć nie był on aż tak niezbędny, kiedy Kreegan znajdował się na pokładzie.

On sam ubrany był ciągle w te stare szaty duchownego, ale wiedziałem, że wkrótce zamieni je na inne. Możliwe, iż nawet go nie rozpoznam, kiedy następnym razem zobaczę, chociaż w tej chwili byłem przekonany, że rozpoznałbym go zawsze i wszędzie. I pewnego dnia, Kreegan, powiedziałem sobie, nasze spotkanie nie ograniczy się do pogawędki.

Księżę Kobe tym razem nie leciał, mimo iż zazwyczaj on był głównym użytkownikiem tego wahadłowca. Zastanawiałem się, czy przypadkiem Kreegan nie popełnia jednak błędu. Istniało przecież pewne prawdopodobieństwo, że znajdujące się na orbicie siły Konfederacji zestrzelą ten mały prom. Chyba jednak nie, pomyślałem sobie. Nie zrobią tego, bo wchodzi tu w grę zbyt subtelne rozgrywki. Po to zresztą wynajmują... tworzą... ludzi takich jak ja. Nikt tam nad nami nie zechce wziąć na siebie odpowiedzialności bez uzgodnienia swej akcji z Konfederacją, a zanim to nastąpi, Kreegan zniknie nie wiadomo, gdzie.

Poza tym miał przecież potężnych przyjaciół. Czy pozwoliliby rozwalić go na kawałki? Miałem co do tego wątpliwości. Był ich najcenniejszym sojusznikiem, człowiekiem, który wiedział, jaki jest sposób rozumowania władz Konfederacji. Obcy nie chcieliby go utracić.

Pomachał do nas, uśmiechnął się i wszedł na pokład promu. Kiedy wciągnięto schody i zamknięto drzwi, rozległ się delikatny szum silników i statek powoli zaczął się unosić.

– Cal – usłyszałem obok siebie głos Ti.

– Tak, skarbie? – odpowiedziałem i spojrzałem na nią.

W tej samej chwili, coś eksplodowało wewnątrz mej głowy. Moje komórki Wardena zapłonęły, a energia, na swym najwyższym poziomie, popłynęła ode mnie, całkowicie poza moją kontrolą, ku Ti!

Nie spaliła jej jednak; spowodowała jedynie, iż wstrząsnął ją lekki dreszcz. Ti odwróciła się i skierowała wzrok na wznoszący się statek, zdążający powoli ku chmurom, ostrożnie przelatujący ponad szczytami górskimi, przed włączeniem pełnego ciągu.

Stałem jak sparalizowany, niezdolny się poruszyć, pomyśleć, oddychać.

Silniki wahadłowca zmieniły minimalnie swój ton, zakasłały i zaczęły wydawać bardzo, ale to bardzo nieprzyjemne dźwięki.

Nastąpił gwałtowny wybuch i wielka jasność w chmurach, po czym prom runął w dół i spadał z hukiem i trzaskiem po skalistym zboczu góry. Znieruchomiał na samym dole, skąpany w potwornym blasku, zbyt jaskrawym, by można było nań patrzeć. Ti odwróciła się, a ja poczułem nagle, iż jestem wolny od tego tajemniczego, straszliwego uścisku.

Popatrzyłem w kierunku wahadłowca, który był już tylko kipiącą, syczącą i dymiącą masą stopionego metalu. Wkrótce i te resztki znikną. Komórki Wardena przypuszczą nieubłagany atak na obcą materię, zamieniając ją w pył w ciągu kilku dni.

Wstrząśnięty, zwróciłem się do Ti.

– Co... co u diabła, zrobiłaś?

Uśmiechnęła się. Był to najbardziej zły i pełen zadowolenia uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałem.

– Pamiętasz wioskę czarownic sprzed kilku dni!

Skinałem jedynie głową.

– Zwędziłam trochę tego napoju. Dziś rano, tuż przed przyjściem tutaj, wypiałam wszystko. Miałam szczęście. Liczyłam bowiem na to, że uda mi się ciebie zaskoczyć i wykorzystać twą moc, nim mnie powstrzymasz. I dokonałam tego.

– Ale... ale jak?

– Ubiegłego wieczoru, po wieczerzy, rozmawiałam z księciem Kobe i bossem Tielem – wyjaśniała. – Zadałam im kilka prostych pytań. Spytałam, na przykład o to, w jaki sposób utrzymują prom w pozycji horyzontalnej. Kobe był bardzo uprzejmy i pomocny. Narysował mi coś, co nazywał geoskopem. Spytałam, czy prom posiada takie urządzenie, a on powiedział, że owszem, ale trochę inne. Pokazał mi, jak ono wygląda. A ja, wykorzystując twą moc, zrobiłam z promem to samo, co Kreegan zrobił z pistoletem Sumiko. Zdjęłam po prostu z niego zaklęcie.

– Ale... ale przecież to było w komorze próżniowej! – protestowałam. – Nie mogłaś aż tam sięgnąć.

– Uczyniła znacznie więcej, młody człowieku – odezwał się jakiś głos za mną. Odwróciłem się nerwowo i zobaczyłem księcia Kobe, który wyglądał raczej na zadumanego niż gniewnego. – Bez wątpienia masz moc jak wszyscy diabli, synu, a ona nienawidziła Marka wielką nienawiścią. Widziałem to, czułem, ale nic na to nie mogłem poradzić.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytałem, czując w sobie ogromną pustkę.

Pokręcił głową z podziwem.

– To nie żyroskopy, jak ona sądzi, były przyczyną jego śmierci. Używając komórek Wardena, wywierciła bowiem dziurkę w ścianie kadłuba i w agregacie napędowym!

Usiadłem na trawie.

– O mój Boże!

– Jak z tego jasno widać, nawet Sumiko nie miała tak naprawdę pojęcia, do czego zdolny jest ktoś posiadający moc władcy – zauważył książę.

Wydawało mi się, iż zbyt lekko traktuje śmierć Marka Kreegana i powiedziałem mu, co o tym myślę.

Uśmiechnął się tylko.

– Taka jest Lilith – powiedział filozoficznie. – To ja wykonywałem całą tę administracyjną robotę dla tej planety, a mimo to byłem jedynie jego podnóżkiem. Nie, synu, nie darzyłem specjalnym uczuciem Marka Kreegana.

– Cal jest teraz władcą! – zawołała Ti.

Poczułem w tym momencie, jak znowu wyrywa ode mnie moją moc, ale tym razem wiedziałem już, co się dzieje i potrafiłem to zablokować.

Kobe pokręcił powoli głową.

– Nie, ambitna mądralo. Nie jest władcą. To nie on zabił Marka Kreegana, lecz ty. Wątpię, by był on w stanie zebrać w sobie aż tyle nienawiści. Nie, to stanowisko pozostaje nie obsadzone i czeka na kogoś, kto nie tylko będzie rościł sobie do niego prawo, ale potrafi je także utrzymać. A to zajmie całe tygodnie, o ile nie więcej. Tymczasem ja będę pełnił jego obowiązki. – Westchnął. – Niech to wszyscy diabli. Podejrzewam, że będę teraz musiał osobiście wziąć udział w tej konferencji.

Ti zapłonęła gniewem, ale zdławiłem jej furię. Wiedziałem, iż za kilka godzin napój przestanie działać. Tymczasem jednak muszę mieć na nią oko.

Ciągle jeszcze lekko ogłuszony wydarzeniami, zwróciłem się do niej:

– Nie masz już więcej tego soku, prawda?

Popatrzyła na mnie wzrokiem urażonej niewinności i odparła.

– Czyż mogłabym cię okłamywać?



## Epilog

Mężczyzna powoli dochodził do siebie, nie całkiem jeszcze świadom, kim jest i gdzie się znajduje. Zdjął hełm i po – masował skronie. Dręczył go nieznośny ból głowy.

Rozglądał się po kabine kontrolnej przez jakiś czas, jakby nie wierzył, iż jest w niej rzeczywiście, że jest na statku, w swoim własnym laboratorium, a nie gdzieś tam w dole, na Lilith.

W końcu jednak doszedł do siebie i odzyskał poczucie rzeczywistości.

– Komputer?

– Gotów – odpowiedział mu spokojny, męski głos.

– Posiadasz już nie tylko dane podstawowe, ale również te, które uzyskałeś przeze mnie – zauważył. – Jakie wnioski?

– Po raz pierwszy potwierdzają się związki pomiędzy obcymi i władcami Rombu – odpowiedział komputer. – Jest także mnóstwo danych, które stwarzają więcej pytań niż udzielają odpowiedzi. Przynajmniej na razie... ale jest już następne sprawozdanie. Chciałbym zwrócić uwagę, że Marek Kreegan wiedział jedynie o Calu Tremonie, co może oznaczać, iż nie podejrzewają istnienia pozostałych trzech.

– To już jest coś – przyznał zrzędliwie. – Wspomniałeś następne sprawozdanie?

– Tak. Z Cerbera. Z powodu szczególnej natury tamtejszych komórek wardenowskich, komunikowanie się za pomocą połączenia organicznego było niemożliwe, wobec czego agentowi zapisano w mózgu rozkaz złożenia raportu, kiedy to tylko będzie możliwe i natychmiastowego wymazania tego faktu z pamięci. Wydaje się, iż jest tutaj pełne sprawozdanie. Czy mam je przedstawić?

– Tak... nie! – rzucił gniewnie. – Daj kawałek.

– Jeśli boli pana głowa i odczuwa pan zmęczenie, mogę podać niezbędne środki w okienku numer dwa.

Skinął głową.

– Dobrze, byle nie za dużo.

Nie mógł przecież powiedzieć komputerowi, że nieważny jest ból głowy, nieważne zmęczenie, że nic z tych rzeczy nie jest naprawdę istotne. Martwił się bowiem czymś znacznie głębszym, znacznie bardziej niepokojącym.

Calu Tremonie, zastanawiał się, czy rzeczywiście jesteś mną? Czy ja zachowałbym się w ten sposób, czy w ten sposób bym postępował? Dlaczego jesteś dla mnie kimś obcym, Calu Tremonie? Czyż nie jesteś moim bliźniakiem?

Niepokoili go również wizja Konfederacji przedstawiona przez Marka Kreegana, choć nie aż tak bardzo. Przecież to nie do pomyślenia, żeby tak sądzić. Wszystko byłoby wówczas kłamstwem i żartem. To nie do zaakceptowania.

Z drugiej strony, powiedział sobie, to może być jakiś rodzaj umysłowej aberracji. Ciało Cala Tremoma, jego hormony, cokolwiek, mogło wpłynąć na stan umysłowy. Musiało wpłynąć.

Nagle, zamiast obawiać się sprawozdania z Cerbera, poczuł, że musi je natychmiast poznać. Musi wiedzieć. Czy Cal Tremon był rzeczywiście jakąś aberracją... czy też on widzi prawdziwego siebie?

Jeśli tak jest, to czy może spojrzeć prosto w twarz temu obcemu odbitemu w czterech lustrach?

Usiadł wygodnie i pociągnął trochę napoju z pojemnika.

– W porządku. Puść zapis z Cerbera.

– Wykonuję – odezwał się komputer. – Włączam zapis. Pozwalam sobie jednak zwrócić uwagę, iż byłoby o wiele wygodniej, gdyby zechciał pan włożyć hełm.

Westchnął, sięgnął po delikatną i kruchą koronę zwaną hełmem, nałożył ją na głowę, poprawił kilkakrotnie jej położenie i przyjął możliwie najbardziej wygodną pozycję, zastanawiając się przez cały czas, dlaczego tak bardzo drżą mu dłonie.

Lustro, lustro, w mym umyśle...

Czyż mógłbym cię okłamywać?

**KONIEC tomu 1**